

Vera Henriksen

Córka wikingów

Święty król

Przełożyła z norweskiego
Beata Hłasko

Wydawnictwo „Książnica”

ŚWIĘTY OLAF

Fjord Steinkjer pokryty spienione fale zielonkawe, niebieskobiałe, szaroczarne, czasem lśniące złotem, zależnie czy cień, czy słońce nań padały. Chmury mknęły po niebie, jakby gnane przez niewidzialne duchy, blask słońca ślizgał się po wzgórzach, to znów — niczym łzy po uśmiechu — nadchodziła rzęsista ulewa.

Sygyda córka Torego wyszła z dziedzińca steinkjerskiego dworu, przystanęła i patrzyła na fjord. Po chwili zaczęła schodzić ku promowi.

Była znużona. Noc spędziła przy najmłodszym synku Hruta, zarządcy Steinkjeru. Wieczorem przyszła dowiedzieć się o zdrowie dziecka, wiedziała bowiem, że niedomaga. Matka niemal padała ze zmęczenia; syn zachorzał przed ośmiu dniami, a gdy chodziło o jego pielęgnowanie — nie dowierzała nikomu. Dopiero kiedy Sygyda ofiarowała się czuwać przy nim, poszła spać.

Chłopiec był rozpalony jak ogień, dyszał ciężko, kaszląc odpluwał krew. Sygyda niewiele mogła mu pomóc, prawie ciągle był nieprzytomny. Zastosowała wszelkie znane sobie leki.

Dziecko leżało w świetlicy, matka spała w tej samej izbie na ławie. Prawie całą noc spoczywała, od czasu do czasu jednak budziła się i w półśnie szeptała pacierze do Boga i świętych. Nad ranem chłopcu się pogorszyło, toteż Sygyda uważała za wskazane obudzić rodziców i posłać po księdza Anunda.

Matka zerwała się niezwłocznie, padła na kolana nieprzytomna z przerażenia. A kiedy pojęła, że modlitwy nie pomagają, zaczęła bluźnić.

Anund zastał ją na klęczkach wygrażającą pięściami niebiosom. Chwyił ją za ramiona, potrząsnął mocno, ona zaś na widok księdza załamała się i wybuchnęła strasznym łkaniem. Po chwili znowu zaczęła się modlić:

— Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nim, święty Ansgarze, święty Olafie...

Sygyda, klęcząca również przy dziecku, wzdrygnęła się, lecz nie przerwała modłów. Nie pierwszy raz słyszała, że Olafa syna Haralda nazywano świętym.

Trochę później choroba jakby opuściła chłopca. Zasnął spokojnie, nim Sygyda wyszła.

Zaczęło padać. Sygyda znów się zatrzymała, stanęła pod wiatr, rześiste chłodne krople zrosiły jej twarz. Święty Olaf — pomyślała. Wspomniała, jak niegdyś stała na pokładzie dawnego statku Olwego zwrócona ku bryzgom piany niesionej wiatrem. Była wówczas branką Olafa; miała wrażenie, że widzi jego ciężką, dumną postać na kasztelu.

Deszcz ustał równie nagle, jak zaczął padać; słońce wyjrzało zza chmur. Grzało przyjemnie, Sygyda uśmiechnęła się słysząc z oddali głos kukułki.

— Idziemy w jedną stronę? — zapytał Anund.

Sygyda obejrzała się i skinęła głową. Po czym schodząc obok księdza ku promowi rzekła:

— Ciągłe słyszę, jak ludzie zwa Olafa świętym, mam tego dość!

— Może nie ma w tym nic dziwnego — odparł ksiądz.

— Odkąd umarł, wiele znaków i cudów mieliśmy w tych stronach.

— Tego dzieciaka też pewno uratował król Olaf!

— Dlaczego nie? Kiedy matka modliła się do niego o wstawiennictwo, chłopcu się polepszyło.

— Nie on pierwszy wyszedł z takiej niemocy. Czemu właśnie król Olaf miałby to sprawić? Wymieniła przecież ponad dziesięciu świętych.

— Czy zapomniałaś o znaku, jaki król Olaf dał twemu bratu Toremu? A może nie pamiętasz, że Bóg niemal zgasił słońce? A kiedy zimą kmiecie Trondheimu zwrócili się do króla i prosili o wstawiennictwo, czynili to nie bez powodu. I nie zawiódł ich.

— A czy pamiętasz, coś sam mówił, kiedy ludzie chcieli cię obwołać świętym? Powiadałeś, że łatwo zwracać uwagę na tych, którym pomogło, a zapominać o innych?

— To inna sprawa — odparł Anund oschle. — Zresztą nikt nie wymaga, abys wierzyła w świętość króla. Biskup Danów w Kaupangu nawet o tym słyszeć nie chciał.

Sygyda zaczęła mówić o rządach Danów; rozmawiali o nich płynąc promem przez rzekę, a Sygyda rozmyślała nad tym nieprzerwanie idąc ścieżką do Egge.

Podjejrzenia Kalfa wobec króla Kanuta były słuszne, zlekceważył przyrzeczenie mianowania go jarlem. W zamian przysłał do Norwegii jako króla swego syna. A ponieważ Sven był jeszcze otrokiem, rządy w imieniu małoletniego sprawować miała jego matka Alfiva, nałożnica Kanuta.

Sven i Alfiva wraz z orszakiem przybyli do Vikenu jeszcze przed bitwą pod Stiklestadem. Potem Sven popłynął wzdłuż brzegów ku północy, po drodze został obwołany królem na tingach wszystkich okręgów, jak dawniej jego ojciec. Późną jesienią dotarł do Trondheimu i osiadł w Kaupangu. Zwano go Sven syn Alfivy.

Wkrótce lud zaczął się uskarżać na rządy Danów. Ledwo Svena obwołano królem na tingu w Ore, obwieszczono kmieciom nowe ustawy, które wywołały ogólne niezadowolenie; nie wierzyli własnym uszom. I powstałoby natychmiast przeciwko królowi, gdyby znaleźli przywódcę. Król bowiem ograniczył ich prawo własności w stopniu nie spotykanym od czasów Haralda Pięknowłosego. Ziemia i wybrzeża należały odtąd do króla; kmiecie powinni oddawać królowi część połowów. Wszystko, co kryje ziemia, należy do króla jako do prawowitego jej właściciela, każdy zaś statek wychodzący w morze musiał opłacać daninę, król bowiem miał prawo do użytkowania jednego z pomieszczeń okrętowych lub, jeśli go nie użytkował, do odpowiedniej opłaty „najemnej”.

Okazało się teraz, że król Kanut nigdy nie zamierzał uznać Norwegii za wolny kraj. Miało to być królestwo podległe Danii, o prawach surowszych niż u Danów. A co najgorsze: słowo jednego Dana znaczyło tyleż co dziesięciu Norwegów.

Im dłużej ludzie przyglądali się tej zimy rządów Danów wprowadzonym z przybyciem króla Svena, tym lepsze mieli mniemanie o królu Olafie. On też odmienił dawne ustawy, nigdy jednak aż tak nie ograniczył wolnych kmieci. Powszechnie szerzyło się tedy zdanie, iż zagorzali przeciwnicy Olafa głupio postąpili.

Ciągle żywe wspomnienie strachu, jaki ogarnął gminy w czas zaćmienia słońca — też zrobiło swoje. Umacniało się przekonanie, że król, krzewiciel chrześcijaństwa, był świętym mężem; może to Bóg, chcąc okazać niezadowolenie z powodu zamordowania go, oddał ich w niewolę Danom?

Ostatnia jesień też nie była najurodzajniejsza; Bóg chyba nie sprzyjał królowi Svenowi.

Coraz liczniejsi zwracali się do Olafa w niebie; błagali go o łaskę, o wybaczenie niewierności, przysięgali wieczystą ufność.

Sygyrdzie natomiast ci ludzie drżący przed zmarłym królem Olafem, schlebiający mu w modłach i czołgający się niczym psy, by ułagodzić gniew króla za to, że byli mu przeciwni za życia — wydawali się wprost pożałowania godni. Drwiła też z gadania o cudach i świętości. Trudno jej było dopatrzeć się choćby odrobiny świętości w Olafie Haraldssonie, jakiego znała.

Uważała, że spełniła swoją powinność wobec króla. Wybaczyła mu, modliła się za jego duszę, kazała odprawiać msze, prosiła Boga o wybaczenie zatwardziałości serca. Tego jednak było dość; dziękowała Bogu, iż nikt od niej nie wymaga, aby uznała króla za świętego.

Niemniej jednak musiała przyznać teraz, że dla kraju uczynił wiele dobrego, walczył również o krzewienie chrześcijaństwa. Zgodnie z tym, co mówili synowie Arnego goszczący w Egge po bitwie pod Stiklestadem, pod koniec życia ogromnie złagodniał. Nigdy jednak nie zauważyła u niego

pokory, a przecież księża utrzymywali, że była to cnota niezbędna chrześcijaninowi. Jego żądza władzy też nie osłabła; w przeciwnym razie nie zależałoby mu tak ogromnie na odzyskaniu Norwegii. Chrześcijaństwo umocnił w kraju przed odjazdem, więc po coś wracał; król Kanut również był chrześcijaninem. Poza tym król Olaf nie wykazał nadmiernej gorliwości chrześcijańskiej, skoro wezwał pogan, aby mu pomagali odzyskać władzę. Mała różnica, że ich umieścił po lewej stronie podczas bitwy! I co to za święty, który wrócił do Norwegii niczym herszt zbójckiej bandy i wabił do siebie przeróżną hałastrę, obiecując jej dwory i majątności opornych.

Zaćmienie słońca po bitwie pod Stiklestadem, zdaniem Sygrydy, nie miało nic wspólnego z królem Olafem. Z lękiem myślała, że może to była zapowiedź końca świata. Księża bowiem na równi z innymi uczonymi twierdzili, że jeśli koniec świata nie nastąpił w tysiąc lat po urodzeniu Chrystusa, tedy przypadnie w tysięcznym roku licząc od Jego śmierci.

Sygryda rzadko dzieliła się z kimś tymi myślami, bo jeśli przeczyła świętości Olafa, ludzie dziwnie na nią popatrywali. Mruczano także, że ona bardziej niż ktokolwiek przyczyniła się do zgonu króla. Judziła Kalfa i swego brata Torego Hunda — powiadali ludzie zapominając o własnej zajadłości. Kalfa nie oskarżali, przychodzili doń z tą samą ufnością co dawniej. Szerzyła się bowiem pogłoska o jego wyprawie na graniczne szlaki przed bitwą, choć nikt nie słyszał o tym z ust Kalfa.

„Sygryda Storraada” — pomrukiwał ten i ów za jej plecami; w ten sposób przyrównywali ją do innej Sygrydy, która także powodowana dumą zawiniła śmierci innego Olafa.

Natomiast nikt jawnie nie okazywał jej wrogości, a gadaniną ludzką Sygryda się nie przejmowała; czekała tylko, aż znów zmienią zdanie, zależnie skąd wiatr powieje, a równocześnie z odrobiną pogardy myślała, że tym razem nie znajdzie się drugi Blotolf, zbyt dumny, aby przyjąć jej pomoc. W każdym razie nie myślała o tym odwiedzając chorych i ubogich w całej okolicy.

Anund odprowadził Sygrydę, gdyż sam podążał do Egge chcąc porozmawiać z księdzem Jonem; rozstali się na dziedzińcu.

Sygryda znalazła Kalfa w starej izbie gościnnej, siedział na poczesnym miejscu zapatrzony w próżnię. Nie zauważył jej, dopóki się nie odezwała.

Ostatniej zimy Kalf był osowiały i pił więcej niż poprzednio. Dawniej upijał się czasem, teraz jednak zdarzało się to coraz częściej, tego ranka wyraźnie jeszcze miał zaproszoną głowę. Sygryda westchnęła, po czym zawołała go po imieniu; spojrział na nią i jakby próbował skupić myśli.

— Jak tam chłopak? — spytał po chwili.

— Na pewno ozdrowieje.

— Lekі mu pomogły?

— Nie.

— A co?

— Nie wiem. Matka wzywała wszystkich znanych świętych, może który z nich pomógł.

— Pewno wzywała także króla Olafa — Kalf nie pytał, lecz po prostu stwierdzał coś, o czym dobrze wiedział. Kiedy Sygryda potwierdziła, wsparł się ciężko o poręcz siedziska. Sygryda jakby czekała, aż on się odezwie, Kalf jednak milczał. Po chwili zaczęła się bawić pękiem kluczy.

— Kalf, rozumu nie masz! — wybuchnęła nagle okrutnie rozgniewana. — Myślałby kto, że z rozmysłem się dręczysz, ciągle dopatrując się oznak świętości króla! Przecież jeśli żona Hruta z Steinkjeru wymieni Olafa pośród kilku innych świętych, to jeszcze nie przyda mu świętości.

— To był święty mąż — rzekł Kalf z naciskiem. — Bóg nam to okazał kolejnymi cudami.

— Zostaw to do rozstrzygnięcia biskupowi. Ja nie słyszałam, żeby on brał tę gadaninę poważnie.

— Jeszcze to zrobi!

— Posłuchaj księdza Jona, on zawsze powtarza, że dosyć ma dzień utrapienia swego — przekonywała Sygryda. — A nadto nie pojmuję, jak możesz po tym wszystkim, coś widział na własne oczy, wierzyć w świętość króla.

— To nie ma znaczenia, co on czynił przody — wybuchnął nagle Kalf. — Umarł jak święty, sam widziałem!

Sygyda milczała, Kalf zakrył twarz rękami.

— Zabiłem świętego męża — szeptał.

— Przecież nie ty go zabiłeś.

— Prowadziłem kmieci do zwycięstwa.

— Nie miałeś wyboru. Zrobiłeś, co mogłeś, by doprowadzić do ugody.

— Gdybym nie podburzał kmieci przed wyruszeniem do boju, nie doszłoby do walki.

— Miałeś powody po temu. Nikt się chyba nie spodziewał, że po tym, co zaszło, ty zdasz się na łaskę i niełaskę króla!

Kalf więcej się nie odezwał. Sygyda przyglądała mu się chwilę, po czym wyszła z izby. Nie pierwszy raz o tym mówili, od dawna powinna była się nauczyć, że przeczenie Kalfowi jest bezskuteczne.

Im głośniej mówiono o świętości króla Olafa, tym bardziej był przygnębiony. On, zawsze niezachwiany w wierze, teraz zaczynał wątpić. Ale odmiennie niż Olve, bo nie próbował rozstrzygać trudności, tylko pogrążał się coraz bardziej a bardziej.

Sygyda raz po raz usiłowała przywołać go do rozsądku. Wiedziała, że powinna mu dopomóc w otrząśnięciu się, bo z jej winy podczas bitwy pod Stiklestadem Kalf znalazł się po tej, a nie innej stronie. On na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Ale nigdy tego nie powiedział, nawet po pijanemu nie dał najmniejszym słówkiem do zrozumienia, że ją o to obwinia.

Sygyda wiedziała również, że powinna mu być wdzięczna za wielkoduszność, natomiast czuła doń tylko niechęć. Czemu nie wypowie się szczerze i uczciwym rozrachunkiem nie oczyści powietrza? I bez tego miała wobec niego poważne długi, toteż nieraz myślała, że gdyby był surowszy, ulżyłoby jej na duszy.

Aż dziw brał na wspomnienie ubiegłego lata — jakże wtedy była pewna, że wszystko między nimi ułoży się pomyślnie. Już nie pragnęła, aby Kalf był podobny do Olwego; wystarczyło, by pozostał sobą. Pragnęła jedynie okazać mu swoją przychyłność.

Trudno uwierzyć, jak sprawy mogą się pogmatwać wbrew najlepszym zamiarom. Odkąd Kalf zrobił się ponury, jej dobroć szła na marne, nawet jej nie zauważał. A pociecha i pomoc, które pragnęła mu nieść, były jako siewne ziarno rzucone w morze.

Nie zwracał uwagi, ani co mówiła, ani co robiła, powoli więc budziła się u niej niechęć i rozgoryczenie. A jego drażniąca wielkoduszność działała niczym sól na ranę. Jeśli hamowała wybuchy żalu i niechęci, to tylko z myślą o Anundzie i spowiedzi.

2

Na przedwiośniu deszcze padały na zmianę ze śniegiem, dni mijały, a na lepszą pogodę jakoś się nie zносиło. Ludzie nawet nie wyrażali zwykłej nadziei na jej poprawę. Po prostu kiwali głowami, jakby chcieli powiedzieć: a czegoż innego można się spodziewać.

Pod koniec miesiąca odstawiania jagniąt Kalf pojechał do Kaupangu do króla Svena. Tymczasem Sygryda rządziła w Egge przy wydatnej pomocy Haralda syna Guttorma Haraldssona. On to po zgonie ojca przejął zawiadywanie gospodarstwem, choć jeszcze nie zyskał takiej władzy, jaką miał Guttorm.

Sygryda zajmowała się również gorliwie Trondem i Sunniva; poświęcała im więcej czasu, niż dawniej zmarłym dzieciom. Kiedy Grjotgard i Tore dorośli, okazało się, że ich prawie nie znała, postanowiła tedy, iż to się więcej nie powtórzy. Znajdowała czas na pogawędkę i zabawę z dziećmi, a nawet jeśli była zajęta, nie odpędzała ich od siebie.

Trond syn Olwego liczył już dziesięć zim; jasnowłosy, bystry chłopaczek lubił wtrącać się do gospodarstwa. Porywczego usposobienia, brał się od razu do bitki, ale równie szybko złość mu mijała, toteż był ogólnie lubiany. Starzy ludzie, którzy znali Olwego w chłopięcych latach, twierdzili,

że Trond przypomina ojca. Sygryda jednak uważała, że podobieństwo to było mniej uderzające niż między Olvem a Grjotgardem.

Wolałaby natomiast, aby Sunniva mniej wdała się w swego rodzica. Patrząc na czarnooką dziewczuszkę, aż trudno było uwierzyć, że ludzie nie dostrzegają, do kogo rzeczywiście jest podobna.

Sunniva już umiała chodzić i nieustannie trzymała się spódnicy matki. Usta jej się nie zamykały, chociaż nikt we dworze nie rozumiał, co mówi, a jeśli ktoś udawał, że słucha jej gaworzenia, nagradzała go promiennym uśmiechem.

Szczególnie dużo uwagi poświęcała jej Helena córka Torberga, dawna nałożnica Grjotgarda. Wobec czego Sygryda powierzyła jej częściowo opiekę nad dzieckiem.

Dzięki temu sprawy między obu kobietami układały się lepiej, tym bardziej że Sygryda nie zmuszała Heleny do małżeństwa. Nawet gdy młodszy syn sąsiadów z Kvamu prosił o nią, Kalf i Sygryda odparli, iż ostatnie słowo do niej należy. Oboje co prawda doradzali, by zgodziła się na nieoczekiwane korzystne dla niej małżeństwo; Sygryda z uczuciem zawodu dowiedziała się potem o jej odmowie.

Na świętego Piotra wieczorem Kalf wrócił z Kaupangu; przywiózł dużo nowin.

Duński biskup Sigurd wyjechał z Norwegii. O świętości króla Olafa tyle mówiono, że należało podjąć jakieś postanowienie, a tego biskup Sigurd nie chciał wziąć na siebie. Wobec czego Einar Tambarskjelve wysłał do Opplandu gońców po biskupa Grimkjela, który tamże osiadł po ucieczce Olafa za granice Norwegii.

Królowa Alfiva nie była temu rada, lecz musiała się zgodzić, ponieważ bała się rozruchów.

— Teraz postanowią, czy król Olaf był święty — zakończył Kalf.

— Biskup Grimkjel wie najlepiej, znał króla doskonale — stwierdziła Sygryda z ulgą, przypominając sobie, że w Kaupangu po śmierci Olwego biskup powiedział, iż nie była obowiązana wierzyć w słuszność postępowania króla.

— Ciekawam, co w tym miał Einar Tambarskjelve? — zauważyła po chwili. Kalf wzruszył ramionami.

— Chce rozstrzygnięcia sprawy. Ludzie powiadają, że on mocno wierzy w świętość króla.

— Wedle mego mniemania Einarowi chodzi nie tylko o świętość — stwierdziła Sygryda.

— Co on na tym zyska, że króla uznają za świętego?

— Żaden z możliwych naczelników cieszących się względami króla Kanuta nie może równocześnie stwierdzić, iż bezwzględnie nie miał nic wspólnego ze śmiercią Olafa. Jeśli i to mu się uda, może wygrać obie strony, czyli Alfivę i kmieci, jakby suwał pionki na desce. I nietrudno sobie wyobrazić, że w końcu mimo wszystko zostanie jarlem.

— Może masz słuszość — zauważył Kalf głęboko zamysłony.

W ciągu najbliższych dni Kalf nadal był posepny. Zaczął wspominać, jak to przed bitwą pod Stiklestadem, kiedy wojska przeciwników już ustawiły się w szyku bojowym, król Olaf wołał, że jeśli Kalf dostanie się w jego ręce, będzie musiał pojechać z pielgrzymką do Rzymu, aby odpokutować za to, co uczynił swemu królowi. Wobec czego Kalf uznał za swój obowiązek odbyć nakazaną pąć, jeśli króla ogłoszą świętym. A tak był pewien swego, że zaczął przygotowania do drogi, równocześnie zaś jakby trochę poweselał.

Sygrydę natomiast coraz bardziej gniewało jego niezłomne przekonanie o świętości króla.

Pewnego wieczora Kalf mówiąc o swojej pielgrzymce nadmieniał, iż żałuje, że skald Sigvat znowu wyjechał z kraju; mógł udzielić dobrych rad, skoro sam nawiedził Rzym.

Według tego, co Sygrydzie powiedziano, Sigvat wrócił do Trondheimu po bitwie pod Stiklestadem, natomiast nie słyszała nic o jego ponownym wyjeździe. Spytała więc Kalfa o wieści.

Otóż Sigvat musiał wysłuchać niemało drwin, ponieważ nie brał udziału w bitwie. W końcu tak mu dokuczylu, że nie chciał pozostać dłużej w Norwegii. Podobno udał się do Szwecji do królowej Astridy.

— Co mu mówili? — spytała Sygryda w poczuciu winy.
— Żeby nie liczył, że ktokolwiek uwierzy, iż jadąc do Rzymu myślał przede wszystkim o zbawieniu duszy.
— A po cóż miałby jechać w przeciwnym razie?
— Ooo! Mógł przypuszczać, że dojdzie do walki między królem Olafem a jarlem Haakonem i umyślnie wolał trzymać się z dala.

— Oskarżali go o tchórzostwo?

— No, niezupełnie, ale Sigvat był także przyjacielem jarla Haakona. A zatem niektórzy powiadają, że nie chciał walczyć ani przeciwko królowi, ani przeciwko jarlowi; wolał czekać na uboczu i przyłączyć się potem do zwycięzcy. Jeśli istotnie zamierzał nie mieszać się do niczego nie tracąc równocześnie łaski króla — to lepiej wybrać nie mógł. Wydaje mi się jednak, że ostatecznie sam się oszukał...
— w głosie Kalfa zabrzmiała odrobina pogardy.

Sygryda czuła, że gniew w niej wzbiera, uderza do głowy. I nagle oburzenie na niesprawiedliwe sądy ludzkie obróciło się przeciwko Kalfowi. On, który niemal do obłędu ją doprowadzał lamentując nad swoją winą, wyleguje się teraz w łożu zachwycony sobą i pełen pogardy dla Sigvata! Zupełnie jakby usiłował ściągnąć go do poziomu własnej niedoli.

— Dziwna rzecz, czemu nie chce ujawnić, po co tam jeździł — ciągnął dalej Kalf.

— Jak możesz tak mówić? — Sygrydzie aż ręce drżały.
— Wiesz doskonale, że przyjechał tutaj, aby cię zabrać do króla Olafa.

— Ho, ho, zapalczywie bronisz Sigvata — roześmiał się Kalf. — Obawiam się jednak, że królowi dochował wierności, ale w słowach.

— Nieprawda! Sigvat dochował wierności królowi jak nikt. A czemu nie chciał zostać skaldem króla Svena? I miał istotne powody, aby jechać do Rzymu.

Kalf leżał opierając policzek na rękę, teraz nagle spojrzał wprost na Sygrydę.

— Co ty o tym wiesz? — spytał.

Sygryda tak gwałtownie zaczerpnęła powietrza, aż się zachłysnęła. Gniew wygaś niby płomień zalany wodą.

— Jestem pewna, że miał istotne powody. Inaczej by nie jechał — odparła sprytnie.

— A czemu bronisz go tak gorąco?

— Lubię Sigvata.

Kalf mrużąc oczy wpatrywał się w żonę, po chwili usiadł.

— Lubisz go... — zawahał się, po czym ciągnął dalej:

— Zastanawiam się, czy między tobą a Sigvatem nie zaszło coś więcej niżli się godzi.

Sygyda miała zamęt w głowie. „Jeśli Kalf zapyta wprost, musisz wyznać prawdę” — powiedział ksiądz Anund. Ale czy biedna mała Sunniva nie zasługuje na kłamstwo?

Kalf nie spuszczał z niej wzroku, w którym nieufność pojawiła się dopiero wobec jej wahania. Zupełnie jakby pojął istotną treść zadanego pytania dopiero na widok jej przerażonej twarzy i jąkania się w poszukiwaniu słów.

— Nie potrzebujesz mi odpowiadać — szepnęła. — Milczenie jest wystarczającą odpowiedzią.

Sygyda zamknęła oczy; nie śmiała na niego spojrzeć, wiedziała bowiem, co za chwilę usłyszy. Kalf spytał tak cicho, że ledwie rozróżniła słowa:

— Czy on... jest ojcem Sunnivy?

Nie otwierając oczu skinęła głową.

Kalf w milczeniu wstał i zaczął się odziewać.

Skoczyła i stanęła naprzeciw niego.

— Kalf, powiedz coś!

— Co chcesz, żebym powiedział? — Twarz jego skamieniała, oczy patrzyły martwo.

— Zelżyj mnie! Tylko nie stój tak...

— Czy to pomoże? — próbował się uśmiechnąć, lecz tylko skrzywił usta.

Stała przed nim bezradna. Pragnęła go pocieszyć, tak jak pociesza się ukarane dziecko. On jednak nie był dzieckiem, które z wdzięcznością przyjmie pociechę z karcącej ręki.

Wyciągnęła do niego ramiona, on natomiast stał bez ruchu i tylko patrzył. Opuściła ręce.

— Co zamierzasz uczynić? — spytała.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział. Po czym odwrócił się i przed wyjściem obrzucił Sunnivę poważnym spojrzeniem.

Kiedy drzwi zawarły się za nim, Sygrydę ogarnęła fala rozpacz. Gdyby chociaż się gniewał, gdyby ją uderzył, ukarał, jak na to zasłużyła! To by jej ulżyło, tak, to by jej przyniosło ulgę niczym przebaczenie po wyrzutach sumienia. On jednak nawet tego jej nie użyczył.

Chciała pobiec za Kalfem, błagać o przebaczenie. Ale niestety, to byłoby daremne.

Wślizgując się do łóża między dzieci, drżała tak mocno, aż szczękała zębami.

Nazajutrz spotkała Kalfa przy rannym posiłku, nie odezwał się do niej. Dopiero z ożywionej krzątaniny w ciągu dnia zmiarkowała, że pachółkowie gotują wszystko, co trzeba do długotrwałej wyprawy.

Koło południa pojechała do Steinkjeru, na rozmowę z księdzem Anundem, lecz nie zastała go, musiała wrócić z nie załatwioną sprawą.

Nie miała ochoty zwracać się z tym do księdza Jona; jemu nigdy nie spowiadała się ze swojej niewierności. Po południu jednak mimo wszystko udała się do niego.

— Najcięższą pokutą często bywa niedostateczna kara — rzekł zamyślony, wysłuchawszy Sygrydy do końca. — Tak samo bywa między Bogiem a ludźmi, wielokroć ciężej nam przyjąć Jego wybaczenie aniżeli karanie.

— Nie sądzę, aby Kalf mi wybaczył.

— Nie. Wcale tego nie miałem na myśli — zaznaczył ksiądz mocno zmieszany. — Myślałem natomiast, że niepotrzebnie sama siebie dręczyłaś tyle czasu. Co innego żałować za grzechy i prosić o łaskę niepopołnienia ich więcej. Natomiast niedobrze jest zadręczać się winą po uzyskaniu rozgrzeszenia w imię Jezusa i odbyciu pokuty. W takim razie bowiem uważamy siebie za sędziów lepszych od kapłana, albo co gorsza zaczynamy wątpić o Bogu. — Wobec milczenia Sygrydy ciągnął dalej: — Z tobą pogadam jeszcze, ale później. Teraz Kalf potrzebuje mnie bardziej niż ty.

O przebiegu rozmowy między Kalfem a księdzem Jonem Sygryda się nie dowiedziała.

Wieczorem Kalf upił się do nieprzytomności tak, że musiano go zanieść do łoża. I daleko mu było do trzeźwości, gdy następnego dnia wyruszał na daleką wyprawę nie zamieniwszy słowa z Sygryda ani nie zawiadamiając nikogo z domowników, dokąd się udaje.

3

Dni mijały, nic nowego nie zaszło. Sygryda nie wiedziała, czego się spodziewała, dziwiła się tylko, dlaczego nie nastąpił koniec świata dla wszystkiego i wszystkich, tak jak dla niej. Po prostu nie mogła uwierzyć, że co dnia jest ranek, południe i wieczór, że praca we dworze idzie zwykłą koleją, a ona sama bierze w niej udział, rozmawia z domownikami, czasem nawet śmieje się i żartuje. Nieustannie bowiem miała wrażenie obcości, jakby cząstka jej istoty stała obok i płakała.

Kto ujrzy swoje drugie "ja" — umiera — powiadali starzy. Sygryda natomiast była jakby właśnie owym drugim "ja" — czy to także wróżyło śmierć?

Jeśli była sama, pograżała się w czarnej rozpaczycy niczym w smolistej burzliwej nocy. Przede wszystkim myślała o Sunnivi; biedne, niewinne maleństwo, co się z nią stanie? Chwilami w największej tajemnicy pragnęła, aby Kalf nie powrócił, aby śmierć go spotkała tam, dokąd pojechał. Równocześnie zaś czuła potworny lęk przed karą boską, ponieważ tym życzeniem ponownie grzeszyła.

Wkrótce po odjeździe Kalfa udała się powtórnie do księdza Jona, on zaś w miarę możliwości usiłował jej pomóc.

Nie uczyniła nic złego wyznając Kalfowi prawdę — pocieszał ksiądz. Może nawet będzie to z korzyścią dla nich obojga, że Kalf odbywa zamierzoną pielgrzymkę. A w takim wypadku niechybnie jej wybaczy, skoro uzyska odpuszczenie własnych grzechów.

Sygyda nie dowierzała temu, tak jak nie wierzyła w pielgrzymkę do Rzymu. A jeśli Kalfjej wybaczy, cóż to pomoże Sunnivi?

Ksiądz Jon tym razem także kazał jej oddać wszystko w ręce Boga. Jednakże nic zdołał jej pocieszyć. Jakże nie rozpaczać na myśl o tym, co stanie się po powrocie Kalfa do dworu? Łatwo księdzu mówić, że wystarczy zawierzyć Bogu!

Ilekróć spojrzała na Sunnivę, palące łzy napływały jej do oczu. Często też wśród nawału zajęć, jeśli sądziła, że nikt na nią nie patrzy, brała dziecko w ramiona i mocno tuliła do piersi.

Wiosna była chłodna i dżdżysta. Pewnego jaśniejszego popołudnia, na krótko przed świętem męczenników z Selje, Sygyda idąc zbierać świerkowe igliwie do barwienia wełny zabrała Sunnivę do lasu.

Deszcz ustał niedawno. Trzymając się za ręce szły po miękkim, wilgotnym mchu, który zielonymi bujnymi kępami porastał kamienie i głązy; mokre gałęzie świerków ciężko zwisały, wiatr strącał rześiste krople z liściastych drzew. Trawa była srebrzystobiała od rosy, a kwiaty białe, błękitne i żółte odcinały się ostro na tle miękkiej ciemnej zieleni.

Pełzacz stukał w pobliżu; Sygyda zatrzymała się i wypatrywała ptaszka. W końcu dostrzegła go i pokazała Sunnivi. Był nieduży, czarny z białym i czerwoną plamką na łebku. Sunniva aż piszczała z zachwytu radośnie podskakując.

Usłyszały kroki. Sygyda obejrzała się i ze zdumieniem zobaczyła Helenę córkę Torberga. Co dziewczynę sprowadzało w tę stronę? Sygydzie błysnęła myśl, że szła na umówione spotkanie.

Helena natomiast nie była zdziwiona widokiem Sygydy. Przystanęła, zagadała do Sunnivy, po czym szła z nimi dalej.

— Kiedy Kalf wróci? — spytała nagle.

Sygyda wzdrygnęła się, pytanie było nieoczekiwane; co to mogło obchodzić Helenę?

— Nie wiem — odparła nieco opryskliwie.

— Zabolało go porządnie.

Sygyda zatrzymała się i spojrzała na Helenę.

— O czym ty mówisz?

— O Sunnive — stwierdziła Helena tym samym spokojnym głosem.

Sygrydzie dech zaparło.

— Boisz się, że wszystkim rozgłoszę? — spytała Helena trochę wyzywająco.

Sygryda pochyliła głowę, obejrzała rąbek spódnicy; nigdy nie przypuszczała, że poczuje się taka mała w obliczu którejkolwiek ze swoich służebnych. Obecnie toczyła z sobą ciężką walkę, nim zdołała poniżyć się ostatecznie, błagając Helenę o milczenie. Zagryzła wargi i podniosła wzrok. Helena uważnie śledziła każdy jej ruch, Sygryda nagle zdała sobie sprawę, że nie znała tej młodej kobiety o lekko pogardliwym uśmiechu. Helena zawsze była niezmiernie łagodna i cicha; tylko dwa razy się uniosła. A jednak w tym uśmiechu było coś wymuszonego.

— Czy mogłabyś dochować tajemnicy ze względu na nią? — spytała ostrożnie Sygryda, ruchem głowy wskazując Sunnive, która usiadła na pniaku i bawiła się grzybem.

— To nic nie pomoże ani tobie, ani jej, kiedy Kalf wróci — odparła Helena nieubłagane.

— Tak. Ale gdyby nie powrócił... — Sygryda ciężko westchnęła.

Helena nie odpowiedziała od razu, dopiero po chwili dodała:

— Jeśli zamilczę, uczynię to ze względu na Sunnive, słusznie powiedziałaś.

Sygryda znowu westchnęła, tym razem w poczuciu ulgi. Odkryła słabą stronę Heleny i postanowiła niezwłocznie korzystać ze sposobności.

— Jak się o tym dowiedziałaś? — Zadając to pytanie miała wrażenie, że za nią mówi ktoś inny. Jedna Sygryda myślała, rozmawiała, rozważała, jak najłatwiej pozyskać Helenę, natomiast druga złożyła broń. Widziała tamtą zalaną łzami, leżącą w trawie, niemal czuła wilgotne krople rosy na twarzy.

— Zdawało mi się, że widzę cię wymykającą się z lamusa o świcie, kiedy skald Sigvat gościł w Egge. Po dłuższej chwili zobaczyłam i Sigvata.

Sygyda milczała.

— W pierwszych tygodniach po śmierci Grjotgarda nie sypiałam zbyt dobrze. Często wstawałam przed czasem i wychodziłam na dwór.

— Czy powiedziałaś komu, coś widziała?

— Nie. Pokłóciliście się z Sigvatem, więc trudno mi było uwierzyć własnym oczom.

— A kiedy się upewniłaś?

— Na widok dziecka.

— Później napomknęłaś o tym komu?

Helena potrząsnęła głową. Wyraz wyższości malujący się na jej licu zniknął, ociągała się z odpowiedzią.

— Nie mogłam. Ze względu na Sunnivę. Okrutnie ją polubiłam, a po sobie wiem, co znaczy być... — Helena z trudnością przełknęła ślinę, lecz dokończyła — ...bękartem.

Sygyda odwróciła głowę. Jakże zabołały ją słowa prawdy: Sunniva była bękartem. Spojrzała na dziecko, które zaczęło popłakiwać i ciągnęło matkę za spódnice.

— Biedna mała — szepnęła pochylając się i podnosząc córkę. Sunniva oparła głowę na ramieniu matki, jakby szukała schronienia, przestała też płakać. Helena milczała. A kiedy Sygyda znowu na nią spojrzała — miała wrażenie, że pierwszy raz widzi tę dziewczynę wyraźnie.

Po zgonie Grjotgarda usiłowała okazywać życzliwość Helenie, robiła to jednak tylko przez pamięć na syna. O samą Helenę mało się troszczyła, dziewczyna także jakby nie miała ochoty dzielić się myślami z Sygydą, odzywała się do niej tylko, o ile to było konieczne.

Obecna rozmowa rzuciła błysk światła na Helenę, jakiej Sygyda ani nie знаła, ani znać nie pragnęła. Sięgnęła więc teraz myślą w przeszłość do najmłodszych lat Heleny.

Ojca swego, szkutnika Torberga Skavhogga, Helena nie znała, zmarł, nim przyszła na świat. Na matkę trudno było liczyć, troszczyła się dużo więcej o mężczyznę niż o pracę. Po bytności Torberga w Egge stała się wprost niemożliwa, a kiedy w dwa lata od urodzenia Heleny zmarła w połogu, ani ona sama, ani nikt z otoczenia nie wiedział, kto był ojcem

noworodka, toteż gdy maleństwo poszło za matką, nikt po nim nie rozpaczał.

Helena zapisała się w pamięci Sygrydy przede wszystkim jako cicha, spokojna, zalękniona dziewczyna, wdzięczna za dobre słowo. Nagle zapominając na chwilę o własnych troskach zapragnęła poznać ją bliżej.

— Czy bardzo bolałaś, że rodzice twoi nie byli zaślubieni? — spytała ostrożnie. Helena spojrzała na nią podejrzliwie. Spozobegła jednak, że troska Sygrydy jest szczerą, odetchnęła, dotychczasowe wewnętrzne napięcie ustąpiło.

— Wiesz, że nieraz słyszałam, jak mnie zwa — rzekła odwracając wzrok. Wyglądała na tak nieszczęśliwą, że Sygryda miała ochotę przygarnąć ją, lecz tego zaniechała. Po chwili zaś Helena podjęła dalej: — Moje usiłowania, by dowieść, że inna niż matka, poszły na marne. Kobiety ciągle zaznaczały, że będę jak ona. A jeśli mężczyźni okazywali mi przychylność, odkąd dorosłam, dobrze pojmowałam, czego chcą. Tylko ksiądz Anund mi tłumaczył, że mogę odkupić grzechy rodziców, jeśli wytrwam w czystym życiu.

— Jeżeli istotnie tak myślałaś, to nie pojmuję, dlaczego uległaś Grojtgardowi — wyrwało się Sygrydzie.

Helena od razu się najeżyła.

— A dlaczego ty zapomniałaś o swojej czci, kiedy skald Sigvat zbliżył się do ciebie? — spytała szorstko.

Sygryda nie mogła na to odpowiedzieć; już nieraz rozważała, co ją skłoniło do szaleńczego kroku. Nazwała to miłością, ale ksiądz Anund sprostował jej sąd, oświadczył, że to cielesne pożądanie. Może miał słuszość w pewnej mierze, choć Sygryda trwała w przekonaniu, że między nią a Sigvatem było coś więcej niż żądza.

— Nie wiem — wyznała szczerze.

Helena natychmiast przestała patrzeć wyzywająco.

— Choć okrutnie miłowałam Grjotgarda, płakałam, gdy stwierdziła, że oczekuję jego dziecka. Nie mogłam znieść myśli, że wydam na świat istotę mnie podobną.

Sygryda odwróciła oczy, bo na twarzy Heleny malowało się tyle szczeroci, a równocześnie bólu, że nachalstwem było patrzeć na nią.

Czy wtedy przyrzekł cię zaślubić? — spytała tylko.

— Nie. Obiecał tylko, że sam nada imię dziecku. A jeśli to będzie syn, uzna go i przysposobi.

— Czy sądził, że przystaniemy na to oboje z Kalfem?

— Twierdził, że skoro zobaczysz swego wnuka — zmiekniesz. A jeśli ty będziesz po naszej stronie, potrafisz zrobić z Kalfem, co zechcesz.

Sygyda zawstydziała się; pamiętała przecież, że prawie nie żałowała zmarłego dziecka. Jeśli teraz nadal odwracała oczy, to ze względu na siebie, a nie na Helenę.

— Ksiądz Anund nakłonił Grjotgarda do postanowienia, że mnie zaślubi — opowiadała dalej Helena. — Po śmierci dziecka próbował go namówić do odesłania mnie z Egge, powiadał, że śmierć chłopca była karą boską za życie w grzechu. Grjotgard odmówił. Wtedy ksiądz Anund orzekł, że istnieje tylko jedno wyjście, aby uniknąć gniewu Bożego, czyli zawarcie prawdziwego małżeństwa.

Sygyda milczała. Uniosła się strasznym gniewem, gdy Grjotgard oznajmił, że chce się żenić z Heleną. Zerknęła na Sunnive — czy nadejdzie dzień, że jakaś matka równie gwałtownie przeciwstawi się poślubieniu jej przez syna?

Prawa ręka zaczynała ją boleć od trzymania uśpionej Sunnivy, spróbowała przerzucić ciężar na lewe ramię.

— Cięży ci? — spytała Helena.

Sygyda skinęła głową, Helena wyciągnęła rękę.

— Daj, wezmę ją.

Dziecko mrucało lekko, kiedy je sobie podawały, lecz szybko się uspokoiło. Helena spojrzała na małą i na wargach jej pojawił się przelotny nieśmiały uśmiech. A kiedy zwróciła się do Sygydy, na twarzy jej zachował się jeszcze cień tego uśmiechu.

— Jeśli postanowiłam powiedzieć ci, że wiem, kto jest ojcem, uczyniłam to ze względu na nią. Chciałam cię zmusić do obiecania, że jeśli zostanie wysłana z domu, ja z nią wyjadę. Chodem niewiele warta, ale ją pokochałam — ostatnie słowa Helena wymówiła z trudem.

Postać jej tchnęła dziwną bezradnością, Sygyda nagle pożałowała, czemu nie zajmowała się troskliwiej Heleną, gdy

ta dorastała. Stłumiła to uczucie. Nie mogła przecież troszczyć się wyjątkowo o każdego dzieciaka we dworze.

— To ci przyrzekam — powiedziała tylko.

— Jeśli wyjdzie na jaw, że Kalf nie jest jej ojcem — to na pewno nie przeze mnie — rzekła poważnie Helena. A kiedy Sygryda wyciągnęła do niej rękę, zamieniły uścisk dłoni.

— Jak doszłaś do tego, że Kalf już wie? — spytała trochę później Sygryda.

— Wieczorem przed jego odjazdem nosiłam piwo mężczyznom do świetlicy i wtedy z jego słów zmiarkowałam, co się stało.

— A cóż on powiedział?

— Mniejsza z tym — odparła strapiona Helena.

— Czy ktoś prócz ciebie też słyszał?

— Wątpię. A jeśli nawet, nikomu nie przysłoby do głowy, że myślał o tobie.

Sygryda mogła sobie wyobrazić, co Kalf powiedział, mimo to doznała ulgi. Podnosząc wzrok z leśnego poszycia ku wierzchołkom drzew, odezwała się niespodzianie.

— Niewiele mchu dziś nazbieram!

Bez słowa obie zawróciły w stronę dworu. Sygryda szła z podniesioną głową, odniosła wszak pewnego rodzaju zwycięstwo, a równocześnie zyskała sojusznika — ta świadomość dodawała otuchy.

Pełzacz znowu pukał w gąszczu. Oto wzór do naśladowania: trzeba ucześcić się co sił i nie dawać za wygraną, choćby droga była stroma i kamienista.

— Niechaj Bóg cię błogosławi, Heleno! — powiedziała nagle Sygryda.

Helena obrzuciła ją zdumionym, lecz radosnym wzrokiem. Sygryda zaś poczuła ciepło w sercu.

Jednakże nie wyzbyła się cierpienia, tkwiło w niej ciężkie, beznadziejne; nurtowało jej duszę niby prąd głębinowy.

Ostatnio ludzie coraz częściej mówili o przyjeździe biskupa Grimkjela do Trondheimu. Powiadano, że jest u Einara Tambarskjelve; wkrótce zapadnie orzeczenie o świętości króla Olafa.

Wielu ciągnęło ku południu, szczególnie zaś ci, którzy mogli świadczyć, iż cuda miały miejsce, gdy wzywali króla z prośbą o pomoc i wstawiennictwo. Znaczna większość uważała za rzecz oczywistą, iż będzie uznany za świętego.

Sygyrda własnym uszom wierzyć nie chciała słuchając, co mówią ci sami ludzie, którzy przed niespełna rokiem nastawiali na życie króla. Niektórzy — bardzo nieliczni — wydawali się lekko zaniepokojeni. Większość natomiast była pozornie pewna swego, bo czyż nie opowiadali się z zapałem za kanonizacją Olafa — tak to nazywali księcia — czyż nie dochowywali wierności chrześcijaństwu z całą pokorą, na jaką ich było stać? Uważali się za stronników króla, jakby co najmniej walczyli pod jego znakami pod Stiklestadem.

Sygyrda nie zastanawiała się szczególnie nad świętością króla. Była pewna, że biskup Grimkjel wie lepiej. Inna sprawa zaprzętała jej myśli.

Rozmowa z Heleną, myśl o jej związku z Grjotgardem przywiodła jej na pamięć wyrazistsze niż kiedykolwiek wspomnienie własnego pożycia z Olvem.

Od jego zgonu upłynęło już ponad dziesięć lat. Maerin w życiu Sygyrdy stanowiło niejako tamę na rzece — od tego punktu myśl cofała się lub wybiegała w przód po dzień dzisiejszy. Każde wydarzenie sprzed Maerinu przypominało dolinę po drugiej stronie gór, słoneczną krainę zapamiętaną ze snu. Później żyła już tylko w cieniu góry.

Jeżeli teraz myślała o Olvem, mogła go sobie uprzytomnić z dużym trudem i to ją nękało. Próbowwała odnaleźć go w rysach Tronda, usiłowała zobaczyć go na poczesnym miejscu lub przechodzącego dziedzińcem — a on jakby przed nią uciekał.

Myślała o nim bezustannie; rozważała jego słowa i postępkę, w takich chwilach potrafiła nawet całkowicie zapomnieć o własnych smutkach i trudnościach. Natomiast to, że nie pamiętała go dokładnie, dręczyło ją niczym zmora; musiała go odnaleźć.

Pewnego ranka była pewna, że Olve ją nawiedził.

Usiadła, przetarła oczy, nie było go, choć przysięgłaby, że siedział na łożu. Miał na sobie płaszcz z kapuzą, siedział

zwrócony do niej bokiem, więc nie widziała całego oblicza. Od pierwszej jednak chwili nie miała najmniejszej wątpliwości, kto to.

Prawił o dawnych czasach, wygłaszał sagi o bogach i bohaterach, jak często w przeszłości. Sygryda patrzyła na niego ze wzrastającym poczuciem szczęścia, wyciągnęła rękę, aby go dotknąć... Wtedy zniknął.

Nagle krzyknęła. Bo przypomniała sobie, że nim odszedł, odwrócił głowę i spojrział na nią. Brakowało mu jednego oka.

Odyn! On tak samo przyszedł do Olafa Tryggvassona, siedział na łożu i wygłaszał sagi. Przecież wiedziała, że potrafił odmieniać postać, a także odwozić ludzi od Boga, aby wrócili do pogaństwa.

Przeżegnała się szepcząc Pater noster. Mimo wszystko nie czuła się pewna, spod oka zerkała wokoło.

Tak jak przedtem usiłowała przypomnieć sobie rysy Olwego, tak obecnie starała się odpędzić wizerunek na wpół drwiącego uśmiechu i pustego oczodołu. Obraz ten jednak prześladował ją zarówno we śnie, jak i na jawie; od czasu do czasu ku własnemu przerażeniu nawet pragnęła, żeby wrócił raz jeszcze. Wiedziała, że nie powinna tego chcieć, ale z upływem dni pragnienie urastało do granic przemożnej żądzy.

Za dnia było lepiej, wystarczało się przeżegnać, wymówić imię Jezus — i już pomagało. Wieczorem natomiast, leżąc w łożu, płonęła chęcią kapitulacji. Zaczynała też wierzyć, że on istotnie chce przyjść do niej, byle wyrzekła się chrześcijańskiej wiary.

Pewnej nocy powrócił; sama nie wiedziała, czy widzi go przez sen czy naprawdę. Ale miała uczucie, że każde włókienko jej ciała drży w napięciu z tęsknoty ogromnej, wprost przerastającej wszelkie przypuszczenia.

On był Olvem ze wszystkimi jego cechami, a równocześnie Odynem. Ona zaś była **Sygryda**, ale jednocześnie Jord i Frigg; Jord — uśpioną ziemią, której wiosna jeszcze nie obudziła do pełni życia, i Frigg — ziemią rozbudzoną, płodną, gorącą.

Noc ta całkowicie pozbawiła ją sił. Nawet za dnia nie mogła się zdobyć na uczynienie znaku krzyża dla odegnania widzenia. I jeśli dotychczas lękała się kary Bożej, teraz nic sobie z niej nie robiła.

Prawdziwy strach ogarnął Sygrydę dopiero w kościele podczas mszy na świętego Jakuba.

Uklękła właśnie, bo ksiądz Jon zaintonował: „*Sanctus, Sanctus, Sanctus, Dominus Deus Sabaoth* W owej chwili wrota niebieskie otwierają się, albowiem rozpoczyna się najświętsza część mszy, więc Sygryda podniosła wzrok na dar Olwego, na obraz świętego Jana zawieszony nad ołtarzem. Oczom jej natomiast ukazała się twarz Olwego; z przekorną pewnością siebie uśmiechał się do niej jednooki Odyn.

Z trudem zapanowała nad sobą, by nie krzyknąć. A kiedy pochyliła się nisko, płacz nią wstrząsał. Nie podniosła się do końca mszy, a później klęczała jeszcze chwilę; musiała odzyskać spokój, otrzeć oczy, nim spotka ludzi.

Nagle usłyszała, że ktoś zatrzymał się przed nią, mimo to nie podniosła oczu.

Był to ksiądz Anund, który asystował przy nabożeństwie. Na widok jej twarzy skapanej we łzach uniósł rękę i kreśląc znak krzyża powiedział:

— *Benedicat te omnipotens Deus!*

Sygryda zerwała się przerażona własną gwałtownością.

— Nie!

Ksiądz Anund usiadł na miejscu Kalfa.

— Czy mogę ci pomóc? — spytał. Sygryda również usiadła, ale z twarzą ukrytą w dłoniach, pochylona do przodu.

— Kalf nagle wyjechał z domu — zaczął Anund.

Odgadł oczywiście przyczynę owej pospiesznej ucieczki i przypuszczał, że to jest powodem jej rozpacz. Zerknęła na niego poprzez łzy. Miał taki wyraz twarzy, jakby czekał. Wiedziała, że jeśli opowie mu wszystko, Anund odpędzi Odyna. Nie była jednak pewna, czy może i chce mu o tym powiedzieć; jakże stracić Olwego, skoro do niej wrócił.

— Tak — rzekła ocierając oczy. — Kalf pospiesznie opuścił Egge.

Nagle ogarnęło ją przerażenie wobec piekielnych mąk; miała wrażenie, że znowu widzi księdza Osvalda stojącego u wejścia do prezbiterium, jak wówczas kiedy na poświęceniu kościoła z płonącymi oczami mówił o przerażających mękach, jakie cierpieć będą potępieni.

Nigdy dotychczas nie czuła podobnego lęku przed piekłem. Bała się ognia czyścowego i kary doczesnej, ale ni razu nie nawiedziła jej myśl, że może być potępiona na wieki. Nigdy nie grzeszyła z rozmysłem, zawsze była pewna odzyskania łaski, byle miała odwagę zwrócić się do kapłana.

Obecnie natomiast chęć zbuntowania się przeciwko Bogu tkwiła w niej niczym szatan. Bóg zabrał Olwego, zostawił ją samą jako wrak na burzliwym morzu. A teraz, kiedy Olve wrócił, chciał ją zmusić, aby się go wyrzekła powtórnie! Ona nie chciała, choćby sam czart nawiedzał ją pod postacią Olwego!

Ksiądz Anund przyglądał się Sygrydzie bez słowa. Nie wiedziała, że jej twarz odzwierciedla zamęt uczuć, ksiądz to zrozumiał, zanim się odezwał:

— Ciebie nęka coś poważnego. Opowiedz mi, o co chodzi, lepiej zaraz niż później!

— Nie — odparła wstając. Anund podniósł się również, razem wyszli z kościoła.

Ale kiedy rozchodzili się każde w swoją stronę, na czole księdza znaczyły się głębokie bruzdy.

W najbliższych dniach ksiądz Anund częściej zaglądał do Egge. Sygryda unikała go pilnie, nawet przestała chodzić co dzień na mszę.

Ksiądz zauważył także, że Sygryda wygląda niczym lunaticzka. Jeśli odezwał się do niej niespodziewanie, patrzyła na niego oczami pozbawionymi wyrazu, jakby musiała oprzytomnieć, nim mu odpowie.

Czwartego dnia nareszcie zastał ją samą. Siedziała przy krosnach w starej izbie gościnnej, oczy miała półprzy-
mknięte. Nie zwróciła na niego uwagi, natomiast wargi i ręce jej poruszały się, jakby z kimś prowadziła rozmowę.

Anund wzdrygnał się z przerażenia, może gadała z trollem; zdjął miecz ze ściany.

— W imię Jezusa! — zawołał wyciągając nad nią rękę.

Sygyda zerwała się z krzykiem:

— Niech cię diabli porwą, Anundzie!

Bez zastanowienia przyskoczył do niej i wymierzył siarczysty policzek. Po czym stanął bez ruchu wodząc oczami od jej zaczerwienionego policzka do swojej dłoni i z powrotem.

— Chyba czary kryły się w twoich słowach — powiedział.

Sygyda, ciężko dysząc, chwilę siedziała jak skamieniała. Kiedy w końcu odezwała się, w głosie jej brzmiała pogroźka, choć oczy trzymała spuszczone.

— Zostaw mnie w spokoju! Czy sądzisz, że nie zauważyła, jak włóczył się za mną wszędzie? — A potem spoglądając na niego, z przykrym śmiechem dodała: — Mógłby kto pomyśleć, że masz co innego na myśli, a nie kapłańską powinność!

Ksiądz nie odpowiedział. Przeszedł obok Sygydy, podniósł miecz, ale zanim go powiesił, długo oglądał, czy nie wyszczerbiony.

— Jużem raz powiedział, że nie dam ci spokoju. Jeśli dobrze pamiętam — w tej samej izbie. Rzekłem wtedy, że czynię to ze względu na Olwego. Przed zgonem ostatnie wyznanie skierował do mnie, a równocześnie ciebie i dzieci polecił Bogu. A zatem czuję, że na mnie złożył odpowiedzialność za was.

— Olve... — zaczęła Sygyda i wybuchnęła konwulsyjnym śmiechem.

— Można by sądzić, że szatan cię opętał.

W tejsze chwili ktoś wszedł do izby, oboje obejrzeni się równocześnie. Była to Ragnhilda, dworska szafarka. Przyszła spytać Sygydę, czy do wieczery podać zwykłe piwo czy też wyborowe, jako że wypadał dzień świętej Marty.

— A przed paru dniami było święto Marii Magdaleny... — zauważyła Sygyda nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Czy tak będzie co tygodnia? Pewno ksiądz Jon ci przypomina te wszystkie świąteczne dni?

Ragnhilda potwierdziła i wielce zawiedziona opuściła izbę.

— Chyba nie jest tak źle, abyś mi nie mogła wyznać, o co chodzi — rzekł Anund po wyjściu Ragnhildy, nie spuszczać Sygrydy z oka.

— Nie mam nic do powiedzenia. Nie uczyniłam nic złego.

— Jeśli ktoś odwraca się od Boga, tedy jest zgubiony, choćby żadnego grzechu nie popełnił.

Sygryda milczała.

— Czy jest ci dobrze, kiedy oddalasz się od Boga?

— Z oczu księdza wзираła powaga.

— Jakże możemy być szczęśliwi, jeśli wy kapłani potraficie do obłądu doprowadzić człowieka straszeniem mękami piekielnymi? — spytała.

— Piekło i sąd — to sprawy poważne. Ale gdyby tylko strach przed wiekuiłą męką trzymał nas przy Bogu, marne byłoby nasze chrześcijaństwo. Największym szczęściem w życiu dla prawdziwego chrześcijanina jest pełnić wolę Boga, choćby to go zawiodło do cierpienia i śmierci. A za wiarę swoją cierpi z radością. Nieraz przychodziło mi do głowy, że świętemu nawet piekielne męki wydałyby się radością, gdyby wiedział, że cierpi zgodnie z wolą Bożą. Natomiast dla człowieka nienawidzącego Boga piekłem byłoby wielbienie Go po wsze czasy w królestwie niebieskim. Im bliżej jesteśmy Boga, tym łatwiej naginamy nasza wolę do Jego woli, tym łatwiej znajdujemy ów pokój przyrzeczony nam przez Chrystusa, pokój, jakiego świat nie daje, a którego zmącić nie zdoła ani nieszczęście, ani ból.

Sygryda milczała. Myślała o ubiegłym lecie, o nocy po śmierci króla Olafa; wówczas to miała wrażenie, że Olve nie lękał się ognia czyścowego, bo pragnął pokuty i oczyszczenia. Dlatego łatwiej pojmowała teraz myśl Anunda.

Jednakże wewnętrzne wzburzenie nie przycichało. Dlaczego pokój Boży miałyby być jedynym? Sięgając myślą w przeszłość stwierdzała raczej, że w duszy zaznawała więcej

spokoju, zanim przyjęła chrzest. Nagle przed oczami jej stanęły przerażające oblicza bóstw zapamiętane z dzieciństwa, zadrżała. A mimo wszystko zaznała spokoju, i nikt nie mógł temu zaprzeczyć — spokoju w miłości do Olwego.

Spokój tchnący ciepłem i życiem — jako ziemia; spokój odradzający się ciągle w tętniącej krwi, tęsknota porywająca niczym wirujące odmęty, a potem znowu cisza i wewnętrzne szczęście stanowiące jądro życia. A jeśli ten spokój nie był wiecznotrwały, nie umniejszało to jego wartości, bo jako jesienny owoc krył w sobie zarodek nowej wiosny, nowej tęsknicy.

Anund tego właśnie chciał ją pozbawić w imię Boga; teraz to stwierdziła. Chciał ją rozłączyć z ziemią, z miłością Gerdy do Freja. Miała uczucie, jakby ksiądz żądał jej serdecznej krwi!

A co daje w zamian?

On to nazywał pokojem Bożym. Ale ów ofiarowany przez niego spokój wydawał się Sygrydzie martwy, zimny jak spokój morza skutego lodem i równie samotny. Spojrzała na Anunda. Tego mu nikt nie wytłumaczy; on nie zrozumie. Sam z pogardą odwrócił się od ziemskiego szczęścia, miłości, ciepła, aby służyć Bogu. A i to było zbędne. Przecież istnieli żonaci księża.

— Czemu nie ożeniłeś się, Anundzie? — spytała nagle. Księdzu aż dech zaparło, ale się opanował.

— Moim zdaniem w stanie wolnym lepiej mogę służyć powierzonym mi wiernym.

— Ksiądz z Maerinu ma żonę. Czy uważasz, że gorzej pełni swoje obowiązki niż ty?

— Nic ma przepisów stanowiących, iż księżom nie wolno się żenić. Ale sądy mogę wydawać jedynie o sobie.

— Nigdy nie miałeś chęci pojęcia żony? — Sygryda nie zamierzała się poddać.

— Ta sprawa obchodzi tylko mnie — odparł ksiądz oschle. Najwyraźniej nie czuł się dobrze, unikał jej wzroku.

Sygryda tryumfowała. Raz nareszcie przyłapała księdza! Teraz powetuje sobie wszystkie razy, kiedy klęczała przed nim, w pokorze i z lękiem słuchając napomnień! Kiedy

spowiadała się z tego, co zaszło między nią a Sigvatem, z pogardą powiedział: cielesna pożądliwość.

— Nigdy nie uległeś cielesnej pożądliwości, Anundzie? — głos Sygrydy brzmiał tryumfująco.

Ksiądz podniósł ramiona, jakby ruchem obrony, ale natychmiast je opuścił i spokojnym głosem odparł:

— Gdyby aureola świętości była nieodzownym warunkiem kapłaństwa, mielibyśmy wiele pustych kościołów. My księża podobnie jak inni możemy tylko starać się ze wszystkich sił przestrzegać boskich przykazań. Jeśli grzeszymy, dla nas — jak i dla wszystkich — istnieje spowiedź, napomnienie, pokuta i wybaczenie Boże.

Sygryda spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Ty chodzisz do spowiedzi? — spytała.

Po chwili opamiętała się, przecież o tym wiedziała. Ksiądz Jon opowiadał, że sam Ojciec Święty w Rzymie chodzi do spowiedzi. Jednakże w jej oczach Anund wyrastał ponad grzech, niby lodowata, śniegiem pokryta góra. Świadomość, że jest zwykłym ułomnym człowiekiem, w jej pojęciu przydała nowego żaru Bożej miłości. Zupełnie jakby jej własna tęsknota, przytłoczona ku ziemi, nagle wzniosła się ku niebiosom w poczuciu, że spokój, o którym on mówił, nie jest ani zimnem, ani pustkowiem. On znał żar miłości — teraz to pojęła — a jeśli wyrzekł się jej dobrowolnie, to dlatego, że znalazł coś lepszego.

„Miłość, której człowiek nie pojmie, spokój, jakiego świat nie dawa” — powiedział niegdyś Olve; niekiedy wyczuwała ten spokój; w jej wzburzonym umyśle jakby nastawała chwila ciszy. Może jednak dostrzegała go, może owa cisza stanowiła wrota do nowego świata?

Gdzieś daleko w Bizancjum był kościół, w którym barwy od ciemnych i smutnych w dole przy ziemi przechodziły w złocisty blask wysoko nad dachem sięgającym prawie samego nieba; a kościół ten zwano świątynią Mądrości. A jednak Olve ujrzał złocisty blask nieba nawet w maleńkim kościółku w Steinkjerze. „Miłość Boga dostrzegam wszędzie jako światłość” — powiedział.

*

Olve był uosobieniem życia i ciepła, a zatem miłość, która jemu przypadła do serca, nie mogła być zimna. W Sygrydzie również zapłonęła wtedy iskra, ale zgasła wraz z nim. Taką miłość Olve chciał z nią dzielić, gdy wykladał swoje myśli w steinkjerskim kościółku.

Sygryda jakby nagle zbudziła się ze snu. Taką miłość mogła dzielić z nim nadal, choć on był w niebie, a ona na ziemi. A Odyn...

Zwróciła się do Anunda. Siedział bez ruchu, przegięty do tyłu, głowę oparł o ścianę. Oczy miał zamknięte, ręce mocno zaciskał.

— Czy każda ziemską miłość jest grzechem? — spytała.

Zanim ksiądz otworzył oczy, musiała powtórzyć pytanie i jeszcze chwila minęła, nim odpowiedział.

— Chrystus pobłogosławił małżeństwu. Powiedział o dwojgu, że mają stanowić jedno ciało.

— A jeśli małżeństwo daje tylko nieszczęście...

— Na jakiej podstawie sądzisz, Sygrydo, że mamy prawo do szczęścia doczesnego? Jeśli szukasz szczęścia jako należnego z prawa, zamieni się ono w nieugaszone pragnienie, w bicz gnający cię ku zagładzie. Jeśli natomiast przyjmować je będziesz z pokorną wdzięcznością jako Boży dar, każda kruszyna szczęścia przeobrazi się w skarb.

Sygryda zastanawiała się dłuższą chwilę, po czym wstała:

— Jeśli zechcesz pójść ze mną do kościoła, wypowiadam się.

— Tak, Odyn jest zarówno niebezpieczny, jak podstępny. Bogu najwyższemu chwała, że wyrwałaś się z jego szponów! — rzekł ksiądz, kiedy Sygryda wyznała wszystko, niczego nie ukrywając ze swoich myśli i uczuć.

Anund mówiąc siedział zwrócony bokiem, widziała, jak pulsują mu skronie. Nagle wstał, bez słowa podszedł do ołtarza i padł na kolana.

— Wyjdźmy na dwór — powiedział wróciwszy do Sygrydy.

Na dziedzińcu odetchnął głęboko chłodnym świeżym powietrzem.

— Odyn nie jest tylko zły — podjęła rozmowę na ostatnim zdaniu księdza.

— Jakże możesz tak twierdzić po tym, coś mi powiedziała?

Sygryda aż się wzdrygnęła wobec porywczego tonu księdza. Mniemała jednak, że powinna bronić Odyna.

— Dobrze czynił ludziom. Dał nam skaldów, a chcąc zdobyć skaldowski miód musiał złamać przysięgę. Powiesił się także na Yggdrasilu raniony włócznią, aby ofiarą samego siebie zdobyć skarb runów dla nas i bogów.

— Nie uczynił tego jedynie dla ludzi — przerwał Anund ostro. Sygryda nie zwróciła na to uwagi.

— Czemu dla niego nie może być zbawienia jak dla nas? — spytała.

— Sygrydo!

— Przecież on nie jest szatanem! Ludziom czynił najlepiej, jak mógł; nie jego wina, że inaczej nie potrafił.

— Teraz już potrafi, a mimo to kusi cię do grzechu.

— Nie on jeden kusi do grzechu — odparła Sygryda, nie mogąc znieść myśli, że Odyn musi być na wieki potępiony. Bo chociaż wiedziała, że przyjął postać Olwego, aby ją zwieść, obaj w przedziwny sposób stanowili dla niej jedno. W duchu zaś dziękowała Bogu, przekonana, że Olve znalazł spokój i zbawienie.

Anund długo stał zamyślony, wreszcie zwrócił się do Sygrydy ze zwykłym wyrazem twarzy.

— Bóg jest wszechmogący. Drogi Jego są dla nas niepojęte. Nie do nas należy rozsądzanie, kto z ludzi lub bóstw będzie potępiony. — Po chwili zaś dodał: — Może nic dziwnego, że Odyn przybrał postać Olwego. Wszak on sam mi powiedział, że od chłopięcych lat szczególną ufnością darzył tego boga.

Sygryda także przypomniała sobie, co Olve mówił o Odynie. Przed samą śmiercią jeszcze porównywał ofiarę Odyna, który zawisł na Yggdrasilu, z ofiarą Boga składającego siebie w ofierze na krzyżu. Uderzyło ją, że ten, kto obrał sobie za wzór Odyna, boga, który oddał jedno oko, byle posiadać wiedzę, ten nie mógł ustać w poszukiwaniu prawdy. A skoro

Olve uznał, iż ją znalazł, jakże mógł ją odrzucić, choćby nawet kosztem wyrzeczenia się Odyna?

Myśli Anunda biegły w innym kierunku.

— Przywieźli dziś z Kaupangu wieść, że odgrzebano zwłoki króla Olafa. Powiadają, że trumna sama prawie z ziemi wyszła, on zaś wygląda tak świeżo i zdrowo jak w chwili zgonu.

— To nie dowodzi jego świętości — odpowiedziała Sygryda budząc się z zamyślenia.

— Może i nie. Ale umarł akurat przed rokiem i od tego czasu leżał w ziemi. Biskup rozważy sprawę i jeśli dojdzie do przekonania, że Olaf Haraldsson był święty, tedy poprzez niego Bóg wyda swoje orzeczenie. A cóż wobec tego znaczą nasze sądy?

— Wątpię, abym przyjęła orzeczenie biskupa.

— Jeśli nadejdzie dzień, że będziesz musiała to uczynić, proś o pomoc Boga i świętego Olafa — odparł poważnie ksiądz.

Sygryda chwilę milczała.

— Co zrobili ze zwłokami króla?

— Pochowają je powtórnie, aby się przekonać, czy trumna znowu wyjdzie na powierzchnię ziemi.

Po odejściu księdza Sygryda wróciła do kościoła. Czuła, że płomień miłości, o której mówił Olve, nareszcie zaczyna się żarzyć w niej i nawet rozmowa o świętości króla Olafa nie mogła go zdławić. Klękając zerknęła niepewnie na obraz świętego Jana, robił wrażenie uśmiechniętego.

Przypomniała sobie opowiadanie księdza Jona o walce Jakuba z Bogiem, kiedy to nie chciał Go puścić, aż uzyska błogosławieństwo. Ona także walczyła aż do chwili, kiedy pojęła, że Bóg może pobłogosławić i uświęcić ziemską miłość stanowiącą nieodłączną część jej istoty.

Nareszcie bez goryczy mogła pochylić głowę dziękując Bogu za czas przeżyty z Olvem. Zanim się podniosła, wyszeptła jeszcze jedną modlitwę, tak prędko, aż jej się słowa płątały — aby Olaf Haraldsson nigdy, przenigdy nie był uznany za świętego.

Sygryda co dnia oczekiwała nowin z południa w sprawie króla Olafa. Zresztą nie ona jedna; ilekroć ludzie się spotykali pierwsza rzecz, o jaką pytali, były wieści z Kaupangu.

Dwa dni po świętym Stefanie nareszcie przyjechali wysłannicy, a wieść podawano sobie z dworu do dworu niczym wici. Świętość króla Olafa została stwierdzona, teraz był już świętym Olafem i do obowiązków każdego chrześcijanina należało okazywać mu ufność i cześć.

Ludzie zbierali się w kościołach, starzy i młodzi zanosili modły: „Święty Olafie, módl się za nami! Święty Olafie, zmiłuj się nad nami!”

Sygryda nie poszła do kościoła. Usiadła do krosien, próbowała nie myśleć o tym, co się stało. Mimo to ciągle wspominała słowa Anunda. Jeśli biskup stwierdzi, że Olaf Haraldsson był święty, tedy poprzez niego Bóg wyda swoje orzeczenie.

Niepojęte, w jaki sposób biskup może wydać taki sąd; Sygryda czuła się bezradna.

Miała ochotę pogadać z księdzem Anundem, ale się ociągała. Odkąd bowiem spowiadała się przed nim z pokus Odyna, wyraźnie trzymał się od niej z dala.

W końcu jednak nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyła do Steinkjeru, aby na pewno zastać księdza w domu.

Znalazła go w świetlicy przy rannym posiłku, lecz zaraz wyszedł z nią na dziedziniec. A chociaż deszcz mżył, nie zaprosił jej do swojej izdebki. Sygrydzie wydało się to dziwne, bo nie pasowało do Anunda, lecz tę sprawę przemilczała.

— Powiem ci moje zdanie — oświadczył, gdy wyłożyła swoje zastrzeżenia. — Jedź do Kaupangu i pomów z biskupem Grimkjelem. Lepiej niż ktokolwiek wyjaśni ci, na jakiej podstawie wydał sąd o świętości Olafa.

Sygrydzie nagle zrobiło się lżej na duszy, Anund miał słuszność, biskup Grimkjel rozwikła jej trudności w taki lub inny sposób. Podziękowała za radę i wróciła do Egge.

Trzeciego dnia fiordem Beitstad w stronę Skarnsundu płynęła barka, dwanaście par wiosł paruszało się miarowo z głuchym pluskiem mącąc powierzchnię wody.

Cienie chmur tańczyły na wodnej tafli, mieniającej się barwami od czarnej do białej, od zielonej do błękitnej i szarej. Dopiero blisko przesmyku woda zaczęła się pienić i mocno falować. Prąd nie był najbystrzejszy, mimo to wyraźnie czuło się, że barka nabiera szybkości.

Sygryda znalazła sobie miejsce obok sternika; był nim Ivar, jeden z synów Guttorma Haraldssona.

Towarzyszyły jej dzieci. Trond gawędził z Ivarem, na wodach Beitstadfiordu kilka razy pozwolono mu ująć rudel. Sunniva zaś siedziała na dziobie z Heleną córką Torberga, którą Sygryda zabrała do pomocy.

Płynęli wzdłuż brzegów, mijali lasy, wzgórze, uprawne pola i dwory. Sygryda po raz drugi jechała do Kaupangu, ale pierwszy raz dobrowolnie. Poprzednio odpłynęła z Egge jako małżonka Olwego; nie przeczuwała, że spotkają króla Olafa w Maerinie i że jej własnemu światu grozi Ragnarök.

Teraz jechała na spotkanie z królem Olafem — lecz innego rodzaju.

Patrząc na falującą wodę myślała, że w życiu też są przypływy i odpływy. Kiedy wracała z Kaupangu do Egge razem z Kalfem, w duszy jej kipiały wzburzone uczucia. Toczyła z sobą walkę, jakby chciała zatrzymać prąd i odwrócić jego kierunek. Teraz pojmowała, że walczyła przeciwko woli Bożej, bo tak jak On kieruje przypływem i odpływem, tak samo rządzi pogodnymi lub burzliwymi chwilami życia. Toczyła beznadziejną walkę, zamiast ulec, zamiast poddać się prądowi jako algi, w oczekiwaniu aż czas wyznaczony przez Boga nadejdzie.

„Musisz się nauczyć czekać” — powiedział ktoś dawno temu; głos ten powracał jakby z zaświatów. Nagle uprzytomniła sobie, że były to słowa Hildy córki Ingi z Bjarkóy. „Będziesz miała taki los, jaki sobie ułożysz, ale musisz nauczyć się cierpliwości”. Pewno myślała o tym, że walcząc

z losem sami przysparzamy sobie dodatkowych trosk oprócz tych, które zsyłają nam boginie?

Drugiego dnia na odwieczny przybyli do Kaupangu. Ludno było w ogrodzie. Mnóstwo statków tłoczyło się przy pomostach, inne stały na kotwicach, Sygryda kłopotowała się o nocleg. Pocieszała się tylko tym, że mogli rozpiąć namiot i spędzić noc na pokładzie.

Zarzucili kotwicę, Ivar syn Guttorma powiosłował do brzegu z dwoma pachołkami w największej łodzi. Długo nie wracał; Sygryda siedziała na miejscu sternika rozmawiając z Heleną, Sunniva bawiła się w pobliżu. Mężczyźni obsiedli maszt. Wyciągnęli deskę i pionki, dwóch grało, reszta się przyglądała, Trond również patrzył z przejęciem.

— Tam twój ojciec budował „Langa Ormę” — powiedziała Helenie wskazując w kierunku skał Lade. — Jeśli masz ochotę, zatrzymamy się w powrotnej drodze i obejrzymy rusztowania pozostałe po okręcie.

Helena milczała, lecz pełen wdzięczności uśmiech był wystarczającą odpowiedzią.

— Sama także mam chęć je obejrzeć — dodała Sygryda. Po czym zaczęła opowiadać o Torbergu, którego dobrze pamiętała z czasów, kiedy przebywał w Egge. Po chwili jednak przerwała widząc, że Helena walczy ze łzami.

— Nie chcę cię smucić.

Helena potrząsnęła głową.

— Nie smucisz mnie — szepnęła — ale do tej pory nikt mi nigdy nie opowiadał, jaki on był.

— Jakże możesz tak mówić! — Sygryda się przeraziła.

— Owszem, słyszałam, że był słynnym skutnikiem i nie mniej znanym uwodzicielem kobiet. Wiem także, że zamordował go ojciec uwiedzionej dziewczyny. Ale nic innego nie słyszałam.

Rozmawiając z Heleną na wzgórzu Egge, Sygryda miała chęć objąć dziewczynę, ale się powstrzymała. Teraz uczyniła to nie troszcząc się o mężczyzn pochłoniętych grą.

Helena głośno zatkała, po czym dała folgę łzom oparta na ramieniu Sygrydy. Ta zaś trwała bez ruchu i nie wiedząc, co począć, gładziła dziewczynę po plecach.

Ivar syn Guttorma wrócił z niczym, zaczęli więc gotować się do noclegu na pokładzie; wkrótce jednak od strony grodu przypłynął łodzią obcy mężczyzna, który chciał mówić z **Sygryda** córką Torego, panią na Egge.

Był to wysłannik Einara Tambarskjelve oraz jego małżonki Bergljot córki Haakona. Słyszając, że Sygryda nie może znaleźć noclegu, zapraszali ją w gościnę razem z domownikami.

Sygryda podziękowała, zostawili straż na barce i płynęli do miasta.

W grodzie rojno było i tłoczno. Sygryda idąc za przewodnikiem stwierdziła, że dużo nowych domów pobudowano, od czasu gdy gościła w Kaupangu. Dwór Einara Tambarskjelve leżał za królewską siedzibą na drodze wiodącej za miasto.

Sygryda nigdy jeszcze nie spotkała Einara osobiście. Teraz przypomniała sobie, co o nim mówiono. Najwięcej słyszała od Olwego, który go nie lubił. Uważał, że Einar zmienia się, w zależności skąd wiatr wieje, i każde wydarzenie stara się wyzyskać na swoją korzyść. A zatem może nie tylko uczynność skłoniła go do udzielenia jej gościny? Postanowiła pilnie baczyć na każde swoje słowo.

Einar i Bergljot wyszli z powitaniem na dziedziniec. On wyglądał tak, jak się tego spodziewała, barczysty, o dumnym obliczu. Ale jeszcze dostojniej wyglądała Bergljot. Również wysokiego wzrostu, prosta jak trzcina, miała wydatne, czysto rzeźbione rysy; postawa jej odznaczała się swobodą. Pamiętała o swoim pochodzeniu: była córką Haakona, jarla Lade, jedną z ostatnich cór tego rodu, jedyłą, która mogła wejść w paragon z rodem Pięknowłosego.

Powitawszy gospodynię Sygryda wypchnęła do przodu Tronda.

— Oto Trond Olvesson, mój syn.

Bergljot uważnie przyglądała się chłopcu, on nie umknął wzrokiem, patrzył na nią szczerze, bez bojaźni.

— Podobny jesteś do ojca — rzekła ze śmiechem — a śmiałości ci nie brak, zaraz widać, żeś z rodu Lade.

Einar nagle się obejrzał i popatrzył na chłopca.

Na wieczerzę w biesiadnej sali niczego nie żałowano; Bergljot i Einar najwidoczniej dokładali wszelkich starań, aby Sygryda czuła się mile widzianym gościem. Ona natomiast miała się na baczności. Pilnie uważała na każde własne i cudze słowo, piła najmniej, jak mogła, nie urażając gospodarzy.

Zapytana odpowiedziała, że przybyła do miasta na rozmowę z biskupem Grimkjelem; pragnęła bowiem dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów kanonizacji króla Olafa.

— O tym mogę opowiedzieć tyle co on — rzekł Einar obrzucając Sygrydę bystrym spojrzeniem. — A czemu chcesz o to pytać?

— Jeśli mamy obowiązek w coś wierzyć, dobrze jest wiedzieć dlaczego.

— Niezbyt lubiłaś króla Olafa...

— A czegoż innego można by się spodziewać?

— Słusznie — Einar się roześmiał.

— Słyszałam, jakoby trumnę króla Olafa pogrzebano w ziemi po raz drugi, aby się przekonać, czy wyjdzie znowu na powierzchnię. Prawda? — spytała Sygryda.

— Trumna była prawie pod samą darniną, kiedy ją odkopano.

— A czy była głęboko złożona?

— O, tak.

Sygryda zauważyła cień uśmiechu na twarzy Bergljot.

— No i co się stało, kiedy trumnę dobyto?

— Król spoczywał w niej jakby uśpiony; nie było trupiego zaduchu, lecz woń niczym kwiatów. Urosły mu też włosy i paznokcie; biskup wiedział, jak długie włosy zwykł nosić za życia.

— Pamiętam go — przerwała Sygryda. — Włosy miał o, dotąd — pokazała ręką. Einar potrząsnął głową.

— Nie. Nosił krócej ucięte.

Sygryda zamilkła. Króla rzadko widywała, a i to przed wielu laty.

— Biskup osobiście obciął mu włosy i paznokcie do zwykłej długości.

— Co na to królowa Alfiva? — Sygryda nie mogła sobie wyobrazić, aby kanonizacja króla Olafa mogła mieć miejsce z jej przyzwoleniem. Einar uśmiechnął się lodowato.

— Nie dała się przekonać. Powiada, iż powszechnie wiadomo, że zwłoki dobrze się przechowują w piaszczystej ziemi. Żądała, aby biskup rzucił włosy króla do ognia; uwierzy, jeśli włosy nie spłoną — tak rzekła. Biskup złożył włosy do misy wraz z kadzidłem i poświęconym ogniem — i nie spłonęły.

— Istotnie niezwykle — Sygryda spojrzała na niego. — Czy widziałeś włosy leżące w misie z ogniem?

— Na nich było kadzidło. I ono spłonęło. Mimo to królowa zachowała podejrzliwość. Powiada, że uczeni potrafią zamówić ogień, żeby nie szkodził, i domagała się od biskupa wrzucenia włosów w nie poświęcony płomień.

— Uczynił to?

— Prosiłem, by umilkła. Dodałem również, że ona sama pięknie by spłonęła w poświęcanym ogniu.

— Bezwzględne to słowa wobec królowej tego kraju.

— Dobrze, że to usłyszała, ta czarownica! — przerwała Bergljot. — W Anglii stale powtarzają, że Sven nie jest ani jej synem, ani króla Kanuta.

Einar spojrzał na małżonkę marszcząc brwi, Bergljot jednak nie bacząc na nic ciągnęła dalej:

— Powiadają, że ona nie może mieć dzieci. Zwiódła po prostu króla Kanuta wmawiając mu, że oczekuje jego potomka. A kiedy nadszedł czas, kazała sobie przynieść Svena i podała go za rodzonego. On jest rzekomo synem angielskiego kapłana.

Sygrydzie było trudno w to uwierzyć.

— Ona ma drugiego syna — powiedziała.

— Haralda. Podobno syn szewca — wyjaśniła Bergljot.

— Nie wierz pustej gadaninie — zauważył Einar.

Bergljot się oburzyła:

— Pusta gadanina! A to, że król Kanut kazał podstępnie zamordować mego bratańca Haakona, to też plotka?

— Powinnaś mniej pić i lepiej pilnować języka! — burknął rozgniewany Einar.

Bergljot podniosła się.

— Wszystko, co osiągnąłeś, zawdzięczasz mnie i rodowi Lade, a mimo to Haakon od dwóch lat spoczywa na Orkadach nie pomszczony!

Sygyda nie wiedziała, co począć, co powiedzieć. Ostrożnie zerkała na Einara. On jednak nie poderwał się; siedział ze spuszczonej oczami, wyglądał, jakby się skurczył naoczesnym miejscu.

— Zawdzięczam także coś niecoś memu ojcu — powiedział z cichym uśmiechem. Bergljot usiadła z powrotem i ciągnęła dalej:

— Według mnie Alfiva namówiła króla Kanuta do zdrady Haakona. Usuwając go, chciała zapewnić wolną drogę własnym synom. Mówiła Einarowi, że winien ją dobrze trzymać w cuglach, gdyby znowu chciała się popisać. I zrobiłeś to, Einarze. Powiedz, co jej rzekłeś!

— Nie ma o czym gadać — Einar był tak zmieszany, że Sygydzie przez chwilę było go żal. Ale współczucie szybko zniknęło, bo musiała myśleć o zgoła innych sprawach, gdy zwrócił się do niej z pytaniem:

— A gdzie Kalf syn Arnego?

— Na wyprawie.

— Dawno wyjechał?

— Z miesiąc temu.

— Dokąd pociągnął?

— Tego nie mówił.

— Kiedy oczekujesz jego powrotu?

— Nic nie mówił.

— Chcesz powiedzieć, że ruszył na wyprawę nie zapowiadając dokąd, ani kiedy wróci! — Bergljot była podniecona.

Einar wybuchnął śmiechem.

— Odważny z niego człek, albo też lepiej ode mnie potrafi rządzić babińcem!

Teraz i Bergljot się roześmiała.

— Królowa wie, że jesteś w mieście? — spytał po chwili Einar.

— Tego... nie wiem — Sygryda lekko się stropiła. Przybyła do Kaupangu na rozmowę z biskupem, aby w miarę możliwości uzyskać spokój ducha. Ani jej do głowy nie przyszło, że może mieć jakieś obowiązki jako małżonka Kalfa syna Arnego.

— Postaram się, aby jutro dowiedziała się o tym — zapewnił Einar.

Sygrydzie wpadło na myśl, że może popełniła błąd przyjmując gościnę Tambarskjelwego. Jeśli między nim a królową zanosilo się na nieprzyjaźń, ona nie powinna opowiadać się po którejkolwiek stronie w imieniu Kalfa. I Einar chyba nie był najodpowiedniejszym człowiekiem dla powiadomienia królowej o jej bytności w mieście.

— Kalf nie mówił, że jedzie do króla Kanuta? — spytał nagle Einar.

— Nie. Ani słowem nie wspomniał, dokąd zamyśla podążyć.

— A co myśli o królu Olafie?

— Uważa go za świętego.

— Dziwne, że odjechał nie czekając na orzeczenie biskupa...

— Był tak pewien swego, że nie uważał za słuszne czekać.

— Dziwnie to brzmi, kiedy chodzi o dowódcę kmieci pod Stiklestadem.

Sygryda czuła się niby w potrzasku. Jeśli powie, że Kalf żałował wydarzeń pod Stiklestadem albo że próbował zawrzeć ugodę z Olafem, Einar mógł powiadomić o tym królową Alfivę lub króla Kanuta. Jeśli zaś nie wyjaśni, że Kalf był szczerze przekonany, Einar mógł osłabić mir, jakim cieszył się wśród kmieci oraz ludzi Kościoła.

— Od śmierci króla Olafa wiele było znaków i cudów — powiedziała tylko, po czym spytała: — Czy królowa w końcu uległa, gdy chodziło o świętość króla Olafa?

— Tak. Zarówno król Sven, jak i biskup orzekli świętość króla Olafa. Trumnę zaniesiono do kościoła Świętego Klemensa i nakrytą kosztowną materią brokatową ustawiono obok wielkiego ołtarza pod baldachimem. Cisną się tam

tłumy ludzi błagających o pomoc, powiadają, że cuda zdarzają się dzień w dzień.

— Widziałeś jaki?

— Nie dalej jak wczoraj szli przez miasto ze śpiewem i wołali, że niewiasta wzrok odzyskała.

Sygyda nie mogła usnąć, rozważała, czy nie powiedziała czegoś nieroztropnego. Zaufanie jej do Einara Tambarskjel-ve nie umocniło się, natomiast mimo wszystko polubiła Bergljot.

Rozmyślała także o królu Olafie i cudach. Z Trondem i Sunniwą dzieliła zamknięte łóżko w gościnnej izbie. Słyszając ich spokojne oddechy odczuła nieprzewartą potrzebę dotknięcia żywych, ciepłych ciał budzących wrażenie bezpieczeństwa pośród obcego otoczenia.

„Trond pochodzi z rodu Lade” — powiedziała Bergljot. Sygyda wspomniała, co Olve mówił o swoim rodzie; teraz uprzytomniła sobie, że od śmierci jarla Haakona syna Eryka, Trond był jedynym potomkiem po mieczu, który mógł wywieść swoje pochodzenie od Haakona, pierwszego jarla Lade.

Nazajutrz Sygyda wstała wcześniej i przed śniadaniem poszła z Trondem do kościoła Świętego Klemensa.

Po drodze spotkali mnóstwo ludzi, przeważnie mieszkańców trondheimskiego okręgu, którzy chcieli zobaczyć trumnę świętego Olafa. Ale do miasta zjechało także wielu kupców, księży oraz mężów powracających z wypraw do zamorskich krajów, niektórzy nosili szaty cudzoziemskiego kroju. Do tego dochodzili jeszcze stali mieszkańcy grodu.

Widzieli także duńskich żołnierzy króla Svena. Rosłych mężczyzn w ciężkich zbrojach, którzy rzucali wokół podejrzliwe spojrzenia, jakby się bali napaści. Na ich widok Sygydę ogarnęła groza. „Słowo jednego Dana warte tyle co dziesięciu Norwegów” — mówiło prawo.

Trond cieszył się niczym młody psiak. Sygyda wspominała starszych dwóch synów, którzy z nią byli w Kaupangu, dwóch chłopaków, których jednego dnia pozbawiono szczę-
nięcej radości życia; którzy usiłowali dźwigać na chłopięcych

barkach obowiązki dojrzałych mężów. Rozpacz brała na myśl, że podobny dzień może czekać Tronda po powrocie Kalfa do domu.

Myślała też o Kalfie. O Kalfie, który z niezręczną gorliwością usiłował ją zjednać od pierwszego spotkania w Kaupangu.

Weszli do kościoła. Zastali tu już tłumy ludzi; płomienie świec i lampek oliwnych rzucały migotliwe błyski, powietrze było przesycone wonią kadzideł. Sygryda i Trond zatrzymali się na chwilę przy wejściu.

Jeden ksiądz stał tuż za drzwiami, drugi przy ołtarzu, obaj kierowali pielgrzymami przesuwanymi się przez kościół obok trumny króla. Sygryda potrząsnęła głową, kiedy ksiądz do niej podszedł, i wzdrygnęła się wiedząc, że Trond sunie za nim przez kościół. Nie mogła jednak powstrzymać chłopaka nie zwracając na siebie uwagi, wobec czego uklękała w milczeniu.

Niemal w tym samym miejscu klęczała przed dziesięć laty podczas jutrzni; zdawało jej się, że znowu ma przed oczami szerokie plecy dumnego Olafa, klęczącego u stóp ołtarza. Sygryda miała wtedy wrażenie, że krzyki z Maerinu rozbrzmiewające w jej uszach tłumią śpiew duchownych.

Teraz król znajdował się jeszcze wyżej, ponad ołtarzem, w trumnie osłoniętej drogocenną materią. Sygryda unosząc głowę i wpatrując się w trumnę jakby słyszała echo rozpaczliwego krzyku Gydy, kiedy oślepieno Blotolfa z Gjevranu, ryku Haakona z Olvishaugu, kiedy królewscy towarzysze skapanymi we krwi toporami i mieczami okaleczali pojmanych jeńców.

Miała przed oczami nieszczęsne kadłuby ludzkie z krwawymi kikutami rąk i nóg, z pustymi oczodołami, przyniesione do kościoła i zmuszone do wysłuchania mszy. Ksiądz w kazaniu nazwał ich chrześcijanami.

Chrześcijanami — Sygryda wstrząsnęła się ze zgrozy. Pamiętała Blotolfa, który zdawał się patrzeć przed siebie niewidzącymi oczami, w chwili kiedy potwierdzał, iż wierzy w Odyna i zapewnił, że raczej umrze, niż miałby żyć nadal jako nędznik i ugiąć kolana przed Bogiem króla Olafa;

pamiętała pożar w Gjevranie, kiedy to zmusił księdza Jona do wyparcia się Chrystusa, a sam znalazł śmierć w płomieniach.

Okrzyk wyrwał Sygrydę z zamyślenia. Przed ołtarzem stał mężczyzna z podniesioną prawą ręką.

— Cud — głębokie westchnienie obiegiło kościół.

— Tą ręką podniosłem broń przeciwko królewskim wojskom pod Stiklestadem! — wołał mężczyzna. — Król mnie ukarał; od zeszłorocznego zaćmienia słońca była jak martwa. A teraz — patrzcie! — Wywijał ręką w górze. — Święty Olaf, który jest u Boga w niebiesiach, dojrzał moją skruczę, wybaczył mi, przywrócił życie ramieniu!

— Niech będzie Bóg pochwalony! — powtórzył lud w kościele.

Trond wkrótce powrócił. Sygrydzie było słabo, po odmówieniu Pater noster wstała i wyszli z kościoła.

Pozostali w Kaupangu cztery noce; dopiero trzeciego dnia około południa biskup miał czas z nią porozmawiać. Drugiego natomiast była wezwana na dwór królewski do królowej Alfivy i króla Svena.

Sygryda wiele słyszała o Alfivie, ale mało dobrego. Powiadano, że twarde prawa duńskie wprowadzono za jej przyczyną. Była rzekomo fałszywa i żądna władzy, Sygryda nie cieszyła się na to spotkanie. Jednakże po kilku podchwytliwych pytaniach o Kalfa i Einara Tambarskjelve, Alfiva okazała się niemal urzekająco łagodna. Sygryda zastanawiała się, czy królowa boi się Einara, czy też usiłuje zyskać przyjaźń Kalfa.

Król Sven był urodziwym, lecz małomównym chłopcem. A zdaniem Sygrydy darzył matkę niemal przesadnym szacunkiem. Nie mogła się powstrzymać od porównania matki i syna; może jednak to, co mówiła Bergljot, było prawdą?

Ostatniego dnia pobytu Sygrydy w Kaupangu wczesnym rankiem doniesiono jej, że do portu wpłynęła knara z zagranicznymi towarami; zeszła zatem do przystani i nabyła piękny płaszcz, który zamierzała ofiarować Bergljot. Później o umówionej godzinie udała się do biskupa. Był sam

w jadalnej izbie, z uśmiechem wyszedł jej na spotkanie; po wymianie pozdrowień usiedli.

Sygyrdzie trudno było nawiązać rozmowę; już żałowała, że przyszła. Inna sprawa powątpiewać o świętości króla Olafa, a zupełnie co innego znaleźć się w obliczu biskupa, który go kanonizował, i powiedzieć mu wprost, że podaje jego orzeczenie w wątpliwość.

— Chodzi o króla Olafa... — zaczęła.

— Świętego Olafa — sprostował biskup trochę ostrzejszym głosem.

— Chodzi o króla Olafa — powtórzyła Sygyda z nieoczekiwanym uporem. — Chyba możecie wyobrazić sobie, panie, jak ciężko mi przychodzi nazwać go świętym.

— Do poszczególnych chrześcijan nie należy sąd, kto jest święty. Obowiązkiem biskupa jest badać sprawę i dochodzić do postanowienia.

Sygyda skinęła głową.

— Wiem. Dlatego przyszedłam prosić was, panie, abyście zechcieli mi wyjaśnić, czemu powzięliście takie postanowienie wobec Olafa Haraldssona, ponieważ mam całkowitą pewność, iż nie uczyniliście tego bez istotnych podstaw.

— Nie ma w tobie, Sygydo, pokory znamionującej chrześcijankę. Czyś zapomniała o swoim przyrzeczeniu: obiecałaś mi złożyć szczere wyznanie wiary na chrzcie?

Sygyda zwlekała z odpowiedzią. Zdumiała się bowiem, jakim sposobem biskup, który rozmawiał z tylu ludźmi, mógł zapamiętać ich słowa.

— Złożyłam tę obietnicę, bo rzekliście, panie, iż nie muszę wierzyć w słuszność poczynań króla. — A ponieważ biskup milczał, spytała:

— Czy uważacie, że król słusznie postąpił w Maerinie?

— Wierzył, iż wypełnia wolę Bożą.

— Łatwo spełniać własne zachcianki, a wyobrażać sobie, iż postępujemy zgodnie z wolą Boga — powiedziała Sygyda. — Według tego, czego uczył mnie ksiądz Anund, powinno być przeciwnie, wola człowieka musi ustąpić wobec Bożej.

— Chyba nie wzięłaś sobie słów księdza do serca!

Sygyda stwierdziła, iż wystawiła się na sztych i złość ją wzięła.

— Ja nie roszczę sobie praw do świętości. Ale nawet wy, biskupie Grimkjel, chyba nie powiecie, że król w swoim mniemaniu postępował zgodnie z wolą Bożą, wówczas gdy odmawiał prawa łaski mojemu synowi Toremu, albo kiedy brał swoją dziewczkę służebną za nałożnicę.

— Żałował tego.

— Wielu żałuje, a dlatego nie zostają świętymi.

Biskup popatrzył na Sygydę błagalnym wzrokiem.

— Jeśli nie potrafisz inaczej, to może na moje słowo jako biskupa uwierzysz w świętość króla Olafa.

— Czy mam ulec zastraszaniu i stwierdzić, że wierzę w świętość króla, choćby to było kłamstwo?

Biskup oparł się łokciem o stół i popadł w zadumę.

— Ty także zawiniłaś śmierci króla — powiedział nagle.

— Nigdy temu nie przeczyłam.

— Gdzie byłaś podczas zeszłorocznego zaćmienia słońca?

— W domu, w Egge.

— Nie bałaś się gniewu Bożego?

— Owszem. Ale czy musi istnieć związek między zaćmieniem słońca a zgonem króla?

Biskup Grimkjel westchnął.

— Moim zdaniem — był. A czy nie słyszałaś o cudach przy trumnie króla? Ślepi przejrzeni, chorzy ozdrowieli!

— Już wcześniej widziałam cud — powiedziała Sygyda z namysłem.

Opowiedziała biskupowi, jak kmiecie chcieli obwołać świętym księdza Anunda ze Steinkjeru, kiedy matka Olwego, o której wszyscy myśleli, że ma niewładne nogi, zaczęła chodzić.

Nikt nie chciał wierzyć, choć sama zapewniała, że zawsze mogła chodzić, a tylko oszukiwała. Anund był tym głęboko wstrząśnięty, po prostu nie miał odwagi leczyć chorych. Bo wystarczyło, by ktoś ozdrowiał, a zaraz ludzie krzyczeli, że mają dowód jego świętości, natomiast o nie uleczonych zapomniano.

— Tak samo było tej zimy w trondheimskim okręgu ze świętością króla Olafa — zakończyła Sygryda. — Ludzie zauważali uzdrowionych, którzy modlili się o wstawiennictwo króla, o innych natomiast zapomnieli.

— Na własne oczy widziałem cud, którego nikt nie może podać w wątpliwość — oświadczył biskup prostując się. — Odkopane zwłoki króla były nienaruszone. Włosy i brodę miał dłuższe, bo urosły; a nadto włosy nie chciały spłonać.

— Podobnie jak królowa zastanawiam się, czy uczeni są zdolni zaczarować ogień, aby nie szkodził — wyrwało się Sygrydzie.

Biskup na wpół uniósł się z ławy, lecz usiadł z powrotem.

— A zatem przyszłaś tu, żeby mi powiedzieć, że uciekam się do oszustw i kłamstw. Czy wiesz, że w mojej mocy leży wyłączyć cię z Kościoła?

— Przyszłam do was, panie, aby znaleźć spokój ducha — odparła sztywno. — Ogłosiliście króla Olafa za świętego, a więc tylko wy możecie mi pomóc, abym w jego świętość uwierzyła, lub też zwolnić z obowiązku uwierzenia.

— Z tego obowiązku ani mogę, ani chcę ciebie zwolnić — odparł.

Sygryda wstała.

— Wybaczcie, iż przeze mnie zmarnowaliście tyle czasu, panie.

Nie dodała nic więcej, bo czuła, że załamie się, jeśli nie wyjdzie natychmiast. Ani przypuszczała, jak ogromnie jej wiara uzależniona była od zaufania do biskupa Grimkjela, od niegdyś wypowiedzianych słów, że nie potrzebuje uznawać i pochwalać postępowania króla Olafa. Toteż chociaż kanonizował króla, była przekonana, że potrafi jej wyjaśnić wszystko tak, aby pojęła, albo też uczyni dla niej wyjątek.

Tymczasem on powtarzał tylko dobrze znane rzeczy. A kiedy zrozumiał, że jej nie przekona, uciekł się do pogroźek.

Wyciągnęła do niego rękę i chciała odejść. Zatrzymał ją. Choć niechętnie, lecz usiadła tłumiąc łzy. Bez przerwy czuła

jego wzrok na sobie; wiedziała, że wargi jej drżą. W końcu ukryła twarz w dłoniach.

— Bóg wie, żem dostatecznie obarczony na dzień sądu, nie mogę zatem pomnażać moich win odprawiając cię bez pomocy — rzekł.

Sygyda powoli uniosła głowę, spotkali się wzrokiem; jego oczy jakby przenikały ja na wylot.

— Król był święty. Sygydo, na Boga, uwierz mi! To my byliśmy słabi, my nie śmieliśmy go ganić ani wskazać drogi, której szukał. Kiedy nawracał kraj morderstwami i okrucieństwem, w najlepszym razie zdobywaliśmy się na słabe upomnienie. I nie tylko dlatego, że baliśmy się króla, ale zbyt mało ufaliśmy Bogu. Nie wierzyliśmy, że władca zastępów niebiańskich, przed którym skały topnieją jak wosk, zdoła nawrócić Norwegię na swoją wiarę, jeśli powstrzymamy króla od zbrodniczości. Nawet po wydarzeniach w Maerinie, kiedy chodziło zarówno o chrześcijan, jak i pogan, nawet po rozmowie z tobą, Sygydo, brakło mi odwagi i wiary, by go zgromić, jak należało.

Widzieliśmy żądzę władzy i okrucieństwo Olafa, wykorzystywaliśmy je; zupełnie jakbyśmy chcieli ochrzcić kraj za cenę jego duszy. Nawet wówczas kiedy popełniał występki, które uznawał za grzech, nie śmieliśmy go upomnieć albo nałożyć nań odpowiedniej pokuty. Baliśmy się, aby go w ten sposób nie zniechęcić do chrześcijaństwa, bo jakże wtedy prowadzilibyśmy dzieło nawracania?

Bóg jednak widzi to, czego człowiek nie pojmuje. Widział serce króla gorejące płomienną miłością do Niego oraz gorliwość w szukaniu dróg Bożych; a jeśli błądził, to dlatego że miał złych przewodników. Bóg oczyścił duszę króla poprzez smutki i tęsknotę, aż zrozumiał to, czego my nie pojmowaliśmy. Dlatego w zgiełku bitwy pod Stiklestadem złożył miecz, zwrócił się ku niebiosom i powierzył swoje życie oraz nawrócenie Norwegii Bogu!

— On nie złożył miecza, lecz odrzucił go daleko, a nie był tak poważnie ranny, aby przerwać walkę... — dodała porywczo Sygyda.

Biskup umilkł zdumiony, po czym spytał:

— Skąd wiesz o tym?

— Kalf mi opowiadał. Zaraz po bitwie mówił, że król umarł świątobliwą śmiercią. Twarz jego jaśniała, kiedy patrzył w niebo.

— Czemu Kalf nie przybył tu, aby dać świadectwo podczas rozpatrywania sprawy króla?

— Jest na wyprawie.

Biskup rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

— Czy ty go nakłoniłaś do wyjazdu?

— Niechący — odparła, a widząc jego pytający wzrok, dodała: — Czy to, co powiem, zachowacie, panie, w tajemnicy jako na spowiedzi?

Uzyskawszy potwierdzenie opowiedziała biskupowi o przyczynie wyjazdu Kalfa. Zakończyła mówiąc, że według mniemania księdza Jona, Kalf wyruszył z pielgrzymką, lecz ona w to nie wierzyła.

Biskup nie odpowiedział, lecz z twarzy jego mogła wyczytać, że on również ma wątpliwości co do pielgrzymki.

— Będę modlił się za niego. Za was oboje.

Tymczasem Sygryda, pochylona do przodu, wsparła czoło na dłoni.

— Pojęłam, co sądzicie, gdy chodzi o świętość króla Olafa. Ale kiedy zobaczyłam jego trumnę w kościele Świętego Klemensa, znowu krzyki z Maerinu dźwięczały mi w uszach.

— Biedne dziecko — powiedział biskup łagodnie.

Wzdrygnęła się i spojrzała na niego. Współczucia wcale się po nim nie spodziewała, szczególnie po ostatnich zwierzeniach.

— Rozejrzyj się wokoło. Czy nie dostrzegasz największego cudu: wszak nawet krzywda wyrządzona przez Olafa zamienia się w błogosławieństwo! Dzięki jego śmierci, dzięki zaćmieniu słońca ludzie się nawrócili. I to bez musu zewnętrznego, jaki on na nich wywierał, ale z głębi serc, w sposób, którego bym się nie spodziewał przez szereg pokoleń. Patrz, ile różnych cudów się zdarza! A jeśli nawet prawdą jest to, co mówisz, i niektórzy przesadzają, czy do nas sąd należy, skoro oni prawdziwie wierzą?

Sygryda zamyśliła się.

— Gdybym miała uwierzyć w cud, to chyba w uzdrowienie ręki Torego — powiedziała w końcu.

— Którego Torego?

— Mego brata, Torego Hunda. Po bitwie pod Stiklestadem mówił, że był raniony w dłoń podczas walki; miał prawie całkiem odrąbany kciuk. A kiedy wyrwał włócznię z ciała króla, ze zwłok krew spłynęła wzdłuż drzewca i rana została natychmiast uzdrowiona.

— Czyś tego pewna? — spytał biskup chwytając Sygrydę za ramię.

— O tyle, o ile mogę być pewna, niczego nie widząc. Tore pokazywał mi dłoń, między kciukiem a wskazującym palcem miał bliznę jak nić. Ale mu nie uwierzyła. Powiedziałam, że pewno dostał po głowie w czasie walki.

Grimkjel śmiał się potrząsając głową.

— Sygrydo, Sygrydo! Czego ci jeszcze trzeba, aby uwierzyć? Gdybyś zobaczyła otwarte niebiosa i króla Olafa **przed** Bożym tronem, jeszcze nie jestem pewien, czy to by cię przekonało. Czasem wydaje się, że ludzie wierzą, w co chcą, nie bacząc na otaczające ich wydarzenia.

Sygryda już zamierzała mu się sprzeciwić, gdy wspomniała, że sama myślała podobnie; było to wkrótce po urodzeniu Sunnivy. Niektórzy uważali niemowlę za podobne do Kalfa, pomyślała sobie wtedy, że ludzie dopatrują się tego, co chcą widzieć. A może ona była równie ślepa?

Biskup tymczasem znowu przybrał poważny wyraz twarzy.

— Powiadasz, że na widok trumny króla jakbyś słyszała krzyki dochodzące z Maerinu. Proszę zatem, abyś dzisiaj znowu poszła do kościoła Świętego Klemensa i uklękła. Jeśli jeszcze raz usłyszysz echo krzyku w Maerinie — przestaniesz myśleć o królu Olafie. Będziesz natomiast myślała o biskupie Grimkjelu, który do końca życia winien pokutować nie tylko za wydarzenia w Maerinie, ale także w Naumudalenie i wielu innych miejscach. On bowiem jest winowajcą: stchórzył i nie ufał Bogu.

Sygryda w milczeniu pochyliła głowę.

— Nie mieliśmy odwagi nałożyć na króla pełnej pokuty za jego grzechy! — odezwał się nagle biskup. — Czy wiesz, jaką pokutę on sobie zadał sam? Jeśli zgrzeszył pracując w dzień Pański, palił w ręku drzazgi, które osobiście ułupał! Myślę, że teraz uwierzysz w świętość króla — dodał po chwili. — Nic więcej dodać nie mogę.

Biskup podniósł się z miejsca, Sygryda również wstała.

— Potrzebuję czasu do namysłu — rzekła. — Ale zacznam pojmować.

Przed odejściem uklękła, aby przyjąć błogosławieństwo.

5

Sygryda dotrzymała obietnicy danej Helenie. Odpływając rannikiem z Kaupangu zatrzymali się w pobliżu skał Lade i zesłi na ląd, aby obejrzeć rusztowania po „Langu Ormie”.

Helena była rozmowna, niemal wesoła, Sygryda odważyła się napomknąć, że dziewczyna powinna wyjść za mąż.

— Chciałabym, abyś przestała o tym mówić — rzekła Helena.

— Gdybym mogła pojąć, czemu odmawiasz. Nie jesteś zobowiązana ani wobec siebie, ani przez pamięć na Grjotgarda do trwania w wolnym stanie.

— Czy rozumiesz, że czułabym się tak, jakbym nie dochowała wierności Grjotgardowi?

Sygryda ciężko westchnęła. Niegdyś myślała podobnie w stosunku do Olwego. Nauczyła się jednak, że życie ma swoje wymagania. Rządziły nim inne prawa i tylko w sagach ludzie umierali z miłości. Niemniej jednak słowa Heleny obudziły w niej przykre uczucie i Sygryda nagle się rozzłościła.

— Grjotgard nigdy nie powróci, Heleno — powiedziała surowo. — A syn gospodarzy z Kvamu dotychczas nie wybrał innej; gdybyś go poślubiła, wyszłoby ci to na dobre.

— Czy dobrze ci było z Kalfem? — spytała Helena uporczywie na nią patrząc.

Sygryda zagryzła wargi.

— Zaczynam myśleć, że jeżeli tak nie było, sama temu zawiniłam.

— Nie wspominaj więcej o tym, że muszę wydać się za mąż — ciągnęła dalej Helena z powagą. — Nieraz słysząc, jak księża mówią o ludziach poświęcających się Bogu albo też żyjących w klasztorach i pustelniach, myślałam uczynić podobnie. Mogłabym przecież zamieszkać sama w małej izdebce, modlić się przez całe życie za Grjotgarda i jego zbawienie, a także za moich rodziców i wszystkie dusze w potrzebie.

— Czy mówiłaś o tym z Anundem?

— Tak — potwierdziła Helena. — Bał się, że próbuję uciec od życia — jak on to określił. Moja ofiara byłaby wtedy daremna. Jego zdaniem winnam poczekać jakiś czas i rozważyć swoje postanowienie. W dniu kiedy dojdę do przekonania, że świat może jeszcze mnie czymś obdarzyć, lecz ja przedkładam Boga ponad to i chcę żyć jedynie dla Niego, możemy znowu porozmawiać.

— Czy rozumiesz, co miał na myśli?

— Niezupełnie — przyznała Helena. — Ale jeśli nadejdzie ów dzień, o którym on mówił, na pewno pojmę dostatecznie — dodała ufnie.

— I na ten dzień czekasz?

— Tak.

— Nie będę więcej nalegała — zapewniła Sygryda. Wracając na statek patrzyła na Helenę niemal z szacunkiem.

Zbliżając się do Egge zauważyli obcy statek na przystani, Sygrydzie przypominał on knarę Torego Hunda. Załoga wiosłowała, Trond nie mógł usiedzieć na miejscu, to się wychylał, to chwycił za wiosła. W końcu wpadł do wody, ale sobie poradził, wdrapał się z powrotem i psocił od nowa.

Sygryda usiłowała go uspokoić; było zimno. Ale Ivar syn Guttorma roześmiał się twierdząc, że nie daje chłopakowi wyrosnąć na prawdziwego mężczyznę. Pomyślała w duchu,

że i Grjotgard, i Tore wyrosli na prawdziwych mężczyzn, choć nie byli tak rozhukani jak Trond. Ale musiała przyznać, że próby okiełznania syna na nic się nie zdadzą.

Kiedy dobijali do przystani, Tore Hund już czekał na pomoście, Sygryda dobrze odgadła, do kogo należał obcy statek.

W drodze do dworu Tore powiedział, że przybył poprzedniego dnia; płynął do Kaupangu, by pokazać biskupowi ranę uleczoną krwią króla Olafa. Miał ogromnie zawiedzioną minę, gdy się dowiedziała, że Sygryda już o tym mówiła biskupowi Grimkjelowi.

— Wcześniej nie mogłem przybyć — usprawiedliwił się.
— Wyruszyłem natychmiast po dotarciu na północ wieści o rozpatrywaniu sprawy króla.

— Sądzę, że biskup rad będzie niezmiernie posłyszeć wszystko z twoich ust — zapewniła Sygryda. — Ja wiele nie mogłam wyjaśnić.

— Czy teraz wierzysz, że ci prawdę powiedział?

— Czy mogę zobaczyć twoją rękę?

Przystanęli, Tore wyciągnął dłoń. Blizna była wyraźna, Sygryda dotykała jej, zgrubiały brzeg stanowił jakby wałeczek.

— Wierzę ci — rzekła w końcu.

— Najwyższy czas — odparł Tore.

Poszli dalej ścieżką ku dworowi.

— Z Kaupangu zamierzam popłynąć do Anglii, chcę opowiedzieć królowi Kanutowi o tym wydarzeniu i dać świadectwo, że król Olaf prawdziwie był świętym.

— Nie sądzą, aby król Kanut szczególnie cię za to pokochał!

— Nie chodzi o to, czy on mnie polubi czy nie, Sygrydo. Zbyt długo wyżej od nieskazitelności ceniłem bogactwo i władzę. Czy pamiętasz, jak Olve kiedyś rzekł, iż nie jest pewien, co mną rządzi, czy moje srebro, czy moja wola!

— Jakżebyśmy mogła nie pamiętać. Wtedy to nieprzyjaźń powstała między wami.

— Tak. I zapewne mniej bym się wściekł, gdybym nie czuł się dotknięty prawdą.

— Olve później mówił, że chyba zbyt surowo cię osądził.
— Tak mówił? — Tore uśmiechnął się. — A zatem spotkamy się w wieczności na przyjaznej stopie. Zresztą wybieram się dalej niż do Anglii, pojedę z pielgrzymką do Rzymu, a może odbędę także pąć do Ziemi Świętej.

— Czy chcesz pokutować za zabójstwo króla Olafa?

— Jeszcze przed rokiem, zaraz po bitwie, spowiadałem się Anundowi i uzyskałem rozgrzeszenie. Odprawiłem nałożoną mi pokutę. Grzech mój nie stał się cięższy od tego, że króla ogłoszono świętym — Tore się roześmiał.

— Czemu tedy jedziesz z pielgrzymką?

— Czemu nie miałbym pojechać na południe? — odpowiedział pytaniem. — Dosyć się nasiedziałem na Bjarkóy. Sigurd może dopilnować moich spraw, a tęsknić za mną nie będą ani on, ani jego małżonka!

— A zatem Sigurd poślubił córkę godego Snorre? — spytała Sygryda, kiedy usiedli w gościnnej sali. Tore potwierdził. — A jak im się układa?

— Prawdziwie dobrze. O ile mogłem stwierdzić, przypominają raczej matkę i syna niżli małżonków, ale widać to mu dogadza. Latem urodziła się im córka.

— Jak ją nazwali?

— Rannveiga — odparł Tore, po czym z wielką powagą wyjaśnił: — Pytałaś, czemu wybieram się na południe. To dla Rannveigi, dla mojej Rannveigi podejmuję tę pielgrzymkę. Umarła w pogaństwie.

— Czy można na to zaradzić?

— Nie wiem. Ksiądz w Trondarnes mówił, że w pierwszych czasach chrześcijaństwa ludzie niekiedy kazali się chrzczyć za umarłych. Tego chcę się dowiedzieć. Bo jeśli mogę jej pomóc w czymś, nie będę się ociągał.

— Musisz jechać do samego Rzymu i do Ziemi Świętej, aby się tego dowiedzieć? Sądzę, że biskup Grimkjel mógłby cię objaśnić.

— Pewnie udać się do papieża. A nadto mam ochotę na tę wyprawę, na wikingowską już nie popłynę, na handel nie mam chęci teraz. A w tej podróży dotrę do miejsc, których nigdy nie widziałem.

Niemal chłopięcy zapał malował się na twarzy Torego na myśl o nowych krajach, nowych przeżyciach, jak i o tym, że teraz będzie częsteczką chrześcijańskiego świata, zamiast wyłączonym z niego wrogiem.

Sygryda posłała do Gjevranu po Finna syna Haralda, oboje z Ingeridą zjawili się po wieczery.

Z początku mówili o minionym chłodnym lecie; zboże późno dojrzewało, kmiecie obawiali się przymrozków.

Później gawędzili o Haalogalandzie, o Grytów i Bjarków oraz innych znanych miejscach.

EGGE od tylu już lat było domem Sygrydy, że teraz wspomnienia z północy stary się dziwnie odległe. Mimo to tęskniła do nich, Bjarków żyła w jej sercu opromieniona blaskiem, jakby owego słońca, które z północy toczy się niziutko nad widnokrzem.

Patrząc na Torego czuła, że więź łącząca ich nie osłabła w ciągu minionych lat. A nawet miała wrażenie — choć mogło to się wydawać dziwne — że jeszcze się umocniła. Dzielili się wzajemnie strapieniami, on zawsze był gotów spieszyć jej z pomocą, ona go potrzebowała.

Żałowała, że teraz Tore wyjedzie z kraju, mogła go potrzebować bardziej niż kiedykolwiek. A może zdoła jej dopomóc nawet z odległości modlitwą za nią i Sunniwą w świętych miejscach.

Postanowiła mu się zwierzyć.

— A więc dałaś się uwieść skaldowi Sigvatowi! — zawołał Tore nazajutrz, kiedy skończyła opowiadanie. — Nie jesteś pierwsza!

Podobnie jak poprzednimi razy ścieżką przez wzgórza doszli do przecinki nad fiordem.

— Tore! — rzuciła mu błagalne wejrzenie. — Postąpiłam jak szalona, zgoda, ale skoro Sigvat udał się z pielgrzymką do Rzymu, pragnę wierzyć, że znaczyłam dla niego więcej niż inne.

— Sądzę, że tak — Tore zmierzył siostrę wzrokiem. Lata pięknie cię oszczędziły.

- Kiedy ostatnio myłam włosy, znalazłam siwe.
- Tore z uśmiechem potrząsnął siwą czupryną.
- Podobnie dzieje się z każdym z nas.
- Czy sądzisz, że Kalf wróci jesienią? — spytała po chwili.
- Byłoby dziwne, gdyby nie wrócił. Jako namiestnik króla Svena ma niejedno do załatwienia.
- Myślisz, że udał się z pielgrzymką?
- Tore nagle wybuchnął śmiechem.
- Z pielgrzymką? Głowę daję, że o tym nawet nie pomyślał. Musiał być wściekły, toteż raczej odpowiadała mu wikingowska wyprawa.
- Sądzisz po sobie? — głos Sygrydy brzmiał ostro, bo śmiech brata ją uraził, a nadto myśl, że Kalf rabuje i morduje, nie przypadła jej do serca.
- Może... — Tore zerknął na siostrę. Potem położył rękę na jej ramieniu i dodał z powagą: — Ciężka to będzie chwila dla ciebie, kiedy on wróci.
- Sygryda w milczeniu odwróciła głowę.
- Nie jestem pewien, co mówi prawo tingu we Froście — odezwał się po chwili. — Zazwyczaj jednorazowa niewierność wystarcza do wysłania żony z domu. W razie potrzeby możesz szukać pomocy u księży i prosić rzeczników prawa, niech się wypowiedzą. Możesz też wyraźnie oznajmić Kalfowi, że jeśli nie postąpi z tobą według ustaw, ja z nim pogadam, jak wrócę. Inna sprawa, że może sama wolisz opuścić Egge; z Kaupangu wyślę gońca na północ z nakazem, aby Sigurd dobrze przyjął ciebie i dzieci, jeśli przybędziecie do Bjarkóy.
- Wolałabym, aby Sigurd o tym nie wiedział — zauważyła Sygryda nadal nie patrząc na Torego.
- Twój przyjazd w gościnę na Bjarkóy nie musi budzić szczególnych podejrzeń.
- No, nie! Chyba nie. — Sygryda mówiła niepewnie.
- Oboje milczeli przez chwilę.
- Czy kazałeś przekuć młotek Tora na krzyż, jak zamierzałeś? — zapytała. Tore nie odpowiedział, natomiast wyjął srebrny krzyż zawieszony na szyi na łańcuszku.

— Zgubiłem go kiedyś, bo rzemyk pękł — tłumaczył widząc, że Sygryda przygląda się pięknemu srebrnemu łańcuchowi plecionemu misternie jak sznur. — Ksiądz z Trondarnes odprawił nad nim modły. Teraz lepiej mnie strzeże niż dawniej młot.

— Widzę, że masz większe zaufanie do księżowskich modłów niż do fińskich czarów — zauważyła.

Tore się roześmiał.

— Z fińskimi czarownikami też chętnie zachowuję przyjaźń. Ale Chrystus mocniejszy jest nad ich czary.

Nazajutrz żegnając Sygrydę Tore raz jeszcze wspomniał, że w razie potrzeby może na niego liczyć. Nie zamierzał przebywać w zamorskich krajach ponad rok.

— A może wszystko pójdzie lepiej, niż sądzisz — pocieszał ją. — Będę modlił się za ciebie nie tylko w bazylice Świętego Piotra w Rzymie, ale w każdym kościele, do jakiego wstąpię, no i w Jeruzalem, jeśli tam dotrę.

Po wyjeździe Torego Sygryda poszła na to samo miejsce, gdzie razem siedzieli. Chwilę patrzyła za statkiem płynącym przez fiord. Dął pomyślny wiatr, żagiel w szerokie pasy wzdymał się pięknie, statek mknął niczym strzała, maszty dumnie strzelały w niebo. Była to „Mewa” zbudowana niegdyś przez Torberga Skavhogga, ulubiony statek Torego. Sygrydzie wydawało się, że Tore własnoręcznie steruje.

Westchnęła głęboko. Rozmowa z Torem dała jej poczucie bezpieczeństwa. Rada była, że mu opowiedziała o Sigvacie, bo mimo wszystko dobrze mieć w bracie poplecznika.

Patrząc za oddalającym się okrętem Sygryda myślała o rozmowach z ostatnich dni. Wiele spraw poruszali, ale najwięcej mówili o królu Olafie i bitwie pod Stiklestadem. Sygryda bezwiednie przestała śledzić statek i skierowała wzrok ku Kroksvaagenowi leżącemu po przeciwnej stronie steinkjerskiego fiordu; myślami wróciła do Maerinu i Verdalenu.

Uprzytomniła sobie, że musi pojechać do Stiklestadu; wiele słyszała o tym miejscu i miało ono wielkie znaczenie w jej życiu. Droga rozpoczynająca się w Maerinie śmiercią

Olwego kończyła się właśnie tam zgonem króla; droga nienawiści i pragnienia zemsty wiodła najpierw do Osterdalu i zguby jej synów, a później zaprowadziła Torego i Kalfa do Stiklestadu. Tam ostatecznie dopełniła się upragniona przez nią zemsta; zemsta, która nią nie była.

Sygyda postanawiając jechać do Stiklestadu miała wrażenie, że także odbędzie pielgrzymkę.

Pewnej niedzieli wieczorem w połowie miesiąca sprzętu zboża Sygyda, której towarzyszył Harald syn Guttorma oraz pachołek z Egge, wjechała konno na dziedziniec dworu w Stiklestadzie. Pies szczekał zajadle, aż w końcu drzwi świetlicy się uchyliły i jakiś mężczyzna wyjrzał. Harald zsiadł z konia, aby z nim porozmawiać, po chwili wyszedł do nich gospodarz.

— Witaj, Sygydo córko Torego — rzekł oziębłym głosem. — Zasiadliśmy właśnie do wieczerzy, wejdźcie, pożywcie się z nami.

Sygyda podziękowała, wszyscy weszli do świetlicy.

Zanim wyjaśniła cel swego przybycia, rozmawiali o pogodzie, o chłodach i dzieciach. W ciągu ostatnich nocy brały przymrozki, gospodarz ze Stiklestadu obawiał się, że zboża nie da się uratować.

Sygyda potakiwała mówiąc, że to zauważyła.

— W Egge nie lepiej — dodała.

— Trudno spodziewać się czego innego — odparł gospodarz ze znaczącym spojrzeniem.

— Ano prawda — zgodziła się Sygyda. Oboje zamilkli. W końcu Sygyda znowu się odezwała: — Przyjechałam tu, aby zobaczyć miejsce zgonu króla Olafa; chyba potrafisz mi je wskazać, Torgilsie.

— Ty, Sygydo córko Torego, najlepiej powinnaś wiedzieć, gdzie poległ, wszak twój brat go powalił! — usłyszała w odpowiedzi.

Zapadło milczenie.

Wieczne słońce rzucało złocisty odblask na łany zbóż, kiedy Torgils wiodł Sygrydę ścieżką na skraju pola.

— Wielu tu przyjeżdża? — spytała Sygryda.

— Trochę.

— Słyszałam, że zająłeś się zwłokami króla po bitwie.
Czy to prawda?

— Tak.

Doszli do dużego głazu.

— Tu leżał — wskazał Torgils.

— Czy widziałeś jakiś cud przy zwłokach króla?

Torgils spojrział na Sygrydę z ukosa.

— Pytasz i badasz. Może by się godziło raczej, abym ja ciebie pytał, co masz tu do roboty.

I znowu mu nie odpowiedziała, odwróciła się tylko i wzrok jej spoczął na wzgórzach zarysowanych na nieboskłonie.

— Ta ziemia wypła dużo krwi — odezwał się nagle Torgils. — Gęsto jeden przy drugim leżeli zmarli i ranni, a jęki i krzyki tworzyły zgiefk gorszy niżli w Naastrandzie.

Sygryda zadrżała. Naastrand był miejscem, gdzie zgodnie z dawną wiarą złoczyńcy odbierali karę, gdzie wili się w okrutnych cierpieniach, podczas gdy węże pływały na nich jadem.

— Tam stały hufce królewskie — wskazywał Torgils — a tam kmiece zastępy.

Sygryda kiwała głową.

— Już zobaczyłaś to, co chciałaś? — spytał po chwili.

— Chciałabym tu zostać. Sama...

Torgils chwilę się zastanawiał.

— Szczęśliwy jestem, bo zdołałem pogodzić się z królem jeszcze za jego życia.

— Tak.

Sygryda wiedziała, że Torgils był stronnikiem króla Kanuta, ale przed samą bitwą zawarł ugodę z królem Olafem.

— Nie był surowy wobec mnie — ciągnął dalej Torgils. — Nakazał tylko zająć się zabitymi i rannymi po bitwie, a także jego zwłokami, jeśli padnie w boju.

— A więc dlatego to zrobiłeś.

— Gdyby mnie nic prosił, zrobiłbym to samo. — Torgils zawrócił w stronę dworu. — Oby okazał się równie miłościwy dla ciebie jak dla mnie.

Chmury przysłoniły słońce, tylko chwilami przebijały przez nie oślepiająco złote promienie.

Sygryda dostrzegła ludzi na drodze, więc usiadła, bo nie chciała, żeby ją widzieli. Plecy wsparła o głaz, rękami objęła kolana, patrzyła przed siebie na pola.

„Ta ziemia wypła dużo krwi” — powiedział Torgils. Sygryda rozejrzała się i nagle jakby widziała mrowie poległych lub ranionych. Było ich wielu; nawet Kalf i Tore nie wyszli cało. Spojrzała na ziemię tuż obok siebie; tu zrosiła ją krew Olafa.

Świętego Olafa...

Wodząc wzrokiem dokoła nagle ujrzała zastępy kmieci stojące pod własnymi znakami, za znakiem Kalfa na czele, a później Torego, ze swymi haalogalandczykami. Miała wrażenie, że słyszy miarowe okrzyki rozbrzmiewające w powietrzu, gdy wojska znalazły się na odległość głosu.

Słyszała głos Kalfa pytającego króla:

„Co ze mną uczynisz, jeśli dziś zwyciężysz?”

I odpowiedź króla:

„Tobie każę jechać na południe i tam przed Bogiem odpokutujesz za to, coś mi uczynił” — A potem do Torego: — „Ciebie zapędzę do takich obowiązków, jakich nikt z dobrej woli nie chce spełniać!”

Tore musiał się wściekać na te słowa!

Potem zaczęły się bitewne zawołania; hufce królewskie toczyły się z pochyłości na spotkanie kmieciom z miarowym okrzykiem:

„Bij, bij, króla woju — co sił, co sił chłopów tłum”.

I odpowiedź kmieci:

„Naprzód, naprzód, kmiecie, wraz”.

Potem zgiełk starcia, szczęk broni, krzyki, nawoływania, brutalna siła ludzi walczących o życie lub śmierć; jęki i lament ranionych, tratowanych, skopywanych na bok.

Zamieszanie wśród kmieci, pojedynczy woje umykają. Ale namiestnicy ze swoimi drużynami nie ustępują ani kroku.

W samym środku kłębowiska Kalf nieustępliwy jako skała, Tore z nieubłaganym wzrokiem pełnym nienawiści i „Mścicielką” w dłoni, Tore powodowany jedną tylko myślą: Zemsta, zemsta za Olwego, za Asbjórna Mściciela, za Grjotgarda i Torego, za wszystkie niesprawiedliwości, jakie król jego zdaniem wyrządził.

A tam hufce królewskie; czterej bracia Kalfa, Finn syn Arnego knujący bratobójstwo; ochmistrz Bjorn ogromny, potężny; Tormod Kolbrunarskald... A potem Sygryda ujrziała w wyobraźni pośród wojsk królewskich puste miejsce — gdzie winien być Sigvat.

Fala walczących przelewała się to w jedną, to w drugą stronę. Strzały i miotana broń furczały w powietrzu, chyba nie było miecza, który by nie posmakował krwi. Tymczasem zaś niebo groziło nawałnicą, światło dnia gasło...

Szeregi poprzedzające króla przerzedziły się, Olaf kazał rozstąpić się osłaniającym go tarczownikom i przodem ponieść swój znak. Dumnie sunął w pierwszym rzędzie z najdzielniejszymi wojami, w błyszczącym, złotem zdobionym hełmie i mieczem „Baesingiem” w dłoni.

Wokół niego zgiełk narastał; wśród kmiecej gromady przeciskali się ci, którzy szczególnie pragnęli kogoś pomścić. Widziała Olafa: powalił Torgeira z Kvistadu, wymienia ciosy z Torem, rani go w rękę; widziała, jak Tore zabija Bjórna.

Widziała także króla rannego w nogę.

Nagle zgiełk walki jakby się oddalił, Sygryda miała wrażenie, że znalazła się w zaczarowanym kręgu, do którego nic nie przenikało.

Król był ranny. Nagle jasność opromieniła jego twarz. Dumne, surowe rysy złagodniały w uśmiechu, jakby kogoś witał, kogoś nieskończenie drogiego, na czyj rozkaz odrzucił miecz; po czym przegięty do tyłu wsparł się o głaz i wzniosł ramiona ku niebu.

A kiedy włócznia Torego zagłębiła się w jego ciało pod pancerzem, kiedy topór ranił go w szyję, nie poruszył się, tylko z wolna osunął się na ziemię.

Sygrydzie nagle wydawało się, że zbawienie jej duszy zależy od tego, co król myślał w owych ostatnich chwilach.

Czy — jak sądził biskup Grimkjel — że wprowadzenie chrześcijaństwa zależy od Boga, że On mógł ochrzcić Norwegię bez króla Olafa.

A może raniony w nogę zwrócił się z prośbą o siłę i zwycięstwo i wtedy ujrzał Boga, który nie chciał wysłuchać jego modłów o doczesną potęgę? Może w końcu pojął, że człowiek nie ma prawa domagać się szczęścia na ziemi, że jego żądza władzy, dóbr doczesnych, a nawet przywilejów związanych z godnością króla — to wszystko nicosć i zakłamanie, kiedy stajemy przed Bogiem, Panem wszech rzeczy, który wszystkiego żąda i wszystko daje...

Nie wiedziała. Jednakże gdy tak siedziała z głową opartą o głaz, spłynął na nią cichy spokój.

Co król myślał w ostatniej chwili przed zgonem, mogła tylko dociekać, ale nie dowie się nigdy. Bóg natomiast ogłosił swój wyrok ustami biskupa Grimkjela. Cokolwiek król myślał czy pojął — Bóg o tym wiedział i to Mu wystarczyło. A zatem i jej musi wystarczyć.

Syryda pochyliła głowę i złożyła ręce: „Święty Olafie, módl się za mną!”

Słońce zaszło, lecz niebo jeszcze płonęło purpurą. Błada tarcza księżycza zajaśniała wyraźniejszym blaskiem. Syryda zziębła, więc szczelniej otuliła się płaszczem.

Patrzyła na ostatni odblask słońca; wspomniała, jak pierwszej nocy po bitwie pod Stiklestadem myślała, że śmierć Olwego przypominała zachód słońca w letni wieczór. Zastanawiała się także, czy jego zgon był bezcelowy, jak sądziła początkowo. Może Maerin stanowił granicę w życiu króla, tak samo jak i w jej życiu.

Po wydarzeniach w Maerinie król nigdy nie kazał okaleczać ludzi, chyba że zgodnie z prawem — tak twierdził Sigvat. A Finn syn Arnego powiadał, że przed ucieczką z Norwegii król przyznał, iż często rządził przemocą zamiast prawem.

Powoli stało się dla niej jasne, że Bóg całkowicie przyjął skrucę Olwego, pozwolił mu w śmierci dopełnić zadania, którego ku swemu wielkiemu żalowi nie dopełnił za życia, czyli pomagać w chrzczeniu kraju. Bo śmiercią swoją Olve przyczynił się do uświęcenia króla Olafa.

Jednakże Olve dostrzegł drogi Boże i nie chciał pójść nimi; a dopiero w ostatniej chwili poddał się i był skłonny odbyć spowiedź nie stawiając warunków.

Król Olaf natomiast szukał rozmaitych dróg Bożych, choć dostrzegał je niejasno; w końcu zawiodły go do bram niebieskich, które w chwili śmierci stanęły przed nim otworem tak szeroko, aż blask niebiański padł na jego oblicze.

Zorza zachodnia przygasła; księżyc świecił coraz jaśniej, rzucał lodowatą poświatę na równinę, wiatr się zrywał, zimny wiatr.

Sygyda wstając poczuła się zeszywniała z zimna.

Ruszyła w stronę zabudowań i wtedy na ścieżce zamajaczyła postać, przeżegnała się; dziwne byłoby, gdyby upiory nie chadzały po Stiklestadzie. Tym razem jednak był to gospodarz, Torgils.

— Chyba cię nie przestraszyłem — powiedział. — Już niepokoiłem się o ciebie. — A kiedy weszli na dziedziniec, zapytał: — Miałaś widzenie? Zobaczyłaś króla?

— Tak — odparła Sygyda.

Kalf wrócił do Egge około świętego Michała.

Sygyda cieszyła się z mżawki, bo wobec ludzi miała wymówkę, dlaczego nie wyszła mu na spotkanie. Trond natomiast pobiegł ścieżką w dół tak radośnie, aż się Sygydzie serce ścisnęło. Mimo to czuła wyjątkowy spokój oczekując Kalfa w gościnnej izbie. Nawet gdy usłyszała jego głos na dziedzińcu, nie przestraszyła się; raz tylko głęboko odechnęła i wyprostowała się lekko.

Kalf przestąpił próg, Sygyda wstała. On na chwilę zatrzymał się przy drzwiach i patrzył na nią mrużąc oczy, jakby ją mierzył wzrokiem.

— Czy nie powitasz małżonka, Sygydo? — spytał, a wobec jej milczenia zaśmiał się cicho.

— Owszem — odparła zbliżając się do niego. — Przecież chyba nie wątpisz.

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek, uśmiechał się drwiąco. Wyciągając do niego rękę pochyliła głowę, lecz szybko znowu podniosła oczy.

Twarz jego wydawała się zgorzkniała, wyniszczona. Już raz go takim widziała. Nagle przypomniała sobie. To było w Kaupangu rankiem nazajutrz po ich zaślubinach, kiedy udała, że chce go zabić. Ale wtedy łatwo było okupić wyrządzoną przykrość.

Sunniva podeszła chwiejąc się trochę na nogach i stanęła obok matki z palcem w buzi; Sygyda podniosła małą

i przytuliła obronnym ruchem. Milczenie Kalfa wydawało się jej nie do wytrzymania, toteż kiedy oczy ich spotkały się, ona patrzyła niemal wyzywająco.

— Na co czekasz? — spytał gniewnie potrząsając głową.
— Czy nie zatroszczysz się o małżonka, aby mógł umyć się i ogarnąć powracając z dalekiej podróży?

Kiedy zostali sami, przyjmował jej pomoc w milczeniu, jakby była dziewczką służebną.

Podczas wieczery w biesiadnej sali był wesół, żartował z Trondem, zagadywał Sunnive. Nawet wobec Sygrydy zachowywał się życzliwie, ale ona wyraźnie czuła, że czynił to dla pozorów, dla ludzkiego oka. Przyszło jej na myśl, że może chciał ją dręczyć długo a powoli, radować się jej niepokojem i upokorzeniem.

W najbliższym czasie zyskała tę niezachwianą pewność: zamierzał ją dręczyć powoli. Między ludźmi zachowywał się, jakby nic nie zaszło. Ale jeśli zostali sami, nie skrywał ani rozgoryczenia, ani pogardy. Nie był rozdrażniony lub zły — drwił spokojnie, jadowicie.

Wkrótce też okazało się, iż nie zamyśla poniechać swoich praw małżeńskich. Lecz kiedy ją brał, robił to obojętnie, oziębłe, aż Sygryda dziwiła się, czemu raczej nie da jej spokoju.

Pewnego wieczora spytała go o to.

— A dlaczego przedtem zgadzałaś się sypiać ze mną?
— zapytał on z kolei.

— Zostałam ci poślubiona.

— Powinnaś mi na kolanach dziękować, że nie udaję kochania, którego nie czuję — odparł Kalf. — I musisz zadowolić się nadal tym, żeś mi poślubiona. Czy prócz mnie ktoś wie, że nie jestem ojcem Sunnivy?

— Spowiadałam się.

— Nikt więcej?

— Helena córka Torberga wie, co się stało. Wiedziała, odkąd Sigvat był w Egge.

Kalf parsknął śmiechem.

— Teraz rozumiem, czemu się tak nagle przyjaźnicie. Swoją ciagnie do swego. Mogłem się domyślić, że tyle miłości

okazujesz dziewczynie nie ze względu na Grjotgarda, ale że coś się pod tym kryje!

— Polubiłam Helenę — odparła Sygryda oschle. — Czy ni to, co ja powinnam była zrobić — odmawia ponownego zameścia.

— Naprowadziłaś ją na tę myśl opowiadając o mnie.

— O tobie powiedziałam tylko, że jeśli nie jest nam dobrze, ja zawiniłam.

— Nie zmieniłaś się. Kłamiesz szybciej, niż koń cwałuje! Alem teraz mniej łatwowierny niż dawniej. Zresztą muszę stwierdzić, że Helena ostatnio zrobiła się wielka i okrutnie świątobliwa; co dzień biega na mszę. Czy nie lepiej, żeby się wzięła do pożytecznej roboty? A może zwolniłaś ją od pracy, chcąc jej zamknąć gębę?

— Helena milczy przez wzgląd na Sunnivę, a nie na mnie. Do kościoła zaś idzie modlić się za Grjotgarda i swoich rodziców.

— Będzie miała sporo roboty, jeśli zechce otworzyć bramy niebieskie rodzicom! Chyba ich gorzej pograży latając do kościoła, zamiast pracować we dworze.

— Usiłuje wieść czyste życie; pragnie odpokutować ich winy oraz swoje grzechy.

Kalf znów parsknął śmiechem.

— Nie lepsza ona od innych kobiet. Każdą można mieć za jakąś cenę, czy to będzie zwykła zapłata, czy innego rodzaju korzyści. Najwięcej szacunku mam dla tych, które jawnie biorą zapłatę. One bądź co bądź nie udają.

Sygryda milczała, przytyk był trafny.

— Helena nie zasługuje, aby tak o niej mówić — zauważyła po chwili. Kalf uśmiechnął się pogardliwie.

— Kto jeszcze wie o Sunnivie? — spytał znowu.

— Powiedziałam Toremu, memu bratu.

— A bodaj cię trolle... Dlaczego to zrobiłaś?! — krzyknął zrywając się.

Sygryda od razu zdała sobie sprawę, że Kalf nie mniej niż ona pragnął sprawę zataić. Zdziwiła się, czemu tego wcześniej nie pojęła. Gdyby cały świat dowiedział się, że Sunniva nie jest córką Kalfa, szarpaliby jego dobrą sławę

tak samo jak i jej! Odetchnęła z ulgą, ale tylko na mgnienie oka.

— Myślałam, że mogę potrzebować pomocy po twoim powrocie — odpowiedziała na pytanie Kalfa.

— Tore w Rzymie nie na wiele ci się przyda.

— Powiedział, że pogada z tobą, jak wróci, jeśli postąpisz ze mną przeciwko ustawom.

— Znam równie dobrze prawa jak on — zaśmiał się Kalf. — Ale znam inne sposoby wymiaru sprawiedliwości, bez łamania prawa.

Sygyda przekonała się, że Kalf istotnie zamierzał jej odpłacić za to, co mu uczyniła. Ani jednej sposobności nie przepuścił, by jej dopiec, okazać pogardę.

Kiedyś pragnęła, aby ją ukarał, aby był surowy; myślała, że to pomoże, złagodzi dręczące wyrzuty sumienia. Teraz jednak, kiedy naprawdę kazał jej pokutować, była ogromnie temu nierada; chciała być ukarana, to prawda, ale równocześnie chciała sama stanowić, w jaki sposób i jak dotkliwie. Z biegiem czasu było jej coraz trudniej znosić jego pogardę i wrogość z wymaganą cierpliwością.

Najgorsze było, że robił co mógł, aby odciągnąć od niej Tronda; zabierał chłopaka na łowy, na przeglądy trondheimskiego okręgu, uczył władania bronią. Z wielu powiedzeń syna miarkowała, że jadowicie szczuł chłopaka przeciwko matce.

W Stiklestadzie zyskała poczucie bezpieczeństwa; czerpała zeń jak ze studni, ze źródła, do którego można się uciec w każdej potrzebie. Teraz miała wrażenie, że ono jest na wyczerpaniu.

Szukała pomocy u księży, mówili o pokucie i pokorze. Co dzień chodziła do kościoła, poświęcała więcej czasu chorym i ubogim, trochę to pomagało, niemniej jednak z trudem zachowywała spokój wobec Kalfa.

Tymczasem spokój Sygydy i to, że nie mógł jej wytrącić z równowagi, drażniło Kalfa, wobec czego szukał najprzeróżniejszych sposobów dokuczenia. Z uśmiechem brzydkiego zadowolenia przyszedł do niej pewnego dnia na początku miesiąca bicia zwierząt.

— Ta twoja święta Helena nie jest taka święta, jak jej wmawiasz! — oświadczył.

— Co masz na myśli? — Coś w brzmieniu jego głosu zaniepokoiło Sygrydę.

— Spytaj ją sama! — roześmiał się Kalf.

Sygryda usiłowała odszukać Helenę, ale nikt nie wiedział, gdzie dziewczyna się podziała. W końcu, choć niechętnie, musiała zapytać o to Kalfa.

— Ostatnio widziałem, jak leżała na sianie w stodole — odpowiedział ze złośliwym prześmiechem.

— Kalf, czy ty...

— Możesz sobie powiedzieć, żem wziął nałożnicę. Za to mnie nie potępisz!

Gniew, niechęć, rozpacz kłębiły się w jej sercu i zakorzeniały coraz głębiej a głębiej. Na powierzchni natomiast uczucie zniechęcenia zasklepiało się niczym tafła lodowa nad odmętym; chodziło może nie tyle o to, co uczynił, ile o sposób. Pomyśleć, że właściciel Egge leżał na sianie w stodole ze służebną! Czy nie mógł uwodzić dziewcząt w przystojniejszy sposób!

— Jeśli miałeś chęć na dziewczynę, powinieneś być przynajmniej zachować się jak przystoi gospodarzowi na Egge, a nie lubieżnemu parobkowi — rzekła zgryźliwie.

— Jeszcze miary nie straciła, jak widzę — odparł. Po czym odwrócił się i wyszedł.

Sygryda z wahaniem przestąpiła próg stodoły. A po wejściu dłuższą chwilę rozglądała się w półmroku, nim zauważyła Helenę. Skulona przycupnęła w kącie z twarzą ukrytą w kolanach.

Stodoła była pełna siana; Sygryda brnęła w nim po kolana i z trudem torowała sobie drogę, nim znalazła się obok dziewczyny. Pył i kurz drażniły oczy i nos.

— Heleno — szepnęła stając przy niej. Helena nie podniosła głowy. Dopiero kiedy Sygryda położyła jej rękę na ramieniu, spojrzała w górę, ale w półmroku twarzy jej widać nie było.

— Po coś tu przyszła? — spytała bezdźwięcznym głosem.
— Czy nie wiesz, co się stało?

— To nie jest wyłącznie twoja wina.

Helena nie odpowiedziała, siedziała zapatrzona w próżnię. Potem nagle zwróciła się do Sygrydy:

— Idź sobie! Niewartam, żebyś się do mnie odzywała.

— Lepiej niż ktokolwiek wiesz, że nie mam prawa sądzić innych. I pewna jestem, że on cię uwodził, a nie przeciwnie.

Helena nieoczekiwanie zaczęła płakać cicho, bezradnie. Sygryda mogła tylko domyślać się tego, bo dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i nierówno oddychała. Usiadła zatem obok niej i czekała, aż się uspokoi.

— Pomogłoby ci, gdybyś mi wszystko opowiedziała? — spytała w końcu.

Helena płakała nadal. Dopiero gdy Sygryda wstała, żeby odejść, zaczęła mówić. Unikała wzroku Sygrydy; słowa padały ciche, bezdźwięczne.

Kalf na różne sposoby próbował ją zwabić na osobność, ale mu się wymigiwała. Nie przyszło jej to łatwo, bo mimo wszystko była służebną, a on panem dworu. W końcu powiedział, że jeśli dalej będzie mu umykała, ujawni wszystkim prawdę o Sunnive; odesła dziewczynkę ze dworu, a sprawę niewierności Sygrydy wniesie na ting.

Sygryda oniemiała.

— A zatem ze względu na Sunnive i na mnie załamalaś się w postanowieniu trwania w czystości? — spytała.

— Nie — Helena potrząsnęła głową. — Pomyślałam, że mogę się wypowiadać, Bóg mi wybaczy, jeśli raz uległam Kalfowi dla ratowania ciebie i Sunnivy.

— No i co?

Helena znowu zapłakała, ale tym razem gwałtownie, Sygryda ją objęła.

— Wiesz, że nigdy dotąd nie miałam innego prócz Grjotgarda — Helena łkała, aż trudno było ją zrozumieć. — I nigdy nie myślałam, że z innym poczuję to samo co z nim. Ale... — tym razem zamilkła na długo. W końcu między dwoma szlochami wyszeptala tak cicho, że Sygryda ledwo mogła uchwycić słowa: — Skończyło się na tym, że go błagałam o jeszcze raz.

— I zrobił to?

Helena kiwnęła głową.

— Mogłam sobie oszczędzić wysiłków, żeby być lepszą niż matka — rzekła rozgoryczona. — I więcej nie będę próbowała. Miały słuszność te wiedźmy, które mówiły, kiedy jeszcze byłam smarkata, że stanę się do niej podobna. Teraz już nie będę wypędzała mężczyzn z mego łóżka!

Sygyda dłuższy czas siedziała w milczeniu. Pamiętała, jak niegdyś nienawidziła Khadidży, nałożnicy Olwego; teraz uderzyło ją, że nigdy dotychczas nie odczuwała tak dobitnie, jak mało Kalf dla niej znaczył. Dawniej mimo niechęci i rozżalenia płonęła w niej iskierka nadziei, że sprawy lepiej ułożą się między nimi, teraz iskierka zgasła. Ten Kalf, który uciekał się do podłego fałszu dla zwabienia Heleny w nie-szczęście, nie był jej potrzebny, nawet gdyby był zdolny dać jej wszystko, co miała z Olvem albo mogła znaleźć z Sigvatem. Niech sobie bierze dziesięć nałożnic, nic jej to nie obchodzi; martwiła się natomiast losem Heleny.

— Czy nie mogłabyś porozmawiać z księdzem Anun-dem? — spytała w końcu. Helena przestała płakać, roze-śmiała się drwiąco z pytania Sygydy.

— On nic z tego nie pojmie.

— Może więcej, niż sądzisz.

— A nawet jeśli pojmie, co to pomoże? Ladacznica jest ladacznicą, choćby ksiądz nie wiem co gadał.

— Pomów z księdzem Jonem — podsunęła Sygyda w rozpacz. — On może będzie mniej pouczał, a więcej zawierzy sile modlitwy.

Helena w dalszym ciągu kręciła głową. A kiedy Sygyda chciała ją bliżej przygarnąć, została odtrącona.

— Mądrze uczynisz mając odtąd mniej do czynienia ze mną — mówiąc to Helena usiłowała nadać głosowi ostre brzmienie, ale nie zdołała. Wstała i potykając się w sianie poszła ku wierzejom, tam otrzepała suknię, po czym wyszła...

Sygyda nie zrobiła najmniejszego ruchu, by ją zatrzymać.

Licyła, że Kalf będzie się trzymał z dala tej nocy tak jak poprzedniej. On jednak przyszedł i mało tego, chciał z nią spać.

Sygydę aż zemdliło z obrzydzenia; odtrąciła go w głuchej rozpacz nie biorąc wcale na zdrowy rozum, że to było bezcelowe. A jej opór rozbawił go tylko.

— Nie chcesz swego męża? — zapytał.

Skuliła się, podpełzła pod ścianę. Walczyła niemal do ostatniego tchu i do końca się nie poddawała.

A kiedy było już po wszystkim, czuła, że łzy napływają jej do oczu, zdobyła się jednak na tyle siły woli, by je pohamować. Nie użyczy takiego tryumfu, aby ją miał upokorzyć aż do łez.

Leżąc bezsennie zapatrzona w ciemności zrozumiała, co Kalf zamyslał mówiąc, że nie potrzebuje łamać prawa, aby się zemścić.

2

Sygydę dawniej gniewało, że Kalf potrafił za dużo wypić, tej jesieni było przeciwnie. W duchu pragnęła, aby upijał się do nieprzytomności, on tymczasem pozostawał rozpaczliwie trzeźwy.

Od wydarzenia z Heleną Sygyda od nowa zaczęła mu się stawiać, uważała bowiem, że nie ma nadal obowiązku przestrzegania pokory lub cierpliwości, a odkąd stwierdziła, jak ogromnie Kalfowi zależy na ukryciu przed ludźmi prawdy o Sunnovie, przestała się lękać, że wypędzi dziecko ze dworu. Wkrótce też zauważyła, że nie był tak nieczuły, jak się wydawało, i że bardzo łatwo go dotknąć.

Doszło do tego, że kiedy zostawali sami, kłócili się półgłosem, lecz tak zajadle, jakby stawali w zawody, kto komu mocniej dopiecze. Każde z nich uważało za osobiste zwycięstwo, jeśli odkryło bolesne miejsce przeciwnika.

Niedługo po powrocie Kalf opowiadał, że latem najeżdżał zachodnie wybrzeże. Ledwo zauważył, jak bardzo to się Sygydzie nie podobało, niezmordowanie mówił o okrucieństwach, których się dopuścił na wyprawie.

Pokazał jej przywiezione bogate łupy, część z nich wyraźnie dowodziła, że pobożność nie przeszkadzała mu rabować klasztory oraz kościoły. Wytknęła mu to.

— Chrystus nie dał mi szczególnych powodów do wdzięczności — odpowiedział. — Kiepsko nagrodził mnie za tyle lat wiernej służby. A zresztą zaopatrzyłem się tylko w potrzebne mi dobra.

Przez mgnienie oka Sygryda miała chęć wyjaśnić mu, że się myli, że tego rodzaju poczynania niechybnie zawiodą go do piekła. Potem jednak wzruszyła ramionami i dała spokój. Dlaczego miała troszczyć się o jego zbawienie? On bez wątpienia radowałby się, gdyby ona została na wieki potępiona.

Wiedziała, że źle jest tak myśleć; pamiętała słowa księdza Jona — nauczał, iż należy modlić się i odprawiać mszę nawet za tych, których nienawidzimy, nawet za złych. Jednakże jej niechęć do Kalfa była zbyt silna, nie mogła się zmusić do wymienienia jego imienia w modlitwie.

A mimo wszystko myśl o świętym Olafie i o jego przebaczeniu skłoniła ją do wyjawienia swoich trudności Anundowi w czasie spowiedzi. Anund z czasem stał się wobec niej z powrotem naturalny; przestał jej unikać, jak robił to z początku po spowiedzi o pokusach Odyna.

— Nie postępujesz wiele lepiej niż Kalf — zauważył.

— Wiem, żem zgrzeszyła — rozgniewała się Sygryda. — Ale pokutowałam. I nie prawuję się z Bogiem jak Kalf.

— Nie twoja to zasługa — odparł ksiądz. — Zwiększyły się wymagania wobec ciebie, a nie twoja świętość. Im lepiej ktoś pojmuje chrześcijaństwo, tym większe wymagania są mu stawiane.

Siedzieli w izdebce księdza Anunda w steinkjerskim dworze. Dzień był chłodny, na kominie rozpalono ogień; Anund wstał i poprawił polana, aby podsycić płomień.

— Stopniowo pojmujemy, że Bóg nie żąda od nas tylko cząstki — wyjaśnił siadając z powrotem. — On żąda wszystkiego. Wymaga, abyśmy zapomnieli o sobie dla Niego, abyśmy ze wszystkich sił miłowali bliźniego, nie tylko licząc na wzajemność, ale nawet nie spodziewając się zrozumienia lub należytego docenienia.

Sygryda patrzyła w ogień. Ogarnęło ją uczucie bezradności.

— Nie mogę uwierzyć, aby Bóg, który miłuje ludzi, oczekiwał od nich więcej niż to, na co ich stać — rzekła w końcu.

— A na jakiej podstawie sądzisz, Sygrydo, że ciebie nie stać na więcej? „Wszystko zdołam uczynić w Panu, który mnie umacnia” — mówił święty Paweł...

Sygryda nie mogła się powstrzymać od wybuchu.

— Zatrzymaj dla siebie, co święty Paweł mówił — rozłościła się. — On był świętym, a ja ani nie jestem, ani nie będę świętą.

Anund wzdrygnął się i ciężko westchnął.

— Naszym obowiązkiem jest czynić wszystko, co zdołamy, aby prowadzić świątobliwy żywot.

— Spodziewasz się po mnie więcej, niż można ode mnie słusznie wymagać. Próbowałam być cierpliwa i dobra dla Kalfa.

— Czy robiłaś to ze względu na Kalfa, czy też chciałaś się popisać chrześcijańską pobożnością?

Już zamierzała coś odburknąć, lecz się powstrzymała. Zarzut był trafny.

— Skarżysz się, że stawiam ci wymagania, którym nie zdołasz sprostać. Mówisz z pogardą o Kalfie, bo według ciebie on gorzej pojmuje chrześcijaństwo niż ty. Ale tam, gdzie tobie nie dostaje, lekkomyślnie stwierdzasz, iż nikt nie może liczyć na to, byś została świętą.

Sygryda nadal milczała.

— Może łatwiej by ci przyszło być dobrą i cierpliwą wobec Kalfa, gdybyś myślała, ile ty jesteś winna temu, co zaszło — rzekł ksiądz ostrzegawczo.

— Winna... — Sygryda dumnie potrząsnęła głową. — Czy nigdy nie będzie temu końca? Czy to się musi wlec w nieskończoność, jeśli człowiek zgrzeszył?

— Otrzymujemy Boże przebaczenie — odparł Anund.

— Nie powstrzymuje ono jednak skutków popełnionego grzechu; może konieczność ponoszenia tych skutków należy do pokuty. Podobnie dzieje się, kiedy roześlemy wici,

choćbyśmy żałowali, nie zdołamy ich powstrzymać, za prędko się rozchodzą, by można je wycofać.

— Czy uważasz, że zawiniłam temu, co stało się z Heleną?

— A co ty sama sądzisz?

— Dostyc mam własnych grzechów — rzekła wstając.

— Nie Ucz, że wezmę na siebie grzechy jej rodziców i Kalfa, i wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili jej niedoli. Zrobiłam dla Heleny więcej, niż do mnie należało.

Wyszła bez pożegnania z księdzem Anundem.

Mimo to słów Anunda nie mogła zapomnieć. Im dłużej o nich rozmyślała, im dokładniej starała się rozróżnić winę Kalfa i własną, tym było jej trudniej. W końcu rozważyła jedno i to samo; gdyby Kalf nie był taki — ona byłaby inna, ale gdyby postępowała inaczej, może on...

Odpędzała te myśli; a jednak niemal wbrew woli starała się być trochę miłsza dla Kalfa. Tymczasem on kpił nawet z tych usiłowań, zresztą dość powierzchownych. Sygryda rychło dała wyraz swemu rozżaleniu.

Pewnego wieczoru po okropnej kłótni długo leżała bezsennie i rozmyślała. Poszło im o Helenę. Dziewczyna przestała Kalfa obchodzić — tak twierdził. Zdobył ją, bo chciał dowieść Sygrydzie, że może to zrobić. Teraz przeszła w ręce innych.

Sygryda była wściekła, bo nie umiała znaleźć odpowiedzi, która by go ubodła równie silnie, jak ją sprawa z Heleną. Obecnie uprzytomniała sobie, że wszystko co mogło go zabołec, powtarzała już tyle razy, że słowa jej straciły moc. Mimo to szukała w przeszłości, czym by go dotknąć.

Nagle ocknęła się z zamyślenia — ktoś ją wołał. Głos Torego.

Zerwała się z krzykiem.

Stał na środku komory ociekający wodą.

Spojrzał na nią i jakby chciał coś powiedzieć. Potem podniósł rękę do srebrnego krzyża wiszącego na szyi. i widzenie znikło.

Sygryda opadła na łoże, załamana wybuchnęła płaczem.

Tore nie żył. Nie miała najmniejszych wątpliwości; pokazał się jej, żeby o tym dać znać. Nigdy więcej nie przyjedzie; nie miała na kogo czekać, na kim się wesprzeć, nikt jej nie udzieli rady.

Teraz była samotna, zdana na łaskę i niełaskę Kalfa.

— Czego rozpaczasz? — spytał przebudzony.

Nie odpowiedziała. Niech robi z nią, co chce; może nią gardzić, może być szorstki, bezlitosny. Nic nie zdoła zranić jej boleśniej.

— Co się stało? — spytał znowu.

— Tore umarł — odparła. Trudno, niech wie, jej i tak wszystko było obojętne. — Widziałam go.

Kalf milczał, Sygryda płakała nie zwracając uwagi na męża. Po chwili poczuła, że otoczył ją ramieniem. Wstrząsnęła się, myślała, że chce ją brać. On jednak leżał spokojnie i bez słowa mocno przygarniał ją sobie. Nie zrobiła najmniejszego ruchu, by się uwolnić, lecz łez pohamować nie mogła. Płakała, aż usnęła ze znużenia.

Następnego ranka Kalf zbudził się pierwszy, zapalił świecę, usiadł na łożu i przyglądał się Sygrydzie.

Z początku myślała, że śni, bo w oczach jego nie było ani wrogości, ani nienawiści. Patrzył raczej ze współczuciem. Mimo to odruchowo usunęła się, kiedy wyciągnął ku niej rękę.

Przypomniała sobie słowa księdza Anunda o jej winie, a równocześnie rozbudziły się w niej owe tajemne wątpliwości stale powracające od rozmowy z księdzem.

Skąd mogła wiedzieć na pewno, że nie zawiniła wszystkimu, co się stało, nawet z Heleną?

Toteż kiedy Kalf ostrożnie przyciągnął ją do siebie, nie stawiała oporu, westchnęła tylko głęboko, jakby się od czegoś wyzwoliła.

On zrobił pierwszy krok do zgody. Nagle poczucie winy wzięło u Sygrydy górę, jej nieprzejednanie i nienawiść rozwiały się wobec świadomości, że niezależnie do wydarzeń, życia ich splatają się tak ściśle, iż trudno rozróżnić, ile które z nich zawiniło. Oburącz ujęła głowę Kalfa i przytuliła jego policzek do swego.

- Kalf, czy zdołasz mi wybaczyć? — szepnęła.
- Myślałem o tym dzisiejszej nocy — odparł powoli.
- Mniemam, że oboje dokuczyliliśmy sobie aż nadto.
Zamiast odpowiedzi wybuchnęła płaczem.

— Uspokój się, Sygrydo — szepnął. Wyciągnął rękę i nieśmiało gładził jej włosy. Wspomniała pierwsze dni po ślubie, wobec jego niezręcznej czułości udawała wtedy, że darzy go uczuciem.

— Ja nie miłuję cię, jak... jak... — zaczęła.

— Jak miłowałaś Olwego, a mogłaś pokochać Sigvata.
Wiem.

— Okazałam ci to, niestety...

— Nie dałaś mi zachować wątpliwości — odparł oschle.

— Ale nad tym właśnie, między innymi, rozmyślałem dzisiejszej nocy. Choć ty mało troszczysz się o mnie, a ja nawet nie wiem, czy nadal cię miłuję, jesteśmy małżonkami. I nadal nimi pozostaniemy. Jeśli ode mnie nie uciekniesz.

— Dokąd miałabym uciekać? — spytała. I znów się rozplakała. Miała wrażenie, że łzy nigdy nie przestaną jej napływać do oczu. Kalf patrzył bezradnie.

— Ciiiicho, ciiiicho — uspokajał ją tylko.

W końcu jednak przestała szlochać, przysunęła się do Kalfa, przy nim szukała schronienia.

— Proszisz mnie o wybaczenie — odezwał się nagle Kalf.

— Czy pamiętasz? Obiecałem niegdyś, że nigdy nie pożałujesz, żeś mi się oddała? Chyba źle dochowałem przyrzeczenia.

— Nie żałuję, teraz — odparła Sygryda. Wspomniała, że gardziła nim za wielką czułość, dziś jego dobroć i miłość wydały się jej cudownym skarbem. Zamknęła oczy, przytuliła twarz do jego szyi; potrzebowała ciepła i bezpieczeństwa — już prawie zapomnianego. Kalf jednak ujął jej twarz w obie ręce i bacznie się w nią wpatrywał.

— Czy szczerze to mówisz? — spytał. — Nie warto strzepić języka...

— Możesz być pewien. Już wiem, do czego to prowadzi.

— Opowiedz mi wszystko, co zaszło między Sigvatem a tobą — poprosił niespodziewanie.

— Czyś pewien, że tego chcesz?

— Tak. Nic może być gorzej, niżli sobie wyobraziłem.

Leżał cicho, podparty na łokciu, i słuchał. Opowiadała mu nie tylko o Sigvacie, ale także o swojej skrusze i pokucie, a zakończyła stwierdzeniem, że po bitwie pod Stiklestadem ogromnie pragnęła, aby nic ich więcej nie dzieliło.

— Pomogłaś mi wczoras, kiedy czułem się winien śmierci mego brata Kolbjórna — rzekł Kalf. — I o tym pamiętałem. Ale przypomniałem sobie jeszcze wyraźniej dzisiejszej nocy, kiedy powiedziałaś mi o stracie brata.

— Nie wiem, czemu potem wszystko szło na opak. Chciałam być dobra, a nie wychodziło mi — powiedziała Sygryda.

Kalf na to nie dał odpowiedzi, po chwili Sygryda wstała i zaczęła się odziewać, Kalf wstał również.

— Ciekawam, co ludzie myślą. Już musi być późny ranek — zauważyła.

— Niech sobie myślą, co chcą, byle nie wiedzieli, co się z czym wiąże.

Sygryda była pewna, że Tore nie żyje, ale jej rozpacz łagodziło pogodzenie się z Kalfem. Brat oddał jej jeszcze jedną przysługę, wspomógł nawet śmiercią.

Nie miała wrażenia, że straciła go na zawsze; istniała przecież nadzieja spotkania. Tore może nigdy nie dotarł do ziemskiego Jeruzalem, ale był na drodze do niebiańskiego. Kazała odprawiać za niego modły i msze, aby jak najszybciej wyszedł z ognia czyścowego; jakże radowała ją, że może mu się odzwajemnić.

Takiego nieurodzaju zbóż jak tego roku nie było w całym Trondheimie za ludzkiej pamięci. Rok poprzedni dał ledwo zadowalające plony, toteż nawet najbogatsi kmiecie zaczęli szczędzić jadła. W małych zaś dworach, gdzie ludzie

nie zdołali zgromadzić zwykłego trzyletniego zapasu ziarna, myślano o domieszaniu kory do mąki.

— Rządy Danów to sprawiły — powiadali ludzie. — Nie można oczekiwać, że święty Olaf i jego Bóg pomogą królowi Svenowi.

Rządy Danów ciążyły z każdym miesiącem coraz bardziej. Nie tylko sprowadziły klęskę nieurodzaju; mimo nędznych zbiorów król nie odstępował od swoich przywilejów. Musiał dostać daninę godową* oraz podymne jak zazwyczaj. Każda niewiasta winna była nadto oddać miarę płótna, nic też dziwnego, że tego roku namierzając je dla króla wszystkie miały dużo krótsze palce.

Jesienią Kalf z domownikami ciągle jeździli na łowy, aby dostarczyć mięsiwa dla dworu. W starej biesiadnej rozwieszano świeże garbowane skóry do wyschnięcia; panował tam nieopisany zaduch.

Pewnego dnia około świętego Andrzeja Kalf wchodząc do świetlicy zastał w niej Sygrydę z Sunnivą i kilkoro z czeladzi. Sygryda siedziała przy krosnach, Kalf na mgnienie oka zmarszczył brwi. Odkąd opowiedziała mu o sobie i Sigvacie, nie lubił patrzeć na tkanie.

Spojrzał na Sunnive. Bawiła się siedząc na niskim stołku u nóg matki. Kalf, wiedząc o wszystkim, bez trudu dopatrywał się podobieństwa małej do ojca.

Natomiast Sunniva na widok Kalfa zerwała się i podbiegła wyciągając ku niemu ręce. Zauważył niespokojne wejrzanie Sygrydy, i nie tyle słyszał, ile domyślił się, że westchnęła z ulgą, kiedy pochylił się i uniósł dziecko.

Sunniva piszczała z zachwytu, bo podniósł ją wysoko, wysoko, a znalazłszy się z powrotem na ziemi, podskakiwała radośnie wołając: „Jeszcze, jeszcze!” Kalf jednak potrząsnął głową i poszedł usiąść na zwykłym swoim miejscu. Sygryda tymczasem wstała i zabrała małą; wracając do krosien tuliła dziecko co siłą.

* Danina ta wyznaczona przez króla Svena składała się z udźca trzyletniego wołu oraz baryłki masła (przyp. aut.).

Kalf mimo woli nie spuszczał z nich wzroku, widok czułości, z jaką Sygryda odnosiła się do tego dziecka, bolał niczym rozjątrzona świeża rana. Znowu zmarszczył brwi, bo wzbraniał się takiemu uczuciu.

Sądził, że wybaczył Sygrydzie. Starał się pamiętać, że podczas wypraw nawet nie usiłował dochowywać małżeńskiej wierności. Jeśli od mężczyzny tego nikt nie wymagał, to może i niewiastom nie zawsze było lekko.

Ale nikt również nie oczekiwał, że kobieta uzna takie dziecko za prawowite i że będzie się ono ciągle i bez przerwy nasuwało przed oczy. Musiał przyznać także, że i po nim nikt by się tego nie spodziewał. Jednakże tak jak sprawy się miały, nie było innego wyjścia.

Bodaj trolle uprowadziły Sigvata! — pomyślał nagle. Tak nastawać na Sygrydę, jak on to robił! Powinien był albo rozmówić się z Kalfem w Kaupangu, wówczas kiedy obaj chcieli ją dostać, a sprawa byłaby między nimi wyjaśniona, albo też należało jej unikać, jak cześć nakazywała.

Ilekróć Kalf widział uśmiech Sunnivy, miał wrażenie, że to Sigvat naigrawa się z niego.

Sygryda znacznie więcej zajmowała się Sunnivą niż robotą. Mała prędko się uspokoiła, bo dostała do zabawy kłębuszek, mimo to matka nie przestawała z nią gawędzić.

Wolała, aby córka mniej Ignęła do Kalfa; z czego to wynikało — nie wiedziała. Mimo wszystko bowiem w jej mniemaniu aż nadto rzucało się w oczy, że życzliwość Kalfa dla małej była wymuszona. Ale cóż mogła zrobić; gdyby trzymała Sunnivę z dala od Kalfa, obudziłaby podejrzliwość domowników. A nadto dziecko było zarówno ładne, jak i miłe, toteż Sygryda skrycie żywiła nadzieję, że jednak na przekór wszystkiemu Kalf polubi dziewczynkę.

Zerknęła na niego ukradkiem, zamysłony marszczył brwi, głowę z lekka pochylił. Zatracił ów chłopięcy wyraz twarzy, jaki pamiętała z pierwszego okresu po ślubie. Troska po śmierci króla Olafa wycisnęła na niej piętno, a rozgoryczenie ostatnich miesięcy naznaczyło jego oblicze jeszcze głębszymi bruzdami.

Dziwowała się, czemu ponure myśli wywołane przyczynieniem się do śmierci króla Olafa nie dręczą go nadal. Jeśli doskwierały mu przed kanonizacją Olafa, można by sądzić, że teraz miał po temu dużo więcej powodów. Sygryda uśmiechnęła się mimo woli wspominając dawne przekonanie, że zna Kalfa syna Arnego na wylot!

Odkąd się pogodzili, nieraz ją zadziwił. Był dla niej miły i przyjazny, lecz osobliwie daleki, rzadko kiedy odzywał się, jeśli konieczność nie nagliła. Natychmiast po powrocie z wikingowskiej wyprawy kazał wyprowadzić dzieci z komory, teraz sypiał w ich dawnym łożu, jej nigdy nie tknął. Sygryda zaczynała przypuszczać, że miał nałożnicę, ale jeśli tak było, to krył się znakomicie.

I jeszcze jednej rzeczy pojąć nie mogła: nieugięty, bezwzględny mężczyzna, jakiego poznała tej jesieni, był tym samym miłym, cierpliwym Kalfem, z którym żyła w małżeńskim stadle od dziesięciu lat. Wprost niewiarygodne, że w jednym człowieku mogło tkwić dwóch zupełnie odmiennych.

Co prawda myślała prawie tak samo w noc poślubną w Kaupangu. Dziwiła się nie tylko Kalfowi. Widywała tylu mężczyzn wiodących podwójny żywot, jeden pośród gwałtu i bezprawia poza krajem, a drugi w zgodzie z prawem w domu. Teraz poznała Kalfa wikinga.

Wówczas myślała także o Olvem. Dziś, siedząc przy krosnach, również powróciła do niego myślami, do jego życia i walki.

Pojęła, że jeśli zaniechał życia wikinga, to skłoniły go do powzięcia tego postanowienia raczej zagraniczne obyczaje i sposób, w jaki tam ludzie pędzili żywot. Nauka chrześcijańska zapadła mu głęboko w serce, utkwiła mocno i nie dawała spokoju.

Jeśli od niej odstąpił, to dlatego że nie mógł być wybitną osobistością w chrześcijaństwie, nie mógł zostać świętym; takiego ponizenia Olve syn Grjotgarda, wywodzący się z rodu Odyna, znieść nie mógł. Wobec czego daremnie usiłował uciec od tej nauki: wymagała bowiem od niego więcej, niż był skory dać. Wymagała, aby wzgardził tym, co

cecił ponad wszystko: sławą wojownika, bezwzględną surowością, dumą w małych i wielkich sprawach, nawet dumą rodu Lade, który pysznił się pochodzeniem od Odyna. A w zamian żądał, aby ceniał to, czym nauczył się gardzić w najwyższym stopniu: pokorą i łagodnością. Jakże on, urodzony na prawdziwego mężczyznę i przywódcę, mógł dawać prym zaletom, które przystają niewolnej służebnicy?

Przekleństwem Olwego nie była niemożność pojęcia chrześcijaństwa — jak sam twierdził. Ale wręcz przeciwnie, to że rozumiał je zbyt dobrze. Nie mógł tak jak Kalf przyjąć nowej nauki jako zwykłej zmiany bogów i żyć nadal jak dawniej. On dostrzegał, że to jest kres wszystkiego, czym żył i czym był, dlatego na każdym kroku walczył przeciwko skłonności, którą musiał uważać za słabostkę godną pogardy.

Nagle — jakby w widzeniu — ujrzała siebie: ujrzała siebie toczącą tę samą walkę, na oślep przeciwko czemuś... ujrzała ten obraz niby w świetle błyskawicy. A w głębi ciemności.

Chwilę siedziała niczym skamieniała. Przecież wyżyła się dumy, była dosyć pokorna...

„Chciałaś popisać się chrześcijańską pobożnością?” — wspomniała słowa Anunda. Z trudem łapała powietrze. Istotnie — czyż widząc, że nie doceniają jej chrześcijańskiej postawy, nie zaczęła walczyć na ślepo, powodowana pragnieniem zemsty i nienawiścią?

Niemal z przerażeniem rozejrzała się wkoło, bo głos Sunnivy wyrwał ją z zamyślenia. A kiedy odpowiedziała córeczce, skierowała wzrok w stronę Kalfa; przepaść między nimi istniała, choć się pogodzili.

Gdyby Olve wyczuł podobną przepaść, wyjaśniając myśli, których ona nie pojmowała...

Sygryda nagle zerwała się i poszła po płaszcz. Bez słowa wyszła z izby na dziedziniec, po czym skierowała się ku Steinkjerowi. Zapadł wczesny zmierzch, na drodze nie spotkała nikogo. Pośród śniegu zmieniającego w cieniu barwę na ciemnoniebieską, podczas gdy zachodzące słońce chyląc się ku zachodowi rzucało purpurowy odbłask na wzgórza — uderzyła ją ogromna cisza. Później idąc w dół

znalazła się w zaczarowanym kraju miękkich błękitnych cieni: im niżej schodziła doliną, tym głębszy mrok ją otaczał. Do kościoła w Steinkjerze doszła w chwili, gdy światło dnia ostatecznie zgasło.

Otworzyła wrota i zamknęła je, po czym po omacku szukała drogi, nim zapaliła świece w prezbiterium. Święty Hubert w drzewie rzeźbiony, patron myśliwych, rzucał chybotliwy cień na ściany.

Sygyda podeszła do samego ołtarza i osunęła się na kolana w miejscu, gdzie przed wielu laty klęczał Olve. Próbowwała się modlić, lecz myśli ciągle się rozpierzchały.

Modlitwa jej była bezduszna, po prostu mamrotała wyuczone słowa nie płynące z głębi serca.

— *Pater noster, qui es in coelis...*

Obca mowa, obca nauka; bardziej obca niż sądziła.

— Święty Olafie, wspomóż mnie! — szepnęła. — Ty także kiedyś podobnie czułeś, ty, coś usiłowałeś służyć Chrystusowi nie wyrzekając się dumy i żądy odwetu.

Po czym Sygyda znowu wróciła do modlitwy Pańskiej.

— *Sanctificetur nomen tuum...*

Czy ona kiedykolwiek rzeczywiście wielbiła Imię Pańskie? Czy kiedykolwiek z głębi serca wyrzekła się obowiązku pomsty i nienawiści nakazanych przez Asy?

Myślą cofała się w przeszłość i nagle z niedowierzaniem stwierdziła, że w pewnym okresie żądza zemsty w niej osłabła. Zdumiona, początkowo z trudem uświadamiała to sobie; miała wrażenie, że zapomniała. Nie, to było niewątpliwe! Sygyda równocześnie poczuła rozczarowanie i ulgę.

To było w pierwszym okresie jej małżeństwa z Kalfem. Wtedy nie tyle była spragniona zemsty, ile uważała, że powinna szukać odwetu w obawie, że Olve powróci i ukarze ją za brak niechęci do Kalfa. Dopiero później, już bez udziału woli, kiedy okazało się, że Kalf nigdy nie zajmie miejsca Olwego — żądza zemsty opanowała ją naprawdę.

Sygyda zastanawiała się chwilę: czy istotnie zapomniała by o Olvem i zemście, gdyby Kalf potrafił go zastąpić? Albo gdyby poślubiła Sigvata...

Uderzyło ją, że nawet po zgonie dwóch synów ani nienawiść do króla Olafa, ani wierność pamięci Olwego nie powstrzymała jej od oddania się najbliższemu druhowi króla.

Niewiasta powinna być wierną; po zgonie Olwego trzeba było się zadreńczyć na śmierć jak Sigrun po stracie Helgego Hundingsbane. Zaczęła tedy rozważać, czy dochowywała wierności tylko wówczas, kiedy to jej dogadzało? Już jako młódka na Bjarkóy bałamuciła — chwila minęła, nim przypomniała sobie jego imię — Eryka syna Torgrima i prędko o nim zapomniała dla Olwego. Olwego także zdradziłaby dla Sigvata, gdyby nie przywiódł jej do rozumu wskazując, ile mogła stracić.

Nareszcie zrozumiała, że to nie Olve stał między nią a Kalfem. Tylko jej własna namiętność, ta sama, która pchnęła ją w ramiona Sigvata. Sygryda aż jęknęła.

Czy była lepsza od suki, czyż nie pragnęła tylko własnego zadowolenia oraz spokoju i pewności dla siebie i swoich dzieci?

Nagle złość ja porwała.

Nie była gorsza od innych. Helena nazwała siebie ladacznicą, i słusznie. Nawet Asy nie były wierne, nawet Frigg. Idunn dzieliła łożę z zabójcą brata, podobno także nie było boga lub półboga, z którym Freja nie zechciałaby się przespać.

A jednak... Żal, pokuta, chrześcijaństwo, bogowie, boginie, nienawiść, zemsta ciągle wirowały jej w myśli niczym furkoczące wrzeciono. Nie było jednak ani wełny, ani przędzy, ani początku, ani końca czy też celu.

Niegdyś czuła, że Bóg może błogosławić jej miłość do Olwego i że może dzielić ją nadal z Olvem, choć on jest w niebie, a ona na ziemi. I to okazało się nie więcej warte niż psie uczucie!

Sygryda podniosła się i usiadła kryjąc twarz w dłoniach.

Myśli z wolna powracały do ładu, w końcu pozostała w niej tylko tajemna, głęboka tęsknota do spokoju.

Niegdyś, zanim Odyn cisnął włócznię przeciwko wanom i wyzwolił nienawiść i nieszczęście, pokój panował na ziemi.

W przyszłości także ma zapanować spokój, kiedy świat zginie wśród Ragnaróku, a z morza wyłoni się nowa ziemia. Wtedy na wielki sąd przyjdzie Ten, który wszystkim włada.

Usłyszała znowu głos Olwego powtarzający słowa Voluspy — najulubieńszej jego sagi.

Opuściła ręce, wolno uniosła głowę: w końcu zaczynała dostrzegać jakby promyk światła.

Nareszcie jasność stawała się wyraźniejsza, ogarniała stopniowo cały umysł, w miarę jak jej tęsknota za spokojem znajdowała ukojenie w chrześcijańskiej nauce o pokoju; po bitwie pod Stiklestadem następował nowy wschód słońca.

W końcu Sygryda miała wrażenie, że słońce już wzeszło nad widnokrąg; światłość, sąd i pokój stanowiły jedno: Boża miłość i łaska były dla niej, pojęła to obecnie, jak niegdyś zrozumiała, że były i dla jej synów.

Olve mówił o płomiennej miłości Bożej, kiedy byli razem w steinkjerskim kościele. Ona sama miała wrażenie, że jej miłość do Olwego urastała w przeczuciu czegoś niepojętego. Teraz nareszcie pojmowała. Miłość zrodzona z żądz i sobkostwa na mgnienie oka dostała skrzydeł, uniesiona prądem jego myśli płynęła jak słomka na wzburzonej fali, wzniosła się nad poziom jej pospolitego dążenia do zadowolenia.

Wiedziała zatem, że Olve obdarzył ją największym ze wszystkich skarbów: zdolnością miłowania. Liczył, że ona mu dorówna, niemal zmusił ją do dawania. W końcu wskazał jej dalszą drogę wzwyż.

Z niezachwianą pewnością wiedziała, że on kochał ją nadal. Ale ten rodzaj miłości nie wymagał, aby odmawiała czegokolwiek Kalfowi, bo nie było w niej zawiści. Ta miłość nie szukała swego, Olve nie pragnął jej jako niewiasty, natomiast życzył im obojgu z Kalfem najlepszego, co mogło wyniknąć z małżeństwa dla nich samych i dla Boga.

I nagle cała nowa chrześcijańska nauka połączyła się w jej duszy z czymś, co nie miało nic wspólnego z wiarą w bogów, z nienawiścią i zemstą. Podobnie musiał czuć kiedyś Olve. Chrystusowa nauka o pokoju i miłości znalazła oddźwięk

w tęsknocie do spokoju; i to właśnie w nieodparty sposób pociągało w chrześcijaństwie.

Syryda wiedziała, że musi pójść drogą przez niego wskazaną; musiała prosić Boga, aby oczyścił jej miłość z żądz i samolubstwa i wkroczył do jej serca z własnym pokojem.

— *Adveniat regnum tuum...*

Nagle modlitwa zatraciła obcość, bo istotnie z całej duszy pragnęła oczyszczenia, aby potem królestwo Boże przyszło na świat i do jej serca.

Doznawała uczucia bliskiego zachwytu. Twarz i ramiona wzniosła ku niebu:

— *Fiat voluntas tua, sicut in coelo, et in terra!*

Niechaj Bóg podporządkowuje jej wolę, aby na podobieństwo roślin, zwierząt, słowem wszelkiego stworzenia nigdy nie pytała, dlaczego po wiosnie następuje lato, a jesień przechodzi w zimę, lecz z pokorą zdała się na Jego rządy. Oby zechciał użyczyć jej cząstki spokoju, jaki panował na świecie, zanim Asy sprowadziły nienawiść na ziemię.

— *Panem nostrum quotidianum da nobis hodie; et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris. Et ne nos inducas in tentationem. Sed libera nos a malo. Amen.*

Łkając padła na kolana. Ale nie wiedziała, czemu płacze. Wiedziała tylko jedno: modliła się o odpuszczenie swoich własnych grzechów, Kalfowi i wszystkim, którzy kiedykolwiek ją zranili, wybaczyła, a prosząc o chleb powszedni, miała na myśli zażegnanie kłęski nieurodzaju w trondheimskim okręgu. Błagając zaś Boga, aby ustrzegł ją od złego, miała na myśli, że potrzebuje obrony przed sobą.

Kłęczała bez ruchu. Spłynął na nią niepojęty spokój; przyszły jej na myśl słowa Anunda o Bożej miłości, która oświeca, ogrzewa, wkracza do duszy. Syryda miała wrażenie, że dach kościółka otworzył się nad jej głową i cała niebiańska miłość spływa niewyczerpanym strumieniem do jej duszy.

Świeca migotała, przygasała, płonęła coraz słabiej.

Ksiądz Anund znalazł ją w kościele. Ale na widok twarzy zalanej łzami i promiennego uśmiechu o nic nie pytał.

Przed wyjściem z kościoła przyklęła u grobu Gudrun i pierwszego Tronda. W nowym opromienianym ją blasku nie bolała już nad ich stratą; radowała się, że razem z Olvem i braćmi zamieszkali w niebie.

Wyszli z kościoła w czarną noc, tylko gwiazdy wyglądały jak malusieńkie dziurki w sklepieniu; może trochę Bożej światłości przenikało przez nie, aby ludzie nigdy nie zapominali o Jego miłości. Ksiądz Anund nie chciał, aby Sygryda wracała sama do Egge; kazał ją odprowadzić Hrutowi, zarządcy Steinkjeru, oraz dwom niewolnym.

Hrut nie należał do gadatliwych, Sygryda była temu rada. Szła w milczeniu spoglądając na płonąca pochodnię, która rzucała odblask na śnieg i jakby zamykała ich w świetlanym kręgu. Po drodze zaś rozmyślała, jakie to dziwne wrażenie, kiedy wszystko czuje się i widzi tak wyraźnie jak ona w steinkjerskim kościele. A jak łatwo jej to przychodziło! Tak było za każdym razem, ilekroć pojmowała coś z nauki chrześcijańskiej. Była jakby niesiona falą, która powstaje tylko po to, żeby opaść i wyrzucić ją na otwartą płaszczyznę.

Może i w tym była wola Boga...

W dali majaczyli ludzie z pochodniami. Kiedy podeszli bliżej, Sygryda poznała Kalfa i jego pachółków. Druga gromadka schodziła w stronę Heggvinu.

— Na Boga, gdzie byłaś? — Na twarzy Kalfa malowały się równocześnie gniew i radość.

— W Steinkjerze, w kościele.

— Mogłaś choć zapowiedzieć, dokąd idziesz! Juzem myślał, że będziemy nurkowali, nim cię znajdziemy. — Kalf był wyraźnie rozgniewany.

Sygryda poczuła dziwną iskierkę radości; skoro był zły, to znaczyło, że troszczył się o nią.

W ciągu najbliższych dni Sygryda miała wrażenie, że na wszystko inaczej spoziera. Wszystko miało nowe znaczenie jako dzieło Boże, a więź łącząca ją ze wszystkim też była silniejsza, chociaż niewidoczny rozdział między nią a światem nadal pozostał. Chętnie dzieliłaby się ciepłem nowych uczuć, lecz nie mogła.

W stosunku do Kalfa również żywiła nowe serdeczne uczucia, choć on ciągle był daleki; próbowała dać mu to do zrozumienia. On jednak nie pojmował, a jako niewieście nie godziło się jej mówić o tym wyraźnie.

Jego przelotny uśmiech miał w sobie coś bolesnego; nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że on potrzebował pomocy. W niej zaś pragnienie niesienia pomocy narastało bez przerwy. Pewnego wieczora kiedy układali się do snu, jego krótkie: „śpij dobrze” brzmiało wprawdzie przyjaźnie, ale nie wiadomo czemu, przypomniało jej nadwątloną przedzę.

— Kalf — wymknęło jej się mimo woli.

— Co...? — powstrzymał się ze zgaszeniem świecy, lecz ona milczała.

— Co chciałaś?

Nagle Sygryda wstała i podeszła do niego. Kalf spojrział na żonę i zdumiał się, bo usiadła na skraju łoża.

— Czego tu chcesz? — złość brzmiała w głosie Kalfa, chrząknął. Ona nadal milczała. Ale kiedy powtórzył pytanie, coś rzec musiała.

— Nie jestem pewna.

— Odejdź lepiej — uśmiechnął się z przymusem. — Mógłbym zbliżyć się do ciebie za bardzo.

— Nie jestem pewna, czybym się temu sprzeciwiła — odparła powoli.

— Myślisz, że skoro brak ci możliwości znalezienia lepszego, tedy zdołasz może zadowolić się mną? — usiłowała mówić żartobliwie, ale gorycz przebijała w jego głosie.

Sygryda chwilę się nie odzywała, dopiero teraz pojęła, jak dotkliwie był urażony. Chęć dopomożenia mu zyskała na

sile. Ale ona go nie miłowała, nie mogła powiedzieć mu tego jedyne go słowa, którego on był spragniony — teraz nareszcie zaczynała rozumieć.

Co właściwie czuła do niego, sama musiała się nad tym zastanowić; co znaczyło uczucie ciepła, pragnienie, aby być dobrą dla niego...

To nie było uczucie głębokiej wspólnoty łączącej ją z Olvem, ani nieokiełznana żądza w stosunku do Sigvata. Jeśli chodziło o Kalfa, nie pragnęła niczego prócz zadowolenia, że jemu może dać radość i pomoc.

Dłuższą chwilę rozmyślała nad słowami Anunda, ksiądz powiedział, że miłość nie szuka własnego zadowolenia.

Pochyliła się nad Kalfem i przytuliła policzek do jego twarzy.

— Nie jestem pewna, czy wiem, co znaczy kogoś miłować. Może ty pomożesz mi w rozeznaniu.

— Nie potrzebujesz drwić ze mnie! — rzekł odpychając

— Czy mam zgasić świecę? — spytała bez zastanowienia. Natychmiast pożałowała tych słów; jeśli zapamiętał to zdanie, nie będzie mu przyjemne.

Kalf odpłacił jej tą samą monetą:

— Muszę powiedzieć, że to całkiem nowy widok: pani Sygryda przychodzi do mojego łóżka trawiona żądzą miłości! Sygryda aż się wstrząsnęła: wstała, aby odejść.

— Odchodzisz, tak prędko? — spytał Kalf.

Pomyślała, że już się przed nim tak strasznie upokorzyła, że trochę więcej nie zawadzi. Wyciągnęła zatem rękę i pogładziła go po twarzy.

— Kalf, nie potrzebujesz zbliżyć się do mnie, jeśli nie masz chęci. Ja tylko czułam się okrutnie samotna i miałam ochotę przyjść do ciebie.

Kalf cofnął się pod ścianę i dając jej znak ręką powiedział:

— A więc siadaj, proszę bardzo.

Kiedy usiadła, objął ją ramieniem. Sygryda milczała dłuższą chwilę.

— Zaczęłam powątpiewać, czy uczucie, jakim darzyłam Sigvata, było miłością — odezwała się.

Kalf rzucił jej badawcze spojrzenie.

— A czym mogło być?

— Ksiądz Anund nazwał to cielesną żądzą.

— Jaka w tym różnica?

— Myślę, że żądza jest wtedy, kiedy myślisz tylko o sobie i własnym zadowoleniu. Miłość natomiast odczuwamy, kiedy więcej myślimy o tym, co dajemy, niż co otrzymujemy.

Kalf się zamyślił.

— Czyżbyś chciała powiedzieć, że nie troszczyłaś się o Sigvata na tyle, by pomyśleć, co on z tego będzie miał?

— Nie troszczyłam się o niego choćby tyle, żeby go powstrzymać od narażania na szwank własnej duszy.

— Z Olvem było inaczej?

— Tak. Ale zasługa była Olwego, nie moja.

— Jakże to?

Sygryda wahała się, nie wiedziała, jak by to wyjaśnić.

— Nie odpowiadasz...

— Olve spodziewał się, że ja będę dawała z siebie.

— Wiesz, co możesz otrzymać ode mnie — odezwał się Kalf po chwili. — I bez ogródek już rzekłaś, jak mało to cenisz.

Sygryda miała wrażenie, że słyszy echo własnej gorzkiej nienawiści. Pragnęła móc je zniszczyć, wymazać z pamięci obojga. Ale wyrządzonej krzywdy nie da się naprawić, tak jak nie da się już usunąć chwastu posianego wśród zboża.

— Potrzebuję ciebie. Takiego, jakim jesteś — rzekła po prostu.

W braku lepszego — zauważył z rozżaleniem.

— Kalf, czy nie wolno mi polubić cię trochę? Nawet jeśli kochanie moje nie jest takie, jakie być powinno...

Spojrzał na nią, po czym roześmiał się dziwnym cichym chichotem.

— Gadasz jak ślepiec, co chciał prowadzić kulawego... — powiedział, lecz równocześnie przygarnął ją gwałtownie, porywczco, ona zaś uległa mu z cichym okrzykiem.

Miała wrażenie, że ostatecznie przestała panować nad sobą, płynęła unoszona prądem jego woli, o jej istnieniu stanowiło jedynie, ile mu z siebie da i czym będzie dla niego.

Namiętność wzbierająca w nim porywała i ją; jej radość z jego uszczęśliwienia stapiała ich w jedno, unosiła wzwyż, coraz wyżej, aż fala spieniona i lśniąca rozprysnęła się i wyrzuciła ją na brzeg.

— Sygrydo... — głos Kalfa płynął z daleka.

Chwilę trwało, nim odzyskała pełną świadomość.

Widziała pytanie w jego oczach, nie potrzebował nic mówić. Wiedziała także, że dała mu wystarczającą odpowiedź przyciągając ku sobie i całując jego twarz.

A kiedy wychylił się ponad nią, by zgasić świecę, powiedział z uśmiechem:

— Wodzi ślepy kulawego... Ale nie zawsze wpadają w otchłań...

5

Adwent zaczął się tego roku w chwili wyjątkowo niedogodnej dla Kalfa. Zaraz też oznajmił Sygrydzie, że nie muszą przestrzegać postu zbyt surowo. Pod względem jadła chętnie się ograniczy, natomiast jeśli chodzi o inną wstrzeźliwość, to dosyć się napaścili. Sygryda nie dała się przekonać.

Była pewna, że spadną na nich różnorodne nieszczęścia, gdyby pod tym względem przekroczyli Boże przykazania. Nie wiedziała, ile Kalf rozumiał z jej wyjaśnień, dlaczego ona tak właśnie czuje. Ucieszyła się jednak, kiedy ustąpił, choć mrucał, że jego zdaniem niepotrzebnie miesza klechów do tych spraw.

Sygryda uczęszczała na przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia z większym zapałem niż zazwyczaj; miała wrażenie, że tego roku wszystkiemu podoła. Mimo nawału pracy znajdowała czas na troskliwsze zajęcie się dziećmi, na niesienie pomocy chorym i ubogim, dodawanie otuchy całemu otoczeniu uśmiechem lub dobrym słowem. Nawet post ją cieszył; jak miło wyrzec się czegoś dla Boga!

Jedna sprawa tylko nękała Sygrydę coraz bardziej, w miarę zbliżania się Godów. Troska o Helenę. Wszelkie próby przywołania dziewczyny do rozsądku spełzły na niczym.

Jednakże kiedy Sygryda posłyszała, że mimo postu adwentowego Helena spędziła nocy w sypialnej izbie pacholek, uważała za konieczne rozmówić się z dziewczyną. Powiedziała jej, że nawet jeśli sama uważa się za skazaną na wieczne potępienie, winna okazać trochę miłosierdzia i nie pociągać za sobą innych. W odpowiedzi Helena wybuchnęła śmiechem.

Niemniej uczyniło to na niej większe wrażenie, niż chciała okazać, sprawa bowiem przybrała nieoczekiwany obrót.

Nadeszło Boże Narodzenie. Wieczorem na świętego Jana Kalf, Sygryda oraz większość domowników siedzieli w nowej sali biesiadnej, kiedy wpadła dziewczka służebna i rzuciła się wprost do Sygrydy.

- Biegnijcie czym prędzej do świetlicy!
- Co się stało? — spytała Sygryda wstając.
- Jedna... jedna kobieta raniona.

Sygryda nie pytała o nic więcej, zarzuciła płaszcz i wybiegła. W świetlicy znalazła Helenę leżącą na ławie, przy niej skupiło się kilka służebnych pod wodzą Ragnhildy; krew broczyła z rany na piersiach.

Bez słowa zbadała ranę, z ulgą stwierdziła, że nie jest groźna. Niemniej położyła na niej rękę, zamówiła, pilnie bacząc, by zakończyć imieniem Jezus.

Ragnhilda niechętnie poszła do lamusa po driakwie i płótno. Bała się, że coś straci. Ale mogła sobie oszczędzić obaw, bo Helena nie pisnęła słowa. Dziewki też były zawiedzione, gdy Sygryda zaraz po opatrzaniu Heleny kazała im odejść z Ragnhildą do biesiadnej.

Po chwili milczenia Helena przemówiła.

- Czemu tu siedzisz? Powinnaś mieć dość rozumu, by wiedzieć, że gdyby mi starczyło odwagi, już bym nie żyła.
- Nie wiadomo, czy ci się nie udało, jeśli rana zacznie ropieć... Czym się posłużyłaś?
- Nożem.

— Gdzie on?

— Pod ścianą stodoły. — A gdy Sygryda spojrzała na nią pytająco, dodała: — W rogu od północno-wschodniej strony. Sygryda się zawahała.

— Przrzeknij, że nie ruszysz się, póki nie wrócę.

Helena skinęła głową, Sygryda wyszła zabierając łuczywo. Kiedy wróciła z nożem, który znalazła bez trudu, obejrzała go dokładnie w świetle ognia i odniosła wrażenie, że zna tę broń.

— Czy ten nóż należał do Grjotgarda? — zapytała.

Helena znowu potwierdziła skinieniem, po czym nagle wybuchnęła płaczem.

— Dał mi go przed odjazdem na południe — szepnęła.

— Zapowiedział, żebym się nim posłużyła, gdyby mnie jaki mężczyzna nagabywał.

Sygryda patrzyła na nóż. Gdyby Helena zastosowała się do polecenia Grjotgarda, uśmierciłaby Kalfa. Właśnie skończyła zamawianie i modły nad nożem, aby zgorzel nie wdała się w ranę, kiedy wszedł ksiądz Jon. Zamierzał wprost do nich.

— Helena!

Dziewczyna gwałtownie podniosła głowę nie wycierając oczu.

— Kto ciebie prosił o przyjście tutaj, księżo? — słowa te padły tak gwałtownie a niespodziewanie, że ksiądz się stropił.

— Rrrraghilda pppowiedziała, żeś się zraaaniła — wyjąkał — i że chodzi o życie.

— O życie nie chodzi — wyjaśniła Sygryda.

— Słyszysz! — Helena przestała płakać. — Nie masz tu nic do roboty.

— Mogę dać ci sposobność do wyznania grzechów, abysz uzyskała Boże wybaczenie.

— Tracisz czas.

— Wielka radość panuje w niebiesiech z nawrócenia jednego grzesznika; większa niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują się nawracać — wygłosił ksiądz uroczyście.

— Czy liczysz, że uwierzę, iż ten Bóg, który z góry skazał mnie na potępienie, pragnie mojego zbawienia?

— Heleno! — głos księdza brzmiał surowo. — Bóg nikogo nie skazuje na potępienie; nasze własne grzechy nas gubią.

— Albo naszych rodziców. Zostałam przeznaczona do piekła w łonie matki. Pomyślałam sobie dzisiaj, że lepiej niech mój los spełni się, zanim innych wpędzę w nieszczęście. Ale bardziej godna pogardy, niż sądziłam; kiedy przyszło co do czego, zanadto się ulękałam.

— Bóg chciał cię wybawić od wiecznego potępienia, Heleno.

— Raczej diabeł był zdania, że nie dokończyłam jego dzieła — zauważyła z brzydkim śmiechem.

Ksiądz położył dłoń na ramieniu Sygrydy.

— Odejdź lepiej.

Sygryda wstała niechętnie, poszukała wzroku Heleny. Ale dziewczyna odwróciła oczy, wyszła zatem powoli ze świetlicy i skierowała się ku biesiadnej sali.

Ksiądz Jon nadszedł wkrótce, z wyrazu zniechęcenia malującego się na jego obliczu Sygryda odgadła, że nie doszedł do ładu z Heleną.

Kiedy Kalf został sam z **Sygryda**, chciał się dowiedzieć, co zaszło. Opowiedziała. Widząc jednak, że tylko wzruszył ramionami, rzuciła mu znaczące spojrzenie.

— Czemu dziewczyna nie chce słuchać księdza Jona? — spytał.

Sygryda westchnęła. Jakże Kalf mógł być do tego stopnia ślepy na własną winę.

— Myślisz, że to moja wina, wiem — ciągnął dalej Kalf. — I nie zaprzeczę, że się przyczyniłem. Ale gdyby nie ja, to byłby inny; dziewczyna może o tym nie wiedziała, lecz była niczym opętana, dłużej bez mężczyzny żyć nie mogła. Teraz zaś, kiedy ma sposobność uzyskania rozgrzeszenia i rozpoczęcia życia od nowa, a nie chce, nikt nie może żądać, abym brał winę na siebie.

Sygrydzie nie podobał się sposób, w jaki Kalf mówił o Helenie. Była przekonana, że on się myli, ale nie mogła wymyślić żadnej odpowiedzi.

— Czy miałeś nowiny z Kaupangu? — spytała trochę później, bo wiedziała, że w ciągu dnia przybił statek z południa.

— Niewiele. Królowa Alfiva żali się na kmieci, bo nie kwapią się z przysyłaniem królowi Svenowi darów świątecznych. Chce, abym ich poganiał.

— Czy zamierzasz to uczynić?

— Nie zamierzam wysilać się nadmiernie — jeśli o tym myślałaś. Ani Svenowi, ani jego Danom nie zaszkodzi trochę przychudnąć; w gminie jest wielu takich, którzy znacznie więcej potrzebują jadła niż oni.

— Mniemałam, że jako namiestnik króla Svena jesteś obowiązany wykonywać jego rozkazy.

— Jeśli król ma powody do skargi, niech sam przyśle polecenie. Król Kanut nie może oczekiwać, że będę pacholkiem jego nałożnicy!

— Chyba nie ty jeden tak myślisz. Einar Tambarskjelve też jej nie nosi w sercu.

— Czy to dziwne? Powiadają, że Óystein konung Opplandu mianował swego psa zarządcą Trondheimu, ale Kanut pod tym względem przoduje, on zrobił z nas pacholców suki.

Sygyda zerknęła na Kalfa. Uważała, że zbyt śmiało to słowa, gdy chodziło o królową, i nie omieszkała mu tego powiedzieć.

— Na nic lepszego nie zasłużyła — odparł. — Ona myśli jedynie o korzyściach własnych i synów, a nie pominie żadnego środka, aby cel osiągnąć. Nie mam wątpliwości, że Bergljot córka Haakona miała słuszność mówiąc ci, iż jeśli król Kanut zdradził jarla Haakona syna Eryka, uczynił to za sprawą Alfivy. Pomyśl, jeżeli Einar powtórzył jej, co powiadają w Anglii, że król także nie był bez winy, gdy chodzi o śmierć jarla Eryka?

— Słyszałam, jakoby jarl miał się wykrwawić, kiedy mu wycięli ów nadmiernie rozrośnięty jęczyzek w gardle.

— Niektórzy powiadają, że król Kanut zatroszczył się o to, aby dobrze a głęboko cięli.

— Czy nic prócz zdrady i bezecności nie pomogło Kanutowi do objęcia władzy w Norwegii? — Sygyda była

wstrząśnięta. — Gdyby do uszu Bergljot doszło, że jej brat został zamordowany, chyba by o tym wspomniała.

— Zapewne Einar o niczym jej nie powiedział. Według tego, coś mi mówiła, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby uważał, że dość narobiła hałasu wokół zabójstwa bratanka. — Po czym z uśmiechem dodał: — Jeśli jest tak zażarty na Alfivę, to może i dlatego, że ma aż nadto babskich rządów w domu.

— Na pewno masz słuszość, znajduje w tym szczególne upodobanie — odparła Sygryda także rozbawiona. — Jednakże Bergljot nie jest nierada jego niechęci dla Alfivy. I sądzę, że za tym coś więcej się kryje.

Kalf spojrzął na nią pytająco, wobec czego dodała:

— Wyrażając się źle o królowej nasuwa kmieciom przekonanie, że jest po ich stronie, a wiele go to nie kosztuje; królowi Kanutowi też uprzykrzyła się pewno, skoro chętnie przysłał ją do Norwegii. Einar zaś składając winę za wszystko, co złe, na nią miast na Svena, może potem wmawiać królowi Kanutowi, że robił to dla dobra młokosa.

Kalf chwilę rozważał słowa Sygrydy. Ona objęła go za szyję.

— Ufam, że ty nie narzekasz na babskie rządy?

— A czy kiedy siedziałem pod pantoflem?

— Nie wiem.

— Jeśli tak było, nie zauważyłem. Ale ty czasem bywałeś wiedźmą. Ostatnio też niezgorzej sobie poradziłaś — zauważył z uśmiechem. — Może teraz i mnie dasz dziecko. Dotychczas ja byłem niezdolny.

— Czy winiłaś siebie za to, że nie mieliśmy dzieci?

— Po tym, co zaszło z Sigvatem, chyba zrozumiałaś, że tak było!

Sygryda zamilkła. Może on miał słuszość. Bądź co bądź prawdą było, że teraz należąc do niego czuła co innego niżli dawniej.

— Módlmy się o wstawiennictwo do świętego Olafa.

— Nie sądzę, żeby to wiele pomogło — odparł Kalf.

— A kiedy słyszę, że nazywasz go świętym, to jakby mnie kto nożem żgnął w plecy.

— Myślałam, żeś przekonany o świętości króla.

— Jestem. Ale zawsze się pocieszałem słysząc, że ty zaprzeczasz mu świętości. — Kalf roześmiał się, lecz natychmiast spoważniał. — O jego świętości jestem przekonany. Nie podoba mi się natomiast władza, jaką mu przypisują, bo w moim mniemaniu pozostał równie mściwy po śmierci, jak był za życia. Choćby klęska nieurodzaju, którą mieliśmy tego roku!

— To dlatego, że szczęście nie sprzyja królowi Svenowi.

— Dawniej szczęście nie zawodziło potomków rodu Gorm.

— Zdradliwy król Kanut mógł zniszczyć ich powodzenie. A zresztą nie ma najmniejszej pewności, czy Sven jest synem króla Kanuta.

— Nie... — Kalf się zamyślił.

— Mówisz, że król Olaf jest nadal mściwy — podjęła znowu Sygryda. — A przecież mnie wybaczył? Toremu również, choć go dobił; pierwszym cudem po zgonie króla było uleczenie rany, którą sam mu zadał i nawrócenie go na chrześcijaństwo. Czyż tego nie wystarcza, aby cię przekonać, iż nie jest żadny zemsty?

— Być może... — Kalf mówił niepewnie. — Ale Tore nie był przyjacielem króla jak ja, on nic mu nie zawdzięczał. I nie mogę powiedzieć, aby wydarzenia — odkąd go odstąpiłem — dowodziły, iż mi wybaczył, obojętne przed czy po śmierci.

— Święty nie może pragnąć zemsty, Kalf. Byłoby to przeciwne chrześcijaństwu.

— Sam słyszałem, jak ksiądz groził karą boską, czemu więc król Olaf miałby być mniej mściwy od swego Pana? Zresztą wcale nie uważam zemsty za rzecz złą; co by się działo, gdyby wszyscy poniechali odwetu? Nawet kara według ustaw jest rodzajem pomsty.

— Musisz zapytać księży — westchnęła Sygryda. — Powiedziałaś mi także, żeś rabował **klasztory** i kościoły, bo od urodzenia Sunnivy uważałaś Boga za swego dłużnika.

— Tak, uważałem — powiedział Kalf. — Odkąd przyjąłem chrzest, robiłem, co mogłem, aby zostać dobrym chrześcijaninem. W zamian Pan Bóg mógł chociaż okiełznać króla

Olafa. Co prawda z początku nagradzał mnie niezgorzej! Szczęście mi sprzyjało, póki nie odstąpiłem króla. — Kalf zamilkł, po czym wrzasnął tak gwałtownie, aż Sygryda podskoczyła: — Niech diabli porwą Finna! To jego rady sprawiły, że nie doszło do ugody z królem, kiedy spotkaliśmy się w górach.

Finn na pewno zrobił to, co uważał za słuszne — rzuciła pospiesznie Sygryda.

— Zrobił to, co uważał za słuszne! — przedrzeźniał Kalf. — Wierność królowi przedkładał nad wierność rodzonemu bratu; nie zawahał się powiedzieć królowi, że powinien kazać mnie zamordować! I wcale nie jestem pewien, czy tylko wierność królowi skłoniła go do występowania przeciw mnie. Finn nigdy nie rzekł mi dobrego słowa; od najmłodszych lat uciekał się do podstępu, by wziąć górę nade mną. A mimo wszystko król go ustrzegł od nieszczęścia popełnienia bratobójstwa. **80** chociaż zrazu byłem zdumiony, dlaczego król mając mnie w swojej mocy w górach pozwolił mi odjechać w pokoju, później zrozumiałem. Nie uczynił tego z dobroci dla mnie, po prostu nie chciał, aby Finn zawinił mojej śmierci. Pod Stiklestadem zaciekleść też nie opuszczała Finna. Dobrze wiedział, co robi, chwytając za broń przeciwko bratu; pragnął śmierci dla wszystkich zdrajców króla. Kiedy jednak leżał ranny na polu bitwy i cisnął we mnie mieczem, król znowu powstrzymał jego rękę, sprawił, iż nie zostałem ciężko raniony.

On bronił Finna, który nade wszystko pragnął zamordować brata. Ja natomiast, choć wahałem się stawać przeciwko braciom, po zgonie Kolbjórna czułem się naznaczony piętnem hańby, której nigdy nie zdołam zmyć. I ty mówisz, że król mi wybaczył i chce mego zbawienia!

Sygryda rzadko widywała Kalfa równie podnieconego; lecz w oczach jego malował się wyraz, który budził w niej pragnienie pocieszenia go. Zarzuciła mu ręce na szyję, chciała przyciągnąć ku sobie. Kalf najpierw jakby się cofnął, lecz prędko uległ.

— Chrystus nigdy nie mówił, że Jego słudzy unikną przeciwności i smutków — rzekła Sygryda po chwili. — Po-

wiedział, że kto chce iść za Nim, musi nieść swój krzyż, za Jego przykładem. Mylisz się, Kalfie, jeśli liczysz, że chrześcijaństwo zapewni ci szczęście na ziemi.

— Kto cię tego nauczył?

— Książd Anund.

— A ja pamiętam doskonale, co książd Jon kiedyś rzekł, a miały to być słowa samego Boga, który obiecał sławę i bogactwo w domu sprawiedliwego. To chyba znaczy, że szczęście będzie sprzyjało jego rodowi i jemu?

— Lepiej zapytaj Anunda.

— Jeśli jeden książd uczy tak, a drugi inaczej, na co zda się ich pytać? Najlepiej pilnować się nakazów, co do których wszyscy są zgodni, i dawać posłuch temu kapłanowi, który zdaje się mieć najwięcej rozumu.

Sygyrda nie obstawała dłużej przy swoim, powiedziała tylko:

— Nie zawiniłeś śmierci króla Olfa. Ani Kolbjórna, jeśli sądzisz, że to ściągnęło na ciebie nieszczęście. Usiłowałeś zapobiec bitwie. I nieprawdą jest, że Finn nigdy nie rzekł o tobie dobrego słowa; rozżłościł się, kiedy mniemał, że nie dość ciebie cenię.

— Tak? — Kalf się uspokoił. — Może źle robię oskarżając Finna o zdradę. Mimo wszystko jest moim bratem, dobre chwile też razem przeżyliśmy. Pamiętam, jak rozpaczliwie wrzeszczał, gdy jako dzieciak spadłem z dachu lamusa i on sądził, że umrę. — Po chwili głębokiego zamyślenia podjął dalej: — Dlaczego Finn zawsze wchodzi mi w drogę? Odkąd tylko pamiętam, zawsze tak było; on nawet usiłował mącić wodę między mną a naszą matką... To jego wina, że... — Kalf nagle urwał i równie nagle wybuchnął: — Jeśli któryś z braci miał pierwszy zginąć, czemu nie Finn?

Patrzył na Sygydę, jakby domagał się odpowiedzi, po czym ukrył twarz w dłoniach i szepnął:

— Boże, wybacz mi! — Po czym mówił dalej: — Po bitwie zrobiłem, co należało, aby się pogodzić z Finnem. Pojmowałem, że źle postąpiłem wobec króla i moich braci; nigdy nie powinienem był zrywać z nimi, gdy opuścili kraj. Zresztą powiedziałem Finnowi, że jeśli przed bitwą uchodzi-

łem za najgodniejszego z synów Arnego, to w przyszłości mogą mnie nazywać najędzniejszym.

— Nie złożyłeś królowi przysięgi razem z braćmi jedynie dla ratowania moich synów — przypomniała mu Sygryda.

— Tak. Ale to był tylko jeden z powodów. Próbowałem to rozważyć, odkąd król Olaf okazał się świętym. Ale im dłużej rozmyślałem, tym było mi trudniej. Nie mogę bowiem pojąć, kiedy źle postąpiłem; gdybym mógł wszystko odrobić, pewno byłoby to samo. Myślałem o królu Olafie, takim jakim znałem go z początku: o wojowniku Bożym z mieczem w dłoni i oczami wzniesionymi ku niebu, pewnym siebie w przekonaniu, że Bóg mu sprzyja, że jest powołany do ochrzczenia Norwegii. Pędził przed siebie, ujarzmił ludzi niczym królowie, bohaterowie dawnych czasów. Ale nawet i wówczas czegoś nie rozumiałem; mimo pewności był niepewien, dopatrywał się obrazy tam, gdzie jej nie było.

Pamiętam ów pierwszy raz, kiedy pojąłem, że coś jest złe, że Bóg nie prowadzi go, jak mniemałem; a było to wtedy, kiedy dowiedziałem się o wydarzeniach w Maerinie. I kiedy oczy po raz pierwszy mi się otworzyły, dostrzegłem, jakie mnóstwo błędów popełniał, nawet w dziele szerczenia chrześcijaństwa. Byłem zawiedziony tak głęboko, że czułem, iż nigdy więcej nie zawierzę żadnemu władcy.

— Zostałeś zaufanym króla Kanuta.

— Nigdy nie ufałem Kanutowi — Kalf wahał się chwilę, nim podjął dalej. — Zacząłem podejrzliwie rozpatrywać każde poczynanie króla Olafa. Kiedy szczęście wyraźnie się od niego odwróciło, miałem wrażenie, że jasno widzę, w jaki sposób Bóg przeobraził się z sojusznika w nieprzyjaciela. Jednakże pod Stiklestadem zobaczyłem jego oblicze zwrócone ku niebu, jego spokój pośród zgiełku bitwy i rozjaśniony wzrok i wtedy pojąłem, że mam przed sobą dawnego Olafa Haraldssona, któremu niegdyś ufałem pod każdym względem, któremu niezachwianie wierzyłem. Nawet w porażce i śmierci Bóg w jakiś przedziwny sposób stał po stronie króla Olafa, a ja się myliłem. Później obwieszczono go świętym i znowu pojąłem, jak to się razem wiązało. Księża powiadali, że jego klęska była największym zwycięstwem, dzięki które-

mu stał się królem Norwegii na wieki. Wtedy jeszcze wyraźniej pojąłem, jak źle postąpiłem opuszczając go... Sygrydo, gdybym tam w górach padł mu do nóg, gdybym złożył los w jego ręce nie troszcząc się o Finna...

— Zdradziłbyś każdego z mieszkańców Trondheimu, Kalfie, gdybyś zdał się na króla. Byłeś ich naczelnikiem; przyszli na pole bitwy uzbrojeni do walki i z wiarą w ciebie.

— Wiem — Kalf pochylił głowę.

— Nic jednak nie przeszkadza, abyś teraz padł mu do stóp — ciągnęła dalej Sygryda — jeżeli dręczysz się, iż tego nie uczyniłeś wcześniej. Jedź do Kaupangu, do trumny króla Olafa, proś go o wybaczenie! Przedłóż też swoją sprawę biskupowi Grimkjelowi; może pośle cię z pielgrzymką, o której król wspominał przed bitwą.

Twarz Kalfa nagle przybrała surowy wyraz.

— Możesz powiedzieć, że Sigvat wziął na siebie odbycie pielgrzymki w moim imieniu! Istnieją granice wytrzymałości człowieka, według mnie kwita między królem Olafem a mną!

— Może król uważa tak samo — odezwała się Sygryda po namyśle. — Może znowu obdarzy cię przychylnością losu.

Sygryda powiedziała to półgłosem, ze spuszczonej oczami. Czując na sobie wzrok Kalfa pokraśniała. A wtedy na nowo rozbudzone uczucie wzięło w nim górę.

— Tak. Może. Może wszystko odmieniło się dla mnie.

Z uśmiechem ją przygarnął. Długo leżeli w milczeniu, Sygryda już myślała, że usnął, kiedy nagle zwrócił się do niej:

— Co dobrego Finn o mnie powiedział?

— Że sam może ci uragać, ale nie zniesie, aby ktoś cię pomawiał. Pytał także, czy istotnie chciałeś zawrzeć ugodę z królem.

— Czy przekonałaś go, że może mi ufać?

— Nie jestem pewna.

— Może warto próbować jeszcze raz dojść do zgody z moimi braćmi — rzekł z namysłem.

Sygryda rozważała wnikliwie jego słowa. A im dłużej myślała, tym bardziej była pewna, że musi pomóc Kalfowi w należywym pojęciu chrześcijaństwa.

Zima była długa i ciężka. A wydawała się tym dłuższa i ostrzejsza, im szybciej ubywało zapasów jada w lamusach. Już dosyć dawno zaczął się miesiąc siewny, a śnieg jeszcze leżał, Sygryda miała wrażenie, że nigdy nie zniknie.

Ale kiedy nareszcie wiosna nadeszła, objawiła się tak gwałtownie, aż dech zapierało. Śnieg topniał od wiosennego słońca prawie w oczach; cały świat jakby miał spłynąć. Pąki na drzewach rozwijały się w ciągu jednego dnia, na południowych stokach kwiaty rosły, jakby ciepłe promienie dobywały je z ziemi.

Zanim ludzie spostrzegli, ziemia już była naga. Z cichą modlitwą rzucali drogocenne ziarno w glebę. Tego roku powrócono nawet do przestrzegania dawnych obyczajów. A zresztą nie znalazło się wielu donosicieli.

Sygryda ufała, że wiosna darząca cały świat płodnością i jej przyniesie to, czego zima odmówiła, bo oboje z Kalfem pragnęli dziecka.

Kalf zrazu był tego zupełnie pewien, niemal i ją przekonał. A potem był okrutnie zawiedziony.

Dla Sygrydy dziwna była ta zima.

Sprawdziły się słowa Olwego: zapał nowo nawróconego przypomina nową przyjaźń, z początku płonie jak ogień, próba przychodzi później. Jej gorliwość także spowszedniała, żarliwość w służbie Bożej przygasła, zużyła się niczym stary płaszcz, przetarty, pełen dziur, już nawet nie dający ciepła.

Natomiast jej stosunek do Kalfa stale się poprawiał.

Rozmawiali o wielu sprawach; chociaż Sygryda jasno zdawała sobie sprawę, że oboje uniknęliby wielu przykrych chwil, gdyby Kalf nie dowiedział się nigdy prawdy o Sigvacie, cieszyła się z tego, iż mogą szczerze z sobą mówić. Wyczuwała, że Kalf myśli podobnie. W każdym razie jego serdeczność dla Sunnivy robiła wrażenie szczerzej, a dziecko patrzyło na niego, jakby był samym Panem Bogiem.

Tej zimy Sygryda poznała również lepiej Kalfa; zaczęła go pojmować, dlaczego zyskiwał sobie u ludzi wiarę

i zaufanie. Lubiła teraz patrzeć na niego w gronie innych naczelników i kmieci; z zapałem odnosiła się także do jego poczynań.

Zmysł sprawiedliwości, który po tylu latach namiestnikostwa stał się niemal wrodzoną cechą Kalfa, łączył się z niezłomnym zaufaniem do tych, którzy mu służyli albo byli mu bliscy. Sygryda odgadywała, że to właśnie poczucie wierności dręczyło go okrutnie po zgonie króla Olafa; nie mógł znieść świadomości, że zdradził.

Pośród druhów był wesół, często rubaszny w żartach, ale nigdy złośliwy. Był ich przyjacielem, a równocześnie naczelnikiem w sposób zupełnie inny niż Olve; między Olvem a domownikami istniała jakby nieprzebyta otchłań.

Olve potrafił wszystko pojąć w mgnieniu oka, wysłuchać sprawy i wydać orzeczenie bez wahania, Kalf natomiast przez szereg dni zbierał wyjaśnienia, nim doszedł do jakiegoś wniosku. Czasem jego drobiazgowość złościła Sygrydę ponad wszelką miarę; uważała bowiem, że wszystko ma swoje granice.

Jego zachowanie wobec Sygrydy także się odmieniło tej zimy. Wyraźnie nie uważał się już za obowiązane go zachowywania pewnych względów, dlatego tylko że była kobietą. A Sygrydę to cieszyło.

Oboje jakby przeszli przez czyściec; każde z nich doskonale widziało wzajemne próby zwodzenia i od tej pory już nie potrafili oszukiwać.

Początek lata zapowiadał się dobrze, ludzie odetchnęli z ulgą. Mimo to lęk przed nieurodzajem nękał ich potajemnie; gdyby jesień zawiodła, wielu cierpiałoby głód.

Kiedy pod koniec słonecznego miesiąca deszcze zaczęły padać, kościoły prawie ciągle były pełne. Jak dzień długi ludzie odprawiali nieustanne modły, składali najprzeróżniejsze obietnice Bogu i świętemu Olafowi, byle pogoda się poprawiła.

Ale wszystko to pozostało daremne. Sianokosy zawiodły, sianogniło na łąkach. Pogoda jeszcze się pogorszyła w porze żniwa. Wielu też mruzczało, że jeśli szybko nie wyzwolą się

spod władzy Danów, zarówno ludzie, jak bydło padną z głodu.

Latem Kalf często jeździł do Kaupangu; zamierzał stawiać dom w mieście. Król Sven darował mu ziemię i prosił, aby się pobudował; Kalf opowiadając o tym nadmienił ozięble, że król zapewne woli go mieć w pobliżu i nie tracić z oczu.

— Ale zamieszkać tam, tylko jeśli tak mi się spodoba — dodał na zakończenie.

Po każdym powrocie z grodu opowiadał, że z Alfivą wcale gadać nie można, a król Sven jest ponury. Nawet królewski skald Torar Lovtunge powiedział w jednej ze swoich pieśni, że Sven musi prosić króla Olafa, aby mu użyczył swego królestwa. Potem król spędził całą noc na modlitwie u trumny Olafa.

Pod koniec miesiąca sianokosów ukończono budynki w Kaupangu. Kalf chciał, aby Sygryda towarzyszyła mu na południe i obejrzała dwór. Ona jednak ociągała się z wyjazdem; Helena była w odmiennym stanie i wkrótce miała zlegnąć, Sygryda zaś żywiła jakieś złe przeczucia. Mimo to postanowiła jechać w nadziei, iż zdąży wrócić przed porodem.

Cieszyła się na myśl o zobaczeniu nowego miejskiego dworzyszca, a prócz tego Kalf postanowił jechać wprost z Kaupangu do Órlandu. Z początkiem lata porozumiał się z braćmi, doszło między nimi do pełnej ugody, teraz więc Finn zaprosił Kalfa oraz Sygrydę w gościnę do Austratu.

Trond miał im towarzyszyć, Sunniva natomiast pozostała w Egge. Stosunki między Kalfem a córką układały się lepiej, Sygryda jednak wolała nie przeciągać struny.

Pogoda była deszczowa i chłodna. Całą drogę jedna fala ulewy następowała po drugiej, jedyną pociechą było, że mieli przychylne wiatry. Nocowali we Froście, do Kaupangu przybyli nazajutrz koło południa.

Dwór Kalfa rozsiadł się pięknie w pobliżu morza, budynki były obszerne, z dobrego budulca. Mieli tu izbę

biesiadną, świetlicę, jeden mniejszy dom mieszkalny, lamus oraz oborę. Poza tym rzemieślnicy wykańczali stodołę. Zarówno wewnątrz, jak na dziedzińcu pachniało świeżym smołowcem.

Wielka to była uroczystość, gdy Kalf pierwszego dnia własnoręcznie rozpałił ogień na paleniskach w świetlicy i sali biesiadnej, a także w mniejszej izbie, którą jak sądziła Sygryda, przeznaczał na rozmównicę. Modlił się o błogosławieństwo Boże dla dworu. Ale zanim usiadł na poczesnym miejscu, nie zapomniał także o ofiarowaniu miodu i ziarna duchom domowego ogniska.

Sala biesiadna dorównywała wielkością nowej w Egge, wzdłuż bocznych ścian stały ławy do spania, a pod jedną krótszą ścianą znajdowały się zamknięte łóżnice.

Poczesne siedzisko było duże, obliczone na trzy miejsca; smoki rzeźbione na słupach szeroko otwartymi paszczami groziły nieproszonemu, gdyby chciał je zająć. Na każdych drzwiach tak samo jak na wszystkich paleniskach widniały rzezane krzyże.

Nie zapomniano także o gościnności: tuż przy wejściu stała duża kadź, z której czerpano piwo lub miód.

Sygryda przywiozła garnki oraz inne wyposażenie domowe z Egge nie wyłączając makat i opon do przystrojenia ścian, zapasów żywności i trunków. Zabrali także ludzi z Egge, czeladź i dziewczki służebne; ci mieli pozostać w Kaupangu. Drugiego dnia gospodarstwo domowe już szło zwykłą koleją.

Sygryda była temu rada, bo trzeciego dnia ich pobytu w Kaupangu królowa Alfiva i król Sven dali znać, iż pragną przybyć do nich w gościnę.

Sygryda natrudziła się przygotowując ucztę, ale wieczór nie należał do przyjemnych.

Królowa była podejrzliwa wobec wszystkich i wszystkiego; nawet kiedy podawano jej potrawy, żądała, by Kalf próbował pierwszy. Jeśli cokolwiek można było tłumaczyć na opak, robiła to niezwłocznie. Sygryda podziwiała cierpliwość Kalfa; odpowiadał uprzejmie i spokojnie, ale nie ustępował nawet o włos, jeśli uważał, że ma słuszość.

Król Sven był tak samo milczący jak wówczas, kiedy Sygryda widziała go pierwszy raz. Siedział na poczesnym miejscu obok Kalfa; królowa zaś po drugiej stronie gospodarza; Sven chwilami jakby się wstydził postępowania matki. Ale wyraźnie nie miał odwagi jej się sprzeciwić.

Sygryda odetchnęła z ulgą, gdy Alfiva rychło powstała od stołu.

Kalf i Sygryda pozostali w Kaupangu zaledwie dwa tygodnie, po czym ruszyli do Órlandu.

Przybyli na miejsce pod wieczór.

Chmury słały się na horyzoncie równinnego kraju niczym pasmo mgieł; w odbłasku słońca mieniły się barwami od ciemnej, prawie rudobrunatnej, poprzez płomiennie czerwona aż do złocistej. Domy zaś i drzewa rysowały się ciemnymi plamami na świetlanym tle nieba.

Sygryda stała na pokładzie obok Kalfa, który własnoręcznie sterował. Dotychczas rozmawiali, teraz ona umilkła, tylko ciągle na coś wskazywała.

Kalf spoglądał nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Czy nie widzisz, jakie to piękne? — pytała.

— Owszem, piękne. — Po czym znowu podejmował rozmowę.

Sygryda westchnęła; ledwo się rozejrzał, nie odgadywał jej myśli, dla niego zachód słońca był po prostu zakończeniem dnia, a rozkołysane jasnożłociste łany zboża widział tylko jak mniejszą lub większą liczbę worków ziarna, jeśli sprzęt trafi pod dach.

Kalf wysłał z Kaupangu umyślnego, aby uprzedził o ich przyjeździe, toteż Finn czekał na przystani. Przy wysiadaniu najpierw podał rękę Sygrydzie i uśmiechnął się, gdy ją przyjęła.

— A więc nie odtrącasz mojej ręki — zauważył.

— Skoro o tym mówisz, może powinnam przedtem o coś zapytać — odparła.

— O co?

— Czyś ty zadał Olvemu śmiertelny cios?

— Nie — odparł przytrzymując jej dłoń. Po czym spytał:

— Czy cofnęłabyś rękę, gdybym potwierdził?

— Nie wiem.

Chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Pomyliłem się wronczas co do Olwego — rzekł nagle Finn. — Powinienem był sprowadzić mu księdza.

— I tak byłoby za późno — odparła Sygryda z prostotą. — Zresztą nie ty jeden się omyliłeś.

Finn serdecznie uściśnął jej dłoń.

Sygryda nie spodziewała się równie kordialnego powitania między obu braćmi; objęli się uściskiem, po czym dopiero ruszyli ku dworowi.

Wieczorem w biesiadnej sali Trond zachowywał się swobodnie, ani chwili nie usiadł spokojnie. Najpierw obejrzał podarunki wymienione przez braci, potem broń i tarcze zawieszane na ścianach. A nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, wspiał się jak wiewiórka po słupie pod strop.

— Żwawego masz chłopaka — rzekł zamyślony Finn do Kalfa. — On jest potomkiem rodu jarłów Lade, nieprawdaż?

Kalf potwierdził, Finn się roześmiał.

— Ufam, że nie wbije sobie do głowy zamiaru objęcia dziedzictwa po jarlach Lade!

— Nie zamierzam mu tego podsuwać — odpowiedział Kalf.

— Dlaczego nie zabrałeś córki?

— Według nas za mała na taką podróż.

— Jeśli sobie dobrze przypominam, nie jest podobna do naszego rodu. A może się zmieniła?

Sygryda nie śmiała spojrzeć na Kalfa, ten jednak spokojnie odparł:

— Nie. Sygryda powiada, że wzięła urodę po jej matce.

Mówiono o wielu sprawach tego wieczora; o królu Olafie, o wyprawach i bitwach, w których obaj brali udział; o ich rodzicach, rodzeństwie i wspomnieniach z chłopięcych dni.

Raz tylko o mało nie doszło do nieporozumienia między nimi.

— Jeszcześ nie odwołał tego, co kiedyś rzekłeś! Twierdziłeś, żeś strachliwy — odezwał się nagle Finn.

Kalf wzdrygnął się i chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Odwołam teraz. Bądź co bądź nie bałeś się nastawać na życie brata.

Cisza zapadła. Sygryda aż zdrętwiała; napięcie między braćmi było ogromne, wszyscy mogli je zauważyć. Gudrun, małżonka Finna, pierwsza przerwała ciszę.

— Ze względu na starą matkę nie doprowadzaj do zakłócenia pokoju podczas tej biesiady, Finn!

On spojrzął na żonę, czy ich się spotkały. Kiedy zwrócił się ponownie do Kalfa, robił wrażenie spokojniejszego.

— A ja ci powiadam, że mogę złożyć dowody odwagi w sposób dla ciebie raczej nieoczekiwany. Natomiast czas, kiedy nastawałem na twoje życie, już minął i lepiej o nim zapomnieć. Najważniejsze jest, żebyś mnie nie pomawiał o tchórzostwo.

— Jużem ci na to odpowiedział — odparł Kalf.

Finn dłuższą chwilę coś rozważał.

— Sądzę, że nie kłamiąc mogę śmiało powtórzyć za skaldem Hallfredem, iż lękam się jednej tylko rzeczy, czyli piekła.

Kalf milczał, Sygryda z zadowoleniem słuchała, jak pogawędka schodzi na odmienne tory. Mimo wszystko nie mogła zrozumieć małżonka. Była świadkiem jego wściekłości na brata; do takiego stopnia wyprowadziła go z równowagi jedynie jej własna zdrada. Nie raz widziała, że drażni Finna w sposób zupełnie nie licujący ze zwykłą rozważą. Niemniej jednak coś go ciągnęło do brata; był niepokieszony, jeśli dzieliła ich wrogość. A kiedy teraz znowu się spotkali, wyraźnie łączyła ich najserdeczniejsza przyjaźń. Poza tym Sygryda jeszcze czegoś nie pojmowała: ci dwaj możni naczelnicy, którzy ciągle toczyli boje, rabowali, palili i zadawali gwałt — rozmawiali o matce z takim szacunkiem, że aż zniżali głos.

Zapytała o to Kalfa później, kiedy gawędzili szeptem w zamkniętej łożnicy, ale niewiele się dowiedziała. Dopiero po stwierdzeniu przez nią, że Finn jest mocno w sobie zadufany, jeśli się porównuje do skalda Hallfreda Wędrowca, usłyszała, jak Kalf z cicha parsknął śmiechem w ciemnościach.

— Finn nie jest tak odważny, jak chciałby nam wmówić. Ale najbardziej ze wszystkiego lęka się, by ludzie nie przyuważyli, że się boi.

Następnego dnia Kalf i Finn niezmiernie długo rozmawiali na osobności, Sygryda tymczasem bliżej poznała Gudrun. Jasnowłosa niewiasta była ogromnie łagodna w obejściu i w mowie, ale Sygryda się nudziła, bo Gudrun była już w ósmym miesiącu i prawie o niczym innym nie mówiła.

Finn i Gudrun mieli dotychczas jedno dziecko, córkę imieniem Ingebjörga w wieku około dziewięciu, dziesięciu lat. Złotowłosa, ogromnie przypominała matkę również z pogodnego usposobienia. Śmiała się natomiast dźwięcznie, zaraźliwie, czego matka nie potrafiła.

Tego ranka z zapałem oprowadzała Tronda po dworze, choć chłopak cały czas biegł przodem, a ona za nim. Przekomarzali się, a młodzieńczy śmiech rozbrzmiewał między zabudowaniami.

Ingebjörga z oczami okrągłymi z podziwu patrzyła, jak Kalf, Finn oraz druzynni miotali włócznią; Trond także stanął w zawody, a rzucał lepiej niż niejeden z dorosłych mężczyzn.

W przeddzień powrotu, a czwartego dnia pobytu w Austracie tak się złożyło, że Sygryda została sam na sam z Finnem. Nawiązała rozmowę o świętym Olafie.

Finna to nie zdziwiło, Kalf musiał mu powiedzieć, że zmieniała zdanie o królu. A kiedy rzekła, że chętnie by posłuchała o jego pobycie na Rusi, skwapliwie zaczął opowiadać.

Król na wygnaniu był zamknięty w sobie, rozmyślał nad swoim losem. Z Finnem rozmawiał częściej niż z innymi. Dał wyraz swoim wątpliwościom — może doszedł do władzy w Norwegii złą drogą. Domagał się jej bowiem jako krewniak Haralda Pięknowłosego. A prawo rodu Pięknowłosego wywodziło się z dawnej wiary pogańskiej, według której pochodzili od Odyna poprzez Freja Młodsze. Byli nawet

tacy, którzy wierzyli, że w królu Olafie odrodził się jeden z pierwszych władców tego rodu — Olaf Geirstadalv.

Król sądził, że skoro ochrzci kraj, Bóg mu wybaczy posługiwanie się pogaństwem. I dopiero kiedy Bóg jakby go odtrącił, kiedy znalazł się na obczyźnie, opuszczony niemal przez wszystkich bliskich, zaczął wątpić. Doszedł do przekonania, że chyba bardziej umiłował władzę niżli Chrystusa.

W owym czasie zadawał sobie surowe pokuty. Ogromnie złagodniał, bez nienawiści mówił o tych, którzy odeń odeszli. Skalda Sigvata często wspominał z umiłowaniem.

Niektórym zaufanym królewskim to się nie podobało. Ale kiedy rozeszła się wieść, że Sigvat pojechał do Rzymu, król dał do zrozumienia, iż jego zdaniem skald odbywa pielgrzymkę na intencję swego króla.

Sam również wspominał o pielgrzymce. Myślał także o objęciu władzy w królestwie ofiarowanym mu przez króla Jarosława; żył tam lud pogański, nawracanie go byłoby nowym wspaniałym dziełem. Zaufani jednak odwiedli go od tych zamysłów, zreszą sam też jakby nie miał po temu szczególnej chęci.

Kiedy z Norwegii nadeszła wieść o śmierci jarla Haakona, król od razu oświadczył, że to jest znak od Boga; Pan widział jego pokorę i zwracał mu szczęście. A gdy na dobitkę przyśnił mu się Olaf Tryggvasson i doradzał powrót do Norwegii, upewnił się ostatecznie, iż taka jest wola Boża.

Wyruszył do Norwegii znowu pełen dumy.

Finn przerwał, jakby chcąc przydać wagi opowiadaniu.

Sygyrda pomyślała, że królewski zapał do powrotu do Norwegii nie wskazywał na to, że Olaf nade wszystko ceni służbę Bogu. Mógł Mu lepiej służyć nawracając pogan w państwie króla Jarosława, po co wracał do już chrześcijańskiego kraju. Im dłużej Finn opowiadał o podróży do Norwegii, tym wyraźniej dostrzegała żądzę władzy, która brała górę nad żarliwą pobożnością z tym większą mocą, im bliżej byli granic kraju.

Już w Szwecji Olaf przyjął do swojej drużyny pogan, choć od początku zaznaczył, iż chce się otaczać samymi chrześcijanami. Do końca usiłował nakłonić ich do przyjęcia chrztu

— mówił Finn — wielu też nawrócił. Jednakże zatrzymał również tych, którzy się nawrócić nie dali; podczas bitwy stali w szeregach po jego lewej ręce. Większość ludzi pozostała Olafowi wierna, a potrzebował każdego zdolnego do noszenia broni.

Potem Finn opowiedział o widzeniu, jakie król miał wracając do Norwegii przez góry. Ujrzał jak na dłoni cały kraj, nawet sięgał wzrokiem daleko poza granice; widział miejsca, gdzie ongiś był, a także inne, których nigdy nie oglądał. Biskup nazywał to wielkim i świętym widzeniem. Finn wyraźnie oczekiwał, że w tym miejscu Sygryda mu przerwie, lecz ona milczała.

Przyszło jej na myśl, co ksiądz mówił o kuszeniu Jezusa przez szatana, ten także pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich bogactwa. Wszystko to będzie twoje, jeśli padniesz przede mną na kolana i oddasz mi hołd... wszystko to będzie twoje, jeśli powrócisz do dawnych bogów, do obyczajów rodu Pięknwołosego...

Finn nie przerywał opowiadania. Król nie zezwolił puszczać z dymem osad wzdłuż Inndalenu oraz Verdalenu. Nagle otwarcie wyznał, iż tym razem nie walczy dla chwały Chrystusa, lecz własnej. Dla Chrystusa mógł palić i niszczyć, dla siebie — nie. Ludzie się zdumieli; lęk i zamieszanie powstałyby bowiem wśród kmieci, gdyby pozwolił plądrować i palić dwory, a przez to samo powiększyłyby się jego możliwości zwycięstwa. Wielu też mówiło, że nie wolno pomijać takiej sposobności i krzywdzić swoich najzaufanych.

Król jakby targował się z Bogiem. Walczył o władzę dla siebie, z całą świadomością na przekór woli Bożej; mimo to stroił się w płaszczyk pobożności, wszelkimi sposobami próbował ułagodzić Jego gniew. Sygryda słuchając opowiadania Finna o łagodności i cudach, o mordowaniu i zdradach, o najgorszych rabusiach, których Olaf wabił obietnicą oddania im dworów i majątności przeciwników, coraz wyraźniej i jaśniej stwierdzała, jak chwiejny to był człowiek.

Król zapewne nie ufał swemu Bogu; nie miał odwagi oddać się całkowicie w Jego ręce z przekonaniem, że jeśli to

będzie zgodne z wolą Bożą, on zdoła zwyciężyć z małą gromadką wiernych chrześcijan walczących u jego boku bez obietnicy uzyskania łupów.

Albo też może na widok, z jak maleńką gromadką pozostanie, jeśli wypędzi pogan i rabusiów, domyślił się, że Bóg kazał mu jechać do Norwegii po śmierć. On zaś nie chciał się poddać; walczył z Bogiem, targował się z Nim o swoje życie i władzę królewską.

Przed samą bitwą miał powtórnie widzenie. Nawiedziło go we śnie i było podobne do Jakubowego. Finn opowiadał, że król oparł mu głowę na kolanach i zasnął tak głęboko, że musiał go budzić; a król był nierad, że mu przeszkodzą.

On także widział drabinę sięgającą nieba, wchodził po niej, aż doszedł tak blisko, że już niemal słyszał pienia anielskie — i wtedy go zbudzono. Olaf radował się tym snem, Finn natomiast uważał, że może być złowróżbny; lękał się, iż zapowiada zgon.

Król jakby umyślnie chciał być zaślepiiony, w śnie dopatrywał się wróżby nie śmierci, lecz zwycięstwa. Bóg przystał na jego układ, przyjął ofiarę zewnętrznej pobożności, był skłonny patrzeć przez palce na środki, jakimi Olaf się posługiwał. Król mógł pozyskać ziemską władzę i niebo także.

Później Olaf syn Haralda stanął do boju z krzyżem na zbroi i z mieczem „Beasingiem” w dłoni, tym samym, który był zrabowany z kurhanu Olafa Geirstadalva i miał w sobie najstraszliwsze złe moce pogańskie.

— Nie pojmuję dużo z tego, co działo się przed bitwą pod Stiklestadem, jak i podczas samej walki — zakończył Finn. — Wiem, że był królem...

— ..jakiego kraj nie miał ani mieć nigdy nie będzie — przerwała mu Sygryda. Finn się roześmiał.

— Dobrze, że choć co do jednego jesteśmy zgodni.

— Niezupełnie.

— Jakże to?

— Wcale nie utrzymuję, że król Olaf za życia był najlepszym wśród panujących w tym kraju. Uczynił sporo dobrego, wprowadził chrześcijaństwo i ustanowił sprawied-

liwe ustawy. Ale był chorobliwie żądny władzy, pyszny uparty, okrutny, nie cofał się przed zdradą, jeśli chciał przeprowadzić swoją wolę. Śmierć go uświęciła. I dopiero w niebie jako król Norwegii po wsze czasy jest najlepszym władcą kraju.

Finn znowu się roześmiał.

— Gadasz niczym ksiądz. Ale dopóki zgadzamy się, że teraz jest świętym królem, więcej niczego nie trzeba — stwierdził ujmując jej rękę.

Po odejściu Finna Sygryda zamyśliła się głęboko. Dotychczas mniemała, że król Olaf zawsze pełnił wolę Bożą bez walki. Teraz zaczynała pojmować, ile go musiał kosztować każdy krok na przebytej drodze. I chyba podczas tego ostatniego straszliwego zmagania się, jakie teraz dostrzegła - musiał walczyć na podobieństwo smoka prężącego się i wijącego jako owe potwory na rzeźbach. A stawką w tej walce było wszystko, czego pragnął: władza królewska, potęga, sława, nawet życie.

Obawa o Helenę narastała w miarę zbliżania się do Egge; w końcu Sygryda wprost bała się powrotu. Pierwszą rzeczą, jaką uczyniła wysiadając na ląd, było zwrócenie się do Haralda syna Guttorma z pytaniem o dziewczynę, on jednak udał, że nie słyszy.

Dopiero we dworze Ragnhilda załała ją potokiem nowin. Helena wydała na świat dziecko przed czterema dniami. Wcześniej niż liczyła, ale noworodek, dziewczynka, robiła wrażenie dobrze zbudowanej i zdrowej, choć była nieduża. Helena jednak żądała, by ksiądz niezwłocznie ją ochrzcił.

— Jak ją nazwała? — spytała Sygryda.

— Nie pamiętam — Ragnhilda wyraźnie dała do zrozumienia, że nie lubi, aby jej przerywano pytaniem o błahostkę. — Wkrótce po odejściu księdza zajrzałam do świetlicy. Helena siedziała na łożu z zakrwawionym nożem w rękę, na ziemi zaś w kałuży krwi leżało dziecko z poderżniętym gardłem!

Ragnhildzie oczy błyszczały z podniecenia, Sygrydzie zrobiło się mdło.

— Gdzie Helena, teraz? — spytała.

— Ujęto ją i związaną zamknięto w sieni przy starej biesiadnej.

Sygyda nie czekała na sposobność porozumienia się z Kalfem. Helenę znalazła leżącą w kącie sieni. Padało na nią światło z okienka pod dachem. Sygyda zauważyła, że nie zadbano o dziewczynę, cuchnęła krwią.

Uklękła obok Heleny.

— Heleno!

Dziewczyna, która dotychczas trzymała oczy zamknięte, teraz je otworzyła, lecz wzrok miała zamglony.

— Myślałam, że znowu ktoś przyszedł gapić się na mnie.

— Przyszłam, aby ci pomóc. A pierwsze, co zrobię, to przeniosę cię do łóża i każę opatrzeć.

— Dla mnie za późno na pomoc — odparła Helena.

— Mogę zresztą ponosić skutki tego, com uczyniła. — Twarz jej pojaśniała nagle. — Ale dziecko uratowałam, świeżo ochrzczone i niewinne poszło do królestwa niebieskiego. A gdy o mnie chodzi, mniejsza z tym!

Sygyda czuła, że łzy napływają jej do oczu, objęła Helenę, lecz zaraz się cofnęła i zaczęła rozluźniać krępujące ją sznury.

W tejże chwili nadszedł Kalf.

— Sygydo! — zawołał gniewnie — kto ci pozwolił uwolnić uwięzioną?

— Nawet jeśli ma pozostać związana, trzeba ją przenieść na łóżo i ogarnąć — odparła Sygyda prowadząc Helenę ostrożnie przez sień do starej biesiadnej sali. Kalf jej nie powstrzymywał.

Nazajutrz Kalf zwołał domowników do biesiadnej sali na domowy ting.

Oskarżenie było proste: Helena zamordowała dziecko; na pytanie, czy to prawda, odpowiedziała skinieniem głowy.

Ksiądz Anund prosił o pozwolenie zabrania głosu; Kalf oczywiście przystał na jego prośbę.

— Prawo zezwala wynieść z domu kalekie dziecko i pozostawić na odludziu, aby zmarło — zaczął ksiądz.

— Helena zabiła swoje dziecko. Uczyniła to w przekonaniu, że urodziło się kalekie na duszy i jeśli wyrośnie, to i tak z góry skazane jest na wieczne potępienie. Uczyniła też więcej, niż prawo każe dla kalekiego niemowlęcia, kazała je przody ochrzcić i zapewniła mu wieczną szczęśliwość. — Ksiądz na chwilę przerwał, wśród zebranych powstał szmer. — Nie twierdź, iż postąpiła słusznie. Omyliła się, ani jej dziecko, ani żadne inne nie jest skazane na piekło; Bóg pragnie zbawienia i wiecznej szczęśliwości dla wszystkich. Nikt nie ma prawa odbierać życia niewinnemu. Chcę jednak, Kalfie, abyś wydając sąd pamiętał o intencji, jaką się powodowała.

Ksiądz umilkł, zapadła cisza, Kalf siedział pogrążony w myślach. Kiedy jednak ogłosił wyrok, wśród zebranych rozległ się szmer: nałożył na Helenę pełną grzywnę, taką jak za zabójstwo wolnej niewiasty. Dziewczyna nie podniosła oczu.

— Wiesz, że nie mam czym zapłacić — powiedziała tylko.

Ksiądz Anund zerwał się równe nogi; tak podnieconego Sygryda nigdy go nie widziała.

— Ja zapłacę! — zawołał.

— A masz czym płacić? — Kalf był wyraźnie zaskoczony.

— Zapłacę, choćbym miał zaprzedać się w niewolę! Ludzie szeptali. Sygryda wstała.

— Ja uiszczę grzywnę — oświadczyła, a wobec sprzeciwu Heleny, przerwała jej: — Nic nie mów, nie robię tego dla ciebie; ksiądz Anund podjął się spłacić grzywnę w twoim imieniu. Ale i nie dla niego to czynię; lecz krzywda stałaby się gminie, gdybyśmy mieli stracić jednego z księży.

Kalf oświadczył, że jest rzeczą obojętną, skąd wezmą się pieniądze, byle grzywna została uiszczona. Na tym zakończono wiec domowy.

Sygryda była rozgoryczona na Kalfa za wyznaczenie Helenie pełnej grzywny.

— Uważasz, że to za dużo? — spytał drwiąco.

— Stać mnie na tyle — odparła Sygryda. Od szeregu lat dwory w Beitstadzie przynosiły jej spore dochody, a ślubny dar ofiarowany niegdyś przez Kalfa wynosił obecnie okrągłą sumę. — Ale uważam, że postąpiłeś niesprawiedliwie.

— Gdybym uwolnił Helenę z przyczyn, o których mówił Anund, każda dziewczyna z trondheimskiego okręgu, która urodziłaby bękarta, zamordowałaby dziecko i domagała się uniewinnienia. Co bym począł, gdyby taka dziewczka rzekła, iż powodowała się tymi samymi intencjami co Helena córka Torberga?

Sygryda, choć wbrew chęci, musiała przyznać mu słuszność.

Znaleźli się jednak tacy, którzy przebąkiwali, że ksiądz miał powody do skwapliwego wstawiania się za Heleną.

Może nie miał zupełnie czystego sumienia; może on również do niej chadzał? A co za hańba, przecież ludzie dość często zwali go świętym! I dotychczas nie mieszał się do prawnych orzeczeń...

Liczyli na palcach: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Kręcili głowami; akurat przypadłoby na adwent, a ksiądz bywał okrutnie srogi dla nie zachowujących wstrzemięźliwości w tym czasie!

7

Jesień znowu zawiodła. Kto nie skosił w porę niedojrzałego zboża, aby go użyć na paszę, musiał w końcu zwozić je na saniach. Brakowało karmy dla bydła.

Ludzie także chudli z każdym miesiącem. Tego roku nawet w największych dworach skąpo było jadła na godową ucztę.

Do Egge stale płynął potok żebrzących. Ludzie, którzy dawniej byli zbyt dumni, aby przyjąć pomoc od najbliższych, teraz zjawiali się z zapadniętymi policzkami i ogromnymi

wygłodniałymi oczami. Sygryda dawała, póki mogła, nad-szedł jednak dzień, kiedy musiała zacząć odmawiać, ponosiła bowiem odpowiedzialność za wszystkich domowników, a nawet w Egge dosypywano korę do mąki.

Niechęć do rządów duńskich stawała się coraz zajadlej-sza.

Król Svcn niewiele otrzymał z danin bożonarodzenio-wych, lecz nikt, nawet królowa Alfiva, nie śmiał się upomi-nać.

Od bardzo dawna nie mówiono tak często o obiatach; lęk przed zapomnianymi bogami znowu narastał.

Na przedwiośni nowy strach zaczął się szerzyć, od dworu niesły się szepty, że pewno dzień Sądu Ostatecznego nastąpi lada chwila.

Uczeni twierdzili, że nadejdzie on w tysięcznym roku po narodzeniu Chrystusa. Kiedy to się nie sprawdziło, zaczęto przypuszczać, że dzień sądu przypadnie na tysięczny rok od Jego śmierci; między innymi tak mówił ksiądz Anund, a skoro to się nie stało dotychczas, musi nastąpić tego roku.

Niektórzy mieszkańcy gminy byli tak umęczeni głodem, niedostatkiem, rządami Danów, że po prostu cieszyliby się końcem świata. Większość jednak była przerażona; czepiali się życia; choćby było najgorsze, znali je, a co będzie po Sądzie Ostatecznym, tego nikt nie wiedział.

Przed Wielkanocą księża mieli mnóstwo zajęcia, tłumy garnęły się do spowiedzi.

Sygryda także poszła do księdza. W ciągu ostatniego roku chrześcijaństwo stało się dla niej niby pusta czara. Spełniała chrześcijańskie obowiązki z nawyku, w ten sam sposób, w jaki klękała czy żegnała się podczas mszy.

Ksiądz Anund natomiast utrzymywał, że to jest nie-odłączna część chrześcijańskiego życia, próba, którą każdy przejść musi. Ale trzeba do niej podchodzić w sposób właściwy, urabiać w sobie cierpliwość — ostatnie słowa dodawał ze znaczącym błyskiem oczu.

Uwaga była trafna, bo istotnie od pogodzenia się z Kal-fem nie zyskała na pobożności. Wręcz przeciwnie, stała się

w pewnej mierze znowu dawną Sygryda. Postanowiła tedy pokutować, poprawić się i spełniać dobre uczynki.

W najbliższym czasie usiłowała także gorliwie pomagać Kalfowi w lepszym zrozumieniu chrześcijaństwa. Wobec czego w poście Kalf zaczął rozważać:

— Może masz słuszość? Chyba powinienem się spowiadać z obrabowania kościołów i klasztorów; pewno zagarnąłem więcej, niż się godziło... taki byłem wściekły...

Jeżeli Kalf raz coś postanowił, szybko przechodził do czynu, toteż kiedy ksiądz Anund nazajutrz przybył do Egge, poszedł do niego do spowiedzi. Tego dnia sporo złota i srebra przeszło z rąk do rąk.

— Słabo opłaciło się dobiecie targu — rzekł później Kalf. — Uzyskałem rozgrzeszenie, ale musiałem oddać każdy najmniejszy nawet drobiazg, który poprzednio mógł stanowić własność Kościoła. A do tego jeszcze dołożył mi pokutę!

— Niedługo wszyscy staniemy przed sądem — powiedziała Sygryda. — A tam zrabowane dobra kościelne nie bardzo ci pomogą.

— Pewnie, że by nie pomogły — potwierdził niezbyt zachwycony Kalf. — Ale jeżeli dzień sądu nie nadejdzie?

— Uczyniłeś pierwszy krok, aby być dobrym chrześcijaninem — upewniła go Sygryda.

— Jeżeli każdy krok na tej drodze będzie mnie tyle kosztował, nie wiem, czy się ta wędrówka opłaci — mruknął Kalf.

Na krótko przed świętami ludzie powiadali, że wielu wyłączonych z Kościoła za niezmiernie ciężkie grzechy przyszło do księży w skrusze i pokucie. Mimo to Sygryda ledwo oczom wierzyła, kiedy w Palmową Niedzielę zobaczyła Helenę córkę Torberga przystępującą do Sakramentu Ołtarza. Właściwie gdy chodziło o tę dziewczynę, dała już za wygraną. Przed rokiem zapłaciła za nią grzywnę i odtąd nie miała z nią nic do czynienia; Helena wyraźnie dawała do poznania, żeby zostawić ją w spokoju.

Dni mijały: poniedziałek, wtorek, środa... ludzie coraz żarliwiej się modlili.

Jednakże nie wszyscy. G, którzy przedtem składali ofiary potajemnie, teraz robili to otwarcie. Inni pożerali resztki zapasów; łamali post na wszelkie sposoby. Zupełnie jakby sobie powiedzieli, że jeśli świat ma się skończyć, oni jeszcze zdążą użyć wszystkich jego rozkoszy. Z każdym dniem byli bardziej rozpasani, nawet na drogach człowiek nie czuł się bezpieczny.

Wielki Piątek był chmurny, ziemia poprzedniego dnia naga okryła się śniegiem.

Ludzie byli rozczarowani; jakże tu dostrzec nadejście Pana w taki dzień. Bez przerwy rozważano, jak to się stanie, większość twierdziła, że niebo musi się przetrzeć.

Koło południa czarne wełniste chmury nadal zasnuwały niebo. Księża zaś mieli tyle zajęcia, że nie sposób było ich dopaść i zapytać.

Podczas kurniawy nie dało się nawet ściśle określić czasu. Jednakże kiedy ludzie doszli do przekonania, że wkrótce będą nieszpory, znaczna ich część weszła do kościoła, reszta została na dziedzińcu.

Sygyda i Kalf zabrali Tronda i Sunnivę do kościoła.

Nawa była pełna wiernych, Sygyda i Kalf ukłękli jak wszyscy.

Część modliła się po cichu; Sygyda widziała wargi poruszające się w szepcie. Inni głośniej mruczeli pacierze, na skutek czego w kościele słychać było szum jakby rzeki. Z upływem czasu szum ten narastał niczym w wezbranym potoku, w końcu rozległ się lament błagający Boga o zmiłowanie; niektórzy głośno składali wyznanie wiary, aby wszyscy słyszeli. Sygyda wspomniała zaćmienie słońca, jakże ona sama bała się wówczas.

Teraz ku własnemu zdumieniu była przedziwnie spokojna. Promienny spokój, jaki niegdyś odczuła w stemkierskim kościele, powrócił teraz; właściwie nigdy jej całkowicie nie opuścił, nawet gdy sądziła, że chrześcijańskie życie jest wyzute z treści.

Z nadzieją, a nawet z pełnym napięciem oczekiwaniem, słuchała narastających dokoła dźwięków. Miała wrażenie, że

na ich fali płynie ku niebu, gdzie każde westchnienie, każde błagalne wezwanie zamieni się w pienia na chwałę Boga.

A kiedy powoli gwar przycichał dokoła, znowu zaczęła jakby opadać na ziemię, wracać do codziennego życia z jego troskami, do ciemnego małego kościółka, gdzie świece rzucały migotliwe cienie, a ludzie z wolna podnosili się i zmierzali ku wyjściu. Sygryda czuła się przede wszystkim zawiedziona.

Kalf z Sygryda wrócili do świetlicy, jednakże sporo ludzi zostało na dziedzińcu. Milczeli; patrzyli na śnieżne płatki wirujące na tle szarego nieba; zupełnie jakby czegoś nie pojmowali.

W izbie także panowała cisza; ludzie byli stropieni, lekko zawstyżeni. Tylko nieliczni udawali beztroskich.

— Może nie omyliliśmy się co do roku, tylko co do dnia. Może Chrystus powróci w tysiąc lat od Zmartwychwstania. Albo od Wniebowstąpienia — powiedział jakiś głos i znowu zapadła cisza.

Nagle Harald syn Guttorma wyrznął pięścią w stół.

— Raz w tygodniu mogę się przygotować na spotkanie końca świata, ale dwa razy to za dużo!

Koniec świata nie nastąpił w dniu Wielkanocy. Coraz częściej powtarzano zdanie Harald Guttormssona, że dwa razy nie ma na co czekać.

Kalf był ogromnie zajęty w najbliższym czasie; wielu ludzi lękało się wiosennego tingu, jawnie bowiem dopuścili się wykroczeń przeciwko prawu. Inni — wręcz przeciwnie — żalowali, iż tak się kwapili z wyznaniem grzechów na spowiedzi.

Sygryda przypuszczała, że do tych ostatnich należy Helena, toteż postanowiła wybadać dziewczynę wkrótce po Wielkanocy. Wmawiała przy tym sobie, że kieruje się dobrem Heleny, ale w duchu musiała przyznać, iż powoduje nią również ciekawość.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — spytała bez ogródek.

— To moja sprawa — burknęła Helena. — A może uważasz, że mnie kupiłeś płacąc za mnie grzywnę?

W Sygrydzie nagle zawrzało. Stały w lamusie, dokąd Helena przyszła po ziarno ze zbyt szybko ubywających zapasów, właśnie trzymała oburącz ogromną drewnianą misę wypełnioną po brzegi. Widok tego ziarna powstrzymał Sygrydę od wymierzenia jej siarczystego policzka, bo dziewczyna na pewno upuściłaby misę na ziemię.

— Dla mnie możesz robić, co ci się podoba — odparła oziębłe. — Nawet dzisiaj opuścić Egge, skoro taka twoja wola.

— Wiesz przecież, że nie mam dokąd pójść — odparła Helena półgłosem.

— Możesz służyć w którymś z okolicznych dworów albo w Kaupangu, jeśli wolisz.

Helena ostrożnie odstawiła misę. Ciężko westchnęła.

— Wiesz dobrze, że żadna niewiasta w okolicy nie zechce mnie przyjąć do służby. A nawet gdybym zdołała nająć się do pracy gdzie indziej, nigdzie nie będzie mi równie dobrze jak w Egge. Wybacz mi — tu wyciągnęła rękę do Sygrydy, dodając: — Taka jak ja nie może unosić się dumą.

Sygryda ujmując jej dłoń poczuła ukłucie w sercu.

— Powinnam była cię usłuchać i wydać się za mąż — mówiła dalej Helena, jakby chciała dowieść, że całkiem wyzbyła się dumy.

— Jeszcze nie za późno — szybko dorzuciła Sygryda. — Miło na ciebie popatrzeć, jestem pewna...

Ale tu Helena, niebaczną na pokorę, zawołała:

— Jeśli sądzisz, że Kalf albo ty zdołacie przekupić któregoś z pacholków, aby mnie poślubił, to muszę ci powiedzieć, że bym na to nigdy nie przystała!

— Nie — odparła Sygryda, choć taka myśl przychodziła jej do głowy. — Nie to miałam na myśli. Ale mężczyzna, który by cię poznał naprawdę, pokochałby ciebie bez trudu.

Helena nagle się załamała, jak kilkakrotnie dawniej w obecności Sygrydy; rozplakała się bezradnie niczym małe dziecko. Sygryda również czuła się bezsilna. Objęła dziewczynę i posadziła na skrzyni. Zamknęła drzwi na zasuwę i siadła obok niej.

Po chwili Helena zaczęła mówić. Najpierw o swoim dzieciństwie, o tym, jak boleśnie odczuwała, że nikt nie będzie jej kochał. Sądziła, że miłość Grjotgarda ją uratuje, zupełnie jak Sigurd Fafnesbane wyzwolił uśpioną Brunhildę od przekleństwa Odyna.

— Nawet choć nie położył obnażonego miecza między nami w łóżu, jak Sigurd zrobił z Brunhildą.

I opowiadała dalej sprawy dobrze znane Sygrydzie, aż po zamordowanie dziecka, a potem z ostatnich czasów.

— Nie mogłam pojąć, dlaczego ksiądz Anund chciał się wyzbyć wolności dla ratowania mnie. Musiałam go o to zapytać.

— Co odpowiedział?

— Powiedział, że skoro Chrystus zechciał umrzeć dla mego zbawienia, to tylko tego by brakowało, żeby on nie przyczynił się, choć tyle ile może, aby mnie pomóc. Całą jesień często rozmawiałam z Anundem.

Sygryda wiedziała o tym. Różnie plotkowano w okolicy; powiadano nawet, że Helena jest nałożnicą księdza.

— Ofiarność księdza Anunda kazała mi się zastanowić, czy się nie omyliłam co do Pana Boga — stwierdziła Helena.

— Kiedy z nim o tym mówiłam, orzekł, iż jeśli kiedykolwiek uczynił coś dobrego, nie zrobił tego sam z siebie, był tylko narzędziem w ręku Boga. Z czasem, widząc, jak ze wszystkich sił pragnie mi dopomóc, uwierzyłam, że Bóg także dobrze mi życzy, że może jednak On mnie choć trochę miłuje. Zaczęłam tedy słuchać rad księdza: wybierałam sobie jeden dzień i prosiłam Boga o pomoc, żebym zdołała przeżyć go w czystości, nie myśląc o wszystkich następnych. Ze zdumieniem spostrzegłam, że nie przychodziło mi to z taką trudnością, jak się spodziewałam. A kiedy Wielkanoc była już blisko, znowu znalazłam sobie powód do umocnienia woli.

Wobec milczenia Sygrydy Helena opowiadała dalej:

— Nie wiem, co będzie. Ale nadal postanawiam sobie tylko na jeden dzień, jak przykazał ksiądz Anund.

Sygryda znowu nie miała nic do powiedzenia.

— Czy sądzisz... — zaczęła Helena, jakby pytająco.

— Czy mogłabym coś zrobić dla ciebie? — spytała Sygryda z nadzieją w głosie.

— Tak — Helena powtórnie przerwała, po chwili jednak dokończyła — zezwoliłabyś mi znowu opiekować się Sunnivą?

— Bez wątpienia — pospieszyła zapewnić Sygryda, po czym dodała: — Sunniva tęskniła do ciebie. Płakała, nie mogła pojąć, czemu jej nadal nie bawiłaś ani nie ubierałaś. Do nikogo nie przywiązała się tak jak do ciebie.

— Ludzie będą się dziwowali, że powierzyłaś mi opiekę nad twoim dzieckiem, wiem o tym — Helena uważała za konieczne wysunąć to zastrzeżenie.

— Od dawna przestałam się przejmować, co ludzie o mnie myślą — odparła Sygryda, po czym wstała i wyszła z lamusa.

8

Wiosna nadeszła, ludzie przeważnie byli wychudzeni jak niedźwiedzie wychodzące z gawry. Zwierzęta, które przetrwały zimę, były — jeśli to możliwe — jeszcze bardziej wynędzniałe; gdyby wiosna zaczęła się nieco później, chyba zbrakłoby była w trondheimskim okręgu.

Na szczęście zjawiła się wcześniej; zima jakby się wyczerpała w śnieżycach około Wielkiejnocy. Siewne ziarno padło na rolę o zwykłej porze; pogoda zapowiadała się coraz lepsza, nikt jednak nawet pisać o tym nie śmiał.

Kalf dużo czasu spędzał tego lata w Kaupangu, ale nie mówił, co tam porabiał. Sygryda była pewna, że nie jeździł do grodu, aby pomagać królowi Svenowi.

Pośród mieszkańców Trondheimu szerzył się niepokój; coraz więcej kmieci powtarzało, i to jawnie, że im prędzej przepędzi się Danów z kraju, tym będzie lepiej. Sygryda wcale się nie zdziwiła, kiedy pod koniec lata mąż przyjechał do Egge z człowiekiem, na którego życie król nastawał, Kalf wobec tego wziął go pod swoją opiekę.

Mąż ów zwał się Karl; wraz z bratem Bjórnem jeździł handlować na Ruś, tam został pojmany w niewolę przez króla Jarosława. Jarosław zamierzał odebrać mu życie. Wtedy jednak Magnus syn Olafa, wychowany przez króla Jarosława i królową Ingegjerdę, miał rzec, że nieprędko zostanie po ojcu królem Norwegii, jeśli przybysze z tego kraju będą brani do niewoli i mordowani.

Wobec czego Karlowi i Bjórnowi darowano życie pod warunkiem, że wrócą do Norwegii jako poplecznicy Magnusa syna Olafa; mieli wybadać, czy w kraju są ludzie gotowi go poprzeć. Mieli też wręczać pieniężne dary tym, którzy zaprzysięgną mu wierność.

Karl wpadł w ręce króla Svena, ten zamierzał torturami zmusić go do wyznania, kto przyjął pieniądze Magnusa Olafssona. Karlowi jednak udało się spoić wartowników i umknąć.

Sygyda zapytała Kalfa na osobności, czy on również brał pieniądze od Karla; przypuszczała, że to był jeden z powodów, dlaczego zaopiekował się przybyszem.

Kalf zaprzeczył.

— Byłbym głupcem, gdybym to uczynił. Wiele bym stracił, a mało zyskał. Gdybym zamierzał uzyskać korzyści od któregośkolwiek króla, żądałbym władzy, a nie sakiewki srebra. Biorąc w opiekę Karla składam Magnusowi najlepszy dowód zaufania; teraz on jest moim dłużnikiem.

— Czy wielu brało od niego pieniądze?

— Sporo.

— A Einar Tambarskjelve także?

— Na pewno nie; on raczej myśli podobnie jak ja. Mniejsi znaczeniem naczelnicy dali się skusić. I nie wiedzieli, co począć, gdy Karl został pojmany. Wielu spieszyło do mnie błagać o pomoc.

— Dlaczego sądzili, że zechcesz im pomóc?

— Chyba zdajesz sobie sprawę, Sygydo, że nie opowiadałem ci wszystkiego, co działo się tego lata w Trondheimie — rzekł Kalf wzruszając ramionami. — Oni widać mieli po temu podstawy. A ponieważ tylko Einar i ja jesteśmy dość

silni, by stawić królowi czoło, Einara zaś nie było w mieście, przeto samo przez się jest zrozumiałe, iż przyszli do mnie.

Sygyrdzie coś zaczęło świtać.

— Tyś spoił strażników Karla?

— Skoro pytasz... — Kalf uśmiechnął się. — Ich piwo było takie mocne, że konia by z nóg zwaliło!

— Pozyskałeś sobie dzięki temu przyjaciół.

— Tak — odparł Kalf poważnie. — A w królu zyskałem wroga! Do tego jednak musiało dojść — prędzej czy później. — Zamilkł, po czym gniewnie dodał: — Za to od króla Kanuta przybył wysłannik we właściwym czasie! Już wyjeżdżałem do Kaupangu z Karlem, kiedy otrzymałem polecenie dostarczenia mu trzy razy po dwanaście toporów najprzedniejszej jakości. Odpowiedziałem, że w tej chwili takowych nie posiadam, lecz jeśli trzeba, dopatrzę, aby Sven jego syn dostał wystarczającą ilość i nie mógł powiedzieć, że ich skąpił.

Wkrótce potem król Sven wezwał knieci pod broń. Jakiś człek imieniem Tryggve, który mienił się synem Olafa Tryggvassona, zebrał wojska poza granicami kraju i ciągnął na Norwegię.

Sygyrda ze zdziwieniem patrzyła, jak Kalf pospiesznie sposobi okręt do drogi; nie przypuszczała, że będzie tak skory do walki za króla Svena. Natomiast bardziej rozumiała była zapowiedź, iż wstąpi do Giske na naradę z braćmi.

I znowu Sygyrda pozostała sama w Egge z napięciem wyczekując na wieści z drogi lub o bitwie.

Lato było nadal dobre, pogoda wypadała zmienna, czasem padało, to znów wracały ciepłe słoneczne dni, siano sprzątnięto bez kłopotów.

Zboże już się wykłosiło, gdy Kalf pod koniec miesiąca sianokosów wrócił z Giske.

Bracia jednomyślnie uradzili trzymać się na uboczu w tej wojnie. W drodze powrotnej Kalf spotkał flotę króla Svena; płynął na południe walczyć z Tryggyem. Towarzyszyło mu

wielu znamienitych mężów trondheimskiego okręgu, nawet i takich, którzy przysięgali wierność Magnusowi Olafsonowi. Uważali zapewne, iż ruszając przeciwko Tryggvemu nie łamią danej przysięgi. Ale wśród nich nie było Einara Tambarskjelve; podobnie jak synowie Arnego uważał, że lepiej trzymać się z dala.

Kalf napotkał królewskie okręty w przesmyku. Nawoływano, aby się przyłączył i razem bronił kraju. Kalf odparł na to, iż dosyć już walczył przeciwko własnym rodakom na rzecz Danów. Wtedy to król zauważył Karla na pokładzie Kalfowego statku. Zażądał wydania go, Kalf odmówił i na pełnych żaglach odpłynął ku północy. A ponieważ król miał inne troski, przeto nie ścigał go, lecz popłynął własną drogą.

Niemniej jednak Kalf skrzyknął kmieci z okolicy, rozesłał też umyślnych, aby pozyskać sobie naczelników na wypadek zbrojnego starcia z królem. Posłańcy przez jakiś czas krążyli również między nim a Einarem Tambarskjelve.

Sygyrda troskała się koniecznością wykarmienia tylu ludzi. Jednakże na równi ze wszystkimi żywiła nadzieję na pomyślne zbiory. Poza tym niewiele pomoże oszczędzanie jadła, jeżeli nie da się oszczędzić życia.

Od lat nie pamiętano w Trondheimie tak obfitych zbiorów. Ale dopiero po zakończeniu zwózki ludzie odważyli się odetchnąć. I wtedy nie było końca wychwalaniu pomyślnego roku.

Kobiety krzątały się przy słodowaniu jęczmienia; musiał być gotowy na dzień zimy.

Tego roku jednak nie było w Egge zjazdu na powitanie zimy. Król Sven wrócił po rozprawie z Tryggvem. Zwyciężył w walce, a Tryggve poległ. Obecnie zwoływał na ting w Ore.

Kalf pociągnął na wiec z licznym orszakiem pachołków w pełni gotowych i uzbrojonych do walki. Wrócił jednak wcześniej, niż go oczekiwano.

Ting chwilowo był zerwany — oznajmił.

Alfiva i Sven nie chcieli odpowiadać na oskarżenia wniesione przez kmieci; tłum pomrukiwał coraz groźniej.

Wtedy to Einar Tambarskjelve wykpił zarówno królową, jak i króla wobec wszystkich, nazwał ją kłępą, a jego łośzakiem. Słowa te szybko rozniesiono dalej w tłumie. Zaczęły się śmiechy, a kiedy królowa usiłowała przemówić, nie mogła dojść do słowa. Wtedy to Einar doradził kmiotom, by rozjechali się do domów.

— Ani Sven, ani Alfiva nie znajdują oparcia w całym Trondheimie — zakończył Kalf. — Nawet namiestnicy, którzy pociągnęli z królem Svenem przeciwko Tryggvemu, nie usiłowali go bronić. Na pomoc Anglii też nie może Uczyć. Król Kanut żyje w nieprzyjaźni z jarlem Rudy i ma dość kłopotów, nie będzie się troszczył o posyłanie wojska do Norwegii. Wątpię, żeby Sven przetrwał zimę w Kaupangu.

Wkrótce po powrocie Kalfa do Egge odbyła się opóźniona biesiada na powitanie zimy.

Od wielu lat wydawał on huczne uczyty na powitanie i na przesilenie zimy oraz w połowie lata. Dopiero w czasie nieurodzajów musiał odstąpić od tego zwyczaju, toteż tej jesieni starał się nadrobić braki. Nie skapiono niczego.

Wesoło było tego wieczora w biesiadnej sali. Z początku jednak Sygryda nie miała czasu na rozrywkę. Toteż rada była, kiedy wreszcie jadło uprzątnięto ze stołów, a rogi gęsto krążyły; reszcie dziewczki podołają bez jej czujnego dozoru.

Usiadła tedy obok Ingeridy z Gjevranu, dopiero teraz uprzytomniła sobie, jak dawno z nią nie gawędziła. Była tak zajęta sobą i własnymi sprawami, że nie miała czasu dla innych; ale nareszcie chyba wszystko będzie po dawnemu.

Słyszała śmiech Kalfa i Finna syna Haralda przy męskim stole.

Nagle ponad gwar rozmów wzbiał się odgłos kłótni przy stole pachółków. Błysnął nóż, jakiś mężczyzna uskoczył w ostatniej chwili, rozległo się głośne przekleństwo, bo ten, kto dobył kordelasa, zamiast w przeciwnika uderzył o kant stołu i zdarł skórę z kostek na dłoni. W mgnieniu oka obaj zwaśnieni przesadzili stół i stanęli naprzeciw siebie z obnażonymi mieczami.

Kalf natychmiast kazał chwycić mącieli spokoju i stać ich przed swoje oblicze.

Wszystko odbyło się tak prędko, że Sygryda nie rozpoznała, o kogo chodzi, dopóki przeciwnicy nie stanęli przed Kalfem. Wtedy ledwo mogła uwierzyć własnym oczom, jednym był Harald syn Guttorma, drugim Orm, także domownik Egge.

Na pytanie Kalfa, co ich skłoniło do zakłócenia spokoju, obaj milczeli.

— No, Haraldzie? — nalegał Kalf.

— O dziewczkach mówiliśmy — odparł zmieszany Harald.

— Mów dokładnie. — Kalf badawczo im się przyglądał.

— To Harald dobył noża — rzekł Orm, którzy również wyraźnie czuł się skrępowany.

— Wiem o tym. Czy nie zamierzasz bronić się, Haraldzie? — spytał Kalf wskazując na jego zakrwawioną rękę.

Harald nie odpowiedział.

— Czy chcesz ponosić winę za wywołanie burdy bez powodu?

Harald ani ust nie otworzył, dopiero Orm zaczął opowiadać:

— Gadaliśmy z Kjetilem o Helenie córce Torberga. Haraldowi to się nie spodobało. — Harald zrobił ruch, jakby chciał go powstrzymać, lecz Kalf ostrzegawczo podniósł dłoń, Orm ciągnął zatem dalej: — Kjetil mówił, że ostatnimi czasy zrobiła się wielka, nikogo do siebie nie dopuszcza. A ja rzekłem, iż nie wierzę, żeby to długo trwało. Harald wtrącił pospiesznie, że przecież ktoś może się z nią ożenić. Ja spytałem, kto zechce poślubić dziewczkę, która tak się nisko ceniła, że nawet z niewolnymi spała. Może ty zechcesz — spytałem. Na to on powiada — a może. To ja mu na to, że nawet choć był przyjacielem Grjotgarda, to go nie obowiązują do zbierania po nim gnoju. Odparł, że nie ma mowy o zbieraniu gnoju. Można szanować dziewczynę, która zdołała stanąć z powrotem na nogi, choć przedtem nurzała się w bagnie. Rzekłem mu na to, że wątpię, by się mocno na nogach trzymała, i gotów jestem założyć się, iż dwa tygodnie nie miną, a położę ją na łopatki. Zakładamy się — spytałem

Kjetila — który z nas dwu pierwszy wlezie Helenie córce Torberga do łóżka? Wtedy Harald dobył noża.

— Czy tak było? — spytał Kalf Harald. Harald w milczeniu skinął głową.

— Twoje szczęście, żeś nie zranił Orma — rzekł Kalf surowo. — Wracaj na miejsce, Haraldzie. A ty, Ormie, przesiądź z Tordem.

Cisza zapadła. Sygryda spojrzała na Helenę, która wniosła pełny dzban piwa na stół niewieści. Dziewczyna patrzyła w ziemię, a czerwieniła się aż po białka oczu. Po czym szybko odwróciła się i wyszła.

Sygryda zamierzała pójść za nią, lecz dostrzegła Haraldą przemykającego ku drzwiom. Pozostała więc na miejscu.

Następnego dnia Harald przyszedł do Kalfa z oświadczeniem, że pragnie zaślubić Helenę.

Kalf odparł, iż nie stawia przeszkód, lecz dziewczka odpowiada za siebie. Dodał też, iż jego zdaniem chłopak winien się namyślić, aby później nie żałował swego kroku. Na co Harald odparł, że doszli już z Heleną do porozumienia.

Jednakże Kalf nie był zadowolony.

— Helena za dużo wie — powiedział do Sygrydy. — A niewieście łatwo się wygadać przed mężem. Wolałbym ją widzieć niezamężną.

Zdaniem Sygrydy nie należało się obawiać niedyskrecji Heleny. Kiedy jednak poruszyła sprawę Haraldą i Heleny z księdzem Anundem, ze zdumieniem stwierdziła, że on również nie był rad temu małżeństwu.

— Miałem nadzieję... — zaczął, po czym przerwał w pół zdania. Sygryda nie dowiedziała się, jakie żywił nadzieje.

Jednakże znalazł się ktoś, kto o wiele donośniej niż Kalf i ksiądz Anund wyrażał swoje niezadowolenie. Była to Ragnhilda, matka Haraldą. Twierdziła, że ani nie oczekiwała, ani nie zasłużyła na to, by syn przyczynił jej tyle strapienia.

I użalała się nad swoim nieszczęściem każdemu, kto zechciał słuchać.

Na początku zimy królowa Alfiva zwołała ting do Óre. Tym razem jednak Kalf nie ruszył się z Egge; zresztą nie stawił się ani jeden kmieć z Inntrondheimu.

Nie minęły dwa tygodnie, gdy przybył posłaniec od Einara Tambarskjelve z wieścią, że król i królowa wraz ze swoimi Danami popłynęli wzdłuż brzegu ku południu. Prosił, by Kalf przybył do Kaupangu na naradę, co począć.

Sygyda wraz z dziećmi towarzyszyła Kalfowi. Ku swej radości zastała w grodzie również Bergljot córkę Haakona; obie niewiasty ucieszyły się sobie ogromnie.

Einar i Kalf wiedli długie rozmowy na osobności, Sygyda i Bergljot były przeważnie zdane na własne towarzystwo.

Bergljot objawiła zadowolenie z obrotu rzeczy.

— Nareszcie pozbyliście się Alfivy! Chyba ostatecznie zobaczyła, jak źle wyszła na udzielaniu nikczemnych rad królowi Kanutowi.

— Szczęścia sobie nimi nie przysporzyła — przyznała Sygyda.

— Ani królowi Kanutowi też się nie przysłużyła — dodała Bergljot wielce zadowolona. — Ma teraz dość zajęcia z pilnowaniem Anglii. Słyszałam, jakoby przystał na podział kraju z synami króla Ethelreda; zrobił się łaskawszy, odkąd jarl Rudy obiecał im pomagać w odzyskaniu ojcowizny. Ale jeśli szczęście przestało mu sprzyjać, Kanut może sobie także podziękować.

Sygyda nie mogła powstrzymać się od poruszenia jednej sprawy.

— Tak — powiedziała. — Króla Kanuta też niejedno obciąża. Na pewno nie jest bez winy, chodzi o śmierć jarla Eryka.

Bergljot zerwała się, jakby ją żmija ukąsiła.

— Co mówisz?

— Takie wieści były... — Sygyda zawahała się. Ale Bergljot nalegała, więc opowiedziała, co Kalf słyszał w Anglii.

Bergljot długo milczała. A gdy wreszcie się odezwała, mówiła o czym innym:

— W każdym razie kmicie popierają Einara przeciwko królowi Svenowi. Latem spotykał się z mieszkańcami całego Utrondheimu, aby się o tym upewnić.

— O, to dobrze — Sygryda lepiej teraz rozumiała, dlaczego Einar tak hardo stawiał się na tingu.

Rozmawiały dalej o wydarzeniach ostatniego roku w trondheimskim okręgu.

Wieczorem Sygryda opowiedziała Karlowi o rozmowie z Bergljot.

— Niemądrze postąpiłaś wspominając o śmierci jarla Eryka — powiedział od razu. — Gdyby Einar chciał powiadomić o tym Bergljot, sam byłby jej powiedział.

— Chyba nie lękasz się Einara?

— Nie. Pamiętaj jednak, że usiłuję wziąć górę nad człowiekiem, który walczył w svoldęńskiej bitwie, zanim ja potrafiłem wystrugać strzałę, i który od tego czasu był jednym z najznamienitszych w naszym kraju.

Sygrydzie zrobiło się trochę nieprzyjemnie.

— Mam nadzieję, że nie wyrządziłam wielkiej szkody swoją gadatliwością.

— I ja mam taką nadzieję; Einar i dawniej też był mi krzywy.

— O co mu chodzi?

— Nie podoba mu się, że twardo obstaję przy żądaniu władzy, podczas gdy on chce wodzić prym. A ja, choć szanuję jego osobę i doświadczenie, upieram się przy tym, że jeśli mamy iść ręką w rękę, to jako równy z równym.

— A co macie osiągnąć wspólnymi siłami? — spytała ciekawa Sygryda. Tego jednak się nie dowiedziała; pomyślała zatem, że sobie to zawdzięcza — po co wygadała się wobec Bergljot. Uderzyło ją, jak trudno upilnować języka wobec kogoś, kto rzekomo wszystko szczerze nam mówi. Postanowiła zachowywać się przezorniej.

Dopiero po powrocie do Egge Sygryda dowiedziała się, o czym Kalf rozmawiał z Einarem. Chodziło o sprowa-

dzenie z Rusi Magnusa syna Olafa i obwołanie go królem Norwegii.

— Każdy Norweg opowie się za synem świętego Olafa — twierdził Kalf. — A kiedy Norwegowie raz się zjednoczą, król Kanut nic przeciwko nim nie zdoła, choćby postanowił od nowa zdobywać kraj.

— Ci, którzy sprowadzą Magnusa do kraju, mogą liczyć na szczodre przywileje — rzekła Sygryda zamyślona. — Chybaby ci darował, żeś walczył przeciw jego ojcu.

— Miejmy nadzieję — rzekł Kalf z uśmiechem.

— A czy król Sven już opuścił Norwegię?

— Nie, ale niedługo popłynie do Danii lub Anglii. Jednego możesz być pewna: do Trondheimu nie odważy się przyjechać ponownie.

— Słyszałam, jakoby król Kanut żył w nieprzyjaźni z jarlem Rudy.

— To prawda. Król Kanut leży obłożnie chory w Anglii, każdego dnia oczekuje, że Robert z Rudy i synowie Ethelreda tam wylądują. Toteż Sven mniej niż kiedykolwiek może Uczyć na pomoc ojca.

W ciągu zimy Kalf często jeździł do Kaupangu na naradę z Einarem Tambarskjelve oraz innymi naczelnikami.

Pod koniec zimy byli już bliscy powzięcia ostatecznego postanowienia. Kalf uzyskał, co chciał, obaj z Einarem mieli być na równej stopie. Obaj także z licznym orszakiem mieli jechać wiosną na Ruś i sprowadzić Magnusa do Norwegii.

Kalf natychmiast zaczął gotować się do podróży, a tak wesołego Sygryda od lat nie widywała. Śmiał się i żartował z Trondem, nawet znajdował czas na gawędzenie z Sunniwą.

Pewnego dnia przed śniadaniem wróciła do komory i z radością oraz zdumieniem zastała tam Kalfę z córką. Trzymał dziewczynkę na kolanach i z wielkim zapałem pokazywał jej, jak wiązać chodaki na nóżkach.

Stropił się na widok Sygrydy, ale żadne z nich ani słowem o tym nie wspomniało.

Dopiero wieczorem w przeddzień wyjazdu na wschód nawiązał do owego wydarzenia.

— Skoro bez wątpienia sam już nie spłodzę ani synów, ani córek, muszę cieszyć się twoimi. — Po czym roześmiał się i dodał: — Wystarczy mi tych dwoje!

— Sądę, że ufasz mi teraz? — spytała Sygryda z powagą.

— Jestem do tego zmuszony. Może i rok minie, nim wrócimy. Ale tak ufny jak dawnej już nigdy nie będę.

— Trudno, nic nie szkodzi — rzekła Sygryda. Po czym nagle zapytała: — A jeśli spotkasz Sigvata w Szwecji?

— Potrafię udać, że o niczym nie wiem — odparł spokojnie. — A trudno mi wyobrazić sobie, by Sigvat pragnął mówić o swoim ostatnim pobycie w Egge więcej niż to, co niezbędne.

Po chwili milczenia spytał:

— Czy on wie o Sunnive?

— Wątpię. W każdym razie ode mnie się nie dowiedział. Kalfowi jakby ulżyło na sercu.

— Im mniej będzie o tym mowy, tym lepiej. Uznałem dziecko za swoje, a wobec tego ani Sigvat, ani nikt inny nie ma prawa mieszać się do tej sprawy.

Sygryda przygarnęła się do niego z westchnieniem ulgi, on zaś oparł policzek na jej włosach.

— Będzie mi za tobą niewymownie tęskno. Ale ta podróż jest konieczna. Sądę, że będzie stanowiła zakończenie przeszłości i rozpocznie nową jaśniejszą przyszłość. Teraz pogodzę się całkowicie ze świętym Olafem. Zobaczysz, że okazuję jego synowi zaufanie, którego jemu odmówiłem! Czy pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś, że może król znowu użyć mi szczęścia?

Sygryda potwierdziła.

— Miałaś słusność, Sygrydo. Szczęście wróciło do mnie od owej nocy, gdy ujrzałaś Torego.

— I do mnie przyszło znowu tamtej nocy — odparła Sygryda. — Ze wszystkich dobrodziejstw, jakimi Tore mnie obdarzył, to było największe.

Następnego ranka Kalf wyruszył z licznym pocztem; razem z nim jechali także Karl oraz Finn syn Haralda.

Sygryda długo patrzyła w stronę Steinkjeru, nie spuszczała z oka długiego szeregu koni i jeźdźców, który niby wąż wił się po zboczach w kierunku doliny Ver na spotkanie z Einarem oraz pozostałymi naczelnikami. W słońcu błyskały różnorodne barwy, lśniły hełmy i miecze.

W końcu widziała już tylko pojedyncze iskry, gdy promień słoneczny dosięgnął szyszaka lub grotu włóczni.

1

Głośny krzyk rozlegał się w jednej z izb dworu.

Ludzie przechodząc dziedzińcem wymieniali spojrzenia, niektórzy żegnali się, nim wrócili do roboty. Sygryda chwilę zwlekała przed wejściem do maleńkiej izdebki.

Ksiądz Jon na poły siedział w łożu; oczy miał zamknięte, palce na kształt szponów kurczowo zaciskał na pościeli. Po twarzy spływał mu kroplisty pot. Usiadła obok niego i położyła rękę na jego dłoni. On łkając i czepiając się ręki Sygrydy nagle opadł na wezgłowie.

— Nie wytrzymam dłużej, Sygrydo — jęknął.

— Musisz zjeść trochę... — Sygryda podała choremu miskę kaszy na wodzie, którą właśnie przyniosła.

— Jeść! — jęknął ponownie. — Wiesz przecie, że dostaję gorszych boleści.

— Sam powiadałeś, że nikt nic ma prawa odbierać sobie życia — zauważyła Sygryda trochę niepewnym głosem. — Jeśli przestaniesz jeść, umrzesz.

Ksiądz zaczął płakać, po chwili jednak usiadł:

— Daj miskę!

Drżącą ręką, rozlewając kaszę na siebie i posłanie, niósł łyżkę do ust. I tak jadł łyżka za łyżką, aż opróżnił miskę. Sygryda odebrała mu ją i zamierzała odejść. On jednak nie puścił jej.

— Nie! — krzyknął. — Nie odchodź teraz!

Odstawiła miskę i znowu siadła.

Ksiądz Jon trochę się uspokoił, ale mocno trzymał jej rękę; zaciskał palce co siłą, jakby przypuszczał, że przejmie od niej trochę wewnętrznej mocy.

— Bóg chyba kpi ze mnie — szepnął. — Zawsze uciekałem od bólu, zaparłem się Go, by uniknąć cierpienia, a teraz widzę, ku czemu zmierzałem. Ku gorszemu cierpieniu i bólowi, który dręczy i trwa dniami i tygodniami. Jeśli wspominam przeszłość, wydaje mi się, że śmierć w płomieniach w Gjevraniu mogła być wyzwoleniem. I zawsze byłem łasy na jedzenie, a teraz prawie jeść nie mogę.

Sygyda zwlekała z odpowiedzią, ksiądz także zamilkł.

— Może Bóg chce, byś odpokutował — odezwała się w końcu, lecz dobrze wiedziała, że to brzmi beznadziejnie.

— Pokutować... — ksiądz przerwał. Potem znowu ucpił się jej ręki i wyprężył się, jakby go kurcz chwycił. Stękał coraz głośniejszym jękiem, aż jęk przeszedł w krzyk. Sygyda wolną dłonią przysłoniła oczy; nie mogła patrzeć na niego.

— Boże, ulituj się nad nim! — szepnęła.

Dłuższa chwila minęła, nim księdzu ulżyło.

Chwilami leżał skulony we dwoje, to znowu jakby odpoczywał z zamkniętymi oczami cicho pojękując, podczas gdy łzy płynęły mu z oczu. Chwilami załamywał się. W końcu najgorsze mijało.

— Gdybym skonał w Canterbury albo w Gjevraniu! — szeptał ksiądz po odzyskaniu mowy.

Ułożył się spokojnie na wznak. Twarz, przed chorobą kragła, teraz była pomarszczona i zapadnięta. Szyję miał wychudzoną niczym oskubana kura. I rzeczywiście jest oskubany — myślała Sygyda. On, który z pokorą prosił o wybaczenie nawet swoich dobrych uczynków, teraz był całkowicie oskubany, ogołocoony z godności.

Oddychał spokojniej; Sygyda miała wrażenie, że usnął. Toteż kiedy drzwi się uchyliły i wszedł ksiądz Anund, ostrzegawczo położyła palec na ustach.

Jednakże ksiądz Jon nie spał; na odgłos kroków Anunda otworzył oczy i ku zdumieniu Sygydy uśmiechnął się.

— Co słyszać? — spytał Anund.

— Nie sędzę, aby Bóg przywrócił mi zdrowie — odparł ksiądz Jon półgłosem. — Ale nie potrafię cierpliwie znosić Bożego karania.

— Nie wszyscy mogą być dzielni — odparł Anund poważnie. — Musimy żyć z naszymi ułomnościami zarówno cielesnymi, jak i duchowymi.

Ksiądz Jon westchnął.

— Jeśli teraz żalę się tak bardzo, to co pocznę w ogniu czyścicowym?

— Może Pan Bóg zezwoli ci go uniknąć — pocieszała Sygryda. — Może uzna, że dość wycierpiałeś.

Ksiądz Jon potrząsnął głową.

— Tyle zrad popełniłem. I... — przerwał. Sygryda zamierzała mu odpowiedzieć, lecz także zamilkła; ksiądz na pewno by jej nie usłyszał. Znowu cały zeszywniał i zaczynał wic się w bólach.

Sygryda i ksiądz Anund nie patrzyli ani na siebie, ani na niego, dopóki się nie uspokoi. Wtedy Anund zapytał Sygrydy stłumionym głosem:

— Właściwie przyszedłem tutaj zapytać, co wiesz o pochówku, jaki miał miejsce w Heggvinie ostatniej jesieni.

Sygryda drgnęła.

— O jakim pochówku? — spytała niechętnie.

— Słyszałem, że Björn syn Kolbeina złożył ojca w kurhanie starym obyczajem.

— Kto to powiedział?

— Ktoś, kto bardziej niż ty troszczy się o ratowanie ludzi od piekła. Dowiedziałem się także, że prócz Bjórna ty najlepiej o wszystkim wiesz.

— Czemu nie spytasz Bjórna?

— Chcę mieć rozeznanie w sprawie.

Sygryda milczała.

— Sygrydo — odezwał się ksiądz Jon. Oboje się obejrzeli. Chwilę trwało, nim znowu przemówił, wodził rękami po pościeli.

— Sygrydo, opowiedz, co wiesz, zrób to dla mnie!

— Ty w niczym tu nie zawiniłeś...

— Owszem... — zamilkł mrugając oczami jak wówczas, gdy bywał zakłopotany. Po czym znowu się rozpłakał. Sygryda mimo wszystko nie mogła się powstrzymać od rzucenia mu przygnębionego wejrzenia.

— Co to ma znaczyć? — zapytała głosem o wiele surowszym, niż chciała.

— To się stało na skutek mojej zdrady — łkał ksiądz.

Sygryda potrząsnęła głową, wymienili spojrzenia z Anundem.

— Oczerniasz siebie.

— Nie — ksiądz Jon usiłował się wyprostować. — Nigdy nie patrzyłem na nic tak trzeźwo jak teraz.

Przestał płakać, a kiedy zaczął mówić, głos jego nabrał odmiennego brzmienia, prawie takiego jak podczas odprawiania mszy.

— Nigdy nie powinienem był zostać kapłanem, tylko zakonnym bratem spełniającym najcięższe roboty dla mędrszych i silniejszych duchem ode mnie. Jednakże pochodząc z wysokiego rodu miałem do tego prawo. A że zawsze byłem słaby, uległem. Jako człowiek Kościoła powinienem zostać kapłanem, a potem biskupem. Niższa godność nie zmasała-by wstydu, jaki przyniosłem rodowi. Bo każdy mieszkaniec Anglii wiedział, że m tchórzliwy w boju, że na widok zbliżającego się wroga rzucę miecz i umknę. A słabeuszem i tchórzem byłem, odkąd tylko pamiętam.

Jednakże nawet jako kapłan poniosłem klęskę przez tchórzostwo. W Canterbury uciekłem przed męczeństwem przygotowanym mi przez Boga, w kuźni w Gjevranie zdradziłem Blotolfa. Mogę tylko dziękować Bogu, że nie zdążyli wyświęcić mnie na biskupa; byłoby to jeszcze większe nieszczęście dla Kościoła. — Zamilkł na chwilę, oczy miał znowu pełne łez, ale zdołał je powstrzymać. — Co dnia dziękuję Bogu, że ojciec nie wie o mojej hańbie. On myśli, że zginałem zaszczytnie w Canterbury.

— Czy nie nazywasz się Jon? — spytała zaciekawiona Sygryda.

— Nie. To imię przybrałem, by nie ściągnąć hańby na mój ród.

— Jak się zwiesz? — Mimo surowego wejrzenia Anunda, Sygryda nie mogła pohamować ciekawości.

— Niegdyś miałem na imię Ethelbald — odparł ksiądz.

— Z jakiego rodu?

— Sygrydo! — wybuchnął Anund. — Wstydz się!

Sygryda w milczeniu pochyliła głowę, wiedziała, że on miał słuszość.

— Teraz nareszcie widzę, że moje zaprząństwo nie ogranicza się do Canterbury i Gjevranu — mówił dalej ksiądz Jon. — We wszystkich moich uczynkach kryje się ono niczym zaraza i sieje nieszczęście i zgubę na każdym kroku. Ilekroć bowiem powinienem był bronić Chrystusa, ja odwracałem się i umykałem.

Czy miałem kiedykolwiek odwagę zabronić ludziom nawrotu do pogańskich obyczajów? Tutaj składano ofiary duchom i trollom, a ja palcem nie ruszyłem, by temu przeszkodzić. Gdzie indziej składano ofiary gnomom i morskim duchom, nawet słońcu. A ja nie odważyłem się choćby ust otworzyć przeciwko temu.

Cóż w tym dziwnego, że ludzie przebijają miarę, składają obiady bogom, grzebią ojców według pogańskiego obrządku? Moja wina, jeśli Björn z Heggvinu złożył ojca w kurhanie. Dlatego ze względu na mnie opowiedz, Sygrydo, co wiesz, aby choć jego można było przywołać do rozsądku i zbawić...

Sygryda potrząsnęła głową.

— Jeśli nie powiesz, mogę odmówić udzielenia ci sakramentów na Wielkanoc — rzekł ksiądz Anund marszcząc brwi.

— Pogróżkami chcesz nas nakłonić do zaszkodzenia innemu człowiekowi? — tego Sygryda nie spodziewała się po Anundzie.

— Nie ma mowy o zaszkodzeniu mu. Chodzi o ratowanie jego duszy.

Sygryda jeszcze się wahała. Spojrzawszy jednak na pełne niepokoju oblicze księdza Jona, w końcu ustąpiła.

— Razem z jedną z moich niewolnych natknęłyśmy się na Bjórna, kiedy składał Kolbeina w kurhanie. Było to

w lesie, blisko granicy Egge. Wieczór zapadał, nie widział nas. Odesłałam niewolną do dworu, ale sama ukryłam się i podpatrywałam. Zawiązał nieboszczykowi na nogach trupy, potem, już w kurhanie, obrócił go twarzą w stronę Walhalli... Z krwi na koszuli Kolbeina można też było poznać, że zranił się przed śmiercią. Björn miał ze sobą niewolnego, którego zabił po usypaniu kurhanu. Zdaje się, że tegoż niewolnego pochowano na kościelnym cmentarzu w miejsce Kolbeina. Björn wiedział, co robi, zabijając tego człowieka — dodała po chwili namysłu. — Na pewno moja niewolna zrobiła donos.

— Nie ukarzesz jej za to — nakazał surowo Anund.
Chwilę oboje milczeli.

— A cóż Björn miał zrobić? — spytała Sygryda. — Jest ogólnie wiadome, że Kolbein składał ofiary; raz nawet przyłapano go na gorącym uczynku i musiał zapłacić grzywnę. Nie dla niego była poświęcana ziemia. Gdyby go pochować na cmentarzu, na pewno przychodziłby i zadreślał nas na śmierć. Björn spełnił swój obowiązek wobec ojca i wobec gminy grzebiąc go w kurhanie i troszcząc się o to, aby nic nie mąciło mu spokoju.

Anund nie odpowiedział. Spojrzał na księdza Jona. Spał. Anund i Sygryda wstali i po cichu wyszli.

Sygryda zatrzymała się na dziedzińcu i głęboko odechnęła. W powietrzu już pachniało wczesną wiosną, szedł cieplejszy powiew. Zima nie była śnieżna; zeszłoroczne uschnięte trawy sterczały na darniowych dachach, uginały się pod kroplami deszczu, który padał tego dnia. A kiedy słońce przedarło się skroś powłoki chmur, błyszczały niczym szklane paciorki.

Sygryda dziwiła się, w jaki sposób coś tak suchego, zwyczajnego, brzydkiego mogło wyglądać aż tak pięknie. Mimo woli wspomniała nieoczekiwany uśmiech księdza Jona na widok Anunda. Odpędziła tę myśl. Po prostu nie mogła myśleć o księdzu Jonie, o ponurej izdebce wypełnionej zaduchem choroby. Nagle gwałtownie zapragnęła oddalić się ze dworu, postanowiła zatem jechać do Gjevranu, gdzie zresztą miała sprawę do załatwienia.

Wkrótce potem jechała do Gjevranu; zabrała wełnę, którą ufarbowała dla Ingeridy.

Ingerida była w świetlicy, obie niewiasty zaniósły przędzę do tkalni, by sprawdzić, czy kolor był właściwie dobrany do roboty.

— Nie dałoby się tego lepiej ufarbować — zauważyła Ingerida porównując wełnę przywieziona przez Sygrydę z rozpiętą na krosnach.

— Udało mi się tym razem — odparła Sygryda.

Ingerida roześmiała się.

— Nie udawaj skromnisi — zauważyła. — Jesteś w tym względzie najbieglejsza w całej okolicy, i dobrze o tym wiesz.

Sygryda śmiała się również.

— Co nowego w Egge? — spytała Ingerida.

— Helena córka Torberga urodziła cztery noce temu chłopca. Ale pewno już o tym słyszałaś.

Ingerida skinęła głową.

— Wiadomo. A czy nadal tak źle żyją z Haraldem?

— To zależy, jak rozumiesz „tak źle”?

— Chyba wystarczy, że ją bije? A nie ma po temu najmniejszego powodu — jak mówią ludzie; odkąd wyszła za niego, nawet nie spojrzęła na żadnego mężczyznę.

— Nic z tego nie rozumiem — westchnęła Sygryda. — Próbowalam rozmawiać z Heleną, ale odpowiada, jakby nie miała krzty rozumu. Czasem rano zjawia się pobita, aż wstyd; ledwo się rusza. A kiedy mówię, że powinna wnieść tę sprawę na ting, niech Haraldowi nałożą zasłużoną grzywnę, ona się złości.

— A co ci odpowiada? — spytała Ingerida.

— Powiada, że cierpi za grzechy. Popisuje się skaleczeniami i sińcami, jakby je zdobyła na polu walki. Nawet Kalf uznał kiedyś, że tego za wiele; wezwał na osobność Haraldą. A Harald powiada, że Helena sama tego chce, kiedy razem sypiają. Kalf odparł, że jeśli ona nie ma rozumu, Harald powinien być rozsądniejszy. A na to Harald parsknął śmiechem. Oznajmił, że w końcu i jemu to się spodobało.

Chciałam, aby Kalf coś zdziałał mimo to, on jednak uznał, że najlepiej dać im spokój.

Ingerida kiwała głową.

— Sama ongiś byłam zdania, że na dobre mi wyszło, kiedy Finn mnie obił. A było to wówczas, gdyśmy dłuższy czas żyli w niezgodzie i stronili od siebie. Wiedziałam, że wtedy zasłużyła. Ale wszystko musi mieć swoje granice.

— Helena nigdy nie umiała w niczym zachować miary — odparła Sygryda zamyślona. — Teraz zrobiła się nabożna, też bezgranicznie. Niemal o niczym innym nie mówi. A może wszyscy powinniśmy więcej mówić o chrześcijaństwie? — dodała po namyśle.

— Wszyscy jesteśmy chrześcijanami, ale po co o tym mówić? — rzuciła Ingerida bez troski. — Według mnie ty także pojmujesz chrześcijaństwo nazbyt zawile. A nie ma w tym nic trudnego: wystarczy postępować według nakazów Kościoła w miarę możliwości, spowiadać się, pokutować, gdy trzeba. — Przerwała, lecz wobec milczenia Sygrydy mówiła dalej: — Mam cichą nadzieję, że ksiądz Jon wyżyje, modliłam się o to do świętego Olafa. Bo gdybym musiała spowiadać się twojemu surowemu księdzu Anundowi, to na pewno kazałby mi odprawiać tyle pokut, że nie starczyłoby czasu na robotę.

— Nie wiedziałam, że masz aż tyle na sumieniu! — rozśmiała się serdecznie Sygryda.

— Skąd mam wiedzieć, które grzechy są prawdziwie ciężkie? Toteż spowiadam się ze wszystkiego, co mi do głowy przyjdzie, zawsze tak lepiej, dla świętego spokoju.

Sygryda nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— To w każdym razie nigdy nie zawadzi!

Wracała do Egge w lepszym nastroju, pogawędka z Ingeridą prawie zawsze dobrze jej robiła, bo Ingerida była ogromnie bez troska, całą ufność pokładała w Finnie i księdzu Jonie i wszystko przyjmowała pogodnie, bez zadawania pytań.

Gadano co prawda w okolicy, że zbyt była ufna, szczególnie w stosunku do Finna. Nie zawsze bowiem dochowywał wierności małżonce. Sygryda wiedziała, że słuchy o tym doszły uszu Ingeridy, ale ona śmiała się z tego.

Jednakże nim Sygryda dojechała do Egge, nasunęły się jej smętniejsze myśli, chodziło o Kalfa. Mimo wszelkich nadziei związanych z wyjazdem na Ruś po króla Magnusa, nie bardzo mu się poszczęściło.

Pięć zim minęło, odkąd Kalf z innymi naczelnikami pojechał na Ruś, a cztery od powrotu z królem. W tym czasie Kalf i Einar opiekowali się chłopcem, który wracając do Norwegii miał dopiero jedenaście lat.

Były to lata nadziei, ale również zawodów, trudności.

Bardzo prędko okazało się, że szczęście sprzyja nowemu królowi; nieurodzaje się skończyły. Pierwszej jesieni jego panowania w Norwegii umarł Kanut król Anglii; wkrótce po nim zmarł również król Sven, który po powrocie Magnusa umknął do Danii.

Sygryda prawie od razu zauważyła, że Magnus odziedziczył po ojcu porywcze usposobienie i to jej się nie podobało. Olaf Haraldsson, chociaż był święty, gwałtownością i mściwością szkodził krajowi i ludowi.

Wkrótce po przyjeździe do Norwegii król gościł w Egge, na swój wiek był to chłopak bystry i silny.

Ludzie dużo mówili o zdolnościach króla. Sygryda natomiast spostrzegła, że był ogromnie nierad, kiedy Trond okazał się bieglejszy we władaniu bronią, choć nic w tym dziwnego, skoro był o dwa lata starszy. Magnus cisnął łuk, z którego strzelał, mówiąc, że jest zły. A kiedy Trond chciał mu dać swój, bez słowa odwrócił się doń plecami i odszedł do biesiadnej sali.

Kalf wziął Tronda na stronę i tłumaczył mu, że następnym razem musi dać się pokonać królowi.

Magnus potem złagodniał, bo prześcignął Tronda w pływaniu; a nawet raczył przyznać, że Trond doskonale nurkował.

Trond natomiast wściekał się niczym żbik. Zapytał Kalfa, czy uważa za słuszne, żeby król go utopił. Kalf musiał przyznać, że Magnus trzymał Tronda pod wodą znacznie dłużej, niż należało, aby dowieść swej przewagi. Chłopak boleśnie odczuł konieczność ulegania królowi, jako że nie

nawykł nikomu ustępować. Sygryda nie była pewna, czy syn zdoła kiedykolwiek zapomnieć urazy.

Jednakże nie tylko Trond musiał ustępować, odkąd Magnus powrócił do kraju, i nie on jeden był z tego nierad.

Stosunki między Kalfem a Einarem Tambarskjelve układały się coraz gorzej, ten ostatni bowiem z każdym rokiem wyraźniej okazywał, że zamierza posłużyć się wszelkimi środkami dla zyskania sobie więcej łask królewskich niżli Kalf.

Myśl o tym bolała Sygrydę; Kalf powrócił z Rusi wielce zadowolony, zupełnie pewien, że wszystko pójdzie jak najlepiej, i z ogromnym zapałem starał się okazywać wierność Magnusowi.

I właśnie na skutek tego zapału i dobrej woli zapomniał o czujności, dał się podejść.

Kiedy nowy król Danów Hardekanut zaczął rościć pretensje do Norwegii jako dziedzictwa po swoim bracie królu Svenie, doszło do wojny między Norwegami i Danami. Król Magnus musiał pociągnąć na południe. Za sprawą Einara Kalf pozostał w Trondheimie, gdzie miał rządzić i doglądać wszystkiego, podczas gdy Tambarskjelve towarzyszył królowi. Kalf nie podejrzewał go o ukryte zamiary. Niewątpliwie mądrzej, aby jeden z nich pozostał na miejscu.

Później jednak przekonał się, że Einar wykorzystał tę sposobność na poróżnienie króla z Kalfem przypominając stale, po czyjej stronie walczył pod Stiklestadem. Pomagali mu w tym skwapliwie dawni przyjaciele króla Olafa, mieszkańcy południa; nie podobały im się bowiem wpływy trondheimczyków.

Kiedy Kalf pojechał na południe spotkać się z królem, przekonał się, do czego to wszystko doprowadziło. Nie znalazł już swego miejsca u boku królewskiego; zajęli je nowi ludzie, Einar natomiast swoje zachował. Kalf pewnego wieczora przysiadł się do króla chcąc z nim porozmawiać, Einar natychmiast ze wzgardą wyprosił go dalej. Król milczeniem przyznał słuszność Einarowi; Kalf musiał zmienić miejsce.

Wrócił do Egge okrutnie zły. Pocieszał się jednak zakończeniem wojny z Danami. Był obecny przy zawieraniu ugody między Magnusem i Hardekanutem za pośrednictwem możnowładców. Każdy miał zezwolić drugiemu na spokojne władanie swoim krajem, a jeśliby jeden z nich zmarł nie pozostawiając męskiego potomka, drugi po nim dziedziczył królestwo.

Magnus miał zatem rychło powrócić do Kaupangu. Kalf ufał, że król oceni należycie jego wierność, ponieważ dobrze i sprawiedliwie zawiadywał jego majątkami.

Sygyda wracając do Egge zastała na dziedzińcu Kalfa, pomógł jej zsiąść z konia.

Przykry dreszcz przeniknął ją na skroś, gdy usłyszała krzyki księdza Jona. Kalf natomiast spojrzął w tamtą stronę z pogardą.

— Nie przybyło mu odwagi z latami. Gdyby mógł, umknąłby na pewno.

— On krzyczy i lamentuje — odparła Sygyda kręcąc przecząco głową — ale nie ucieka się do odmawiania posiłków, choć ból wzmagą się po jedzeniu.

— Wie dobrze, że byłoby jeszcze gorzej — odparł Kalf szorstko. — A na pewno potwornie boi się piekła. Musi czuć się teraz jak wesz na paznokciu.

2

Ksiądz Jon umarł za dnia, gdy słońce osiągnęło pełnię mocy, prażyło darniowe dachy, wciskało się wszędzie. Nawet do maleńkiej izby, w której ksiądz toczył ostatnie zmagania, wśliznęło się dymnikiem.

Sygyda myślała, że nigdy nie zapomni promyka słonecznego, który padając z ukosa oświetlał oblicze zmarłego.

Przecież w jego śmierci nie było ani piękna, ani bohaterstwa. Sygyda i ksiądz Anund, którzy spędzili z nim ostatnie

chwile, westchnęli z ulgą, kiedy ostatecznie stracił przytomność.

Nawet po śmierci wyglądał żałośnie, prawie śmiesznie z chudymi nogami wystającymi spod okrycia, nie podciągniętego po udzieleniu mu przez Anunda ostatniego namaszczenia olejami. A na twarzy zastygł wyraz jakby pytania, usprawiedliwienia.

Sygryda odwracając wzrok uciskała mu powieki, aż się zamknęły, niebezpiecznie jest spojrzeć w oczy zmarłemu. Po opuszczeniu powiek zatkała mu dziurki od nosa i zamknęła usta.

Ksiądz Anund, pogrążony w modlitwie, wstał. Chwilę patrzył na zmarłego.

— Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają — głos jego był tak ochrypły, że musiał chrząknąć.

Sygryda obejrzała się, spojrzeli sobie w oczy, miała wrażenie, że ksiądz Anund walczy ze łzami.

Przez chwilę był nawet bliski załamania. Osunął się na ławę, przysłonił twarz rękami. Natychmiast jednak wstał, poszedł ku drzwiom dając znak Sygrydzie, by mu towarzyszyła.

Sygrydę oczy piekły ze zmęczenia, ostatnia noc czuwania przy konającym Jonie była jedną z długiego szeregu. Ale zanim poszła spać do komory, wydała dziewczkom zarządzenia gospodarcze.

Mimo znużenia nie od razu usnęła; ciągle rozbrzmiewał jej w uszach krzyk księdza Jona. Miała wrażenie, że łączy się z innymi głosami, z krzykiem ludzi przerażonych lub nie panujących nad sobą z rozpacz i bólu. Widziała całe korowody krzyczących ludzi. A kiedy już zapadała w sen, przypomniawszy sobie słowa Kalfa, który kiedyś mówił, że Bóg jest równie mściwy jak święty Olaf.

Kalf obudził ją dopiero wieczorem.

— Będziesz spała dalej w ubraniu?

Wstała, chwilę w milczeniu gładziła spódnice, w końcu zaczęła się rozdziewać.

— Głodna jesteś? — spytał. — Nie jadłaś cały dzień.

W chwili kiedy to powiedział, Sygryda poczuła, jak okropnie wygłodniała.

— Tak — odparła wkładając z powrotem spódnicę. Już zamierzała przynieść trochę jadła z lamusa, gdy nagle się zatrzymała. — Nie odważę się pójść sama na dziedziniec nocą, póki ksiądz Jon leży w izbie.

— Pójdę z tobą.

Ale nawet w towarzystwie Kalfa Sygryda z lękiem zerkała w stronę izby, gdzie spoczywał Jon.

W lamusie Kalf stwierdził, że on także jest głodny. Zabrali więc ze sobą chleba, sera i dzban piwa.

Jedząc i pijąc gawędzili.

Od powrotu Kalfa z Rusi utwierdziła się między nimi szczerą przyjaźń. Rozmawiali o swoich trudnościach i radościach; rzadko kiedy jedno z nich podejmowało ostateczne postanowienie nie radząc się drugiego.

Tego wieczora Sygryda opowiadała o śmierci Jona; od czasu do czasu zerkała na Kalfa, który żuł chleb z serem i zapijał piwem. W brodzie miał pełno okruchów, co trochę drapał się po głowie.

— Może cię wyiskać? — spytała w końcu.

— Przydałoby się — odparł.

— Byłeś bardziej głodny niż ja — zauważyła, bo Kalf pochłonał nie tylko swoją część.

— Długi dzień miałem dzisiaj — odparł z uśmiechem, po czym ciężko westchnął i złożył głowę na podołku Sygrydy.

Chwilę milczeli. W końcu Kalf się odezwał.

— Zamierzam jechać do Kaupangu na tydzień. Wkrótce oczekują tam króla. Chciałbym, abyś tym razem pojechała ze mną i zabrała dzieci.

Sygryda spojrzała na niego ze zdziwieniem; mówił z przyzwoiciem.

— Nie mam nic do roboty w Kaupangu — sprzeciwiła się. — A jeśli król tam będzie, zjawi się na pewno również Sigvat, czy chcesz, żeby poznał Sunnivę?

— Nie zamierzam go prosić o gościnę — odparł Kalf oschle.

— Czemu chcesz nas zabrać?

— Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. — Kalf mówił z namysłem. — Tak jak sprawy się mają, mogą być zmuszony do wyjazdu z kraju, a wtedy chciałbym, abyście mi towarzyszyli. Zamyślałem także zabrać na południe trochę wartościowych rzeczy, gdybyśmy mieli tu nie wrócić.

Sygyrdzie ręce opadły.

— Czyżbyś przypuszczał, że król będzie nastawał na twoje życie?

— Nie król — odparł z powagą. — To piętnastoletni chłopak, którym inni kierują. Ale jego otoczenie dierży władzę i chciałoby stać się jeszcze potężniejsze. Im mniejszy ja będę, tym oni szybciej urosną. Zresztą nie będzie to sprawa życia, nie zaraz. Ale mogą żądać grzywien większych, niż możemy zapłacić.

Sygyrdzie zrobiło się zimno; chwila minęła, nim zdołała się opanować.

— Czy sądzisz, że będziemy musieli stąd wyjechać? — spytała szeptem.

— Nie. Nie sądzę. Ale jeśli sprawy przybiorą zły obrót, a wy byście tu zostali, byłoby gorzej niż źle. Wątpię bowiem, by ten, kto za tym się kryje, zechciał darować wam dwór lub dochody z majątności. Einar Tambarskjelve nie zapomniał, że Trond pochodzi z rodu Lade i w przyszłości może zaprzeczyć jemu i jego synowi prawa do dziedziczenia.

Przybyli do Kaupangu z początkiem słonecznego miesiąca.

Sygyrda nie była tu mniej więcej od roku, toteż dziwiła się rozrostowi grodu.

Jednakże przechadzanie się po Kaupangu nie bawiło jej jak dawniej. Odkąd bowiem Kalf wyjąwił, dlaczego chce zabrać ich z sobą, nękał ją niepokój; konieczność opuszczenia domu wydawała się jej złym snem.

Nie cieszyło jej także zachodzenie do portu, gdzie przypływały okręty z zamorskich krajów, ani oglądanie, co załoga ma na zbyciu, lub odwiedzanie rzemieślników i kupców w poszukiwaniu nowych ozdób dla siebie.

Rojno i gwarno było w Kaupangu, gromadziły się tu coraz większe tłumy, im bliższy był dzień przyjazdu króla.

Królewskie okręty wkrótce wpłynęły do portu. Kalf wyszedł na spotkanie, Sygryda pozostała w domu. Nowin miała dowiedzieć się dopiero późnym wieczorem po jego powrocie, toteż czekała na małżonka. Z wyrazu jego twarzy od razu wymiarkowała, że był nierad.

— Król? Prawie z nim nie rozmawiałem — odpowiedział na jej pytanie.

Chwycił dzban miodu, który dla niego trzymała w pogotowiu, i pociągnął zeń potężnie, nim poszedł spać.

Sygryda była zdumiona, gdy po kilku dniach Bergljot córka Haakona zaprosiła ją w gościnę. Spytała Kalfa o radę. Kazał jej pójść, lecz prosił, by dobrze się rozglądała, natomiast język trzymała za zębami. Ale zdziwiła się jeszcze bardziej, bo okazało się, że Bergljot chce z nią mówić w cztery oczy.

Małżonka Einara jak zawsze od razu przystąpiła do rzeczy.

— Sądzę, że nie jest dla ciebie tajemnicą, iż Einar robi, co może, aby zniszczyć Kalfa.

— Słusznie przypuszczasz — odparła, choć dech jej zaparło wobec szczerości Bergljot.

— Nigdy nie zamierzał dochować układu zawartego z Kalfem w Kaupangu, nim wyruszyli razem na wschód. Zgodził się dzielić władzę po równi z Kalfem, bo był do tego zmuszony. Prosiłam cię do siebie, aby to omówić. Większość niewiast ma władzę nad mężami; dziwiłabym się, gdybyś ty jej nie miała nad swoim. Nawet jeśli wyjeżdża z kraju nie mówiąc dokąd — dodała z uśmiechem, rzucając Sygrydzie spojrzenie pełne uznania; Sygryda czuła się miłe połączona, lecz nie na tyle, by zapomnieć o czujności.

— Sama masz dosyć władzy nad Einarem.

— Zawsze miałam — potwierdziła Bergljot. — I wtedy także usiłowałam z nim pogadać, tłumaczyłam, że dane słowo wiąże, choć nam się to nie podoba. Ale w niego jakby złe duchy wstąpiły. Wbił sobie do głowy, że w kraju musi być

pierwszym po królu i na nic mu się sprzeciwiać. Nie pomaga nawet wmawianie, że jeśli będzie uciekał się do zdrady, to w końcu ściągnie na siebie nieszczęście.

Sygryda milczała zapatrzona w podłogę.

— Sygrydo — ciągnęła dalej Bergljot. — Czy mogłabyś namówić Kalfa, by ustąpił choć trochę; aby uszanował godność Einara i jego siwe włosy, jak sądzisz?

— Miedzy Kalfem a Einarem jest tylko jedenaście zim różnicy — przypomniała Sygryda.

— Wiem o tym — odparła Bergljot. — Ale Einar był między wiodącymi prym w kraju od przeszło dwudziestu lat, kiedy Kalf dopiero został namiestnikiem w Egge. Czy nie pojmujesz, że Einar miałby sobie za obelgę, gdyby teraz byli sobie równi?

— Okazał to wyraźnie w obecności wszystkich dworzan królewskich, kiedy powiedział Kalfowi, że cielę musi ustąpić miejsca staremu wołu — wyrwało się rozgoryczonej Sygrydzie. Ale Bergljot łatwo się nie poddawała.

— Istotnie padały słowa, o których trudno zapomnieć. Ale mimo to pogadaj z Kalfem. Zrób to nie tylko ze względu na Kalfa lub Einara, ale dla dobra króla, aby nie złamał przyrzeczenia danego Kalfowi na Rusi, oraz dla kraju, bo nic dobrego dla nas nie wyniknie z tego, że król okaże się wiarołomny.

— Łatwiej byłoby z nim gadać, gdyby Einar go nie obraził — odpowiedziała Sygryda.

— Rozumiem, ale mimo wszystko spróbuj! A ja znowu porozmawiam z Einarem; będę usiłowała ułagodzić go w miarę możliwości.

Sygryda chwilę się zastanowiła, walcząc z sobą. Einar dał słowo. Jeśli dał je wbrew woli, to była jego rzecz, nie Kalfa. Nie mogła pojąć, czemu Kalf miałby obowiązek ustępować.

Jednakże Einar tak wykręcił sprawę, że pozornie wziął górę. Rozpacz ogarniała ją tylko na myśl o konieczności opuszczenia Egge.

Bergljot miała słuszość — byłoby bardzo źle, gdyby król złamał uroczystą przysięgę. Nagle uderzyła ją myśl, że może Kalf najlepiej okazałby wierność królowi Olafowi, gdyby

teraz ustąpił i uratował jego syna od niedotrzymania przysięgi.

— Porozmawiam z nim — obiecała w końcu. — Ale nie wiem, co z tego wyniknie.

Zanim wstały, aby przejść do gościnnej izby, wymieniły uścisk dłoni.

Sygryda nie doszła z Kalfem do porozumienia.

— Może Bergljot ma dobre zamiary — oświadczył. — Choć mnie wygląda to również na podstęp. A jeśli istotnie nam sprzyja, to i tak nic nie pomoże, skoro Einar spragniony jest potęgi niczym osesek mleka. Jeśli teraz ulegnę, zacznę się wycofywanie z jednego stanowiska na drugie. A będę jeszcze słabszy, gdy on następnym razem znowu zechce uszczknąć coś z mojego. Nie, Sygrydo. To jest rozgrywka między mężczyznami. Jeszcze za mało widziałas, by znać reguły takiej gry. Einarowi teraz nie chodzi o jednego pionka, ale o wszystkie. Może on także zostanie jarlem — dodał po chwili ze śmiechem. — Chciałby dorównać wspaniałością ojcu Bergljot!

Sygryda powstrzymała się od uwagi, że choć Kalf nie zamierzał już zostać jarlem, to jednak był żądny władzy w tym samym stopniu co Einar. Wolała milczeć.

Sygryda nie była na dworze królewskim podczas bytności w Kaupangu, wymówiła się lekkim niedomaganiem. Zresztą nikt na jej przyjście nie nalegał.

Prawdą było, iż nie czuła się dobrze; codziennie rano budziła się z bólem głowy. Nie miała też ochoty ponownie spotykać Sigvata, a jeszcze mniej patrzeć na ubieganie się Kalfa o przychylność króla.

Niemal mdliło ją na myśl o tym; coś odpychającego było w walce dwóch dojrzałych mężów o łaski młokosa. Jeśli to była gra mężczyzn, jak twierdził Kalf, cieszyła się w duchu, że nie ma z tym nic wspólnego. I w jej mniemaniu niewiele pomagało to, że chłopak był synem świętego i królem Norwegii.

W czasie pobytu w Kaupangu widziała króla tylko raz, i to przypadkiem. Sunniva od szeregu dni męczyła matkę,

żeby zabrała ją do portu, bo miała chęć popatrzeć na świeżo przybyłe statki. W końcu Sygryda ustąpiła. W powrotnej drodze spotkały króla i jego świtę, Sygryda nie mogła się powstrzymać od spojrzenia na niego.

Od czasu kiedy go widziała, pięknie wyrósł, robił wrażenie ponad wiek dojrzałego. Ale twarz wyrażała niezadowolenie. Sygryda czuła się ogromnie wzburzona, gdy zatrzymała się na ich widok. Chciała wyminąć go niezauważona; nawet nie przypuszczała, by ją zachował w pamięci po krótkotrwałym pobycie w Egge przed paru laty. Widocznie wdał się w ojca, król Olaf często powtarzał, że zawsze pamięta człowieka, którego spotkał choćby raz.

Król Magnus wymienił z nią jednak tylko parę słów zgodnie z dobrym obyczajem.

Z bliska Sygryda stwierdziła, że mimo pozornej dorosłości był nadal chłopcem między starszymi; była w nim sztuczna wyższość, a równocześnie niepewność. Niespodzianie zrobiło się jej żal młodocianego króla; miała ochotę pogawędzić z nim, jakby był jej własnym dzieckiem.

Kiedy król Magnus odwrócił się od niej i cały orszak ruszył dalej, spojrzała na Kalfa; z radością zobaczyła go u boku króla.

Ale jeden z królewskich towarzyszy stanął i obejrzał się. Oczywiście szukały wzroku Sygrydy, a kiedy to mu się udało, długo nie spuszczał z niej oczu, by potem bezpośrednio spojrzeć na Sunnivę.

Nagle zrobił krok w ich kierunku.

Sygryda odwróciła się gwałtownie, chwyciła córkę za rękę i prawie pobiegła z nią w stronę dworu. Po odprowadzeniu Sunnivy do domu natychmiast pospieszyła do kościoła i zaraz za progiem padła na kolana.

Bo mimo upływu tylu lat i chociaż powtarzała sobie, że mając czterdzieści sześć zim już jest na to za stara, musiała przyznać, że od wejżenia skalda Sigvata wstrząsnął nią dreszcz.

W kilka dni później zdarzyło się coś, co na dłuższy czas wprowadziło w ruch wszystkie języki w Kaupangu.

Haarek z Tjótty, żonaty z Ragnhilda, siostrą Kalfa, przybył do grodu powitać króla.

Haarek należał do najzatwardzialszych przeciwników króla Olafa; był zły na niego za wyrok w sprawie przeciwko jednemu z sąsiadów. Król Olaf orzekł na korzyść owego sąsiada imieniem Grankjel, prócz Haarka wielu uważało, że król tym razem popełnił błąd. Haarek sam wymierzył sobie sprawiedliwość i zadośćuczynienie spaliwszy Grankjela wraz z dworem.

Później razem z Kalfem i Torem Hundem przewodził wojskom kmiecym pod Stiklestadem.

Aasmund syn Grankjela przebywał obecnie na dworze króla Magnusa. A kiedy z sieni królewskiego dworzyszczka zobaczył Haarka zdążającego od przystani, nie ociagał się ni chwili; chwycił topór i chciał biec.

— Teraz pomszczę mego rodzica! — krzyknął.

Król zajęty grą z dworzanimem powiedział jakby do swego przeciwnika:

— Chcesz mego?

Aasmund natychmiast podchwycił myśl króla i złapał topór Magnusa; był cięższy niż jego własny. I królewskim toporem zabił Haarka.

Dla wszystkich jasne było, że synowie Haarka wiele nie zyskają, jeśli zażądają okupu za ojca.

Ludzie zaczęli pomrukiwać. Przed opuszczeniem Rusi król złożył przysięgę, że nikt z przeciwników króla Olafa nie będzie ani poszkodowany, ani prześladowany, dopóki dochowa wierności Magnusowi. Co będzie zatem z prawem i sprawiedliwością, jeśli król tak łącno zapomina przysięgi?

Ktokolwiek walczył po stronie kmieci pod Stiklestadem, widział przyszość w ponurych barwach.

Kalf powróciwszy do dworu po zabójstwie Haarka upił się do nieprzytomności; w ostatnich latach zdarzało mu się to niezwykle rzadko. A opowiadał wszystko bez ładu i składu.

Bełkotał coś o królu Magnusie i złamanej przysiędze. Kiedy położył się, przeklinał Einara Tambarskjelve tak głośno, że Sygryda przykryła mu twarz podgłówkiem, by

domownicy nie słyszeli. Niemniej jednak ostatnie słowa, jakie wypowiedział przed zaśnięciem, głęboko zapadły Sygrydzie w serce.

— Nie może mnie wysoko cenić, skoro pozwolił zamordować mego dziewierza.

Sygryda nie mogła zasnąć; po chwili wstała i siadła na ławie obok poczesnego miejsca.

W izbie było ciemno, ale blada nocna poświata sączyła się przez dymnik, toteż Sygryda mogła rozróżnić postacie śpiących na ławach. A smoki rzeźbione na słupach poczesnego siedziska zdawały się grozić w półmroku.

Siedziała i patrzyła na wygasłe główne palenisko, na okopcone kamienie, myślała o rozmowach toczących się przy ogniu, odkąd wybudowano tę izbę. I myśl jej biegła ku innym domowym ogniskom i innym rozmowom. Słowa Kalfa obudziły w niej echo czasów — jak sądziła bezpowrotnie minionych. Miała wrażenie, że słyszy własny głos, ostry, rozgoryczony:

„Sam się przekonałeś, jak mało król cię ceni, skoro nie chciał wysłuchać twego wstawiennictwa za Torem!”

Wspominała, jak bardzo Kalf żałował, iż nie dochował wierności królowi Olafowi. I w końcu w tym ostatnim wydarzeniu zaczęła dopatrywać się sposobności odpokutowania, jaka rzadko dana bywa ludziom. Zupełnie jakby Kalf mógł od nowa zacząć życie, jakby król Olaf mu powiedział:

„Widzisz! Teraz możesz skreślić twoją zdradę, zheblować ją niczym runy z drewna. Okaż teraz wierność, którą przysięgałeś aż do zgonu; złóż głowę na kolanach mego syna, a twego wychowańca, tak jak Torkjell złożył swoją na kolanach Torfinna jarla Orkad. I powiedz — jak Torkjell — że może z tobą uczynić, co chce!”

Ledwo to pomyślała, zaczęła się zżymać. Dla Kalfa byłoby to gorsze niż upokorzenie, wystawiłby się na pośmiewisko nie tylko przed królem, ale Einara i całej drużyny; byłoby to uznanie wygranej Einara.

Kalf wybuchnął, kiedy otrzeźwiał na tyle, że mogła podzielić się z nim tymi myślami.

— Mógłbym równie dobrze iść wprost do Einara Tambarskjelve i złożyć głowę na jego kolanach!

Mimo wszystko Sygryda nie mogła ostatecznie wyzbyć się tych myśli. Miała wrażenie, że podsuwa je sam król Olaf — jak żywy w widzeniu.

3

W połowie miesiąca sianokosów Sygryda wróciła do Egge. Dni wlokły się jej nieznośnie; z niepokojem czekała na wieści od Kalfa towarzyszącego królowi, który postanowił odwiedzić Inntrondheim.

Kalf był z tego rad; przypuszczał, że odniesie dużą korzyść, jeśli ugości króla w Egge. Ale Einar Tambarskjelve tak pokierował, że Magnus miał najpierw jechać do Haugu w Verdalenie, a to mniej podobało się Kalfowi. Wszystko bowiem, co mogło królowi przypomnieć bitwę pod Stiklestadem, było złe. Toteż zanim wyruszyli z Kaupangu, powiadomił Sygrydę, aby na pierwszy znak była gotowa do odjazdu.

Drużyna króla pewno była teraz w Haugu; Sygryda posłała tam konie i ludzi dla Kalfa. Jeśli wszystko pójdzie składnie, król z towarzyszami wnet zjawią się w Egge, Sygryda była całkowicie pochłonięta przygotowaniem na przyjęcie gości.

Mimo to niepewność i złe myśli nie opuszczały jej ani na chwilę. Szczególnie dręczyła ją myśl o Kalfie; widziała go ciągle takim, jakim był w Kaupangu: z głębokimi bruzdami na twarzy wyrażającej zawód i rozgoryczenie. Po śmierci króla Olafa tak samo miała wrażenie, że wszystkie jej wysiłki, aby okazać mu pomoc, szły na marne; krył się niczym ranne zwierzę.

Nie mogła go zrozumieć; czuła się urażona, że teraz po tylu latach serdecznego porozumienia odtrącał jej pomoc, skoro naprawdę jej potrzebował. Przekonała się także, że jej

szukał, jeśli nie usiłowała go pocieszać; najczęściej przychodził do niej jak mąż do żony, ale czasem jak dziecko spragnione bliskości matki.

W tym czasie Sygryda patrzyła na wszystko i wszystkich, jakby miała odjechać na zawsze. Nawet drobiazgi nabrały dla niej znaczenia. Pliszka na dziedzińcu, zapach drewnianych ścian nagranych w słońcu, nawet głos Ragnhildy, gdy opowiadała dziewczkom najświeższe nowinki z okolicy.

Do kościoła zachodziła najczęściej, jak mogła. Ale trochę się wstydziła, w ostatnich bowiem latach czuła potrzebę wstąpienia do kościoła tylko w trudnych okolicznościach. Doszła w końcu do przekonania, że może lepiej załatwić swoje rachunki z Bogiem, poszła zatem do księdza Anunda.

Po śmierci księdza Jona Anund przeniósł się do Egge; biskup nie mógł znaleźć nowego kapłana. Anund zamieszkał więc w dawnej izdebce swego poprzednika, tam właśnie zastała go Sygryda.

Opowiedziała o Kalfie, Einarze i królu, ksiądz w milczeniu słuchał uważnie do końca.

— Bóg daje i ma prawo odebrać nam to, co dał — rzekł.
— Wszystko co mamy, należy do Niego, nie stanowi naszej własności, lecz jest wypożyczone. Nie powinnaś być rozgoryczona, Sygrydo, koniecznością opuszczenia Egge, ani czuć się pokrzywdzoną przez Boga. Raczej bądź Mu wdzięczna, że tak długi czas mogłaś cieszyć się wypożyczonymi dobrami i korzystać z nich.

Sygryda zwlekała z odpowiedzią. Patrzyła na ręce księdza splecione na kolanie. Wyglądały niezwykle delikatnie na tle samodziałowego, jakby mnisiego habitu. Od lat młodzieńczych nie miały się broni ani żadnych narzędzi. Anund dla Boga wyrzekł się wszystkich swoich możliwości, nawet możliwości samoobrony i troszczenia się o siebie. Nie miał prawie nic poza tym, co na grzbiecie, a żył z darowizn.

— Czy zawsze wierzyłeś w to, czego uczysz ludzi?
— spytała nagle.

Ksiądz spojrział na nią zaskoczony.

— Wiesz, że zwątpiłem o miłosierdziu Bożym po śmierci Olwego — odpowiedział.

Sygyda skinęła głową, po czym powoli wymawiając słowa rzekła:

— Ja także zwątpiłam o dobroci Boga.

— Dlaczego?

— Patrząc na cierpienia księdza Jona nie mogłam pojąć, dlaczego są potrzebne.

— Nie dopuszczaj, Sygydo, aby cierpienia i troski tego świata miały skłonić cię do zwątpienia w łaskę Boga i Jego miłosierdzie — ksiądz mówił niezwykle poważnie. — Wątpić o łasce Bożej to najniebezpieczniejszy grzech. Bo jakże grzechy mogłyby zostać odpuszczone człowiekowi, gdyby nie chciał wierzyć w samo ich wybaczenie, w odkupienie przez osobę Chrystusa?

Cierpienia i przeciwności mogą być błogosławieństwem. Najczęściej są dowodem Jego opieki; w nich poznajemy nasze słabości, one zbliżają nas do Pana Naszego, uczą także pokory tak bardzo nam wszystkim potrzebnej. Jestem pewien, że ksiądz Jon składa Bogu dzięki za to, że pozwolił mu zakosztować cierpienia, od którego przedtem uciekał. Spójrz na twoje życie! Ilekroć miałaś trudności, zbliżałaś się do Boga, a kiedy było ci dobrze, zapominałaś o nim.

— Ksiądz Jon uczył, że bogactwo panuje w domu sługi Bożego, tak mówił Kalf: to się nie zgadza z tym, czego ty uczysz.

— Bogactwo nie zawsze oznacza szczęście i skarby w złocie i srebrze, Sygydo. Król Dawid przez to słowo — według mnie — rozumiał, iż wszystko, nawet ból i przeciwności, obracają się w bogactwo dla sługi Bożego.

Sygyda łatwo nie ustępowała.

— Teraz nigdy już nie wątpisz?

— Czasem powątpiewam o moich siłach, gdy chodzi o pełnienie kapłańskiego powołania, ale nigdy o łasce Bożej; zbyt często bowiem spotykałem ją w cudzym i własnym życiu.

— Co rozumiesz przez spotkanie Boga?

— Wiesz dobrze. A może myliłem się sądząc, że spotkałaś Go pewnego wieczoru w steinkjerskim kościele?

— Nie wiem na pewno — odparła Sygryda. Przeżycie w kościele w Steinkjerze wydawało się jej tak odległe jak sen.

— Owszem, wiesz! — zawołał nagle z taką mocą, że aż podniosła na niego wzrok. — Wiesz, tylko wiedzieć nie chcesz. Przez krótką chwilę byłaś szczęśliwa czując Jego bliskość, miałaś przedsmak nieba. Ale po powrocie do codziennego życia byłaś zadowolona. Nagle uznałaś, że powszedni dzień z jego drobnymi radościami, a także inni ludzie nabierają dla ciebie ogromnego znaczenia. Równocześnie przeczuwałaś, że chcąc pozostać w bliskości Boga będziesz musiała odrzec się tego wszystkiego dla Niego.

— A więc nie mamy miłować innych ludzi? Sam także mówiłeś, że mamy cieszyć się darami boskimi.

— Masz cieszyć się Bożymi darami, ale nie wolno ci się do nich przywiązywać. Masz miłować bliźnich w Bogu, a nie ze względu na to, kim są dla ciebie. Ludziom zdaje się, że kochają, i żałobę po zmarłych zwą dowodem miłości. A przecież gdyby prawdziwie miłowali zmarłego, nie pograżaliby się w żałobie, dlatego że ktoś bliski wcześniej dostał się do wiecznej szczęśliwości. Oni siebie kochali, płaczą nad własną stratą.

— Uważasz zatem, że źle czynię bolejąc nad opuszczeniem Egge. — Sygryda znowu miała wrażenie, że ksiądz Anund wymaga za dużo. Powiedziała mu to.

— Bóg żąda wszystkiego. I daje nam wszystko — odparł ksiądz.

Sygryda pożegnała go w przekonaniu, że ich rozmowa niewiele jej pomogła.

W tym czasie Sygryda miała ochotę pogadać nie tylko z księdzem. Między innymi także z Ingerida. Kiedy jednak przyjechała do Gjevranu, zastała sąsiadkę przygnębioną.

Finn zaczął ją zdradzać w domu, we dworze; jedna z dziewczek była brzemienna i jemu przypisywała ojcostwo. Finn nie przeczył.

Mimo to Ingerida nie gniewała się na Finna, siebie oskarżała.

— Prosiłam go niegdyś, by wrócił do mnie na takich warunkach, na jakich sam zechce. Nie mam zatem podstaw do żalenia się, skoro wziął mnie za słowo. — Ingerida mimo smutku nie przestawała się uśmiechać. — A można by przypuszczać, że wystarczy mu naszych ośmioro!

W powrotnej drodze Sygryda rozmyślała o Ingeridzie i Finnie. Ona robiła wrażenie tak łagodnej, serdecznej, miłej; dlaczego więc Finn ją krzywdził?

Jednakże im dłużej myślała, tym wyraźniej budziły się wątpliwości, czy to istotnie Finn rządził w Gjevranie. Pamiętała słowa, które niegdyś powiedział Olve: Ingerida jest miękka jak kot, ale wolę ma żelazną.

Może Ingeridzie niełatwo było zmienić usposobienie, może nie była taka święta; trudno żbikowi przemienić się w domowego kota. Jeżeli zatem Finn był ujarzmiony dobrocią umykającą jego napastliwości, nic dziwnego, że musiał uderzać w inny sposób.

Sygryda odwiedziła również Helenę, ale odniosła tylko przykre uczucie. Helena była chuda niczym tyczka, pościła znacznie więcej, niż Kościół wymaga. Poza tym widocznie pragnęła mówić o swojej winie i pokucie, bo od pierwszych słów oczy jej się jarzyły wewnętrznym płomieniem.

Sygrydzie wydawała się jak pod złym urokiem; nie do wiary, że to jest ta sama Helena, która przez krótki czas była jej tak bliska. Teraz tylko w stosunku do dzieci zachowała miłość i czułość.

Pewnego dnia około południa przybył goniec od Kalfa. Prosił o przysposobienie statku do podróży, tak by mogli odpłynąć na odwieczarz.

Sygryda spodziewała się tego, mimo to jakby władzę jej odjęto. Wydawała rozporządzenia domownikom, choć prawie nie zdawała sobie sprawy, co robi. Miała dziwne uczucie wewnętrznej pustki, nawet nie czuła bólu.

Mimo to rozżłościła ją beztraska Tronda.

— Przecież kiedyś wrócimy — zapewniał. — A tymczasem obejrzymy kawałek świata, zamiast siedzieć w tym zapadłym kącie.

— Nic tak łatwo wrócić, jak ci się zdaje — odparła matka.

— Czemu nie? Kalf ma potężnych krewniaków, a Einar Tambarskjelve nie będzie żył wiecznie.

Sygyda, choć zła na syna, musiała przyznać, że miał sporo słuszności. Spojrzała na niego bacznie. Był ubrany w brunatny kaftan uszyty przed paru miesiącami, który wyglądał przyciasny w ramionach.

A widząc, jak uśmiecha się na myśl o wyjeździe, pojęła, że młody orzeł zbyt długo pozostawał na uwięzi, on wyrósł już z domu i z zapadłego kąta tak samo bez wątpienia jak z owego kaftana.

Jednakże Sygyda pocieszała się, że to nie ona zatrzymywała go w Egge. Po prostu ilekroć ten ostatni syn mówił o wyruszeniu z domu, zawsze coś stawało mu na przeszkodzie.

Po południu Kalf z drużyną wrócił do Egge. Pachołkowie jeszcze nie skończyli nosić skrzyń i tłumoków na pokład, toteż Kalf zaczął ich ponaglać.

— Co się stało? — spytała Sygyda po przywitaniu.

Kalf odsunął ją na bok, twarz miał szarą ze znużenia, jego wygląd nie pasował do burkliwego sposobu mówienia.

Sygyda musiała jednak pogadać z nim na osobności przed odjazdem, toteż ściągnęła go do komory.

— Czy my obie z Sunnivą też musimy jechać? — spytała, jako że bez przerwy myślała o tym w czasie przygotowań do podróży. — Czy nie sądzisz, że król zezwoli mi na zatrzymanie choćby Beitstadu, jeśli zostaniemy?

Kalf pokręcił głową.

— Nie. Jest gorzej, niż przypuszczałem. Wedle mnie każdy, kto przeciwstawiał się królowi Olafowi, mądrzej uczyni teraz opuszczając kraj. A ty byłaś jego zagorzalszą nieprzyjaciółką niż inni. Nawet jeśli Einar chce tylko mnie obalić, jestem pewien, że za jednym zamachem padnie wielu innych. Einar podsycił w królu płomień zemsty; niełatwo byłoby teraz go ugasić, chociaż przyjdzie dzień, że może tego pożałować.

— Co stało się w Haugu?

— Za dużo — odparł rozżalony Kalf. — Nawet tu w Inntrondheimie do króla spieszył prawie każdy, kto walczył po stronie Olafa. I zaraz wytykali mu, że źle robi otaczając się przeciwnikami swego ojca; domyślasz się chyba, że Einar robił, co mógł, by rozdmuchać ogień. W końcu już prawie czułem, jak mi się ziemia pali pod nogami.

Dzisiaj królowi nagle zachciało się jechać do Stiklestadu i oglądać pole bitwy, prosił Einara, aby mu towarzyszył. Einar ze złośliwym uśmieszkiem spytał, czy nie lepiej, żebym ja pojechał, brałem przecież udział w walce, więc będę mógł więcej opowiedzieć niż on.

Wyobraziłem sobie, co nastąpi, i wysłałem umyślnego do ciebie.

Kiedy przybyliśmy na pole bitwy, król spytał, gdzie poległ jego ojciec, pokazałem mu. Potem spytał, gdzie ja stałem, gdy król otrzymał śmiertelny cios, odpowiedziałem na to. Poczzerwieniał wtedy i stwierdził, że mój topór także mógł dosięgnąć króla Olafa.

Odparłem, że tak się nie stało, ale najwidoczniej mi nie wierzył. Nie pozostawało mi zatem nic innego do zrobienia, jak zniknąć.

— Dlaczego nie próbowałeś pogadać z nim w cztery oczy w Stiklestadzie? Mogłeś opowiedzieć mu prawdę o twojej wyprawie do króla przed bitwą, a także dlaczego go nie zabiłeś, a nadto wyjaśnić, jak ogromnie żałowałeś tego, że walczyłeś na czele kmieci.

— Na co by to się zdało? Powiedziałem mu prawdę, a on mi nie uwierzył. Nawet takiemu młodzikowi nietrudno było pojąć, jak łatwo mógłbym go zwieść, gdybym chciał. Bo kto oprócz mnie mógł zapamiętać w zgiełku bitwy, gdzie stałem? Gdybym chciał skłamać, cóż prostszego było, jak wskazać inne miejsce.

— A jednak gdybyś próbował z nim gadać i wyjaśnić...

— Za kogo mnie masz: za wolnego męża czy za niewolnika? Albo wierzy mi na słowo i mogę z nim gadać, albo mi

nic wierzy, a wtedy szkoda strzepić język. Czy mam pełzać przed człowiekiem, który mnie uważa za kłamcę?

Kalf zamilkł i rozejrzał się po komorze. — Czy zabrałaś wszystko, co pragniesz mieć?

Skinęła głową, Kalf zrobił krok w stronę drzwi. Nagle stanął, obrócił się i przygarnął Sygrydę. Ukrył twarz na jej ramieniu i wtedy poczuła, że drży.

To było tak nieoczekiwane, że nie wiedziała, co począć. Zanim się opanowała, Kalf puścił ją i rzucił się na łożo.

I wtedy wszystko, co wycierpiał w ostatnich czasach, zawody, straty, wszystko to znalazło upust w nieopanowanym płaczu, który przeraził Sygrydę. Usiadła obok niego, przyciągnęła ku sobie, on złożył głowę na jej kolanach. Usiłowała go uspokoić, przytrzymywała drżące ramiona.

— O Boże — zaczął szeptać, trochę odzyskując panowanie nad sobą. — Boże mój! Nie wiem, czy kiedykolwiek będę śmiał spojrzeć ci w oczy po tym, co teraz widziałaś!

Ujęła jego głowę i spojrzała nań z uśmiechem.

— Czemu nie miałyś spojrzeć mi w oczy? — spytała. — Przecież jesteś tylko człowiekiem. — Pochyliła się i przytuliła policzek do jego twarzy.

Kalf odprężył się, z westchnieniem znowu oparł głowę na jej kolanach; przestał płakać. Leżał spokojnie, jak dziecko, i patrzył na nią; pozwalał się gładzić po włosach i tylko od czasu do czasu się uśmiechał.

Dopiero kiedy rozległo się pukanie do drzwi i pachołek zawołał, że są gotowi do drogi, wstał i razem wyszli z komory.

Na dziedzińcu Sygryda stwierdziła ku swemu zdumieniu, że Kalf wobec ludzi był taki jak zwykle. Pożegnali się z Haraldem i Heleną, z księdzem Anundem oraz Ragnhilda i wszystkimi, których zostawiali we dworze.

Sygryda natomiast miała wrażenie nierzeczywistości.

Szła między Kalfem a Sunniva, ścieżką w dół, przez zagajnik, przez pola obsiane zbożem, które zbiorą inni ludzie.

Dopiero na statku spytała Kalfa:

— Dokąd płyniemy?

— Zamierzam wziąć kurs na Orkady — odparł. — Córka mego brata Finna niedawno poślubiła tamtejszego jarla Torfinna.

— Pamiętam ją — odparła Sygryda. — Łagodną Ingebjórgę!

Wypłynęli z fiordu w dwa statki; jednym dowodził Trond. Po czym rozpięli żagle, wiatr dął ze wschodu.

Jednakże dopiero w przesmyku Skarn, kiedy w blasku zachodzącego słońca ujrzeli po raz ostatni Egge — Sygryda się rozpłakała.

Kalf dla pociechy otoczył ją ramieniem.

— To moja wina — szepnęła. — Gdyby nie ja i moi synowie, siedziałbyś nadal w Egge jako namiestnik.

— Gdyby nie ty — przypomniał Kalf — nigdy nie przyjechałbym do Egge.

4

Słońce oświetlało morze.

Lśniło w grzywach piany, migotaniem raziło w oczy. A morze jak okiem sięgnąć błękitne między spienionymi falami; ciągle ruchliwe przypominało żywą istotę, pluskało, wdychało i śmiało się pieszcząc boki okrętu.

A mimo wszystko była tu pustka, jak owo pustkowie, nim ziemia wyłoniła się z morza; ukryte niby westchnienie w piersi.

Tylko statki torowały sobie drogę, gnane wichrem, niesione falą niczym wraki ze świata, który ponownie zniknął, pochłonięty przez Ragnarók.

Sygryda po raz pierwszy znalazła się na morzu tak daleko, że nie widziała lądu.

Z niepokojem patrzyła na wybrzeże ginące w dali, pytała Kalfa, czy na pewno odnajdą dalszą drogę. On wykpił ją. Wskazywał na słońce i tłumaczył.

A kiedy nadszedł wieczór i morze pod wygwieżdżonym niebem robiło wrażenie jeszcze bardziej opustoszałego,

wskazał Sygrydzie gwiazdę przewodnią. Był tak pewien siebie, że jego spokój i jej się udzielił. Zaczęła się śmiać, wiedziała przecież od dzieciństwa, że ludzie żeglują według słońca i gwiazd, ale tak długo żyła jedynie na lądzie!

Później księżyc wzeszedł, białe grzywy znowu się srebrzyły, fosforyzujące ogniki tańczyły wokół statku i skrzyły się niby rozpalone żelazo w smudze za statkiem — a Sygryda patrzyła jak urzeczona.

Powiodła wzrokiem za księżycową smugą migocącą srebrem daleko aż do nieboskłonu i nagle zdała sobie sprawę, że to jest droga do krainy elfów; do zaczarowanego kraju, który ludzie czasem dostrzegają pośród oceanów, lecz do którego nigdy nie docierają. Wiedziała już teraz, dlaczego kto raz go ujrzał, pozostawał na zawsze oczarowany, dlaczego później zawsze musiał wracać na morze, nigdy nie wyrzekając się nadziei odnalezienia bajkowego kraju.

A kiedy tak stała zapatrzona przed siebie, ogarnęło ją nagle uczucie spokoju.

To wydało się jej przedziwne. Porzuciła dom, opuszczała kraj, by wypłynąć na wzburzone fale, i w niepojęty sposób czuła się jak w domu.

Nie chciała głębiej roztrząsać tej sprawy — poddawała się urokowi, czarowi runów, jakie blask księżycy kreślił na morzu.

Natomiast dużo później, gdy ułożyła się do snu na pokładzie, myśli znowu się zakłębiły.

Wśluchiwała się w odgłosy, słyszała trzeszczenie statku torującego sobie drogę przez morze, chlupot fali bijącej o jego boki, stłumione głosy wartowników. Wszystko to razem składało się na urzekającą pieśń, budziło wspomnienie dzieciństwa i związanych z nim postaci.

Przesuwały się przed nią korowodem jak na makatach, które dawniej tkąta.

Widziała Torego. Przede wszystkim Torego na pokładzie okrętu; Torego uczącego ją żeglować; Torego, który dochował jej wierności nawet w śmierci.

Tore miłował morze i wolność, jaką ono zapewnia. I w końcu morze go zabrało, tego była pewna; nigdy nie powrócił do domu z podróży.

Miała wrażenie, że brat jest znowu przy niej; spokój, jakim napawały ją odgłosy morza, wyczuwała jak pociechę, którą on jej przynosił, młodziutkiemu dziewczęciu.

A za nim sunęli inni — wszystkie postacie z czasów jej młodości na Bjarkóy szły rzędem, trochę sztywne jak obrazy na makatach spętane nicią osnowy. I chyba nawet ojca ujrzała na mgnienie oka, chociaż spłonał, kiedy miała ledwo trzy zimy.

I ciągle widziała morze. Morze podczas burzy i w pogodę, w czarne, bezgwiazdne noce zimowe i w oślepiającym blasku słońca; przyływ uderzający o skały, szum wichru daleko w morzu, plusk drobnej fali, krzyk ptactwa... To wszystko od dawna tkwiło ukryte w jej sercu i powracało w marzeniach i snach.

Te obrazy żyły w niej, zrozumiała, że ludzie z tamtych czasów także żyli nadal w jej wspomnieniach, w myślach, jakimi ją natchnęli, w tym, czego ją nauczyli.

Wkrótce się obudziła, gdyż nie przywykła spać na twardych deskach. Bolały ją ramiona i plecy, przewracała się z boku na bok szukając wygodniejszego położenia. A jednak dobrze, że się ocknęła, księżyc bowiem zaglądał jej w oczy, a spanie w blasku księżycy z nie osłoniętą twarzą bywa niebezpieczne.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na śpiącą obok Sunnivę. Jej twarz także nie była osłonięta od księżycowych promieni. Sygyrda chwilę przyglądała się córce.

W bladej poświacie twarz o delikatnych rysach była biała niczym płótno. Dziewczyna miała lekko rozchylone wargi, a rzęsy gęste i ciemne rzucały na policzki cienie, przez co wyglądały dłuższe niż w rzeczywistości.

Brwi miała czarne jak sadzą rysowane.

Sygyrdzie patrzącej na córkę przyszedł na myśl Kolbrun. Oby miała los lepszy niż Torbjorga Kolbrun, która kochała i straciła Tormoda, skalda noszącego jej imię!

Niepokoïła ją przyszłość córki.

Sunniva w dziesiątym roku życia była już tak urodziwa, że wszyscy o tym mówili. Na swoje lata wysoka, szczupła, z dużymi ciemnymi oczami, od wejrzenia których serce tajało, jeśli czegoś chciała, ale które potrafiły również sypać iskrami z niepohamowanej wesołości. Włosy ciemne, gęste, lśniące sięgały jej pasa. Jednakże dziewczynka była niestety zbyt wyraźnie świadoma swej piękności i władzy, jaką dzięki temu zyskiwała.

Sygryda, która dawniej robiła, co mogła, w celu nawiązania przyjaznych stosunków między Kalfem a córką, teraz nierzadko gniewała się widząc, jak łatwo bierze się na drobne wybiegi Sunnivy. W takich wypadkach po prostu przerażał ją własny gniew, a wmawiała sobie, że przecież Sunniva jest dzieciakiem.

Jednakże Sygryda lękała się nie tylko swoich wybuchów złości na córkę, bo z miłości do niej także potrafiła płonąć dzikim, niebezpiecznym żarem.

Teraz bledziutka w świetle księżycy, z zamkniętymi oczami silnie ocienionymi, dziewczyna nagle wydawała się martwa; przez mgnienie oka Sygryda odniosła wrażenie, że jej gwałtowne zmienne uczucia zabiły Sunnivę.

Wzdrygnęła się z lęku, chciała krzyknąć. Lecz zdławiła krzyk, zmusiła się do trzeźwego myślenia.

Zanim przykryła twarz Sunnivy chustką, pocałowała ją w czoło. Ale wyrzuciła sobie, że uczyniła to z przymusem. Westchnęła kładąc się z powrotem.

Niegdyś wyobrażała sobie, że będzie doskonałą matką dla Sunnivy i Tronda. Odgłosy morza i szum wiatru znowu mąciły jej myśli; kołysały ją do snu, a tymczasem statek cicho trzeszcząc w spojeniach mknął unoszony falą.

We śnie nie zdawała sobie sprawy, że szum narastał i statkiem rzucało coraz silniej.

Obudziła się od uderzenia w burtę. Potem uprzytomniła sobie, że Sunniva pojękuje.

Objęła córkę, w ostatniej chwili pomogła jej się wychylić. Sama też niepewnie trzymała się na nogach, bo prawą

ręką obejmowała Sunnive, a lewą z trudem czepiała się relingu.

Był przedświt. Szum morza zamienił się w huk. Fale piętrzyły się groźnie, spienione grzywy nacierały na nich niczym rozjuszony smoki. Wszystkie nie umocowane przedmioty ześlizgiwały się pod zawietrzną burtę i tam szurały, obijały się, stukały.

Prawie cała załoga była na nogach, Sygryda zobaczyła Kalfa przy sterze. Rozejrzała się niespokojnie za statkiem Tronda. Dopiero gdy fala wyniosła ich w górę, dostrzegła go niezbyt daleko. Więcej niż połowę żagli opuścili, uspokoiła się wiedząc, że ma doświadczonego żeglarza na pokładzie. Rzuciła okiem na ich żagle, Kalf również część zwinął.

Sunniva była sinoblada, szczękała zębami i płakała. Sygryda też nie czuła się zbyt dobrze. Próbowwała obudzić Gyde córkę Halldora, służebną, która niegdyś przybyła razem z nią z Bjarkóy do Trondheimu. Ale Gyda spała jak we własnym łóżu w Egge. Leżała pod nawietrzną burtą, kołysząc się na boki razem ze statkiem. Usta miała otwarte, więc dolna szczęka też jej latała to w prawo, to w lewo. Sygryda nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Ale Sunniva znowu wymiotowała, toteż potrzebowała opieki.

W końcu Sygryda obudziła Gyde. Kazała jej się zająć Sunnivą, a sama z trudem przedzierała się w stronę Kalfa.

Kiedy nareszcie stanęła obok małżonka, oburącz mocno uczipiona poręczą kasztelu, morze wydało się jej groźne i złe.

Kalf natomiast był spokojny jak głąz.

— Groźne? — drwił. — Nie jest groźne, dopóki nie zwiniemy żagla i nie zdamy się na żywioł. Nie sądzę jednak, aby tym razem do tego doszło.

Uważnie przyjrzała się Kalfowi — on widocznie pragnął iść w zawody z morzem i wichrem.

— Na pewno chcesz, żeby wicher mocniej dął.

Kalf na chwilę zwrócił ku niej oczy.

— Może. Dopóki zdołamy żeglować. Ale skąd wiesz? — Wzrok jego znowu bacznie śledził spienione fale, które usiłował pokonać. Sygryda zdumiewała się, w jaki sposób

można z góry przewidzieć, kiedy fala się załamie. Podczas szturmowania morza czuła się dużo lepiej u boku męża.

Jego pytanie zbyła milczeniem, natomiast uważnie śledziła wyraz twarzy ciosanej wiatrem. Cała postać Kalfa wyrażała moc, w tej chwili był wodzem.

Przywódcą, który nie ma czym władać — dodała w myśli. A jednak ten Kalf, który teraz dumny i wolny toczył walkę z morzem, był tym samym mężczyzną, który przed zaledwie paru dniami płakał jak dziecko na jej kolanach.

Deszcz zaczął padać, wkrótce ulewa siekała okręty. Sygryda szukała schronienia, ale pomieszczenia pod pokładem załadowane były domowymi sprzętami i dobytkiem wywiezionym z Egge. Kalf zabrał także kilka koni, które uwiązano na dziobie.

W końcu usiadła pod kasztelem błada, drżąca. Sunniva skuliła się u jej boku. Wkrótce Sygryda także zaczęła szczerkać zębami z zimna, bo przemokły zupełnie. Ze zdziwieniem patrzyła na mężczyzn, którzy nie czuli ani deszczu, ani zimna. Przypomniała sobie, że jako smarkata zazdrościła mężczyznom możliwości podróży. Możliwości marznięcia, zmagania się i toczenia walki — pomyślała teraz! Sunniva nie rozumiała, dlaczego matka gwałtownie przytuliła ją do siebie ze słowami:

— Dziękuję Bogu, żeś niewiastą!

Wiatr już przycichł, kiedy trzeciego dnia podróży dopłynęli około południa do Wysp Szetlandzkich.

Z morza wyłaniały się szczyty gór; w miarę jak statki zbliżały się do wysp, Sygryda kolejno dostrzegała fiordy, doliny, a na ostatku osiedla na wybrzeżu. Cieszył ją widok wysp, a nawet morza, bo czuła się teraz lepiej.

Po nawałnicy wdziała suchą odzież, chociaż z wielką niechęcią przebierała się na statku pełnym mężczyzn, nie mając gdzie się schować. W ogóle nie podobało się jej, że na statku nie było miejsca, gdzie mogłaby zostać sama.

Ale kiedy skarżyła się na to, Kalf zbył ją śmiechem.

— Jesteś rozbałamuciona — odparł. — Jak myślisz, do czego załoga przywykła?

Sygyda się wzdygnęła. Nieraz otrząsała się na myśl, że ludzie śpiąją we wspólnych izbach, tylko nieliczni mieli stałe miejsca w zamkniętych łóżnicach.

Kalf nagle chwycił ją za ramię i z błyskiem w oczach zapytał:

— Co byś powiedziała, jakbym cię obalił na pokład i wziął?

Mimo woli cofnęła się o krok.

— Rzekłabym, żeś postradał zmysły! I wystawiłbyś nas oboje na pośmiewisko, taka stara baba jak ja...

Kalf się roześmiał.

— Jeszcze nie taka leciwa! Królowa Gunnhilda była starsza, kiedy zwabiła Hruta Dala-Kollssona. Gdybym to zrobił, powinnaś być dumna, a nie zła.

Sygyda ruchem zaprzeczyła.

— Nie pojmuję, co cię napadło, Kalf — rzekła, lecz nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

Kalf puścił ją, Sygyda nie przestała kiwać głową usiłując przejść na przeciwną stronę okrętu. Była przerażona: przerażona Kalfem i własnymi myślami!

Nazajutrz wyłoniły się Orkady. Rozczarowały one Sygydę. Szetlandy nęciły oko górami i fiordami. Te wyspy natomiast wyglądały płasko, brzegi wznosiły się łagodnie ku łańcuchom wzgórz poszczerbionych wichrem.

Płynęli wzdłuż wysp; Kalf wskazywał kolejno ukazujące się: Rinan, Sand, Strjon, Hjalpandi i w końcu największą Hros.

Wzięli teraz kurs na zachód pod wiatr, ściągnięto żagle, chywycono wiosła; przesmykiem na południe od Hros minęli dwie wysepki, Kalf powiedział, że to jest cieśnina Holme, dalej wypłynęli na szersze wody. Posuwali się północną stroną ku brzegom Hros, wpłynęli do małej zatoczki w pobliżu cypla, za którym brzeg znowu skręcał ku północy. Na cyplu był gród, który Kalf nazwał Madallandshof.

— Musimy się dowiedzieć, czy jarl jest we dworze czy też w Caithness.

— Gdzie jest Caithness? — spytała Sygyda.

— Na północnym cyplu Szkocji. Jarl Torfinn ma tam swoje ziemie po dziadku po kądzieli oraz posiadłości na zachodnim wybrzeżu Szkocji, rządzi także wyspami południowymi. O, widzisz tam Ronaldsay i Hoy — tu wskazał na dwie największe wyspy dzielące ich od brzegów Szkocji.

Syryda rozejrzała się dokoła, wodziła wzrokiem od wyspy do wyspy. Płaskie, o zwietrzałych wzniesieniach, puste; gdyby mężczyzna słusznego wzrostu wyprostował się porządnie, wyglądałby tu niczym obeliskowy nagrobek. Tylko Hoy wystawiała sklepiony czerep ponad falę; przypominała ogromnego śpiącego trolla, któremu tylko głowa i ramiona sterczą ponad poziom wody.

Kiedy dobijali do brzegu, podeszli uzbrojeni strażnicy sprawdzić, w jakich zamiarach przybywają. Kalf posłał łódź, aby obwieścić, kim jest i w jakim celu tu zmierzał. Wkrótce jarl osobiście zszedł aż na brzeg z powitaniem.

Właśnie była pora przypływu, Kalf na wiosłach kazał doprowadzić statek do płycizny. Tam zeskoczył w wodę i brodząc wyniósł Syrydę na ląd.

Na statku zaczęły się prześmiechy i żarty, którzy z mężczyzn będą wynosili kobiety i dziewczęta. Po dłuższych przekomarzaniach, wśród pisku dziewczek i niewybrednych żartów pachółków, jakoś sprawę załatwiono; wszyscy stanęli na lądzie, wtedy statek podciągnięto.

Statek Tronda również dobił do brzegu, podprowadził go w taki sam sposób jak Kalf.

Tymczasem Kalf i Syryda pozdrowili jarla; ona z ulgą stwierdziła, że zapraszał ich serdecznie w gościnę.

Równie szpetnego mężczyzny Syryda chyba nie widziała. Nos Torfinna przypominał dziób, a prócz tego twarz miał krzywą, nawet w uśmiechu ściągał usta na jedną stronę jakby z obrzydzenia. Był wysoki, miał ogromne dłonie i stopy, a ramiona tak długie, że chyba mógł sięgnąć o połowę dalej niż zwykły człowiek; Syryda pomyślała, że dobrze mu służą, kiedy chwyci za miecz.

Kalf postawił strażę przy statkach, po czym wraz z Torfinnem oraz Syryda udali się w stronę dworu. Towarzyszyli im Sunniva i Trond.

Po drodze Sygryda się rozglądała. Ściemniało się co prawda, ale widać było obfitość zboża i warzyw, natomiast ani jednego drzewa.

Dwór stał na niewielkim wzniesieniu, zwrócony ku południowi, z widokiem na morze i wyspy. Po obu stronach ciągnęły się łąny zbóż. Większość budynków była niska; darniowe ściany oraz dachy zlewały się w jedną całość z otaczającym krajobrazem. Był tu dziedziniec wewnętrzny i zewnętrzny; nawet na głównym podwórku stało kilka mniejszych budynków, tam zapewne mieszkali niewolili.

Weszli do przestronnej sali, najpierw jarl, za nim Kalf z Trondem, na końcu Sygryda z Sunniwą.

Pani Ingebjörga szła ich witać, uśmiechnęła się nieśmiało, podając rękę gościom. Toż to jeszcze dziecko — pomyślała Sygryda.

Musiała mieć siedemnasty rok, lecz robiła wrażenie młodszej. A przy blisko czterdziestoletnim jarlu Torfinnie wyglądała jak dzieciak. Sygryda nagle zdała sobie sprawę, że sama była przecież młodsza, bo Uczyła zaledwie piętnaście zim, kiedy została panią na Egge. A mimo to czuła się urażona, że Tora nie oddała jej natychmiast dworskich kluczy! Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Cicha i nieśmiała Ingebjörga obok brzydkiego Torfinna o kanciastej postaci robiła wrażenie zaczarowanej niewiastki porwanej przez trolla.

Sygryda zauważyła także, że Ingebjörga jąkała się szukając słów powitania. Najgorzej było, gdy przyszła kolej na Tronda.

W Austraacie, gdzie Sygryda ją kiedyś widziała, robiła wrażenie pewnej siebie i wesołej. Teraz wszystkie te cechy zniknęły.

Sygryda kładąc się spać wieczorem miała uczucie, że nadal się kołysze. Kalf zamknął łożnicę, położył się obok niej, po czym ciężko westchnął.

— Musisz zadomowić się tutaj, Sygrydo — powiedział.
— Zbudujemy sobie dwór.

— Zadomowić? — Sygryda zamknęła oczy; myślała o bezdrzewnych, wymiecionych przez wiatry pagórkach, które tu widziała.

— Pojechałaś ze mną na wygnanie, musisz się zadomowić, tu gdzie ja jestem. Dobiłem targu z jarlem. Będę uprawiał część jego ziemi, on zaś dostarczy mi bydło. Będę także mógł kupić ziarna na zimę. Jego ludzie wraz z moimi jutro zaczną stawiać dom.

Chwilę leżeli w milczeniu, Sygryda poszukała ręki Kalfa.

— Kalf — szepnęła. — Czy ty potrafisz czuć się tutaj w domu?

On w odpowiedzi cofnął rękę.

— Nie zamierzam zaprzętać sobie tym głowy. Będę brał każdy nadchodzący dzień takim, jakim jest; będę żeglował, znajdę kogoś, z kim od czasu do czasu można się zmierzyć, pociągnę na wyprawę, przyjmę służbę może u Torfinna, może u innego możnowładcy, a nie będę się kłopotał o to, czemu zaradzić nie można.

Kalf życzył jej dobrej nocy, po czym ułożył się do snu.

A jednak Kalf, zwykle usypiający bez trudu, tego wieczora długo leżał bezsennie.

Gniewała go Sygryda; pytała, czy potrafi się tutaj zadomowić, zupełnie jakby był zdolny do zagrzebania się w domowych pieleszach i nie mógł się wydostać za płot Egge!

Złościł się także na siebie; szczególnie za owo załamanie przed wyjazdem z Norwegii. Co też Sygryda o nim teraz myślała; kiedy to sobie wyobraził, robiło mu się zimno i gorąco ze wstydu. I nie mniej przygnębiało go wspomnienie, w jaki sposób chciał to odrobić popisując się przed nią na statku. Zachował się jak gołowąs.

Teraz znowu udawał większego bohatera, niż był.

Prawda, że nie warto oglądać się wstecz. Podróż morzem dobrze mu zrobiła; ulżyło mu na sercu, bo mógł zmierzyć się ze znanym i zrozumiałym żywiołem, zamiast stać beczynnym naprzeciwko śliskiego i nieobliczalnego przeciwnika Einara Tambarskjelve. Gdyby mógł walczyć przeciwko niemu z bronią w ręku, wyzwać go na ubitą ziemię, jak zwykle czyni obrażony mężczyzna!

Chociaż nie przyznałby się do tego Sygrydzie, świadomość przegranej tkwiła głęboko i bolała niczym zadra w krwawiącej ranie. Wszystko postawił i wszystko przegrał! W dziki i niepohamowany sposób pragnął zemsty, pragnął odegrać się na Einarze i na losie, a nie mógł temu pragnieniu dać upustu. Czuł się beznadziejnie samotny, z nikim nie mógł o tym pogadać, mężczyzna przyjmuje porażkę bez skargi, okazuje jednaki spokój obojętne, czy szczęście mu sprzyja czy też zawodzi.

A jednak słysząc tuż obok oddech Sygrydy pomyślał, że chętnie by jej zwierzył swoje prawdziwe uczucia. Ona mogła go zrozumieć; pojęła, co czuł w czasie burzy na pokładzie statku, choć jej niczego nie wyjaśniał.

Im dłużej o tym myślał, tym był pewniejszy, że ona go zrozumie. Nawet kiedy się załamał jak nigdy od lat chłopięcych, ona go nie wyśmiała; pocieszała go, robiła, co było w jej mocy, aby mu pomóc.

Taka była niegdyś jego matka... Wspomniał swoje młodzińcze zmagania, aby zadowolić dumę ojcowską. Nieraz gorzkimi łzami opłakiwał los, który kazał mu się urodzić na naczelnika i sprawił, że ojciec zawsze liczył, że jego syn będzie zręczniejszy i dzielniejszy niż inni chłopcy.

Leżał odwrócony plecami do Sygrydy; teraz przekreślił się na drugi bok. Ona także się poruszyła, pewno nie zasnęła na dobre. Wyciągnął rękę i szukał jej w ciemnościach.

A kiedy ją znalazł, stało się coś, czego ani chciał, ani się spodziewał. Przytulił się do niej, przy niej szukał bezpieczeństwa, spokoju jako morskie ptaki szukające schronienia przed burzą.

Wkrótce potem, w czasie budowania dużej świetlicy, Kalf spadł z kalenicy i o mało się nie zabił.

Sygryda nie mogła zrozumieć, po co tam wszedł, a jeszcze mniej, dlaczego nie był uważniejszy; doszła do przekonania, że za tym kryje się zły urok.

Nieprzytomnego zaniesiono do dworu jarla. Nic mu nie pomagało: ani woda święcona, ani runy, ani modlitwy. Poczucie bezradności i przerażenia ogarnęło Sygrydę na

widok bladej twarzy, krwi sączącej się z czoła po skroni. Co będzie, jeśli Kalf teraz skona, jeśli zostanie na wieki potępiony? Wprawdzie ksiądz przyszedł i namaścił go ostatnimi olejami. Ale co on, obcy irlandzki kapłan w białej sukni, mógł wiedzieć o Kalfie? Kalf leżał bladej, cichy, nawet grzechów nie mógł wyznać.

Najgorszym z grzechów było zwątpienie o miłosierdziu Bożym — twierdził Anund — czy Kalf wierzył kiedykolwiek w łaskę i miłosierdzie Boga? I co wiedział o grzechu i pokucie... Mówił, że Bóg jest mściwy. Spowiadał się, ale na pewno z niczego więcej poza łamaniem przykazań kościelnych o postach i chodzeniu do kościoła; przewinienia okupywane zwykłymi pokutami. Nawet wówczas gdy zawinił rabując kościoły, wyznał ten grzech niechętnie, wymigiwał się, w końcu niemal żałował, że nie zatrzymał wszystkiego dla siebie.

Sygyda także zaczynała pojmować swoją winę, jak nigdy jeszcze od urodzenia Sunnivy. Sama wpędziła Kalfa w nieszczęście, wywołała wrogi stosunek między nim a królem Olafem, i nie zrobiła najmniejszego wysiłku, aby mu pomóc w zrozumieniu chrześcijaństwa!

Nieraz myślała o swojej winie, natomiast o jego przewinieniach tylko z rozżaleniem. Teraz kiedy to sobie uprzytomniła, zrozumiała jasno, że on sam musi się nauczyć dostrzegać je i pokutować za nie — tak jak ona się nauczyła. Cała jego wina od początku do końca wynikała z tego, że nie mógł uwierzyć w miłosierdzie Boże; był przekonany, że chcąc wniknąć przez niebiańskie wrota, musi odpłacać wet za wet. Bo jeśli nie pojmował potrzeby pokuty to właśnie dlatego, że nie szukał łaski Bożej, przyjmował przeciwności i nieszczęścia jako zemstę Boga, zamiast dostrzegać w nich cząstkę ojcowskiego karcenia. Nawet możliwość całkowitego odpokutowania, jaką stwarzały wydarzenia z królem Magnusem — odepchnął stanowczo, powodowany pychą.

Nie mogła także pojąć, w jaki sposób znając doskonale drogi pokuty i upokorzenia mogła nie zauważyć tego, zanim było za późno.

Teraz kiedy znowu na klęczkach błagała Boga, aby darował życie Kalfowi, przede wszystkim troszczyła się o jego zbawienie; składała wszelkie możliwe obietnice, jeśli Bóg zechce wysłuchać jej modłów. Bóg natomiast jakby ogłuchł; czuła, że On nie przyjmuje jej ofiar; Kalf nadal leżał bez ruchu. W końcu nie wiedziała, co począć.

Wtedy wspomniała słowa Anunda, który pouczał ją, że nie powinna być rozżalona koniecznością opuszczenia Egge. Teraz znowu grzeszyła. Dlatego Bóg nie chce jej wysłuchać. Jednakże wahała się jeszcze chwilę, nim zamknęła oczy i szepnęła:

„Zapomnę Egge, Panie, jeśli tylko zechcesz uzdrowić Kalfa; będę się starała polubić Hrosoy”.

Nareszcie spokój zapanował w jej duszy. Kalf leżał błydy i nieporuszony, ale Sygryda wiedziała, że odzyska zdrowie.

Kalf powracał do zdrowia, lecz bardzo powoli. Prawie dwa dni leżał bez zmysłów, a kiedy wreszcie przyszedł do siebie, nie mógł wstać, gdyż złamanie musiało się zrosnąć.

W tym czasie Sygryda często i długo przesiadywała przy nim; nieraz opowiadała mu, co myślała, kiedy była przekonana, że on umrze. Z początku rzadko odpowiadał. Ufała, że w duchu przyznaje jej słuszność, toteż była przerażona i dotknięta, kiedy pewnego dnia prosił, aby przestała go nudzić gadaniną o grzechu i pokucie.

— Czy nie sądzisz, że mam dosyć udreki? — zapytał.

— Chciałam tylko ci dopomóc.

— Piękna mi pomoc — straszyc do nieprzytomności chorego człowieka. I doprawdy nie wiem, dlaczego sądzisz, żeś mądrzejsza od księży; gdyby było aż tak źle ze mną, jak powiadasz, niewątpliwie Kościół by mnie wyklął. Na swój sposób jestem chrześcijaninem od przeszło dwudziestu zim i nie widzę, dlaczego teraz miałbym się zmieniać.

Sygryda łatwo się poddawała; postanowiła wrócić do tej sprawy — później.

NA WYGNANIU

Mgła zawisła nad Orkadami, niby wełna czepiała się ścian domostw. Każdy, kto wchodził ze dworu, wnosił z sobą przenikliwą wilgoć.

Sygryda siedziała przy ogniu i przędła. Torf palił się równo, grzał, a ona w zimne letnie dni spragniona była zarówno ciepła, jak światła. Od sześciu zim już mieszkała na Hrosoy.

Znała mgły często snujące się po wyspach; dzień po dniu przywykała do deszczu, mżawki lub śniegu z deszczem.

Poznała także zimowe nawałnice, gdy rozpylona piana wodna jak opar unosiła się nad całą wyspą Hros; słyszała wycie wichru coraz silniejsze, aż w końcu przechodzące w jeden przeciągły, dziki ryk.

Ale widziała także wyspy w słońcu, alki i mewy srebrzyste w słonecznym blasku, gdy wiatrem niesione wpadały do zatoki w poszukiwaniu żeru.

Konno i pieszo zwiedziła całą wyspę; gościła w Kirkwallu i Sandviku. Widziała ogromne obeliskowe kamienie nagrobne, które jotunowie albo ludzie w bardzo dawnych czasach, przed przybyciem Norwegów, ustawili w Stennes.

Na zachodnich brzegach wysp Hros i Hoy widziała morze bijące o prostopadłe skały, widziała ich ściany groźnie sterczące nad morzem, podczas gdy pojedynczy szczyt, jakby oderwany od reszty góry, wskazywał na niebo niczym palec jotuna.

Dzień po dniu patrzyła na morze podnoszące się w przy-
pływie i opadające w odpływie; na ostry prąd tworzący leje
w cieśninie Pentland.

Poznała ptaki — te zapamiętane z dzieciństwa, a także
śmiesznego ptaszka alkę bezlotną, która nie umiała fruwać
i zawsze wyglądała na zdziwioną z dużymi białymi plamami
nad oczami.

Była na innych wyspach poza Hrosoy, wspinała się na
góry Hoy, skąd w pogodny dzień widać wyspy, duże i małe;
było ich tyle, że nie miała czasu na liczenie, a ciągnęły się ku
północy jak okiem sięgnąć. Na południu zaś widziała Szkocję
z jej górami i płaskowzgórzami. Na wyspie Hoy oglądała
„karłą skałę”, ogromny złom kamienia w środku wydrążo-
nego tak, że można było doń wejść.

Z Kalfem popłynęła na wyspę Pap zakupić słodu od
tamtejszych irlandzkich mnichów.

W końcu Sygryda zadomowiła się na wyspie Hros. Ale
dużo ją to kosztowało; dzień po dniu, miesiąc za miesiącem
umacniała się w postanowieniu, że musi być zadowolona,
choć dręczyły ją zarówno wspomnienia, jak i tęsknota.

Mimo wszystko nawet teraz budziła się czasem z bolesną
tęsknotą w piersi, łzy napływały jej do oczu i nie mogła ich
powstrzymać, a tymczasem senne marzenie znikało niczym
odblask słońca z dziedzińca Egge i smukłych sosnowych pni.

Ilekoć jej się to zdarzało, skupiała myśl na morzu. Bo
tylko morze stanowiące pomost między jej dzieciństwem
a dniem teraźniejszym pozwalało jej wytrwać na wyspie
Hros.

W ciągu tych kilku lat Sygryda widziała nie tylko
Orkady. Kalf zabierał ją często w podróż. Popłynęła z nim na
wyspy, które pod szarym niebem całe zielone wyłaniały się
z szarzielonego morza. Popłynęli też dalej na południe
między wyspami leżącymi wzdłuż szkockich brzegów, aż do
samej wyspy Hona, tam w słoneczny dzionek wysiedli na ląd.

Wtedy poznała Sigtryga, dawnego króla Dublina, obec-
nie mnicha. Siedziała u jego stóp i słuchała opowiadania
o żywocie starca oraz o tym, w jaki sposób ostatecznie

znalazł się w dawnym dostojnym klasztorze tak często plądrowanym przez wikingów.

Sigtryg siadywał na kamieniu pod wysokim kamiennym krzyżem ustawionym przed klasztornym kościołem. Pięknie wykuty we wzory jakby kwiatów górował nad świątynią, a Sygryda siedziała pośród złocistego kwiecica na łące.

Sigtryg orzekł, że patrzy na krzyż od niewłaściwej strony; po przeciwnej były wyrzeźbione wizerunki Maryi Panny, Daniela w lwiej jamie i królów Saula oraz Dawida.

Sygryda słyszała już o Danielu, Saulu i Dawidzie; w zimowe wieczory bowiem księża opowiadali o nich w świetlicy. Ludzie z szeroko otwartymi oczami uważnie nadstawiali uszu i ciągle prosili o dalsze historie. Dla nich były to nowe sagi z nowymi bohaterami, znacznie ciekawsze niż dawne, o dobrze znanym zakończeniu.

Ale Sygryda była zadowolona, że patrzy na krzyż od ukwieconej strony. Obnażyła swoje życie i troski przed tym mnichem o łagodnych oczach. Słuchał, kiwał głową i uśmiechał się.

— Jesteś bardziej rozgoryczona, niż chcesz przyznać — rzekł, kiedy ostatecznie zamilkła. — Nic zmagaj się tak ciężko z pokonywaniem smutku i tęsknoty, pozwól, niechaj czas działa, a troski pójdą swoją drogą. Cierpienie jest jako strzała, jeśli zechcesz powstrzymać ją w locie, zrani ciebie. Jeśli natomiast pozwolisz jej mknąć własnym torem, w końcu spadnie na ziemię nie wyrządzając krzywdy. Kiedyś pojmiesz znaczenie tego wszystkiego, może jeszcze w tym życiu, może dopiero w przyszłym. A kiedy nareszcie zrozumiesz, będziesz dziękowała Bogu. Nie wolno ci myśleć, że w życiu coś dzieje się bez przyczyny; Pan nasz powiedział, że wbrew Jego woli nawet wróbel nie spadnie na ziemię.

Sygryda milczała; nie pojmowała go. Ksiądz Anund mówił, że rozgoryczenie jest grzechem; należy beztrósko zdać się na wolę Bożą, dziękować Mu za straty i za zyski. Czy zatem nie powinna walczyć, aby zdławić tęsknotę i żal?

— Sądzę, że domyślam się, o co tobie chodzi — ciągnął dalej po chwili. — Życie świętego rzuca światło na tych, którzy go otaczają; każdy ich błąd występuje tak wyraźnie, że

rzuca się w oczy. A najwyraźniej zarysowują się winy jego przeciwników, ku pośmiewisku całego świata. Jednakże większość świętych Bóg kształtował pośród przeciwności i smutków, podobnie jak ten kamienny krzyż został wykuty z bezkształtnej bryły. Kto sprzeciwia się świętemu, ten jest narzędziem w rękę Boga, jego dłutem. Świat tego nie widzi. Przeciwników świętych ludzi uważają za narzędzie szatana. Nie lękaj się, jeśli odwróci się od ciebie. Bóg czuwa nad tobą; tak, on niewątpliwie wyciąga pomocną dłoń do tych, którymi posłużył się w ten sposób.

Sygyda miała wrażenie, że jej żal uśmierzył się po bytności na wyspie Jona. Mimo to czuła doskonale, że tyle goryczy, tęsknoty i dumy jeszcze w niej pozostało, że jeśli nie będzie ich zwalczała, znowu wezmą górę.

Sygyda była także z Kalfem w Anglii, popłynęli do Wynton i Londynu; Kalf jakiś czas był starszym wśród przybocznej straży króla Edwarda.

Widok znanych ze słyszenia dużych grodów, o zobaczeniu których nawet nie marzyła, był dla niej cudownym, a zarazem kłopotliwym przeżyciem. Od zgiełku aż jej dech zapierało. Wspaniałość królewskiego dworu, ogromne kamienne budowle, zamki i kościoły odebrały jej mowę. Była nawet zadowolona, kiedy wreszcie znalazła się we własnym domu na wyspie Hros.

Kalf podejmował w tym czasie dalekie wyprawy, nawet wikingowskie.

Sygyda usiłowała mu tłumaczyć, jak wielkim grzechem było wikingostwo, wytykała mu także inne wykroczenia. On jednak niechętnie tego słuchał; odpowiadał, że skoro on jej nie nudzi, ona także nie powinna go niepokoić. Niemniej jednak postanowienie utwierdzenia Kalfa w chrześcijaństwie umacniało się w niej, szczególnie za pobytu w Anglii.

Na dworze króla Edwarda spotkała wielu kapłanów; król był pobożny, niemal świątobliwy, na Sygrydzie duże wrażenie zrobiła jego żarliwa służba Chrystusowi.

Jednakże jej gorliwość w doskonaleniu Kalfa przyniosła tylko nowe rozczarowania; im ona okazywała większy zapał, tym on stawiał silniejszy opór. Często pouczała go, że źle

czyni żywiąc urazę do króla Magnusa, w końcu rozżłościł się do tego stopnia, iż nie śmiała częściej o tym napomykać.

Kalf istotnie miał bezgraniczny żal do króla Magnusa i jego sprzymierzeńców, szczególnie odkąd z Norwegii nadeszła wieść o zagarnięciu przez Magnusa nie tylko Egge, ale i pozostałych majątności Kalfa.

Sygyda twierdziła, że tego można było się spodziewać. Kalf natomiast uważał, że to zupełnie co innego, jeśli na pewno wiemy, iż ktoś rządzi naszą własnością.

Nie tylko Kalf odczuł mściwość króla. Finn syn Arnego, który odwiedził ich na wyspie Hros w rok od ich wyjazdu na wygnanie, opowiadał, że Magnus surowo obszedł się ze wszystkimi przeciwnikami króla Olafa. Wielu odebrano majątności albo wybito trzodę i bydło; ciężkie kary, nawet okaleczenie cierpieli za najmniejsze przewinienie, wielu musiało uciekać z kraju. Nawet wdowy i dzieci po walczących w szeregach kmiących wygnano z dworów. W końcu było tak źle, że zachodziło niebezpieczeństwo powstania przeciwko królowi.

Część dawnych najwierniejszych druhów króla Olafa sprzymierzyła się; zdawali sobie sprawę, że jeśli młody król ma władać krajem, trzeba go powstrzymać od dalszych rozbojów. Ciągnęli losy, kto nastawi głowy rozpoczynając z nim rozmowę, los padł na skalda Sigvata.

Wygłosił zatem Sigvat pieśń w obecności króla; bez osłonek wskazał, dokąd go zawiedzie żądza odwetu, i usiłował przywołać go do rozsądku. Magnus usłuchał skalda, który był najserdeczniejszym przyjacielem ojca. Rozumiał, iż życzy mu jak najlepiej, poszedł więc za jego radą.

Finn opowiadał także o swojej córce, która przyszła na świat wkrótce po odwiedzinach Kalfa i Sygydy w Austracie za czasów króla Svena. Nadał jej imię Sygyda. I chyba wdała się w swoją imienniczkę — twierdził Finn — była równie porywcza i uparta. Ale mówiąc to śmiał się.

Przed wyruszeniem w powrotną drogę zapewnił Kalfa, że uczyni wszystko co w jego mocy, aby uzyskać dla niego ułaskawienie; ostatnie wydarzenia bowiem raczej umocniły braterskie uczucia, niż je osłabiły.

Kalf jakiś czas miał nadzieję, że będzie wezwany do Norwegii. A kiedy tak się nie stało, żal jego pogłębił się jeszcze — jeśli to w ogóle było możliwe.

Sygyda siedziała przy ogniu w świetlicy na wyspie Hros. Wrzeczono dawno złożyła na kolanach. Świeże wydarzenia nawiązały ten wątek wspomnień.

Na przedwiośniu Kalf wrócił z Anglii; miał rządzić częścią wysp w imieniu jarla Torfinna, tak jak w pierwszych latach wygnania.

Tym razem jednak nie mogli dojść z jarlem do ugody.

Kalf stał na czele sporej floty, miał licznych zbrojnych i nie zamierzał ich odprawiać. Byli to ludzie dzielni, zaradni, których zgromadził, aby razem z Torfinnem latem najeżdżać wybrzeża Irlandii i Szkocji.

Omawiali tę sprawę długo i szeroko; Torfom uważał, że trudno utrzymać tylu ludzi przez okrągły rok. Nie chciał być niegościnnie, lecz jeśli wyprawy się nie powiodą, on musiałby troszczyć się o utrzymanie tego wojska. A uważał to za zbyt kosztowne.

Kalf nie przeczył — tanio to nie wyniesie.

- Łatwo by było utrzymać tych zbrojnych, gdyby twój brataniec, Ragnvald Brusesson, nie zagarnął dwóch trzecich Orkad i Szetlandów.

Torfinn przyznał mu słuszność. Po pijanemu nieraz użalał się nad tym, że brataniec rządził większą częścią wysp, niż przypada mu po ojcu; zdaniem Torfinna miał prawo tylko do jednej trzeciej, a najwyżej połowy wysp.

Jeśli władał większą częścią, winien był Olaf Haraldsson, który w swoim czasie podstępnie zdobył trzecią część posiadłości jarla, własność Einara Krzywoustego, brata Torfinna, a stryja Ragnvalda. Król Magnus po powrocie do Norwegii upomniał się o tę trzecią część jako o ojcowiznę; następnie oddał ją w zarząd Ragnvaldowi, swemu młocznemu bratu i najzaufańszemu przyjacielowi.

Torfinn z Kalfem wielokrotnie mówili o tym w ciągu wiosny i z początkiem lata. Jarl był wyraźnie zadowolony, jeśli Kalf miał coś złego do powiedzenia o jego bratańcu.

Kalfowi zaś nie brakło ochoty do judzenia jarla przeciwko przyjacielowi króla Magnusa.

Sygyda podniosła wrzeczono z kolan; nawinęła wełnę i znowu zaczęła praść. Ciężko wzdychała. Tym razem także próbowała przekonać Kalfa, że grzechem jest siać niezgodę między krewniakami. Ponadto doradzała rozpuszczenie gromady zbrojnych, nierada bowiem myślała o wikingowskich wyprawach.

Wszystko to daremnie, jarłów dzieliły wrogie uczucia.

Torfinn wyprawił posłańca do Ragnvalda z żądaniem dwóch trzecich wysp; oświadczył, że brataniec aż nadto długo korzystał z tego, co mu się nie należało. Ragnvald, który sam jeden nie mógł przeciwstawić się Torfinnowi, udał się po pomoc do króla Magnusa do Norwegii.

Powrócił z dużą flotą, poza tym nakazał ogólny pobór na swojej części wysp. Jarl Torfinn zgromadził okręty z podległych mu okręgów.

Według tego, co Sygyda słyszała, obie floty stały teraz w cieśninie Pentland, bacznie się obserwowały i czekały na opadnięcie mgły.

Sygyda znowu opuściła ręce, siedziała zapatrzona w spokojny torfowy ogień.

Przeszłość wyłaniała się niczym zmarły powstający z grobu, którego zarys kształtuje się pośród ognia i dymu. Przed tą bitwą bowiem zdarzyło się coś, co nadawało jej szczególne znaczenie, o wiele donioślejsze niżli zwycięstwo lub klęska.

Jeden z ludzi Ragnvalda przybył do nich poprzedniego dnia. Przywiózł dla Kalfa pismo od króla Magnusa. Kalfowi drżały ręce, gdy łamał pieczęć.

— Ofiarowuje mi zgodę — wyjaśnił później na jej pytanie. — Zwraca mi Egge, wszystkie majątności i prawa, jeśli zechcę poprzeć Ragnvalda przeciw Torfinnowi.

Sygyda nie od razu zdobyła się na odpowiedź, toteż na razie nie mówili o tym więcej.

Kalf od wczesnego ranka był na nogach, razem z Tron-dem na czele drużyny zniknęli we mgle. Mieli sześć dużych

okrętów dobrze uzbrojonych do walki. Sygryda wiedziała, że jarl Torfinn wyznaczył spotkanie w cieśninie Pentland, natomiast nie miała pojęcia, czy Kalf przyłączy się do niego, czy do Ragnvalda.

Myśl o Egge, o powrocie do ludzi, których w swoim pojęciu znała całe życie, nie opuszczała jej ani na chwilę, wbrew chęci zapomnienia narzucała się z niemal bolesną natarczywością. Zupełnie jakby w miejscu dawnej rany jakaś drzazga głęboko ukryta pod skórą dobywała się na wierzch przyczyniając niezmiernego bólu.

Gdyby mogli teraz wrócić do Egge...

A jeżeli Kalf poprze Torfinna i zostaną pokonani? Będą musieli uciekać stąd daleko, nie wiadomo dokąd. Może do Caithness albo do Angin.

Kalf przed odpłynięciem prosił, żeby dopilnowała załadowania statku, tak aby był gotów do drogi w razie potrzeby.

Sygryda nie wiedziała, jak długo siedziała zapatrzona w ogień.

— Matko, czy nie słyszysz, że Kjetil mówi do ciebie? — odezwał się niecierpliwym, trochę ostrym głosem Sunnivy.

Obejrzała się powoli.

Kjetil syn Torda był najzaufanym domownikiem Kalfa, przybył wraz z nimi z Egge.

— Co się stało, Kjetil?

— Mgła się rozplynęła; prosiłaś, aby cię o tym powiadomić.

— Dziękuję ci, Kjetil — Sygryda wstała. Była odrętwiała, westchnęła, kilka razy poruszyła ramionami, aby się odprężyć, i odniosła wrzeczono na miejsce. Po czym wzięła płaszcz i skierowała się do wyjścia.

Na dworze obejrzała się, Sunniva szła za nią.

— Weź płaszcz — powiedziała widząc, że córka jest w samej sukni.

— Ależ, matko! Przecież mamy środek lata. — Sunniva obrzuciła matkę zgnębionym spojrzeniem.

Sygryda znowu westchnęła. Tego dnia nie czuła się na siłach rozpocząć walkę z córką, w milczeniu szły obok siebie łąką za dwór.

Sunniva stawała się zupełnie obca.

Sygyda pamiętała, że to się zaczęło owej księżycowej nocy na statku, kiedy płynęli z Norwegii i miała wrażenie, że córka umarła.

Odtąd bała się strasznie. Sama bowiem jakby wzniosła mur między sobą a córką, nie śmiała ani jej kochać, ani nienawidzić. Równocześnie zaś tęskniła do miłości Sunnivy, ufała, że dziewczynka tak nieprawdopodobnie przypominająca Sigvata będzie ją kochała.

Nadzieja ta okazała się płonna, wszystko cokolwiek zrobiła lub powiedziała, córka miała jej za złe.

Kjetil słusznie powiedział, że mgła się rozwiewa. Wiatr się zrywał, między wełnistymi kłębowymi gnanymi wiatrem powstawały duże przezrocze zwierciadła. Słońce przeglądało wśród zwalów chmur.

Wyspy kolejno wyłaniały się z mgły: Flatoy, Ronaldsay i w końcu Hoy, kulisto sklepiona. Miała wrażenie, że rozróżnia statki w przesmyku między dwoma pierwszymi. Ale odległość była za duża, pewności mieć nie mogła.

Usiadła na wilgotnym trawiastym stoku, by odpocząć. Sunniva spojrzała na nią niechętnie.

— Bałaś się, że zmarznę. A sama, jak widać, nie boisz się przemoknąć!

Sygyda podniosła wzrok na córkę; w jej postawie było coś wzywającego. Wstała.

— Posłuchaj, Sunnivo! Nie twoja sprawa, co ja robię.

— Ty mieszasz się w moje sprawy, a mnie nie wolno odezwać się słowem. — Dziewczyna zrobiła obrażoną minę.

Nagle Sygydzie było tego wszystkiego za dużo: myśl o mężu i synu znajdujących się w cieśninie Pentland, wspomnienia z czasów Egge nieustannie powracające, niepokój o przyszłość i ta bezczelna smarkata!

Wymierzyła jej policzek.

Sunniva nie krzyknęła, podniosła tylko rękę do twarzy i przykryła czerwony ślad matczynego uderzenia. Milczała, lecz oczy jej płonęły.

Sygyrda idąc dalej, zaczęła mówić o sprawie, którą od dawna chciała poruszyć z córką, ale nie miała odwagi; trudno, Sunniva i tak bardziej zła niż w tej chwili nie będzie.

— Jeśli raz jeszcze przyłapię cię samą z tym gałganem Islandczykiem, dostaniesz więcej; pomówię o tym z ojcem!

— Nie odważysz się powiedzieć o tym ojcu! — Czarne oczy patrzyły z pogardą. — Gdybyś śmiała, powiedziałałabyś mu dawno.

— A dlaczego nie miałabym się odważyć? — Sygyrda zagryzła wargi. Prawdą było, że wolała nie wspominać o tym Kalfowi, szczególnie że chodziło o Islandczyka.

— Bo ja wiem dlaczego? — Sunniva wzruszyła ramionami. — Wiem tylko, że byłabyś mu powiedziała. A bądź pewna, że nie wyobrażam sobie, iż chodzi ci o mnie.

— A gdyby tak było? — Sygyrda uczepliła się niespodziewanej deski ratunku.

— Ciebie obchodzą dwie rzeczy: tkanie i mieszanie się w cudze sprawy — odparła Sunniva zjadliwie. — A poza tym dbasz o to, żeby biegać do kościoła i wmawiać księżom, jakas ty święta.

— Sunniva! — Docinek był trafny.

— Uderz jeszcze raz, jeśli masz ochotę! — Sunniva nastawiła policzek. Sygyrda jednak nie uderzyła. Patrzyła na dziewczynę: z płonącymi czarnymi oczami, miną królowej, była urzekająco piękna.

Chwila wahania pomogła, uspokoiła się.

— Jeśli sama nie pojmujesz, co jest dobre dla ciebie, musisz pogodzić się z tym, że ja ci pomogę w rozeznaniu.

— Pomożesz... — Sunniva gniewnie potrząsnęła głową.

— A co według ciebie mam zrobić? — zapytała Sygyrda. — Pozwolić ci hańbić się z człowiekiem, o którym ani ty, ani ja nie wiemy nic ponad to, że twój ojciec zabrał go z drużyny króla Kanuta i że jest przymilny i umie grać na lutni?

— Jego ojciec posiada dwór w Islandii — odparła gniewnie Sunniva. — Sam opowiadał!

Po tych słowach jednak straciła trochę pewności siebie.

— Skąd wiesz, że mówi prawdę? Co właściwie o nim wiesz?

Sunniva była bliska płaczu, wargi jej drżały, w głosie brzmiał przymus.

— Zwie się Hoskuld syn Flossego. A miejsce w Islandii, skąd pochodzi, zwą Svinafell. On powiada, że jest jedynym synem męża znakomitego w swoim kraju. — Sunniva bez przerwy mrugała chcąc powstrzymać łzy, w końcu zaczęła pociągać nosem. Sygryda objęła córkę, a wtedy dziewczyna przytuliła się do matki.

— Co będzie, jeśli on polegnie w boju? — łkała w głos. Po czym wyrwijąc się krzyknęła: — Pewno byś chciała, żeby tak było!

Sygrydzie trudno było przeczyć, powiedziała zatem:

— Stanic się według woli Bożej.

— Znowu nudzisz — wyrwało się córce. Po czym zalewając się łzami pobiegła w stronę dworu.

Sygryda szła za nią powoli. Ciężko wzdychała, nie sposób dogadać się z Sunnivą. A zatem, choć bardzo niechętnie, musi poruszyć sprawę z Kalfem.

Zatrzymała się i znowu spojrzała w stronę cieśniny Pentland. Statki jakby podpłynęły bliżej Ronaldsay.

Pod wieczór statki wróciły. Kalf przyплыł wraz z jarlem Torfinnem na czele licznej floty. Bez wątpienia zwyciężyli; załogi zapaliły pochodnie, wszyscy machali rękami i krzyczeli.

Sygryda z ulgą stwierdziła, że Kalf nie był raniony, miał tylko lekkie draśnięcie na policzku. Trond również zszedł na brzeg bez niczyjej pomocy; miał zakrwawiony kaftan, ale twierdził, że to cudza krew.

Kalf wcale nie wyglądał na zwycięzcę. Był milczący, miał głębokie zmarszczki na czole. Po wejściu do świetlicy wyjął z zanadrza pismo króla Magnusa i rzucił je w ogień.

Chwilę trwało, nim skóra się zajęła; najpierw skwierczała, skręcała się w płomieniu, swąd rozchodził się po izbie. Kalf patrzył, jak zaczyna się palić i jak w końcu rozpada się w popiół. Wtedy odwrócił się i usiadł na poczesnym miejscu.

Sygryda powoli wodziła oczami wokół izby; a jednak dobrze, że się tu zadowowała. Gniewnie otrząsnęła się z uczucia dokuczliwego zawodu.

Wielu rannych zniesiono na łąd, Sygryda miała dużo roboty, nim ich opatrzyła.

Przechodziła od jednego do drugiego, najpierw oglądała rany, badała, kto pilniej wymaga pomocy; zamawiała krwotoki. Kładła ręce na rany, aby wyczuć, czy są głębokie, smakowała krew, by stwierdzić, czy chodzi tylko o powierzchowne wybroczyiny.

Posłała także po księdza, ale długo trwało, nim przyszedł.

Uwijała się możliwie najspieszniej, mimo to zawsze miała czas na parę słów otuchy dla każdego. Nagle zatrzymała się przy ciężko rannym mężczyźnie. W milczeniu usiadła obok niego.

Był przytomny, jęczał, od czasu do czasu cicho się żalił podczas badania. Otrzymał pchnięcie w brzuch, dała mu cebulowej papki do zjedzenia, żeby sprawdzić, czy ma dziurawe trzewia.

— Ksiądz przyjdzie? — pytał szeptem.

— Chcesz się spowiadać?

Skinął potakująco.

— Nie wiem — odparła Sygryda i już zamierzała przejść do następnego, kiedy ją zatrzymał.

— Pani Sygrydo.

— Mam wielu innych oprócz ciebie — powiedziała.

— Muszę coś wyznać, jeśli mam umrzeć i... i... — jęknął wykrzywając się z bólu.

Sygryda nagle wyobraziła sobie inną twarz ściągniętą z bólu, usłyszała inny głos z trudem wypowiadający słowa, wspomniała, jak innemu konającemu odmówiono spowiedzi. Toteż, choć niechętnie, wróciła do niego.

— O co chodzi? — spytała.

— Widzieliście mnie, pani, z waszą córką — szepnął. — Uwodziłem ją kłamstwem i fałszywymi przysięgami, mówiłem, że mój ojciec ma w Islandii dwór, który odziedziczę. Ona przyrzekła uciec ze mną przy pierwszej sposobności. Ja niczego nie odziedziczę, wszystko otrzyma mój brat Kolbein. Jestem tylko synem nałożnicy, który nic nie dostanie w schedzie, jedyne co ojciec mógł dla mnie zrobić, to zapewnić mi korzystne małżeństwo.

— Masz żonę?

— Nie, ale przed odjazdem z Islandii zaręczyłem się. Po moim powrocie mamy się pobrać.

— A zatem chciałeś zabrać Sunnivę jako nałożnicę?
— Sygryda szukała jego wzroku i zdumiała się widząc, że śmiało spojrział jej w oczy.

— Nie wiem — odparł. Słowa te brzmiały jak pytanie zadane sobie i jej.

— Chyba rozumiesz, że nic dobrego by z tego z nie wynikło, gdybyś wziął Sunnivę do Islandii jak służebną dziewczkę! Kalf oskarżyłby cię o uprowadzenie kobiety, a twoja narzeczona i jej krewniacy nie byłiby zachwyceni takim obrotem sprawy.

— Tak myślicie? Ja nie zamierzałem zabrać jej jako służebnej.

— Więc co zamierzałeś, Hoskuldzie?

— Znaleźć jakieś wyjście — odparł po namyśle.

Sygryda potrząsnęła głową.

— Czy nie uzyskałeś od niej nic poza przyrzeczeniami?
— spytała. Hoskuld uśmiechnął się nagle, trochę figlarnie, choć krople potu perliły mu się na czole.

— Całusa albo dwa, najwyżej — odpowiedział.

— Czy wyznajesz to przed Bogiem, abym powtórzyła wszystko księdzu, czy też mnie tylko to opowiadasz?

— Powiedźcie księdzu, jeśli sam nie zdołam — szepnęła. Po chwili odpoczynku dodał: — Powiedźcie też Sunnivi, aby po mnie nie płakała. Nie jestem tego wart.

Sygryda przeżegnała go, zanim wstała.

W milczeniu opatrywała pozostałych rannych.

Hoskuld żył jeszcze, kiedy później wróciła, aby powąchać ranę. Nie pachniała cebulą, krwawienie ustało, ale ranny był ledwie przytomny. Utrata krwi go osłabiła; mocno ściągając opaski zastanawiała się, co uczyni, jeśli Hoskuld wylize się z ran.

Późnym wieczorem wróciła do izby. Większość domowników już się pokładła, wyraźnie było słycać chrapanie śpiących. Tylko kilku pachołków gawędziło w kącie,

a dziewczka drzemała na ławie przy wejściu. Kalf siedział na poczesnym miejscu.

Usiadła obok niego.

— Czy jarl Ragnvald uszedł z życiem? — spytała.

— Tak. Już prawie pojaliśmy go w niewolę, ale kazał przeciąć liny i umknął. Wyobrażam sobie, że odpłynął do Norwegii.

— Opowiedz i o bitwie!

— Z początku trzymałem się na uboczu — odparł Kalf.

— Wydawało mi się, że twój okręt stoi blisko Ronaldsay.

— Możliwe. Kiedy?

— Zaraz po rozpłynięciu się mgły.

— Słusznie, tam byłem. — Kalf ujął róg i pociągnął zeń potężnie. Po czym odstawiając go dodał: — Czekałem tam jakiś czas, póki się nie przekonałem, co będzie.

— Skąd to zadraśnięcie na policzku? — zapytała, gdyż wzrok jej padł właśnie na zranione miejsce, które zauważyła poprzednio.

— Strzała mnie drasnęła — odpowiedział.

— Z bliska — zauważyła.

Kalf potwierdził.

— Czy istotnie myślałeś przez chwilę poważnie o przyłączeniu się do Ragnvalda?

— Nie jestem pewien — odparł Kalf umykając wzrokiem.

— To byłaby zdrada wobec Torfinna — nie powiedziała tego w formie oskarżenia, po prostu stwierdziła rzecz wiadomą obojgu.

Kalf jednak nagle zwrócił się do niej z wściekłością.

— Zdrada! Może byłaby pora, żebym ja choć raz świadomie zdradził, niewiele zyskałem ufając innym. Czemu nie miałbym skorzystać raz w życiu z niewierności, o którą i tak mnie obwinia?

— Czy pomogłeś Torfinnowi, dopiero gdy było jasne, że zwycięży?

— Nie. — Kalf znowu ujął róg i tym razem go opróżnił. Zawołał dziewczkę siedzącą przy drzwiach, drgnęła gwałtownie, zerwała się i przybiegła z dzbanem.

— Zaraz ci opowiem, jakiego głupca masz za małżonka — ciągnął dalej Kalf. — Kiedy Torfinn był bliski kłęski, zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Więc pomogłem mu. Gdybym stanął po stronie Ragnvalda, on byłby zwyciężył. I moglibyśmy wrócić do Egge!

Kalf nie przestawał popijać.

— Kiedy okręty się spotkały, Torfinn miał ich dużo więcej niż Ragnvald, ale statki Ragnvalda były większe i wyższe, a jego ludzie lepiej uzbrojeni. Zniszczył wiele małych statków. W końcu na statku Torfinna padło tylu ludzi, że musiał dobić do lądu i uzupełnić załogę; wtedy też przyszedł do mnie. Tak było... — Kalf mówił głosem zupełnie ochrypłym, mimo to znowu sięgnął po róg.

— Czy musisz się upić? — spytała Sygryda trochę wystraszona.

— Nie muszę, ale chcę... Moje okręty były większe od znacznej części statków Ragnvalda. Wiele ich zniszczyliśmy, niektóre umknęły. Wtedy zbliżyłem się do statków, na których byli jarlowie; połączyły się w walce, zamierzałem podpłynąć z drugiej strony do Ragnvalda. Wtedy kazał przeciąć liny i umknął. I więcej nie mam nic do opowiadania — Kalf ziewnął, opróżnił róg, wstał i szedł do łóża potykając się i zataczając po drodze.

Sygryda nie poszła za nim, zajrzała do Sunnivy. Bez zdziwienia stwierdziła nieobecność córki; na pewno dowiedziała się, że Hoskuld jest ciężko ranny. Sygryda wyszła na dwór.

Księżyc wzeszedł, rosa srebrzyła się w trawie, wilgotne kamienie na zboczu blado połyskiwały.

Sygryda chwilę zwlekała, usiłowała sobie przypomnieć siebie jako piętnastoletnią dziewczynę. Co zrobiłaby na miejscu Sunnivy? Wzięta pochodnię i poszła do stajni. Córka dostała od Kalfa konia, którego ogromnie lubiła. I tam ją znalazła śpiącą z głową opartą na boku zwierzęcia. Sygryda zatknęła mocno pochodnię na ścianie i uklękła obok niej.

Sunniva miała jeszcze na policzkach ślady łez, nawet przez sen od czasu do czasu łkała z cicha. Była taka dziecinna w swoim cierpieniu, aż Sygrydę ścisnęło w gardle i łzy

napłynęły jej do oczu. Zastanawiała się nad tym, co powiedzieć, ale ociągała z obudzeniem córki, nie miała serca tego zrobić. A im dłużej się namyślała, tym było jej ciężiej.

W końcu zdjęła płaszcz, okryła Sunnivę, po czym zabrała łuczywo i po cichu wyszła ze stajni.

Jeżeli Hoskuld Flosesson umrze, Sunniva cierpiałaby dużo gorzej wiedząc prawdę.

Po powrocie do izby Sygryda stwierdziła, że Kalf wymiotował, upaprał siebie i pościel, czuła smród, zanim otworzyła łóżnicę.

Obudziła zatem dwie dziewczki i kazała im sprzątnąć. Mimo to, kiedy w końcu sama mogła się położyć, aż ją mdliło od zaduchu, choć służebne zmieniły wszystko łącznie ze słomą. Kalf rozwalony, barczysty, chrapał nie do wytrzymania.

Położyła się jak najdalej od małżonka i nie domknęła łóżnicy, aby mieć choć trochę świeżego powietrza. Noc wlokła się powoli, myśli i obrazy kłębiły się Sygrydzie bez ładu i składu, chwilami zapadała w sen.

Widziała Sunnivę i Hoskulda, nagle zjawił się Eryk Torgrimsson; zakrwawiony, pobity włókł się wybrzeżem Bjarkóy, jak niegdyś przed wielu laty; Sygryda miała uczucie mdłości zupełnie tak samo jak wówczas. Ale przecież ułatwiła spowiedź Hoskuldowi — może sprzeciwiła się komuś, lecz komu, nie wiedziała.

Potem w miejsce Eryka zjawił się skald Sigvat i Kalf uderzył go pięścią w twarz. Z ulgą jednak stwierdziła, że bądź co bądź nie zawiodła Sigvata jak Eryka i nie przyczyniła mu cierpienia.

Znowu zapadła w półsen; była na wybrzeżu, fale szumiały w piasku, jedna za drugą, bez początku ni końca. Biegła ku morzu, nie wiedząc, czy chce objąć te fale, czy też je powstrzymać.

Nagle ukazał się mężczyzna; stanowił część morza, falę, która pędziła ku niej z dalekiej przeszłości. To był Olve, ale patrzyła na niego ze zdumieniem, bo był równocześnie Trondem. Chciała go zatrzymać i wytrzeźwiała zupełnie, bo uderzyła się o ścianę.

Tak, Trond, Trond, który parę lat spędził na wyprawach i podróżach, zanim w końcu wrócił do domu; zastanawiała się, czy nadal ukrywa beznadziejną miłość do Ingebjörgi córki Finna, małżonki jarla Torfinna. Stał się dziwnie dorosły i obcy, z wyższością i dumą opowiadał o różnych miastach, o Rzymie, Konstantynopolu i Gottlandzie.

Nad ranem Sygryda pograżyła się w niespokojnym śnie.

2

Zbliżała się jesień; sztormy zaczęły się wcześniej tego roku, ludzie przeważnie siedzieli po domach. Nawet owce, które pasły się jak rok długi, zbijały się gromadki i szukały zacisznego miejsca.

Jarl Torfinn również siedział w swoim dworzyszczu na Hrosoy tej jesieni; podbił całe Orkady i Szetlandy po ucieczce Ragnvalda do Norwegii. Podobno Ragnvald przebywał u króla Magnusa. Torfinn czuł się bezpieczny, nie sądził, aby przeciwnik dał o sobie znać wcześniej niż wiosną.

Kalfa w domu nie było; popłynął na Hebrydy, a z nim większość jego drużyny. Mieli powrócić na Boże Narodzenie. Trond natomiast pozostał we dworze.

Mimo tego nie mógł znaleźć sobie miejsca, to wychodził na dwór, rozglądał się, jak zapowiada się pogoda, i wracał do izby, to znowu szedł do stajni, wyprowadzał konia i jechał.

Znajdował sposobność do odwiedzania jarla znacznie częściej, niż życzyła sobie tego Sygryda, lecz nic zrobić nie mogła oprócz zachęcania go do pozostania w domu, ale tak, żeby nie spostrzegł jej wybiegów.

Prosiła więc, aby opowiadał o zamorskich krajach, wieczorami przy ogniu mówiła mu o Olvem i jego życiu.

— Dziwnie mi się wydaje tak słuchać o nim; czemu dawniej mi tego nie opowiadałaś?

— Ciężko mi było — odparła Sygryda.

— Miłowałaś go? — spytał Trond głosem o wiele łagodniejszym niż zazwyczaj. Sygryda spojrzała na syna. Nawet rysy jego twarzy na mgnienie oka zatraciły zwykłą surowość, dzięki czemu wydał się młodszymi, a miał dwadzieścia cztery zimy. Sygryda słysząc pytanie aż się zachłysnęła, odwróciła wzrok w stronę ognia i odparła:

— Tak. Miłowałam go.

— Zawsze myślałem o Kalfie jak o ojcu, chociaż dobrze wiedziałem, że nim nie jest. — Trond zamyślił się. Po czym dodał z uśmiechem: — Jako smarkacz potwornie zazdrościłem Sunnivicie, że jest jego rodzoną córką. Jeśli wysilałem się niczym szaleniem, żeby przodować w zapasach, to dlatego, że chciałem pokazać Kalfowi, na co mnie stać.

Trond przerwał i przez chwilę zdawał się walczyć z sobą: powiedzieć czy milczeć? Sygryda zastanawiała się, o co mu chodziło.

— Doszło nawet do tego, że wzięłem stronę Kalfa, kiedy się poróżniliście — wykrztusił nareszcie.

Sygryda dobrze pamiętała — bo ją to mocno bolało.

— Nie ma o czym mówić — stwierdziła. Trond jednak, skoro pierwszy tę sprawę poruszył, nie zamierzał jej poniechać od razu.

— To było owej jesieni, kiedy Kalf ruszył na wikingowską wyprawę. Tego samego roku, kiedy kanonizowano króla Olafa. Kalf zabierał mnie na objazdy po trondheimskim okręgu, czego dawniej nigdy nie robił. A kiedy mówił o tobie z rozżaleniem, nie broniłem cię jak powinienem.

Sygryda nie patrzyła na syna, w duchu pragnęła, żeby dał temu spokój. Wówczas odczuwała to boleśnie, ale łatwo było zrozumieć, dlaczego młodzik dał się pozyskać Kalfowi. Cóż mogła mu dać w zamian za łowy, męskie zapasy i walki?

— Zauważyłam — odparła tylko.

— Zauważyłaś i nie obwiniałaś mnie? — przerwał, jakby nagle stwierdził, ile dziecinady było w jego mniemaniu, że ona niczego nie dostrzegła. Roześmiał się z własnej głupoty. — Naturalnie, że odgadłaś. Nie wiem, czemu mnie to dręczyło przez tyle lat.

Chwilę milczeli oboje. Mimo to Sygryda odczuła, że syn jest jej bliższy niż kiedykolwiek. Poza tym chyba był mniej nieczuły, niż sądziła. Od czasu do czasu zerkała na Tronda i dopatrywała się w nim podobieństwa do Olwego.

— Jak będzie z Sunniva? — spytał niespodziewanie. Słowa te wymówił ze zwykłą szorstkością. — Czy Kalf da odpowiedź Geiroddowi z Thurso w sprawie zaślubin z jego synem?

— Sunniva sprzeciwiła się wyraźnie. Kalf mówi, iż nie chce jej zmuszać do małżeństwa, którego ona sama nie pragnie. A nawet dużo więcej, bo twierdzi, że dobrze wie, ile nieszczęścia może z takiego małżeństwa wyniknąć.

— Nie byłoby to złe małżeństwo — zauważył Trond. — Geirodd jest zamożny i lubiany w Caithness. A syn jego Ulf, choć jeszcze bardzo młody, jest dzielnym chłopakiem, widziałem go podczas bitwy tego roku. Gdybym ja miał coś do powiedzenia w tej sprawie, Sunniva pojechałaby do Thurso natychmiast, jak tylko zdołałbym wyprawić statek. Nie podobają mi się spojrzenia, jakimi ci najemni żołnierze obrzucają dziewczynę. Ale dobrze widzę, że potrafi owinać Kalfa wokół małego palca, kiedy jest w domu. Ty także pozwalasz jej na bałamucenie. Gdyby mnie odpowiedziała tak jak tobie niedawno, tobym ją sprzął.

— Tego też próbowałam. Ale robi się bardziej harda. Mówi: bij jeszcze. I co mam począć?

— Weź ją za słowo. I bij mocniej — odparł Trond. — Dziewka nie jest głupia, prędko przestanie ci się stawiać.

— Ale... — Sygryda przerwała. Chciała powiedzieć: Ale wtedy przestanie mnie kochać. Na szczęście w porę spostrzegła, że głupio byłoby wyjawić coś podobnego.

— Tego lata o mało co sprawy nie wzięły złęgo obrotu — rzekła tylko. Po czym rozejrzała się, jakby chciała się przekonać, czy nikt nie podsłuchuje, i dopiero opowiedziała Trondowi o Hoskuldzie. Zakończyła stwierdzeniem, że rozmówiła się z nim, skoro tylko wrócił do sił, i kazała mu opuścić Hrosoy.

— Dlatego wyglądał, jakby wszystkie Hiobowe nieszczęścia zwały się na niego. A mówiłaś o tym Kalfowi?

— Nie.

— To dziękuj tylko sobie, jeśli nie potrafisz uporać się z dziewczyną. — Trond uderzył pięścią w stół.

Sygyda nie odpowiedziała.

— Szczęście, że choć wyjechał z Hrosoy. Wiesz dokąd?

— Do Dublina. Sądzę jednak, że potem popłynął dalej, do Islandii, gdzie się żeni.

— Tu się więcej nie pokaże — zapewniał Trond. — Chyba dziękuje niebiosom, że udało mu się zniknąć stąd, zanim Kalf albo ja dowiedzieliśmy się o wszystkim. A powiedziałaś prawdę Sunnive? — spytał po chwili.

Sygyda zaprzeczyła. Teraz nagle żałowała, dlaczego nie zachowała tajemnicy przed Trondem.

— Chyba ona nie czeka jego powrotu?

— Nie dziwiłabym się, gdyby tak było.

— Teraz rozumiem, czemu smarkata nie chce poślubić Ulfa Geiroddssona. Nie wiem, na jakiej podstawie myślisz, żeś powinna to przemilczeć, chyba nie wiąże cię żadna obietnica. A czas najwyższy, aby zarówno Kalf, jak Sunniva dowiedzieli się prawdy; nie chcesz tego powiedzieć, ja cię zastąpię, matko.

— Trond...

— Zrobię to. Ufam tylko, że Ulf Geiroddsson jeszcze ją zechce.

— On żadnej innej nie chciał, odkąd ją zobaczył tej wiosny u jarla. Geirodd zapewniał, że dadzą jej czas do namysłu. Sprawa nie jest przesądzona.

— Ale wkrótce będzie, skoro ja przyłożę rękę. — Trond wstał i zyczył matce dobrej nocy.

Podobieństwo do Olwego, które Sygyda widziała w synu, w tej chwili zniknęło; nagle poczuła gwałtowną tęsknotę.

Jednakże nie ostatni raz Sygyda dostrzegała podobieństwo między Trondem a jego ojcem; wiele następnych wieczorów przesiedziała z synem na pogawędce o Olvem. On ciągle napraszał się o więcej, ona z radością opowiadała.

Czuła, że byli sobie ogromnie bliscy w te wieczory, razem z nim odświeżała pamięć czasów przeżytych z Olvem.

Cieszyła ją łatwość, z jaką mogła rozmawiać z Trondem, oraz bystrość, z jaką pojmował sprawy, nawet obce jego sposobowi myślenia. Wyczuwała w nim niejako żyzną glebę dla myśli Olwego.

Bywały jednak i takie wieczory, kiedy Trond znikał bez uprzedzenia. Sygryda czuwała, niespokojna, rozważając, czy jest aż tak szalony, aby spotykać się ukradkiem z **Ingebjörgą**.

Jednego z takich wieczorów, gdy ulotnił się natychmiast po wieczerzy, nie miała chwili spokój u. Toteż w towarzystwie dwóch służebnych poszła do dworu jarla pod pozorem jakiejś sprawy do załatwienia.

Z ogromną ulgą zastała Ingebjörgę w biesiadnej sali. Ale skoro przyszła, musiała usiąść i pogawędzić; jarl zrobił jej miejsce obok poczesnego siedziska i częstował miodem z własnego rogu.

Rozmawiali o wielu sprawach; jarl opowiadał o swoich przeżyciach w Szkocji, wypytywał ją o ród Lade i pierwsze lata panowania Olafa w Norwegii.

Czas szybko mijał, ale ilekroć zamierzała się żegnać, prosił, by jeszcze chwilkę pozostała; obiecywał, że da paru sług, aby ją odprowadzili.

Ingebjörga siedziała razem z nimi, natomiast większość domowników poszła spać. Ona to pierwsza zauważyła, że dzieje się coś niedobrego.

— Nie czujecie dymu? — spytała.

Jarl i Sygryda pociągnęli nosami, istotnie poczuli swąd. Jarl wysłał pachółka, by zobaczył, co się stało.

Ledwo chłopak otworzył drzwi, zamknął je czym prędzej i błąd jak chusta przybiegł do jarla.

— Jesteśmy otoczeni. Dom podpalony.

Jarl zerwał się.

— Bodaj ten, co to zrobił, smażył się w piekle dłużej niż my tutaj! — wrzasnął. — Nietrudno zgadnąć, kto tam jest.

Ludzie pozrywali się z ław. Woń spalenizny była teraz wyraźna, słyszeli także trzaskanie ognia na dachu.

Jarl otworzył drzwi. A kiedy krzyknął: kto tam? usłyszał najpierw śmiech, a potem odpowiedź:

— Ragnvald syn Brusego!

Torfinn odpowiedział przekleństwem. Potem spytał, kogo Ragnvald skłonny jest ułaskawić.

— Kobiety i niewolnych — brzmiała odpowiedź.

Torfinn z powrotem zawarł drzwi i wrócił na poczesne miejsce.

— Kobiety i niewolni mogą opuścić izbę, jeśli chcą — oświadczył. Potem jednak podniósł ostrzegawczo dłoń, bo już niektórzy biegli ku drzwiom.

— Mieczem każdego, kto będzie się pchał! Wszyscy zdają wynijść, nie wolno się tłoczyć.

Następnie powiedział coś do swoich ludzi. Wszyscy liczący na ułaskawienie zaczęli podchodzić do wyjścia, dwaj pachołkowie jarla z mieczami w ręku pilnowali, żeby nikt się za bardzo nie kwapił. Trzeci pachołek wypuszczał ludzi pojedynczo, otwierał drzwi i zamykał je za każdym. Tymczasem Sygryda zauważyła, że Torfinn z pachołkiem coś robią w jednym rogu izby, zupełnie jakby grzebali dół w ziemi; zapewne jarl chciał coś ukryć.

Sygryda i jej towarzyszki nie były pierwsze w szeregu; zresztą wolała, aby jej nie pytano, kim jest, toteż przepuściła inne niewiasty przodem. Następnie zdjęła czepiec i ukryła go pod płaszczem, a złotą broszę, którą nosiła pod szyją, zapięła od wewnętrznej strony tak, że była niewidoczna.

Pachołek przy drzwiach wypuszczał ludzi dziwnie powoli; dym gryzł w oczy, mimo to nim wyszła, raz jeszcze rozejrzała się po izbie.

Zaczynało być gorąco, na pułapie błyskały już płomienie. Większość mężczyzn stała, niektórzy jednak siedzieli na ławach. Niemal wszyscy milczeli, tylko kilku z przymusem mówiło. Irlandzki ksiądz w białej sutannie szedł od jednego do drugiego pytając, czy chce się spowiadać. Sygryda miała wrażenie, że jarl zniknął. Spojrzała w stronę kąta, w którym widziała go poprzednio, tam również go nie dostrzegła. Może poszedł do łoża jak Njaal syn Torgeira z Islandii, kiedy podpalono mu dom.

Nareszcie wypadła jej kolej, odetchnęła świeżym nocnym powietrzem; żołnierze brutalnie odepchnęli ją na bok.

Usunęła się i z wolna zaczęła się oddalać od zbitych w gromadę, kiedy ktoś chwycił ją za ramię.

— A dokąd, babko?

— Do nieba — odparła. — Ale nie zaraz.

Natychmiast pożałowała tych słów. Uzbrojony mężczyzna mocno trzymał ją za ramię i włókł za sobą.

— Nie gadasz jak służebna dziewczka. Powiesz jarlowi, kim jesteś.

Sygyda chętnie odgryzłaby sobie język. Znali się z jarlem z czasów, kiedy obaj z Torfinnem żyli na przyjaznej stopie. Jeżeli Ragnvald zobaczy ją tutaj, uzna to za szczególnie dar losu i zatrzyma jako zakładniczkę dla okupu.

Jarl stał na środku dziedzińca, męski, piękny, lecz z surowym, bezwzględny obliczem.

Ludzie jeszcze wychodzili, ale dach już palił się jasnym płomieniem; dym gęsty, ostry pełznął ku morzu. Noc była bezksiężycowa, smolista. Tylko płomienie tańczyły, rzucały odblask na krąg czatujących dokoła zbrojnych o niewzruszonych obliczach. Po znakach, jakie nosili, Sygyda poznała ludzi króla Magnusa. Ponad trzask ognia wzbijał się lament kobiet, które zostawiły mężów lub synów w płonącym domostwie, część błagała jarla o łaskę dla nich. Odpychał je bezwzględnie od siebie. Toteż kiedy doprowadzono mu Sygydę, nawet nie spojrzął w jej stronę.

— Mam co innego do roboty, niż troszczyć się teraz o baby — burknął.

Sygyda zaniósłła ku niebu dziękczynną modlitwę.

Odprowadzono ją znowu do gromady zrozpaczonych kobiet. Miała sposobność stwierdzić, że wprawdzie jarl nie myślał teraz o kobietach, natomiast niektórzy z jego ludzi — wręcz przeciwnie. Pokazywali sobie nawzajem, na którą mieli ochotę, kiedy będzie po wszystkim.

— Ja chyba wezmę sobie babulkę — oświadczył mężczyzna, który zatrzymał Sygydę, towarzysze jego parsknęli śmiechem. — Jeżeli oczywista jarl mi ją podaruje.

— Chyba nie sądzisz, że jarl chciałby dla siebie taką starą wiedźmę jak ta? — zawołał ktoś z gromady ku uciesze pozostałych.

— Czemu nic nie mówisz, babciu? — spytał pierwszy.
— Przecież wygadana jesteś, za to ręczę...

I znowu śmiechy. Nagle rozległ się potworny trzask, sypnęło iskrami, ludzie się obejrzeli; zawalił się dach na domu. Słysząc krzyki.

— To jarl Torfinn tak się żali — ktoś krzyknął.

Po czym zapadła cisza, tylko płomienie nadal syczały.

Ale Sygrydzie tego wystarczyło, znalazła sposobność do ucieczki; biegła co sił pod osłoną gęstego, gryzącego dymu pożogi.

Łzy płynęły jej z oczu; mało się nie udławiła, a jednak biegła dalej, prawie na oślep, potykała się, wstawała, biegła, choć czuła smak krwi w ustach, miała wrażenie, że nie robi ani kroku więcej, a jednak pędziła; w dół nad brzeg, dalej wzdłuż wody; nie wierzyła własnemu szczęściu, póki nie znalazła się w domu.

— Kto tam — padło natarczywe pytanie, ledwo dopadła dziedzinka. — Na miłość boską, matko, ty tam byłaś? — zawołał przerażony Trond, kiedy dała mu się poznać i powiedziała, skąd wraca. — Właśnie wyszedłem i zobaczyłem pożogę.

Obudzili domowników; nikt nie przeczuwał, co się dzieje. Trond z pachołkami i czeladzią zaczęli czym prędzej znosić dobytek na pokład statku, który stał na kotwicy. Bali się jednak obrócić więcej niż dwa razy. Po czym szybko odpłynęli.

Kiedy już się oddalili i mijali Medallandshof, ujrzeli ludzi z pochodniami opuszczających dwór Torfinna; nie było wątpliwości, dokąd zdążają.

— Ingebjörga, co mogło stać się z Ingebjörgą? — spytał Trond, kiedy znaleźli się poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

Dopiero teraz Sygryda uprzytomniła sobie, że nie widziała Ingebjörgiiw gromadzie kobiet na dziedzińcu.

— Nie wiem. Widziałam ją w sali gościnnej, później już nie.

Usłyszała jęk Tronda.

Byli już dosyć daleko koło Strómnness, gdy Sygryda ujrzała jasność na wschodzie. Nowy dzień wstawał na

Hrosoy; nowy dzionek, w którym tłum obcych wypełnił dwór Kalfa, a ona sama znowu uciekała z miejsca zwanego jej domem.

Kalfa nie zastali na Hebrydach. Odpłynął dalej na południe do Galloway, gdzie znaleźli go bez trudu.

Na wieść, co się stało, zebrali ludzi i ruszyli ku północy wzdłuż brzegów Szkocji. Wylądowali na Colonsay, Kalf zatrzymał przy sobie zbrojnych na wypadek, gdyby jarl Ragnvald zamierzał podbić ziemie dawniej należące do Torfinna.

Wkrótce też nadeszły wieści ze Szkocji: jarl Ragnvald skończył podróż po Orkadach, gdzie na każdej z wysp został uznany; następnie wysłał swoich ludzi do Caithness, aby zagarnąć schedę po Torfinnie. Mieszkańcy poddali mu się bez walki.

— Nie wystarczy posłać swoich gońców, aby uzyskać władzę nad Hebrydami lub Galloway — rzekł Kalf groźnym tonem.

Tuż przed Godami przybył umyślny z Orkad. Kalf własnym oczom nie wierzył, kiedy wysłannik okazał znak niewątpliwie dany przez jarla Torfinna.

Jarl nie spłonał w swoim dworze; podkopał się pod domem i uciekł unosząc Ingebjörgę w ramionach. Pod osłoną dymu i ciemności dotarł nad brzeg, znalazł łódź i razem z małżonką na wiosłach dopłynął do Caithness.

— Ten wyczyn długo będzie pamiętany — orzekł Kalf. Sygryda musiała przyznać mu słuszność; odległość od jarlowego dworu do Caithness była tak duża, że prawie niewiarygodne wydawało się, aby można ją przebyć wiosłując w pojedynkę.

W Caithness ukrywali się, póki Ragnvald, najmocniej przekonany o śmierci Torfinna, nie osiadł spokojnie w Kirkwallu. Caithness zresztą poddało się łatwo Ragnvaldowi za sprawą jarla, który chciał zyskać na czasie i raczej wolał użyć podstępów, niż mierzyć siły z bratańcem widząc, iż ten jest mocniejszy. Miał swoich zwiadowców, którzy donosili mu o każdym posunięciu Ragnvalda.

Toteż kiedy dowiedział się, że brataniec wybiera się na małą wyspę Papoy po słód na świąteczne piwo, uznał, że nadszedł czas. Zebrał ludzi z Caithness i nocą popłynął za nim. Tam wyrównał rachunek za spalenie swego dworu podpalając dom z Ragnvaldem i jego towarzyszami.

Ragnvald jednak uciekł w księżowskim przebraniu; Torfinn rozpoznał go, ale ten zdążył mu umknąć, ruszono za nim w pościg. Ragnvald ukrył się na wybrzeżu, zdradził go szczekaniem własny pies. Wtedy go zabito.

Następnie Torfinn popłynął na statku pokonanego do Kirkwallu. Ludzie Ragnvalda nie domyślając się niczego wyszli mu na powitanie do przystani, tam pojmano ich i wymordowano, wszystkich prócz jednego, którego Torfinn zamierzał wysłać do Norwegii do króla Magnusa.

Nim odpłynęli z powrotem na Hrosoy, Trond odprowadził matkę na ubocze.

— Nie wrócę z wami na Orkady. Zamyślam jechać na południe.

— Do Galloway?

— Dalej. Z pielgrzymką do Jeruzalem, może...

Sygyda na chwilę przymknęła oczy. Myślała o Torem, który wybrał się do Jeruzalem i nigdy nie wrócił. Spojrzała na syna z ciężkim westchnieniem. Miała wrażenie, że więzy łączące ją z Trondem tak bardzo umocniły się ostatniej jesieni pod wpływem rozmów o Olvem, że chyba nie zniosłaby straty jedyne go syna.

— Nie wiem, co było między tobą a Ingebjórgą. Ale chyba nic tak złego, abyś z tego powodu musiał jechać aż do Jeruzalem.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką straszną ponoszę odpowiedzialność.

— Cóżes zrobić, Trond? — spytała zaniepokojona.

— Zapytaj raczej, czego poniechałem, a powinienem był zrobić.

— Nie pojmuję.

— Może usiłuję nie być zrozumiany.

Chwila milczenia. Sygryda czekała, gdyby nie zamierzał wyznać, co go dręczy, nie byłby odwoływał jej na bok.

— Opowiadając o ojcu często mówiłaś o grzechu, pokucie i Bożym przebaczeniu — odezwał się w końcu. — Dlatego też myślę, że mogłabyś mi pomóc.

— Spróbuję.

Trond zwrócony ku zachodowi patrzył na morze, jakby czegoś wypatrywał.

— Widziałem, jak ludzie Ragnvalda wysiadali na łódce owej nocy, kiedy podpalili dom Torfinna. Mieliliśmy z Ingebjórgą kryjówkę w szopie na łodzie, tam się spotykaliśmy. Nieczęsto, może raz lub dwa. Tego wieczora nie przyszła. Siedziałem rozmyślając o niej, o sobie i o tym, co opowiadała o Torfinnie. Nie troszczył się o nią. Twierdziła, że gdyby miał wybrać między swoim wierzchowcem a małżonką, bez wątplenia ją by porzucił. Jego obchodziła tylko władza, bogactwo i popijanie z druhami. A nałożnic miał bez liku. Siedząc tam życzyłem Torfinnowi śmierci — to prawda. Ragnvaldowa drużyna mnie nie zauważyła, choć byłem tak blisko, że słyszałem wszystko, co kto mówił. Domyślałem się, po co przybyli, pierwszą myślą moją było pobiec do nas do dworu po pomoc i zaskoczyć ich od tyłu.

Ale słuchałem chyba tylko głosu szatana. „Jeśli tego poniechasz — szeptał — Torfinn spłonie we dworze, a niewiasty przecież wypuszczą”. Wiedziałem, że to straszny grzech. Toteż skoro tylko mogłem wymknąć się nie zauważony, pospieszyłem do dworu. Jednakże zły łatwo się nie poddaje. „Masz za mało ludzi” — podszeptuje. Zatrzymałem się i rozważam. Istotnie. Ragnvaldowi ludzie już okrążyli domostwo trzymając zapalone pochodnie. Miał więcej ludzi niż ja, a wyglądali także na lepiej uzbrojonych.

Szedłem do domu, ale już wolniej. Gdybym go napadł znienacka, moglibyśmy zwyciężyć. „Czy będziesz narażał życie dla ratowania jarła Torfinna? — szeptał diabeł. — Więcej przemawia za tym, że przegrasz, niż zwyciężysz, jeśli teraz uderzysz. Nie masz obowiązku, żywy duch nie wie, żeś ich widział.”

Czułem, że ulegam; widziałem przed sobą Ingebjórgę, jej uśmiech i jasne włosy. Stałem i obejrzałem się. Już podpalili dom, dach się zajął.

„Nawet jeśli obudzisz pachołków i pobiegniecie, będzie za późno” — mówił szatan. Uległem.

To prawda — powiedziałem sobie. Jeżeli obudzę ludzi, pospieszę z pomocą i przybędę za późno, daremnie narażę życie twoje i swoje.

U nas było już ciemno i zupełnie cicho, wszyscy poszli spać. Ja nie. Usiadłem pod ścianą i nie spuszczałem pożogi z oka; na pewno niedługo sami będziemy zmuszeni do ucieczki. Siedziałem i rozmyślałem, jak wydostanę Ingebjórgę ze szponów Ragnvalda, kiedy będzie po wszystkim. Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Usłyszałem twoje kroki... — Trond przerwał. — Teraz wiesz, za co jestem odpowiedzialny.

Matka ciężko westchnęła.

— Czy spowiadałeś się z tego?

— Nie spotkałem księdza, przed którym chciałbym się spowiadać.

— Nie spowiadasz się kapłanowi.

— Wiem.

Sygryda zamilkła. Spojrzała na południe, następnie sięgnęła wzrokiem ku północy, aż po nieboskłon, a potem oczy jej spoczęły na wyspie Jona rysującej się na tle morza.

— Czemu nie popłyniesz na Wyspę Świętego Kolumbana? — spytała nagle. — Jest tam niezwykle pięknie rzeźbiony kamienny krzyż przed kościołem i zielone łąki pełne złocistych kwiatów. I spokój tam znajdziesz. Dzwony kościelne wydzwanają godziny, a ludzie spełniając swoją pracę służą Bogu rękami i sercem.

— Dziękuję — odparł Trond oschle. — Niech sobie tak będzie. Ale ja odważę się raczej spotkać zwolenników Mahometa w Jeruzalem.

Sygryda nie dawała za wygraną.

— Zrób to dla mnie, Trond, jedź na wyspę Jona! Ten mnich, którego znałam, nic żyje. Ale są inni. Jestem pewna,

że znajdziesz takiego, przed którym zechcesz się wyświadczyć i który zdoła ci pomóc.

Trond kręcił głową.

— Pasowałbym tam jak pies w kręglach.

Sygyda zaczerpnęła powietrza, nim znowu spróbowała:

— Na pewno ojciec tak by ci doradził...

Trond szybko się odwrócił i bystro zajął matce w twarz, wytrzymała spokojnie jego wzrok. Potem znowu spojrzął na morze, szukał oczami wyspy Jona.

— A zatem niech będzie, jako chcesz — powiedział w końcu po długim namyśle.

Sygyda odetchnęła z ulgą; w każdym razie uzyskała odroczenie.

— Jeśli potem postanowisz odbyć pielgrzymkę, musisz wprawdzie wrócić do domu — zauważyła.

Trond roześmiał się i kiwnął głową.

— Najchętniej trzymałabyś mnie stale we dworze naszym kieszonkowego pieska.

— Obiecujesz wrócić na Hrosoy, gdybyś miał udać się z pielgrzymką?

— Będę musiał — odparł i nadal śmiał się kręcąc głową.

3

W tym jak i w następnym roku Kalf spędził Gody na Hrosoy. Lato zaś dzielące te dwie zimy częściowo na Hebrydach, częściowo na wikingowskiej wyprawie.

Tymczasem nadchodziły przeróżne wieści z Norwegii; jarl Torfinn miał tam swoich wysłanników, którzy potajemnie donosili mu o wszystkich zamiarach króla Magnusa, więc nie mógł napaść go niespodziewanie. Król jednak miał co innego na głowie niż rozmyślanie o odwecie za Ragnvalda.

Owego lata kiedy miała miejsce bitwa w cieśninie Pentland, stryj jego Harald syn Sigurda przybył do Norwegii. Po bitwie pod Stiklestadem, gdzie walczył po stronie króla,

umknął do wschodnich krajów i tam dotychczas pozostawał. Powiadano, że doszedł do wysokich godności na dworze bizantyjskim i posiadał ogromne bogactwa.

Obecnie żądał od Magnusa podziału królestwa. Magnus jednak nie chciał z nikim dzielić schedy po ojcu.

Kiedy Harald dowiedział się o tym, pojechał do Szwecji i wszedł w porozumienie ze Svenem synem Ulfa. Magnus wojował ze Svenem o prawo do tronu duńskiego, bo po wygaśnięciu rodu Kanuta Magnus objął władzę w kraju, do czego miał prawo w myśl układu o dziedziczeniu zawartego z Hordakanutem. Sven zaś wywodzący się zarówno ze szwedzkiego, jak i duńskiego rodu królewskiego rościł sobie nie mniejsze prawo do tytułu panującego.

Sven i Harald okrutnie spustoszyli Danię, a następnego lata po bitwie w cieśninie Pentland Magnus pociągnął na południe, aby przed nimi bronić kraju.

Po przybyciu Magnusa do Danii Harald dostrzegł możliwość zdobycia podstępem władzy królewskiej w Norwegii. Fałszywie oskarżył Svena Ulfssona o zdradę, aby zerwać zawartą ugodę. Następnie podążył do Norwegii i kazał się obwołać królem w krajach Opplandu.

Kiedy Magnus w Danii dowiedział się o tym, ruszył za nim. Ale sprawy tak się ułożyły, że po powrocie do kraju musiał dzielić władzę z Haraldem.

W ten sposób dwóch królów władało krajem, ludzie zaś powiadali, że niezbyt wielka przyjaźń ich łączy.

Pierwsza zima, którą Harald Sigurdsson spędził w Norwegii, była niezwykle ostra. Morze zamarzało, lód skuł wody między Norwegią a Danią. Na Orkadach burze i nawałnice nie ustawały.

Jednakże ani Kalf, ani jarl Torfinn nie uskarżali się na niepogodę. Skoro bowiem Magnus zawarł ugodę z Haraldem, oczekiwali, że przypomni sobie Ragnvalda syna Brusego. Ale dopóki trwały sztormy, nie bali się napaści.

Zimowe wieczory często spędzali razem na pogawędce i picciu; gwarzyli o wydarzeniach w Norwegii, rozważali, czego mogą się spodziewać po obu królach. Żywili nadzieję,

że Magnus i Harald pociągną latem do Danii, aby przepędzić Svena Ulfssona, który osiadł tam na dobre po spieszonym powrocie Magnusa do Norwegii. Ale pewności żadnej pod tym względem nie mieli.

Najpierw pod koniec miesiąca odstawiania jagniąt przypłynął statek z Norwegii. Skald jarla Arnor, który gościł całą zimę u królów w Kaupangu, wrócił na Orkady.

Tego samego wieczora jarl odwiedził Kalfa; towarzyszyła mu spora gromadka domowników, a z nimi Arnor. Ingebjór-ga również przysła z małżonkiem. Ale między nią a Tron-dem nie padło ani jedno słowo więcej, niż wymagała zwykła grzeczność; Trond właśnie powrócił z wyspy Jona, gdzie spędził zimę.

— Wygląda na to, że będziemy mieli tutaj spokojne lato — tymi słowy jarl zakończył opowiadanie nowin przywiezionych przez Arnora, według których królowie wybierali się do Danii.

— Sprawa odwleka się tylko — stwierdził ponuro Kalf opierając brodę na rękę.

Kiedy chciał się napić, Sygryda zauważyła, że nieźle sobie dogodził. Ręka mu drżała, róg podnosił szerokim, ostrym łukiem. Wzdychał. W ciągu dwóch ostatnich zim Kalf często się upijał.

— Nie mogę uwierzyć, żeby wyjście się nie znalazło — Torfinn bronił się od ponurych przewidywań Kalfa. — Szczęście sprzyjało mi od kolebki, czemu miałoby zawodzić teraz.

— Może dlatego, że się zbratałeś z takim złowróbnym ptakiem jak ja.

— Dotychczas nie przyniosłeś mi niepowodzenia, dzie-wierzu.

— Ja wpakowałem cię w nieporozumienie z królem Magnusem — odparł Kalf. — Gdyby nie moje judzenie, dotychczas żyłybyś w zgodzie z twoim bratańcem Ragnvaldem.

Sygryda mało się nie skreśliła, nawet jeśli to była prawda, nie wolno było tego mówić!

Torfinn nie od razu odpowiedział.

— Masz jak najśluszniesze powody żywić urazę do króla Magnusa i wszystkich jego przyjaciół. A ja jestem dorosły, więc powinienem wiedzieć, co robię.

— Tak — odparł Kalf nagle prostując się. Podniósł głos i huknął pięścią w stół. — Mam prawo szukać pomsty! — Po czym z wolna rozejrzał się wkoło, jakby wyzywał każdego z obecnych, kto mu zaprzeczy. Wszyscy milczeli. Wobec czego raz jeszcze wyrznął pięścią w stół i wrzasnął: — Niech czart porwie Einara Tambarskjelve!

Sygryda dłużej nie mogła spokojnie usiedzieć. Wstała i położyła rękę na ramieniu małżonka.

— Mamy tu dzisiaj skalda, Kalfie. Może poprosisz go, aby wygłosił pieśń.

— Czy nie wystarczy ci, co ma do powiedzenia twój małżonek? Pewno wolisz słuchać islandzkich skaldów?

Sygryda umilkła bojąc się, co Kalf potrafi jeszcze powiedzieć, tym bardziej że wyzywającym tonem ciągnął dalej:

— Pewno znowu będziesz gadała o grzechu i pokucie? Powiesz, że nie wolno pragnąć zemsty? Znam twoje nudziarstwa. Pewno byś wołała, żebym poleciał do Norwegii i padł do nóg królowi Magnusowi!

Sygryda dalej zachowywała milczenie.

— Nie chcesz mi odpowiedzieć? — zawołał z pogroźką w głosie.

— Cóż mogę rzec?

— Słyszycie ją — wołał rozglądając się po izbie. — Mam słusność. Wołałaby widzieć małżonka czołgającego się niczym pies przed człowiekiem, który go zdradził! Pewno byś chętnie zobaczyła mego trupa, skoro uważasz, że powinien oddać się w ręce króla Magnusa?

— Nie sądzę, aby cię zamordował, gdybyś tak uczynił — odezwał się Trond stając w obronie matki. — Królowi nie przynosi zaszczytu, jeśli zabija człowieka, który oddaje mu się dobrowolnie.

— Ty także zaczynasz? Wdałeś się w matkę? Babę zrobili z ciebie ci wszyscy kapłani w spódnicach na wyspie Ina... — przerwał — Ona...

— Jona — poprawił Trond ozieble. — Gdybyś nie był moim opiekunem, wobec tego zarzutu chwyciłbym za miecz.

Trond chciał wyjść, lecz Sygryda go powstrzymała.

— Nie słuchaj Kalfa, wszak jest pijany.

— Nawet pijanego obowiązują granice — odparł Trond. Ustąpił jednak i wrócił na miejsce, bo jarl również wdał się w tę sprawę.

— Arnorze, może byś nam wygłosił pieśni, które układałeś dla królów Norwegii — zwrócił się jarl Torfinn do skalda.

Amor wstał, nie kazał się prosić, ale jeszcze miał daleko do końca pieśni, gdy Kalf już spał leżąc na stole z głową opartą na ramionach. Nie słyszał także późniejszego opowiadania skalda o sporach między królami: Harald ciągle mu przerywał uważając, że za dużo strof poświęcał Magnusowi.

— Nic dziwnego — zauważył Trond. — Przyrównywałeś wojenne czyny króla Magnusa do potęgi wojsk niebieskich, nazwałeś go najwspanialszym ze wszystkich królów i stwierdziłeś, że dla kochającego go ludu jest pierwszym po Bogu i chciałeś, żeby to się podobało królowi Haraldowi?

Jarl się uśmiechnął.

— Dziękuję ci, Arnorze, bo sprzyja mi wszystko, co sieje niezgodę między królami.

W biesiadnej zaszumiało, mówiono o królach Norwegii, o pieśniach Amora; zgodnie orzeczono, że obie były dobre, lecz saga na cześć króla Magnusa nieporównanie lepsza.

Skald pokazywał dary otrzymane od królów, złotą obręcz od Magnusa i złotem inkrustowaną włócznię od Haralda. Poza tym król Magnus dał mu statek, którym przypłynął na Orkady.

Jarl Torfinn milczał. Wkrótce potem wstał i odjechał do domu.

Zjawił się już nazajutrz wczesnym popołudniem, chciał mówić z Kalfem na osobności.

— Myślałem o tym, coś wczoraj powiedział: o zawarciu ugody z królem Magnusem — oświadczył.

— Ugody z Magnusem? — Kalf nic nie rozumiał. — Kiedym to powiedział?

— Wczorajszego wieczora — odparł Torfinn nisko pochylając głowę i wpatrując się w swoje skórznie. Chwilami jednak bystro zerkał w stronę Kalfa, który usiłował sobie przypomnieć, co mówił poprzedniego wieczora.

— Powinieneś ostrożniej gasić pragnienie, dziewierzu — rzekł Torfinn. — Może łatwiej byś sobie przypomniał swoje słowa.

— Mam niezłe powody, żeby upijać się do nieprzytomności — odparł Kalf odwracając wzrok.

— Źle ci się wiedzie tutaj u mnie?

— Mam o czym myśleć.

— Wiem — odpowiedział Torfinn. — I nie zapomniałem, że przeze mnie zaprzepaściłeś sposobność odzyskania wszystkiego, coś utracił. Przyrzekłem wówczas, że zawsze będziesz mile widziany u mnie.

Kalf w milczeniu kiwał głową, był zawstydzony.

— Powiedziałeś, że Sygryda ci doradza zabieganie o pokój z Magnusem i złożenie swojej sprawy w jego ręce — wyjaśnił Torfinn.

— Nie warto słuchać Sygrydy. Namiele ci ozorem grzechu a niedoli prędzej niż jotunowe niewiasty nieszczęść dla króla Frodego. Spójrz na Tronda. Ten słuchał jej rad. Zabrałem go na wikingowską wyprawę, a on patrzył na topór niczym na żmiję, która go może ukąsić. Nim lato minęło, powiedział, że dość ma rabunku i mordowania i wrócił do swoich mnichów na wyspie Jona. To hańba, rzadko spotykałem ludzi bardziej uzdolnionych do objęcia władzy. A ten nawet miecza nie chce brać do ręki.

— Niewiele brakowało, abyś go wczoraj zmusił do chwycenia za miecz — rzekł ostro Torfinn. Kalf się stropił.

— Pamiętam, że coś mu rzekłem. Przypomnij mi lepiej, co powiedziałem?

W milczeniu wysłuchał Torfinna, który przypomniał mu wszystko, co mówił Sygrydzie i Trondowi.

— Uważam, że winieneś Trondowi zadośćuczynienie — rzekł Torfinn na zakończenie. Kalf ciężko westchnął.

— Zrobię to.

— Rozmyślałem także o tym, że król nie zyska sławy mszcząc się na człowieku, który do niego z dobrej woli przychodzi — jak powiedział Trond. O tym właśnie chciałem pogadać. Dzisiejszej nocy bowiem coś sobie ułożyłem. Jeśli przybędę do króla Magnusa w przebraniu i skłonię go do udzielenia mi gościny, będzie miał związane ręce; w żaden sposób nie może mnie zabić, kiedy dam się poznać. A skoro przedłożę mu swoją sprawę i równocześnie obiecuję wesprzeć go na wyprawie przeciwko Danom, dziwne byłoby, gdyby nie przystał na ugodę. Później może zdołałbym doprowadzić do porozumienia między królem a tobą.

Kalf chwilę się namyślał, po czym rzekł:

— Może. Ale cokolwiek zamierzasz, nigdy nie ufaj Einarowi Tambarskjelwe.

Kalf mało pił tego wieczora, toteż od stołu wstał trzeźwy, Sygryda jednak czuła się niepewnie, gdy dał jej znak, aby szła do łożnicy. Po ostatnich wydarzeniach nie wiedziała ani co mówić, ani co robić.

Właściwie rozważając wszystko nieco wcześniej po południu, doszła do przekonania, że można się było tego spodziewać. Od bitwy w cieśninie Pentland nie dawała Kalfowi spokoju, gdy chodziło o jego nastawienie do Kościoła. Sprawa pojednania króla Magnusa z Kalfem przybrała taki obrót, że Sygryda dopatrywała się w tym znaku: Bóg ostrzegawczo groził Kalfowi spragnionemu zemsty. Toteż jeśli dawniej uważała się za obowiązującą do zachęcania małżonka do powrotu na właściwą drogę, tak teraz widziała w tym swój najświętszy obowiązek.

Kalf natomiast był mniej niż kiedykolwiek wdzięczny za chęć niesienia mu pomocy; doszło do tego, że stale jej unikał, od dawna też nie dzielił z nią łoża.

Brakowało go Sygrydzie, ale się uparła. To szatan odwodził ją od próby wybawienia go. Im bardziej odpychała Kalfa, tym mocniej była przekonana, że cierpi dla Chrystusa.

Coraz gorliwiej uczęszczała do kościoła, ostatnimi czasy zmagając się jak nigdy, by podporządkować swoją wolę Bogu, nakładała sobie nawet dodatkowe pokuty. Stopniowo osią-

gała pewnego rodzaju spokój obierając sobie cierpienie za cel; przestało być groźbą. A mimo to czuła pustkę...

Tego wieczora ociągała się z wejściem za Kalfem do łóżnicy.

Po zamknięciu wejścia objął ją ramieniem. Było to tak niespodziewane, aż jej dech zaparło — nagle się rozpłakała.

— Sygrydo, co się stało? — usiłował ją pocieszyć, ale długo mu się to nie udawało.

— To tylko... — wykrztusiła w końcu — tak dawno mnie nie obejmowałeś.

— Nie wiedziałem, że masz na to ochotę. Myślałem, że wystarcza ci kościół i klechy — dodał zgryźliwie.

— Bóg jest wszystkim, to jasne - pospieszyła stwierdzić Sygryda. — I nie należy prosić o nic więcej w życiu, tylko o Niego, ale...

— Ale? — powtórzył Kalf, gdyż przerwała.

— Nie może być żadnego ale... — odparła nareszcie, znowu wybuchając płaczem. Kalf w milczeniu gładził jej włosy, po chwili przestała płakać.

— Czy ciągle musisz powtarzać jedno i to samo o chrześcijaństwie? — zapytał.

— To tylko dlatego, że cię okrutnie miłuję, Kalf. W moim mniemaniu jestem do tego obowiązana, nawet choć tego nie lubisz.

Zamilkli. Kalf nadal obejmował Sygrydę, która od ruchowo przysuwała się bliżej.

— A może ty sama tego nie lubisz? — spytał znienacka.

— Ja... ja... — zamilkła.

Musnął ustami jej policzek.

— Chyba nie będziesz mi bajała, że zadręczasz nas oboje tylko z obowiązku? Czemu nie przestaniesz ciągle rozmyślać i nie pozostawisz tego księżom? — dopytywał się wobec jej milczenia.

— Księża tutejsi są obcy, Kalfie, na nic z nimi rozmawiać. Jeśli mam własne zdanie, po prostu się gniewają. A nawet kiedy coś tłumaczą, trudno zrozumieć ich irlandzki sposób mówienia. A jeżeli powiem, że nie rozumiem, oświadczają, że nic dziwnego, skorom nieuczona, a do tego kobieta.

— Czy musisz ich pytać o tak wiele? Mówisz, że gardzą, ale nie srebrem, które im dają za przekroczenia ich przykazań i otrzymane rozgrzeszenie. Czy to nie wystarcza?

Sygryda westchnęła. Wbrew wszystkiemu, czego usiłowała go nauczyć, nie pojmował z chrześcijaństwa ani odrobiny więcej ponad to, co wiedział w dniu chrztu.

— Musisz zrozumieć, żeś mnie swoim naleganiem na śmierć prawie zadnęła — rzekł gniewnie.

Nie odpowiedziała, leżała cicho ciesząc się jego bliskością. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak okrutnie samotna była, a podobna samotność groziła jej, gdyby go teraz odepchnęła.

Miała wrażenie, że z chrześcijaństwa stworzyła warowny szaniec, który miał ją bronić, a w końcu zamienił się w mur dzielący ją od innych ludzi. Nie tylko bowiem Kalf odsunął się od niej i jej gadaniny o chrześcijaństwie, robiło to coraz więcej osób; okazywano jej szacunek, ale z daleka.

Niepewność ją ogarnęła.

A jeżeli Kalf miał słuszność? Jeżeli cała jej walka była zbędna, jeżeli wystarczało, jak on, spowiadać się z grzechów, przyjmować nauki kapłana, nie być dociekliwą? Nagle poczuła się bezgranicznie znużona walką, zmęczona gniewem Kalfa na jej nalegania, zmęczona rozgoryczeniem Sunnivy na jej drobne, w najlepszej wierze udzielane rady.

Czuła wewnętrzną potrzebę spokoju; zgody z Kalfem, z sobą, z Bogiem; potrzeba ta narastała w niej i wynurzała się na powierzchnię niczym bańka powietrza dobywająca się z głębin. Podobne pragnienie spokoju odczuła już kiedyś w steinkjerskim kościele...

A może to pragnienie było nową pokusą szatana; może próbuje opętać ich oboje?

Ach, czemuż nie mogła zwrócić się do księdza Anunda, jak nieraz przed wyjazdem z Egge.

— No, Sygrydo, o czym myślisz?

— Rozmyślam, że może masz słuszność w tym, co mówiłeś o chrześcijaństwie.

— Powinnaś była rozważyć to dawno temu.

— Chciałabym pomówić o tym z jakimś księdzem.

— A może z Trondem? — zapytał.

Sygyda zdziwiła się, czemu sama na to wcześniej nie wpadła. On właściwie nie był księdzem, ale już od dwóch zim pobierał nauki na wyspie Jona, chyba warto prosić go o radę.

— W każdym razie dzisiaj wieczora chcę wierzyć, że masz słuszność — rzekła tuląc policzek do jego twarzy. Poczwała, że Kalf jakby się odprężył; z westchnieniem oparł głowę na jej ramieniu.

— Nawet wyrazić nie potrafię, jak mi do ciebie było tęskno, Sygydo — szepnął.

— Ale chyba znalazły się pocieszycielki — wymknęło się jej niechcący.

— A na co liczysz, skoro wyganiaasz mnie z twego łóża?

Sygyda zrozumiała, że mówiąc o tym chciał niejako przeprosić za swoje zachowanie poprzedniego wieczora.

— Milczysz? — spytał rozczarowany Kalf.

Sygyda zmagala się z sobą; w końcu nie wytrzymała.

— Pozwalasz innym odprawiać pokutę za siebie, Kalfie. Do Rzymu nie pojechałeś, bo Sigvat tam był. Teraz Torfinn chce złożyć swój los w ręce króla Magnusa, jak ty powinienes być zrobić. Nigdy nie ufasz Bogu.

Kalf gwałtownie położył jej dłoń na ustach, zupełnie jakby chciał ją uderzyć.

— Dosyć tego! Dosyć i aż nadto gadałaś o królu Magnusie!

— Co postanowiłeś zrobić z Sunnivą? — spytała, kiedy po chwili pozwolił jej dojść do słowa.

Sunniva ciągle czekała na Hoskulda Flossessa, twierdziła, że matka zmyśla utrzymując, iż chciał ją oszukać. Sygyda tylko czekała na sposobność pomówienia z Kalfem.

— Dziewczyna jest nieznośna — odpowiedział Kalf. — Ostatnio, kiedy z nią rozmawiałem, obiecywała zamordować Ulfa, gdyby miała z nim dzielić małżeńskie łóżo. Powtórzyłem to Geiroddowi. On powiada, że Ulf tak namiętnie pragnie dziewczyny, że gotów się na to odważyć. Prosiłem o trochę czasu, a spróbuję napędzić jej rozumu do głowy. Obiecał czekać do Godów, ale wtedy trzeba ostatecznie sprawę rozstrzygnąć.

— Nic dziwnego, że im się przykrzy czekać na odpowiedź. Czy nie lepiej wydać ją za męża, chce czy nie chce?
— Sygryda w ciągu ostatniego roku straciła cierpliwość wobec córki.

— Nic chcę pozbywać się jej w taki sposób — odparł Kalf z powagą.

Sygryda nagle objęła go za szyję, on zaś przygarnął ją bliżej. Chwilę tuliła się do niego, był jej jedyną podporą wśród niepewności i zmienności losu.

Wzajemne serdeczne uczucie pozwoliło im na chwilę zapomnieć o wszystkim.

Nazajutrz Sygryda wszczęła rozmowę z Trondem. Ciężko jej było zwierzać synowi swoje trudności. Miała wrażenie, że się upokarza.

— Niewiele wiem — stwierdził w końcu Trond. — Ale prawda, że więcej niż ty. Gdybym miał radzić, powiedziałbym, iż mądrzej uczynisz pozostawiając Kalfa w spokoju.

— Ależ, Trond...

— Jeśli kapłani są zadowoleni z chrześcijaństwa Kalfa, jeśli udzielają mu sakramentów, ani ty, ani ja nie mamy prawa do wydawania sądów — przerwał matce Trond. — Wtedy bowiem sędzimy nie jego, lecz Kościół. Co by to było, gdyby każdy człowiek sam stanowił, czego księża mają uczyć? A nawet jeśli Kalf się myli, jedno jest pewne: dopóki trwa przy Kościele i w najlepszej wierze zachowuje przykazania — wszystko jest dobrze. Nikt nie może być potępiony za to, że nie zdoła czegoś pojąć albo nie wyzna czegoś z nieświadomości grzechu. Nie powinnaś upierać się, matko; raczej zrób niewielką ofiarę ze swej dumy i pozwól rządzić kapłanom.

Uwaga ugodziła Sygrydę niczym strzała. Rok po roku walczyła ze swą dumą, raz po raz sądziła, że ją okiełznała, by potem stwierdzić jej odradzanie się w nowej postaci.

Pochyliła głowę, zamknęła oczy, splotła ręce do modlitwy. Syn w milczeniu stał obok niej.

— Dziękuję ci, Trond — powiedziała w końcu stłumionym głosem. — Powiedziałeś mi chyba to właśnie, co usłyszeć potrzebowałam.

Mimo uczucia upokorzenia i pewnego rodzaju zawodu — ulżyło jej na duszy.

— Co postanowiłeś robić dalej? — spytała po dłuższej chwili. — Zostaniesz księdzem?

— Nie wiem na pewno. Ale jeszcze jedną zimę spędzę na wyspie Jona.

— Co tam porabiasz? — zapytała ciekawie.

— Czytam. Mój spowiednik nakazał mi dziwną pokutę; mam się uczyć języka kościelnego i przeczytać jedną starą księgę.

— Najdziwniejsza pokuta, o jakiej słyszałam.

— Opowiadałem mu o ojcu, tak jak ty mnie; może to dlatego. Poza tym dobrze pojmował, że pielgrzymka nie byłaby ofiarą z mej strony. — Trond uśmiechnął się.

— Już umiesz kościelną mowę?

— Niezgorzej.

— A co kazał ci czytać?

— Księgę napisaną wiele lat temu przez świętego. Zwał się Augustyn, a księga — „Wyznania”.

— Jaki z tego pożytek?

Trond nagle się ożywił.

— To jest ciekawsze, niżli poznawać nieznaną kraj! Prawie co dnia uczę się czegoś nowego. I to mi daje poczucie zdobywania, nim naprawdę pojmem. Nie wiesz, czy ojciec miał podobne wrażenie, kiedy chodził na naukę w Bizancjum?

— Nie wspominał o tym. Wiem jednak, że później żałował, iż nie został księdzem.

— Niektórzy mnisi na wyspie Jona twierdzą, że powinienem zostać księdzem przez pamięć na ojca — rzekł Trond z powagą.

Sygyda nie odpowiedziała, wcale nie była pewna, czy ma ochotę, aby syn poświęcił się kapłaństwu. Chwilę się wahała. Coś ją niepokoiło, od dawna o coś miała chęć spytać, lecz nigdy się nie odważyła. Naprowadziły ją na tę myśl docinki, jakie Kalf robił Trondowi, kiedy gościł u nich Arnor skald jarla.

— Trond... — zaczęła. — Czy aby na pewno nie masz... nie jesteś... — przerwała. Trond patrzył na nią pytająco. — Tyle dziwnych rzeczy podobno dzieje się w klasztorach... Syn patrzył na nią z niedowierzaniem. — Chciałaś zapytać, czy jestem zboczeńcem? Sygryda głośno przełknęła ślinę, nigdy nie przypuszczała, że dojdzie do wymówienia tego słowa! — Nie, ale... Tyle się słyszy... — Ludzi Kościoła o niej jedno oskarżają. Ale po tobie tego się nie spodziewałem, przyznaję. Zupełnie jakbyś poważnie wzięła ową zniesławiającą piosenkę o Torvaldzie Vidfare i jego biskupie:

Dziewięcioro dzieci
ma biskup dobrodziej
ale jedno w drugie
wszystkie Torvald spłodził.

Jednakże skoro pytasz, należy ci się uczciwa odpowiedź. Sposobności nie brak; nie wszyscy w klasztorze służą Bogu. Ale zapewniam cię, że taka sposobność trafia się nie tylko wśród mnichów. Niepokoić się nie potrzebujesz, potrafię siebie upilnować. — Nagle wybuchnął śmiechem. — Ciekaw jestem, czy znalazłaby się druga matka, która by o to zapytała syna!

Po czym objął ją w pół i razem wracali do dworu.

Jarl Torfinn popłynął do Norwegii w dwa duże okręty, oba w pełni uzbrojone i z liczną załogą. Podczas jego nieobecności nie sposób było zagadać do Kalfa. Nawet Sygryda, przywykła do czekania, z trudem się opanowywała.

Torfinn wrócił pod koniec miesiąca sianokosów — z niczym.

— Nigdy bym nie uwierzył, że popadnę w tarapaty, ponieważ nie wymordowałem wszystkich królewskich ludzi. A jednak królewską przychylność Ucho wzięło przez tego, którego ułaskawiłem w Kirkwallu po klęsce Ragnvalda. Wszystko szło dobrze, król już prawie obiecywał pojednanie,

kiedy ten człowiek wystąpił z żądaniem okupu za brata, który wówczas poległ. Różne padły słowa, król się rozsierdził; najmądrzej postąpiłem odjeżdżając.

Sygyryda dobrze wiedziała, jak bardzo Kalf wziął sobie do serca niepowodzenie Torfinna.

— Królowie popłynęli do Danii — opowiadał dalej jarl. — Myślę, że ty z kolei powinieneś wyruszyć — oświadczył Kalfowi. — Znasz króla Edwarda, byłeś u jego dworu, jedź do Wynton, wybadaj, co ludzie tam myślą, czy oczekują napaści, z chwilą gdy Magnus i Harald zwyciężą Svena syna Ulfa. Może warto by zawrzeć sojusz z Anglikami.

Kalf podzielał zdanie jarla, więc postanowił jechać.

Ale kiedy pozostał sam na sam z Sygyrydą, nie chciał z nią mówić o wyprawie Torfinna.

4

Na parę dni przed początkiem zimy obcy statek przyplął do dworu jarla na Hrosoy.

Sygyryda nie zwracała na niego uwagi, nawet nie próbowała się dowiedzieć, kto przybył. Do jarla ciągle ktoś przyjeżdżał z Norwegii, z Islandii, z Wysp Owczych, a nawet i z Grenlandii. Dopiero kiedy następnego dnia Sunniva weszła do izby z rozpromienionym licem, zaczęła się zastanawiać, do kogo należał statek.

Krępowąta się iść sama na zwiady do jarlowego dworu. Ale co robić, skoro Kalf przebywał w Anglii, Trond wrócił na wyspę Jona; nie było komu pójść.

Zanim się wybrała, dostała od jarla zaproszenie na wieczór; ktoś chciał z nią mówić.

Sygyryda nie odstępowała Sunnivy przez cały dzień, a wieczorem zabrała ją z sobą; lepiej mieć dziewczynę na oku, niż samą zostawiać w domu.

Jednakże w sali dworzyszczą zamiast Hoskulda syna Flosego spotkała kogoś innego. Był to skald Sigvat.

Chwyciła się brzegu stołu, kiedy wstał i szedł ku niej.

Włosy miał szpakowate, plecy przygarbione, wydawał się niższy. Lecz oczy pozostały żywe jak dawniej.

— Jeździłem handlować do Dublina — wyjaśnił na pytanie, skąd przybywa. — Teraz jestem w drodze do Norwegii.

O nic więcej nie pytała, przez cały wieczór rozmowa toczyła się między jarlem a Sigvatem.

Sygyda natomiast nie spuszczała oka z córki. Bo jednak miała słusność. Wśród towarzyszy Sigvata znajdował się również Hoskuld. Na ich widok z początku próbował się ukryć w kącie, potem wyszedł.

Zanim Sygyda się oddaliła, Sigvat w obecności wszystkich zapytał, czy wolno mu odwiedzić ją nazajutrz. Nie sposób było odmówić bez obudzenia podejrzeń.

Kiedy Sygyda oznajmiła tego wieczoru córce, że ma dzielić z nią łożo, Sunniva aż prychnęła z wściekłości.

— Jeśli nie dasz mi się spotkać z Hoskuldem, będziesz tego żałowała póki życia! — groziła.

— Jeśli ci nie przeszkodzę w spotkaniu go, na pewno będę bardziej żałowała — stwierdziła Sygyda.

Ale zasnąć nie mogła tej nocy.

Sigvat przyszedł nazajutrz po południu i prosił Sygydę o chwilę rozmowy na osobności.

Jak na tę porę roku dzień był niezwykle pogodny i ciepły. Sygyda postanowiła przejść się z gościem, spytała, czy ma ochotę spojrzeć z góry na zatokę. On chętnie przystał, poszli zatem ścieżką wiodącą przez wzgórze za budynkami. Sygyda po chwili stanęła, tu już nikt ze dworu nie mógł ich słyszeć, ale byli na widoku. Zauważyła, że Sigvat siadał na ziemi z trudem.

— Czego ode mnie chcesz? — spytała, ponieważ milczał. Bawił się zerwanym źdźbłem trawy, chwila minęła, nim się odezwał.

— Wiem, że długo już nie pożyję. A przed śmiercią muszę się czegoś dowiedzieć.

Czekała zastanawiając się, o co chodzi.

— Twoja córka... ta, która widziałem w Kaupangu i teraz u jarla, ona jest...?

Sygryda skinęła głową.

— Czy Kalf wie? — pytał dalej, a wobec ponownego potwierdzenia ujął ją za rękę.

— Biedna Sygrydo, ile musiałaś wycierpieć! — powiedział te słowa w taki sposób, aż jej łzy napłynęły do oczu.

— Ma na imię Sunniva? — zapytał.

— Tak. Nadałam jej imię po świętej niewieście, sądziłam bowiem, że potrzebuje szczególnej opieki. Choć muszę powiedzieć, że jej nie otrzymała.

Widząc jego pytające spojrzenie opowiedziała mu o Hoskuldzie i swej trosce o córkę.

— Jedno mogę ci rzec na pociechę: Hoskuld nie przybył tutaj w zamiarze porwania twojej córki. Naszej córki — poprawił się po chwili. — Zabrałem go na pokład w Irlandii, wybiera się do Norwegii w służbę do króla Magnusa. Obiecałem przemówić za nim, bo znam jego rodzica. Ale gdy powiedziałem, że tu się zatrzymamy, o mało nie wyskoczył za burtę. Pytał, czy nie możemy stanąć na morzu na kotwicy, ofiarował się pozostać na warcie.

— Dwie zimy na niego czekała! — wyrwało się rozgoryczonej Sygrydzie, która zamiast się cieszyć, ku własnemu zdumieniu w imieniu córki czuła narastającą wściekłość.

— Chyba są inni, którzy chcieliby ją pojąć? — zapytał Sigvat. — Urodziwa jest. Wdała się w matkę. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, Sygrydo; wiek dodał ci tylko urody, jako śniegi wieńczące szczyty gór.

Ku swej rozpaczycy Sygryda poczuła, że się czerwieni. Nawet słowa pustego pochlebstwa umiał powiedzieć w sposób chłopięcy i szczery, sprawiający, że brzmiały niczym prawda. A jakże dawno nikt nie nazwał jej piękną!

— Ulf syn Geirodda z Caithness czeka na nią trzy zimy — pospieszyła odpowiedzieć. — Kalf chciał ją za niego wydać, ale dziewczyna odmawia.

— Czy Kalf jest dobry dla mej? — spytał Sigvat półgłosem.

— Tak — odparła stanowczo. — Jest dla niej jak dla rodzonej. Ona zaś o niczym nie wie.

— Pojmuję, że wiele mu zawdzięczam — powiedział. Sygryda nie przeczyła. — Ulf syn Geirodda nie jest złą partią. Pogadam z Hoskuldem. Musi sam wyznać jej prawdę. To będzie bolesne, ale jemu uwierzy. A potem może nabierze rozumu i poślubi Ulfa.

Sygryda westchnęła.

— Tak. Dobrze by było. A czy Hoskuld nie ożenił się w Islandii? — spytała po chwili.

— Nic z tego nie wyszło. Za długo zwlekał z powrotem, narzeczona poślubiła innego. Dobrze na tym wyszła. Hoskuld nigdy nic sobą nie przedstawiał. Podziwiam, skąd taki zacny mąż jak Flose wziął takiego syna nicponia. Gdyby nie ojciec, nigdy bym się chłopakiem nie zajął.

— Co się z tobą działo, odkąd widzieliśmy się ostatnio? — spytała.

— W Kaupangu? Czy też w Egge...?

— W Egge.

— Wiesz, że pojechałem do Rzymu. Otrzymałem rozgrzeszenie za złamanie przysięgi na zbawienie duszy.

— A zatem dlatego pojechałeś? Zastanawiałam się, czy uczyniłeś to z tego powodu, czy też miałeś zwyczaj składać podobne przysięgi niewiastom.

— Nie potrzebowałem uciekać się do przysięg — odparł pokazując w uśmiechu zęby lśniące bielą na tle opalonej twarzy; czarne oczy sypały iskrami.

Nie sposób było gniewać się na skalda Sigvata.

— Zrozumiałam, że nie tylko ja jedna winnam pokutować za ową noc w Egge. — Po czym spytała: — Pewno żałowałaś, że nie byłeś pod Stiklestadem?

— Tak — przyznał Sigvat. Oboje umilkli. Po czym dodał: — Ale to miało swój cel. Teraz przypadło mi w udziale przywołać do rozsądku syna, który bierze się do rozbojów.

— Słusznie. Dziwne jednak, że los wyznaczył właśnie ciebie.

— Nie takie znów dziwne, sam tym pokierowałem.

— To czemu ciągnęliście losy? — spytała zdumiona Sygryda.

— Bo uważałem, że w ten sposób król mi chętniej nakłoni ucha, niż inaczej. — Po czym westchnął głęboko i rzekł: — Powiedziałaś kiedyś, żeś przyjacielem wszystkich. Trafiłaś. Ufam jednak, że zmieniłaś obecnie zdanie.

— Słusznie — odparła.

— Czy chcesz, żebym przemówił za Kalfem, jeśli zobaczą króla Magnusa? — zapytał pospiesznie.

— Nie sądzę, aby to się Kalfowi podobało. I chyba nie na wiele się zda, póki żyje Einar Tambarskjelve.

— Może i prawda. Bracia Kalfa też nie żyją na przyjaznej stopie z królem Magnusem, chociaż zaliczali się do najzaufańszych Olafa. Niewielu ma dostęp do niego; Tambarskjelve stoi im na drodze. Finn syn Arnego przystał do króla Haralda i jest z nim w zgodzie. Zastanawiałem się, jak przyjęłaś kanonizację króla Olafa — dodał niespodziewanie.

— Nie bardzo go lubiłaś.

— Spodziewałam się tego — odparła Sygryda.

— W końcu także doszłam do przekonania, że był święty.

— Gdybym od dawna nie wierzył w jego świętość, przekonałbym się teraz — powiedział Sigvat z naciskiem. — Skoro ty w niego uwierzyłaś, tedy nie może być ani jednego wątpliwego w całym chrześcijańskim świecie!

Popatrzył uważnie w stronę dworu i spytał:

— Czy to Sunniva?

— Ona. Wymknęła się, chociaż nakazałam Gydzie klucznicy, żeby jej pilnowała.

— Idzie w tę stronę.

— Musiała się gdzieś umówić.

Sunniva ich spostrzegła, stanęła i zawróciła. Pobiegła do dworu i wpadła do świetlicy. Po chwili jednak wyszła i skoczyła za węgiew.

— Czeka na wieść od niego — stwierdziła Sygryda.

— Daremnie czeka.

Sygrydę zabolowały te słowa.

— Co cię skłoniło do uwierzenia w świętość króla Olafa?

— Sigvat nawiązywał do poprzedniej rozmowy.

Słuchał uważnie nie przerywając, kiedy mu opowiadała o bytności w Kaupangu i Stiklestadzie, a w końcu o rozmowie z Finnem Arnessonem.

— A zatem, jak widzisz, usiłowałam dowiedzieć się o nim możliwie najwięcej. Może ty jeszcze coś dodasz — zakończyła opowiadanie.

Sigvat patrzył w kierunku dworu.

— To pewno Gyda idzie... — zawołał śmiejąc się. Sygryda także się roześmiała na widok klucznicy, która wypadła z izby, stanęła i rozglądała się bacznie na wszystkie strony, po czym zaczęła biegać między zabudowaniami jak wystraszona mrówka. Następnie wróciła do świetlicy i znów wybiegła z dwoma dziewczkami. Wszystkie trzy szukały. Niedługo znalazły dziewczynę ukrytą między dwoma budynkami i sprowadziły ją z powrotem do świetlicy.

— Niełatwo się tu kryć na Orkadach — zauważył Sigvat.

— A nie. Trudno znaleźć kryjówkę, kiedy nic ma zarośli i drzew.

— Tęsknisz do Egge?

— Nie wiem. Lepiej o tym nie myśleć.

— Jeśli człowiek nie śmie o czymś myśleć, to najgorzej tęskni.

Sygryda wolałaby, aby Sigvat tego nie powiedział. Oboje milczeli dłuższą chwilę.

— Pytałaś mnie o króla Olafa. Sam o nim dużo myślałem ostatnio, częściej niż zazwyczaj; zamierzam ułożyć o nim pośmiertną sagę. Dlatego też najwięcej myślałem o jego zwycięstwach i wielkich dziełach, odwrotnie niż ty. — Sigvat zamyślił się i po chwili zaczął znowu mówić: — Masz wiele słuszności. Chrzest przyjął w Rudzie dla własnych korzyści, mniemał, że Chrystus jest potężniejszy od Odyna, a zatem łatwiej zapewni mu zwycięstwo. I jeśli tak gorliwie przestrzegał nakazów Kościoła, to również dlatego — w każdym razie z początku — że tak mu było wygodniej.

Prawdą jest także, że Olafa dręczyło to, iż jego prawo do władzy królewskiej wywodziło się z pogaństwa. Wiedziałem dobrze, co czynię, kiedy unikając gniewu króla nadałem jego

synowi imię Magnus. Często bowiem mówił o królu zwanym Charlemagne, który ochrzcił wielu pogan, a w końcu został ukoronowany przez papieża w Bazylice Świętego Piotra w Rzymie. Pragnął upodobnić się do niego, może liczył, że kiedyś papież ukoronuje go i w ten sposób raz na zawsze zatrze ową zmazę pogańskiego dziedzictwa władzy królewskiej. Może dlatego także chciał wrócić do Norwegii; czuł, że nigdy nie był prawowitym królem tego kraju. Ale pragnął godności królewskiej dla siebie, chciał ją wymusić, i jak ty mówisz: targował się z Bogiem. Nie pojmował, że dopiero kiedy odrzucił miecz, wyrzekł się pogańskiego prawa do korony i całkowicie oddał się w ręce Boga, dopiero wtedy stał się królem Norwegii na wieki. I zwyciężył, ponieważ tego nie pojmował. Daj Boże, abym go spotkał jak najrychlej! — zawołał spoglądając na Sygrydę, która aż się wzdrygnęła. Dziwny ogień płonął w czarnych oczach, taki błysk Sygryda dostrzegła raz tylko, kiedy się spotkali przed laty, i nigdy nie mogła go zapomnieć.

W okamgnieniu zrozumiała, że choćby najwięcej znaczyła dla Sigvata, ani ona, ani żadna inna niewiasta nie zajmowała pierwszego miejsca w jego sercu.

— Tęsknisz do śmierci, Sigvacie?

— Poległ siedemnaście lat temu, a nie minął dzień, abym nie pragnął ujrzeć go ponownie. Bo dopiero od jego zgonu stwierdziłem, ile on naprawdę dla mnie znaczył.

Sigvat znowu zamilkł, patrzył ku zachodowi, gdzie pośród mgły niebo czerwieniało nad Medallandshofem. A kiedy się odezwał, mówił śpiewnie jak zwykle podczas wygłaszania sagi.

Dzień ku zmrokowi ucieka.
Cwałuje rumak bojowy.
Do sali biesiad daleko.
Rwą ziemię jego podkowy.
Z dala od Danów królestwa
koń niesie — góra czy potok.
Nie wstrzyma go szczyt ani przepaść.
Dzień już spotyka się z nocą.

Przy ostatnim wierszu podniósł głos; Sygryda musiała na niego spojrzeć, miała wrażenie, że oczy skalda odzwierciedlają słoneczny blask.

Sigvat nie pozostał długo, zupełnie jakby nie miał już nic do powiedzenia.

Po powrocie do dworu zamienił kilka słów z Sunnivą. Sygryda prosiła, żeby coś zjadł przed powrotem do jarla, bo spóźni się na wieczerze, lecz on podziękował i odmówił.

Wymieniając uścisk dłoni oboje wiedzieli, że to jest ostatni w ich życiu.

— Zamierzam udać się do Selje. Tam pomodłę się za Sunnive — powiedział przed rozstaniem.

Tej nocy Sygryda nie kazała córce dzielić z sobą łoża, Sunniva wydała się zawiedziona.

Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, przyszedł Hoskuld i prosił o rozmowę z Sunnivą w cztery oczy.

Na widok radosnego uśmiechu córki Sygryda się odwróciła. Dlaczego sama nad tym wszystkim bolała, chociaż skrycie pragnęła, by córka nareszcie przestała tęsknić do Hoskulda?

Weszła do izby zostawiając młodych na dziedzińcu. Dopiero kiedy Sunniva długo nie wracała, Sygryda poszła po nią.

Znalazła ją trochę dalej na wzgórk, ukrytą za dużymi głazami. Leżała twarzą do ziemi i gorzko płakała.

Sygryda przysiadła obok niej w milczeniu.

Długo trwało, nim córka podniosła głowę. Ale wtedy spjrzała na matkę zapłakanymi, lecz równocześnie płonącymi gniewem oczami.

— Idź sobie! — krzyknęła wściekła.

Sygryda ani drgnęła. Siedziała prawie bez ruchu zapatrzona w morze.

Widziała ludzi Sigvata spychających barękę na wodę i brodzących przy brzegu; widziała skalda płynącego łodzią, widziała, jak wspina się na statek, miała wrażenie, że z tego miejsca dokładnie rozróżnia jego lekko zeszywniałe ruchy.

Widziała potem, jak rozpięli żagle i popłynęli ku wschodowi, do Norwegii.

„Człowiek najgorzej tęskni, kiedy nie śmie o tym myśleć” — tak powiedział Sigvat. W głębi ducha wiedziała, że miał słuszość. A mimo to nie miała odwagi myśleć...

Sunniva z wolna przestawała płakać. Znowu zwróciła się do matki. I wtedy niespodziewanie rzuciła się jej na szyję. Potok łez popłynął od nowa. Sygryda z uczuciem ulgi pomyślała, że jednak najgorsze minęło.

Pod koniec miesiąca bicia zwierząt Kalf wrócił do domu. Nic nie mówił, kiedy Sygryda opowiedziała mu o bytności Sigvata.

Przywiózł natomiast nowiny z Anglii i Danii.

Układy z królem Edwardem przeprowadził z dobrym skutkiem. Ale gdyby zawierali przymierze, byłoby ono skierowane przeciwko Haraldowi, a nie Magnusowi. Król Magnus bowiem zachorował i umarł w Danii. Król Harald zaś musiał poniechać zamiaru podbicia kraju i wrócił do Norwegii.

Jarl był rad tym nowinom, chwalił Kalfa, który tak doskonale wywiązał się ze swego zadania u króla Edwarda.

— Na pewno jednak nie będzie potrzeby zawierania z kimkolwiek przymierza — orzekł. — Ufam, że jeszcze mogę wierzyć mojemu szczęściu.

Kalf na to nie odpowiedział. Wieczorem natomiast pił ponad miarę.

Coś tam bełkotał o śmierci króla Magnusa. Mruczał także o winie, której wybaczyć nie można, bo za późno na pokutę. Sygryda się złękła.

Usiłowała dogadać się z nim, wyjaśnić, że myliła się mówiąc mu o konieczności pokuty. Ale wysiłki jej poszły na marne.

Następnego ranka znowu próbowała go zaczepić, odpowiedział tylko, że nie powinna słuchać bełkotania pijaka.

1

Jedenastej wiosny od osiedlenia się Kalfa syna Arnego na Orkadach na wyspę Hros przypłynął wysłannik od jego brata Finna. Kalf długo rozmawiał z nowo przybyłym. Następnie odwołał Sygrydę na stronę.

— Wracamy do Egge — oświadczył.

Chciała odpowiedzieć, nie mogła.

— Wracamy do Egge — powtórzył raz jeszcze Kalf. Sygryda nadal nie odpowiadała. Wsłuchiwała się w głos serca, usiłowała stwierdzić, jakie uczucia budziły w niej te słowa. Nic nie rozeznawała; po prostu wiedziała tylko, że znowu wszystko się odmieni, że wyruszą w podróż do Egge.

Usiadła na ławie. Kalf przysiadł obok niej i zaczął opowiadać nowiny od Finna.

Einar Tambarskjelve nie żyje. Na skutek zdrady króla Haralda został zamordowany w Kaupangu w królewskiej sali posłuchań. Syn jego Eindride, który czekał z drużyną na dworze, również padł zarąbany.

Król Harald zdołał ujść, zanim razem strachem i pozbawieni przywódcy kmiecie skrzyknęli się dla wywarcia pomsty. Umknął do Órlandu, do Finna, który teraz był podwójnie jego dziewierzem; Harald bowiem pojął za żonę Torę, córkę Torberga syna Arnego, Finn zaś po śmierci pierwszej małżonki poślubił Torbjórgę, bratanicę króla.

Harald oświadczył Finnowi, że sam może postanowić, czego żąda w zamian za pomoc, byle zechciał jej udzielić.

Einar bowiem miał ogromny mir wśród kmieci, wiec po haniebnym zamordowaniu go bunt zaczynał się szerzyć w trondheimskim okręgu. Bergljot wysłała umyślonych do Opplandu, do Haakona syna Ivara, możnego naczelnika, a zarazem powinowatego, który wobec tego był zobowiązany pomścić jej męża i syna.

Finn obiecał królowi pomoc, ale zażądał przysięgi, iż odwoła Kalfa z wygnania, zwróci mu wszystkie dobra i prawa, jakie posiadał w chwili powrotu króla Magnusa do Norwegii. Harald przyrzekł uroczyście w obecności świadków i poparł to przysięgą.

Wobec tego Finn pojechał do Kaupangu, gdzie udało mu się ułagodzić kmieci na tyle, że natychmiastowy bunt nie groził; czekali na postanowienie Haakona Ivarssona. Potem udał się do Opplandu, gdzie córka jego Sygryda była zaślubiona jarłowi Or; tam wstawił się za królem u Haakona syna Ivara. A był tak wymowny, że w końcu Haakon przystał na zawarcie ugody; pomogło niemało i to, że Finn i Haakon przyjaźnili się od lat chłopięcych i razem byli na wikingowskich wyprawach.

Sygryda się zamyśliła.

— Czy sądzisz, że można wierzyć Haakonowi? — spytała w końcu. — Jego postępek wobec Einara Tambarskjelve na to nie wskazuje.

— O ile w ogóle można wierzyć jakiemuś królowi! — odparł Kalf. — Zresztą tak się składa, że jego przyjaciółmi zostali wrogowie Magnusa. Wiesz, że ofiarował przyjaźń jarłowi Torfinnowi, kiedy przybył do niego po zgonie Magnusa. Mojego siostrzana Einara Fluga mianował namiestnikiem w Haalogaladzie; Aasmund syn Grankjela niedługo korzystał z tego, że sprzątnął z drogi jego ojca Haarka z Tjótty! Pamiętaj także, że król Harald jest również moim dziewierzem, skoro poślubił córkę Torberga. Dopóki potrzebne mu będzie nasze poparcie — moi bracia i ja możemy na niego liczyć, a wierzę, że to jakiś czas potrwa.

— A co z twoją pielgrzymką do Rzymu? — spytała Sygryda. Ułożono bowiem, że Kalf z jarłem Torfinnem i jego

krewniakiem Makbetem królem Szkocji ruszą w drogę do Rzymu jeszcze przed latem.

— To już zbyt wiele. Bóg chyba stwierdził, że dosyć mnie ukarał, więc mi wybacz.

Syryda milczała.

— Nie ma czego się dąsać — burknął Kalf ze złością. Po czym dodał: — Zupełnie ciebie nie pojmuję! Zapowiadam ci, że wracamy do Egge, a ty zwieszasz nos na kwintę!

— Daj mi czas na rozważenie wszystkiego.

Trochę później tegoż dnia Syryda poszła ścieżką za dworem na szczyt pagórka i tam usiadła na kamieniu.

Miała przed oczami wyspy rozrzucone szeroko w słońcu, tylko na zachodzie lekka mgła unosiła się nad morzem. Po drugiej stronie wzgórza widać było Hammavog i menhiry w Stennes.

Alki krążyły w powietrzu. Niedawno skończyła się burza: Syryda miała wrażenie, że jeszcze słyszy huk piorunu, który uderzył w skały na zachodnim brzegu.

Strzyżyk zatoczył krąg, frunął nisko nad zboczem, przysiadł na pobliskim kopczyku. Z ogonkiem wojowniczo zadartym do góry kręcił łebkiem w obie strony, popatrywał na nią czarnymi błyszczącymi ślepkami. Po czym znowu się poderwał, frunął dalej i usiadł.

Syryda tymczasem skierowała wzrok ku Caithness. Często jeździła do Thurso, odkąd wydała za mąż Sunnive. Serdeczna przyjaźń łączyła ją teraz z córką, szczególnie odkąd na świat przyszedł wnuk, maleńki Odd. Syryda była wtedy w Thurso, pomagała przy rozwiązaniu; Sunniva ciężko rodziła, podczas najgorszych bóli przeklinała Ulfa, matkę i dziecko. Ale ledwo wzięta chłopaczka w ramiona, zaraz się rozpromieniła. Teraz znowu była brzemienna.

Syryda natomiast miała wracać do Egge, nie będzie w Thurso, aby córce udzielić pomocy. Przez mgienie oka błysnęła myśl, że Kalf może sam wracać do Egge, ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe.

Wmawiała sobie, że powinna się cieszyć. Przecież tak strasznie tęskniła, z takim trudem usiłowała zapomnieć o Egge i dawnych czasach.

Teraz jednak, kiedy nie potrzebowała już walczyć z tęsknotą, kiedy mogła dać jej swobodny upust, a nawet cieszyć się nią w pewnej mierze, ze zdumieniem stwierdziła, że to uczucie już nie istnieje.

Obejrzała się, strzyżyk znowu przysiadł na kopczyku i śpiewał, jego dźwięczne trele płynęły ponad łąki i pola. Niestety zagłuszyły go krzykliwe alki. A może tęsknota tkwiła w niej naprawdę, istniała jak śpiew strzyżyka, lecz tłumiony tylu innymi głosami.

Powinna się cieszyć, choćby ze względu na Kalfa. Tymczasem ogarniał ją niepokój. Wolałaby, żeby mniej skwapliwie zaniechał pielgrzymki; mógł ją odbyć najpierw, a potem wrócić do Egge.

Odkąd bowiem Sygryda przestała go nudzić ciągłą gadaniną o grzechu, sam stopniowo zaczynał o tym mówić; szczególnie po pijanemu, a ostatnio często się to zdarzało. Im bardziej mu się sprzeciwiała wmawiając, że miał słuszość, że nie należy nadmiernie przejmować się tymi sprawami, z tym większym zapałem on do tego zamiaru powracał. Ciągłe od nowa wspominał Stiklestad oraz śmierć Kolbjórna, której jak mu się wydawało, zawinił. Myśl o morderstwie brata i nieszczęściach, jakie muszą spaść na tego, kto zerwał więzy rodzinne, plątała mu się z poczuciem zdrady, tajemnym, lecz dręczącym go od zgonu świętego Olafa. Czasami mówił o swoim bracie Finnie; jego zdaniem śmierć Kolbjórna była odwetem losu za to, że on sam życzył śmierci Finnowi.

Można by sądzić, że nalegania Sygrydy z okresu przed zgonem króla Magnusa padły na żyzną rolę Kalfowego umysłu po wydarzeniach w Stiklestadzie; zapuściły w nim korzenie niczym perz, którego nie da się wyplenić.

Najgorsze jednak było to, że wmówił sobie, iż nie tylko król Olaf był mu przeciwny; teraz sam Bóg stał się jego wrogiem, bo Kalf nie okupił swej winy za życia króla Magnusa, kiedy był czas po temu. Nie mógł więc obecnie liczyć na przebaczenie z żadnej strony. Nie chciał rozmawiać

z księżmi, twierdził, że przestał im ufać. Sygryda przypomniała mu, że przedtem wierzył w przebaczenie Boże na słowo kapłana, on jednak twierdził, że to wielka różnica wybaczyć przyjacielowi czy wrogowi.

W końcu Trond nakłonił go do odbycia pielgrzymki. Jeżeli Kalf uzyska odpuszczenie grzechów od samego papieża, może temu zaufać. Kalf zgodził się. Chyba warto spróbować, w swoim czasie sam król Olaf nakazał mu odbyć pąć. Dodał jednak, że wcale nie jest pewien, czy pójdzie do spowiedzi w Rzymie. Bo trudno byłoby mu uwierzyć w przebaczenie, nawet na słowo papieża, gdyby szczęście ponownie nie zaczęło mu sprzyjać; i tego przekonania nikt nie zdołał podważyć.

Teraz w sposób widoczny powodzenie wracało. Mimo to Sygryda nie mogła otrząsnąć się z niepokoju; gdyby choć raz mu się nie powiodło, co będzie?

Wiele było do zrobienia przed wyjazdem z Hrosoy.

Odwiedzili jarla Torfinna w Birgso na zachodnim wybrzeżu wyspy, dokąd przeniósł się z chwilą zawładnięcia całymi Orkadami.

Sygryda dziwiła się nieoczekiwanej serdeczności, z jaką zegnała ich Ingebjörga córka Finna. Odprowadziła Sygrydę na ubocze i prosiła o przekazanie serdecznych pozdrowień ojcu w AustrAACie.

— Możesz mu powiedzieć, że dobrze mi jest teraz. Rada jestem memu małżeństwu.

Sygryda nie śmiała pytać, domyślała się jednak, że Ingebjörga była szczęśliwa od czasu pożaru; a słowa te chyba były przeznaczone w równej mierze dla Tronda, jak i dla Finna. Pomyślała także, jakie to dziwne, że niecny postępek Tronda wobec jarla wyszedł Ingebjördze na dobre.

Posłali także umyślnego do Tronda na wyspę Jona; Kalf chciał, aby Trond wracał razem z nimi do Egge jako uznany przez niego za syna i dziedzica. Trond dał znać, że przybędzie później. Spędzał na wyspie już szóstą zimę, chociaż o ile Sygrydzie było wiadomo, nie został jeszcze wyświęcony na kapłana.

W końcu popłynęli do Thurso pożegnać się z Sunnivą i Ulfem.

Wkrótce po świętym Filipie nareszcie ruszyli w drogę.

Rozstanie z Orkadami było o wiele cięższe, niż Sygryda przypuszczała. Na widok znikających na horyzoncie wysp miała wrażenie, że jeszcze czuje ostatni gorący uścisk Sunnivy i widzi tłuściutkie łapki małego Odda.

Podróż mieli dobrą, toteż czwartego dnia ujrzeli ląd w okolicy Stadu. Kalf wskazał Giske, obok której przepływali, Sygryda nigdy jeszcze nie widziała tej wyspy, ostatni raz mijali ją nocą. Nie zatrzymali się jednak. Torberg, brat Kalfa, zmarł podczas ich wygnania; obecnie naczelnikiem Giske był syn jego Óystein Orre. Płynęli dalej bez przerwy ku północy nie zatrzymując się ani razu przed Austraatem.

Finn oraz Torbjórğa córka Halvdana przyjęli ich dobrze. Nie pozostali jednak dłużej, niż to było konieczne. Kalf ledwo mógł poskromić chęć jak najszybszego powrotu od Egge.

Tydzień nie minął, a już płynęli dalej.

Finn był w Kaupangu u króla Haralda i uzyskał ułaskawienie dla Kalfa. Potem obaj pojechali do niego; król przyjął Kalfa w swoją służbę, a ten złożył mu pełną przysięgę na wierność. Harald dotrzymał słowa; Kalf odzyskał wszystkie swoje włości oraz prawa, a nawet dwór w Kaupangu. Sygrydzie zwrócił także Beitstad; dwór ten był w rękach królewskiego zarządcy podczas ich wygnania.

Sygryda czuła pulsowanie krwi w żyłach, kiedy zbliżali się do miejsca, w którym cieśnina Skarn przechodzi w fiord Beitstad.

Walczyła ze łzami całą drogę przez Hord, choć sama nie wiedziała, czemu płacze. Wszystko było tak nieprawdopodobne; ani śladu owej radości, jaką spodziewała się odczuwać na widok znanych okolic.

Mimo najszczerzych usiłowań bowiem nie zdołała myśleć serdecznie i ciepło o czasach w Egge. W porannej mgłę dostrzegła Kaupang, widziała półwysep Frosta, gdzie odbywały się tingi i gdzie bywała zarówno z Ólvem, jak

i z Kalfem, szukała wzrokiem Stiklestadu i Maerinu. Ale to były po prostu miejsca; miejsca wprawdzie znane, ale nic już dla niej nie znaczące.

Na myśl powracały ciągle Orkady, morze liżące brzegi; zastanawiała się, czy teraz jest tam pogoda czy też burza.

I Sunniva, Sunniva z małym Oddem. Siedzi teraz spokojnie w Caithness. Ulf wprost nie wiedział, jak jej dogadzać; to, że musiał na nią czekać przeszło dwa lata, wcale nie zaszkodziło. W aurze jego podziwu ciężko urażona dziewczyna na nowo rozkwitała. Sygryda miała nadzieję, że nie stanie się zbyt zarozumiała.

Wyobrażała sobie Tronda, takiego, jakim go widziała ostatniego lata na wyspie Hros; był dziwnie cichy i obcy, co dzień rankiem jeździł na mszę do Kirkwallu. Tylko chwilami bywał żywym, beztróskim chłopakiem, jakiego dawniej znała; coś go dręczyło, usiłowała wybadać, o co chodziło. Chciała wiedzieć, czy nadal cierpi z powodu Ingebjörgi. Odpowiedział śmiechem, jak często na jej dociekliwie pytania. Spytał ją, czy sądzi, że jest psem, który wyje do księżycy.

— Z nią dawno już skończyłem — oświadczył.

Sygryda rozmawiała z synem o swojej wierze. Opowiedziała mu, że odzyskała spokój dzięki jego radom, aby wyzbyła się dumy i pozwoliła rządzić księżom. W końcu ona, która wyrzucała Kalfowi brak ufności w Boga, zrozumiała, że sama nie wierzyła Mu dostatecznie; domyślała się teraz, co Sigtryg Silkeskjegg miał na myśli podczas rozmowy na wyspie Jona: nawet rozczarowania winna złożyć w ręce Boga, zamiast samotnie z nimi walczyć.

Trond natomiast był skąpy w wypowiedziach.

— Sygrydo, spojrzij! — Obejrzała się w kierunku wskazanym przez Kalfa. Przed nimi wysoko na wzgórzu ukazały się zabudowania Egge.

— Chyba nie cieszysz się powrotem do domu, skoro nie masz ochoty rozejrzeć się tutaj! O czym myślałaś?

— O Sunnivie, Ulfie i małym Oddzie. O Trondzie. Myślałam, jaka dziś pogoda na wyspie Hros.

Kalf parsknął śmiechem z chłopięcą beztróską.

— Może zawrócimy? — zapytał.

— Zrobiłbyś to, gdybym prosiła?

— Nie.

Z rozplómiennym wzrokiem jednym ruchem ręki odsunął sternika i sam ujął rudel.

Sygyda nagle dostrzegła, jak bardzo się zestarzał w ciągu ostatnich lat. Z roku na rok tego nie zauważała; dziś ujrzała go nagle takim, jakim był owego wieczora, gdy odpływali z Egge.

Utył, głowa i broda posiwiały, włosy przeredziły się. A jak ona sama wyglądała? Czas na pewno jej nie oszczędził.

„Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek” — powiedział Sigvat zaledwie trzy zimy temu. Niegdyś uważała swoją urodę za rzecz zwykłą. A teraz ceniła sobie niczym złoto puste zachwyty mężczyzny, któremu całe życie upłynęło na pochlebianiu innym.

„Aleś głupia!” — powiedziała sobie w duchu. Nie zdała sobie sprawy, że słowa te wymówiła półgłosem, dopóki Kalf nie spytał, o co chodzi. Roześmiała się.

— Sama do siebie gadam. Powiedziałam sobie, że jestem stara i głupia.

Kalf także się uśmiechnął, lecz potrząsnął głową.

— Nie przyznawaj się do tego. Ludzie chętnie dzielają tego rodzaju zdanie.

Sygydę ubawiła jego niezręczna uczciwość. A równocześnie ucieszyło ją, że taki właśnie jest. Co w myśli, to na języku! I to dawało jej dziwne, błogosławione poczucie bezpieczeństwa.

A przecież Sigvat po ostatnim ich rozstaniu dotrzymał danego słowa; jarl Torfinn po powrocie od króla Haralda opowiedział o losach skalda.

Zgodnie z przyrzeczeniem zatrzymał się w Selje. I tam na zawsze pozostał, zachorował, ludzie powiadali, że we śnie przyszedł do niego król Olaf i przepowiedział mu dzień zgonu. Skald spieszył się ogromnie z ułożeniem pośmiertnej sagi o królu i utrwaleniem jej na zwoju, póki czas. Kiedy nadszedł wieczór oznaczonego dnia, nie czuł się bliski śmierci. Wobec czego wstał i wygłosił pieśń o tym, jak gorąco pragnie spotkać swego pana. Ledwo pieśni dokończył, padł martwy.

Okrażali cypel; nad nimi leżał dwór i pola na stoku pokryte świeżą zielenią; wschodzące zboże zieloną mgiełką przysłaniało czarną glebę. W powietrzu zaś unosił się ciężki, słodki aromat wiśni kwitnących na skraju pól w Heggvinie.

— Wcześniej skończyli pierwsze sianokosy tego roku — powiedziała do Kalfa. Odpowiedział jej skinieniem.

Na brzegu czekali ludzie uprzedzeni przez wysłanego przodem umyślnego. Znajomi, mimo to Sygryda raczej odgadywała, niż rozpoznawała poszczególne twarze.

Wysiedli, tłum cisnął się do nich.

Sygryda przede wszystkim dostrzegła Ragnhildę. Stała na samym brzegu pomostu, mała nie wpadła do morza, tak jej się spieszyło oddać Sygrydzie pęk dworskich kluczy. Byli tu także Finn i Ingerida z Gjevranu, Harald syn Guttorma, ksiądz Anund, Björn z Heggvinu oraz inni sąsiedzi. Sygryda widziała twarze jak za mgłą.

G wszyscy, którzy przed jedenastu laty odpłynęli wraz z Kalfem na wygnanie, teraz schodzili szeregiem na ląd, witano ich okrzykami i radosną wrzawą.

Sygryda czuła się jak wyłączona. Wchodząc na dziedzińiec pomyślała: teraz czuję radość z powrotu do domu! Nic z tego. Dzień już się skończył, słońce zachodziło za wzgórze, ona ciągle czekała.

Zaczęła wszystko rozważać, kiedy nareszcie położyła się w swoim dawnym łóżu w komorze.

Pociągnęła nosem, obcy zapach, kto tu sypiał?...

Niegdyś tęskniła tak okrutnie, że wołała o tym nie myśleć; teraz tęsknota stała się niejako jej nieodłączną częścią i chyba nigdy już nie ustąpi. Tyle pozostawiła, tam daleko...

Potem przyszło jej na myśl, że zawsze do czegoś tęskniła. Najpierw do kraju elfów, do cudownego kraju lat dziecięcych, położonego daleko, gdzie słońce zachodzi. Potem do Bjarkóy. Bjarkóy i Hrosøy, morze, przyływy i odpływy, kraj elfów, głosy ptactwa — wszystko zlewało się razem...

Kalf obudził małżonkę, kiedy przyszedł się położyć; po jej odejściu na spoczynek długo jeszcze siedział w biesiadnej z Finnem synem Haralda.

— No jak tam, Sygrydo, jak się czujesz jako małżonka Kalfa z Egge? — Oczy jeszcze mu płonęły tą samą radością co w ciągu dnia.

I nareszcie jego radość znalazła w niej rodzaj echa. Odwzajemniła się Kalfowi uśmiechem.

— To miłe uczucie, Kalf — odpowiedziała. A patrząc w jego rozpromienione oczy mogła to powiedzieć uczciwie.

2

Już po paru tygodniach pobytu Kalfa i Sygrydy w Egge wszystko szło zwykłą koleją, jakby nigdy nie wyjeżdżali.

W uprawie ziemi nie było przerw, podczas wygnania Kalfa jego domownicy pozostali na miejscu. Harald syn Guttorma był zarządcą królewskim; wyjaśnił, że jego zdaniem tak było najlepiej. Liczył na powrót Kalfa, toteż nie chciał, by tymczasem rządy sprawowali tu obcy ludzie.

Kalf przyznał mu słuszość.

Sygrydzie natomiast pusto było w Egge bez dzieci; odkąd tu mieszkała, zawsze miała je przy sobie.

Co nie znaczyło, że w ogóle dzieci nie było. Spora ich gromadka bawiła się na dziedzińcu; chłopcy walczyli na miecze lub gonili się dokoła domostw, jak niegdyś jej rodzeni synowie, a dziewczuszki chichotały i bawiły się w gospodarstwo. Sygryda poznała się już z niektórymi. Pierwszego dnia od razu zwróciła uwagę na chłopca Uczącego około jedenastu, dwunastu zim. Siedział na uboczu, z dala od innych, spytała, czyj jest.

Dowiedziała się, że jest to Grjotgard syn Haralda Guttormssona i Heleny. Sygryda tęskniła do Heleny i rozglądała się za nią. W końcu spytała służebnej, co się z nią stało.

— Wyniosła się do lasu przed laty — brzmiała odpowiedź. — Osiadła koło Vasaune, tam gdzie dawniej mieszkała guślarka. Ludzie nazywają ją świętą, powiadają, że umie zamawiać choroby.

Harald znalazł sobie inną żonę, wdowę po poległym w czasie wyprawy wojennej króla Magnusa przeciwko Danom. Zwała się Aalov, była drobna, łagodna; właśnie oczekiwała dziecka i zdaniem Sygrydy była dużo grubsza, niż należało. Harald wydawał się znacznie pogodniejszy niż ostatnio za jej pamięci.

Natomiast nikt właściwie nie zajmował się rzetelnie dziećmi Harald a i Heleny: Grjotgardem, Kolbeinem i Tyrą.

Ksiądz Anund nadal mieszkał przy dworze; z Kaupangu nie przysłano nowego księdza. Robił wrażenie zmęczonego; zresztą daleko mu było do młodości, a liczba wiernych wzrastała.

Sygryda miała ochotę pogadać z nim, opowiedzieć mu o Trondzie, lecz sporo czasu minęło, nim nadarzyła się sposobność. Anund był zajęty cały dzień, wieczorem zaś upadał ze znużenia, toteż nieraz zasypiał przy stole, ledwo skończył posiłek.

Pewnego popołudnia zaraz po uroczystości męczenników z Selje nareszcie znalazł czas na pogawędkę z Sygryda. Padał drobny deszcz, siedzieli o szarówce w jego izdebce. Słuchał cierpliwie bezładnego opowiadania o latach spędzonych na wygnaniu; rozumiał jej potrzebę mówienia o tym.

Sygryda skończywszy wspominki pomyślała, jakie to dziwne, że ksiądz Anund choćby nie wiem jak był zajęty, ilekroć zaczął z kimś rozmowę, zawsze tak się zachowywał, jakby mu się wcale nie spieszyło.

— Chyba nie bardzo się cieszysz, że Trond przygotowuje się do kapłaństwa?

— Nie. Skoro tu wróciliśmy i on ma dziedziczyć Egge, lepiej, żeby nie został księdzem.

Sygryda miała nadzieję, że Trond latem przybędzie do Egge. Kalf zostawił jego statek w Birgso w pobliżu dworzyszcz a jarla Torfinna; oboje też byli ogromnie rozczarowani jego nieobecnością.

— Ta sprawa jest w ręku Boga — powiedział Anund z powagą.

Rozmawiała z nim także o Kalfie, wyznała, że przy pomocy Tronda nareszcie pojęła, jak brzydko wobec niego postępowała.

Zamyślony Anund milczał.

— Trond dobrze ci poradził — oznajmił w końcu. — Jeżeli dawna wiara i sposób myślenia zakorzeniły się zbyt głęboko w człowieku, trudno znaleźć miejsce na nowe; często lepiej zadowolić się zrozumieniem tego, co się da, i postępować według nakazów Kościoła. Na nic wlewać do kadzi więcej, niż może zmieścić. My ludzie wyrządzamy czasami większą krzywdę usiłując innym pomagać, niż szkodząc. Zło można wytrzymać przy Bożej pomocy. Lecz nie ma obrony przed zbożną głupotą.

— To nie była głupota — Sygryda czuła się urażona. Natomiast w oczach Anunda pojawił się figlarny błysk.

— Coś mi się zdaje, że nie jesteś taka pokorna, jak byś chciała mi wmówić — oświadczył. Sygryda milczała, ale była zła. — Z dumy rodzi się wiele innych grzechów, Sygrydo. Wierzaj mi, mówię to na mocy gorzkiego doświadczenia. — Urwał i rozejrzał się po ciasnej izdebce. — Teraz pojmuję, że tu umarł człowiek tak bliski Bogu jak żaden ze znanych mi dotychczas. Ale zrozumiałem to zbyt późno. Obnosił swą słabość na pokaz jak chorąży, który niesie swój znak na drzewcu i czuł się najmniejszym ze wszystkich. Ale spełniał swoje obowiązki dzień po dniu, pokornie, nawet nie usiłował pojąć wszystkiego, czego uczył innych, ale przyjmował naukę jako ustaloną przez mądrzejszych od niego. Wiedział, że wielkie czyny i wielkie myśli nie są na jego miarę, spełniał zatem w miarę możliwości drobne. Pojmuję teraz, że miał słusność, kiedy mawiał, że człowieka nie stać na wielkie rzeczy; to ja błąkałem się po manowcach, Sygrydo.

Przerwał, Sygryda patrzyła na niego z podziwem.

— Wymagałem za dużo od siebie, a także od innych — ciągnął dalej Anund. — Wszystko zdołam w Tym, który mnie umacnia — powiedziałem za świętym Pawłem. Ale kładłem nacisk na to, co ja miałem uczynić; chciałem

szturmować niebiosą. Bo im dłużej rozważałem wyczytane słowa Boże oraz pisma praojców, tym bardziej roilem, że pojmuję chrześcijaństwo i mniemałem, że tym więcej wymaga ono ode mnie. W końcu stwierdziłem, że Bóg żąda wszystkiego; powinienem płonąć jak ogień dla Niego, powinienem spalać się ze wszystkim, co posiadam, w ogniu miłości jedynie do Niego. Aż przyszedł dzień, który przyjsć musiał, dzień, w którym nie mogłem już podołać. Myślałem, że zginę, że uduszę się między ogromnymi wymaganiami, jakie mi są postawione a tą odrobiną, którą potrafiłem z siebie dać.

Wtedy to Bóg pozwolił mi zrozumieć sposób, w jaki ksiądz Jon zadowalał się spełnianiem drobnych uczynków. Wspomniałem także, co ty niegdyś powiedziałaś w przekonaniu, że za dużo wymagam od ciebie: Nie mogę uwierzyć, że Bóg miłości wymaga od ludzi więcej, niż zdołają dać. Nareszcie pojąłem, jak strasznie się myliłem, innym głosiłem nauki o miłości Bożej oraz łasce, a sam chciałem radzić sobie bez niej.

Zrozumiałem, że pycha nakłania nas do wierzenia, iż o własnych siłach zdołamy dokonać czegoś więcej poza drobiazgami, jakich Kościół od nas wymaga. Sami niczego ponadto nie osiągniemy; tylko w Bogu, tylko w Nim staniemy się tak silni, że podołamy wszystkiemu.

I tylko w Nim umocnieni możemy dążyć do pełni, do ziszczenia naszych nadziei, do nieba.

Nareszcie zrozumiałem, że nie żyłem dla Boga, lecz dla zadowolenia własnej dumy. Pragnąłem wiedzy, usiłowałem prowadzić świątobliwy żywot, nie dla Niego, ale by okazać, do czego zdolny jest ksiądz Anund. Ciężko było spojrzeć w oczy tej prawdzie, że moje życie było zakłamaniem przeżywanym w imię Boże, aby sobie przysporzyć świetności. Ostatecznie spokój zapewniły mi słowa świętego Jana Chrzciciela: „On ma wzrastać — ja zaś umniejszać się”.

Dopiero kiedy pojąłem, że moja wiedza, którą wysoko ceniłem, jest jako ziarnko piasku, przeczuję blask nieskończonej mądrości Boga. Wobec własnej bezsilności na-

uczyłem się doceniać i ufać Jego mocy; uznając własne sobkostwo dostrzegłem pełnię miłości, jaką On może nas obdarzyć.

Czułem się znowu jak marnotrawny syn; i znowu podążyłem do małej okrągłej chatki świętego Cutberta na wyspie Farne i odzyskałem spokój w łasce Bożej.

Skończył mówić; Sygryda milczała, nie podnosiła na niego wzroku. Przecież to niezwykle, że właśnie jej wyznał to wszystko! Mógł ją zgromić za dumę nie obnażając się doszczętnie. Zerknęła na niego. Nic nie wyczytała z jego twarzy; nawet nie widziała jej dobrze w półmroku. Zaczęła tedy mówić o czym innym.

— Słyszę, że Helena wyniosła się do Vasaune.

— Tak chciałbym wiedzieć, co z nią począć! — ksiądz ciężko westchnął. Sygryda o nic więcej nie pytała.

Natomiast wkrótce po tej rozmowie pojechała do Vasaune. Zabrała trochę zapasów, bo ludzie mówili, że Helena żywi się jagodami i korzonkami leśnymi lub jadem, które ludzie jej dawali.

Sygryda zastała drzwi otwarte, mimo to zapukała, a wobec braku odpowiedzi zajrzała do wnętrza.

Było tam pusto, lecz schludnie, podłogę zaścielała świeża słoma.

Helena klęczała przed krzyżem wiszącym na ścianie, pochylona, bez ruchu, z twarzą przy ziemi; Sygryda początkowo myślała, że śpi. Toteż zawołała ją po imieniu dosyć głośno. Po czym usiadła na przyzbie i czekała.

Po dłuższej chwili Helena wyszła na dwór, Sygryda wstała. Z przerażeniem patrzyła na wychudzoną Helenę, z twarzy pozostały tylko oczy przerażająco błyszczące.

Sygryda zastanawiała się, czy Helena ją pozna. Nie potrzebowała się obawiać. Wyciągnęła do niej rękę tak kościstą, że aż strach było ją uścisnąć.

— Witaj, Sygrydo. Czekałam na ciebie.

— Wiedziałaś, że przyjdę? — Sygryda bez trudu mogła uwierzyć, że ta zjawa jest jasnowidząca.

— Słyszałam, że wróciłaś do Egge.

— Aha — Sygryda westchnęła z ulgą. Potem uśmiechnęła się sama z siebie; przecież Helena pozostała sobą, chociaż tak przeraźliwie wychudła.

— Przywiozłam ci jedzenie. — Wskazała na zapasy złożone na progu. — Lepiej wnieś do środka, zanim mrówki się wkradną.

— A niech im służy, jeśli zechcą jeść — rzekła Helena. — Zostaw to wszystko. Mnie wiele nie trzeba.

— Wygląda mi na to, że więcej potrzebujesz od nich — zauważyła Sygryda trochę gniewnie. Nie wiozła jedzenia dla mrówek!

Przerwała nie spuszczać oczu z ramion Heleny; chyba się biczowała. Nagle zaschło jej w ustach, lecz szybko się opanowała. Helena natomiast nie przejęła się widocznie jej badawczym wejrzeniem, bo śmiejąc się powiedziała:

— Zdumiewające, jak mało człowiekowi potrzeba, kiedy ma Boga.

Sygryda zmilczała, lecz nagle zawstydziła się na myśl, ile zawsze uważała za potrzebne dla siebie. Mimo to wniosła zapasy do chatki i postawiła na ławie. Po wyjściu z powrotem, nadal zachowała milczenie. Znaki na ramionach Heleny przypominały jej czasy, kiedy sama pokutowała ciężiej, aniżeli Kościół nakazywał, ale wszak nie posunęła się aż tak daleko! Nie mogła teraz pohamować pytania, które cisnęło się jej na usta, odkąd posłyszała, że Helena opuściła Egge.

— Jakże mogłaś porzucić dzieci?

— Skoro Bóg chciał, abym była tutaj, zaopiekuje się nimi — odparła Helena stanowczo.

— Skąd wiesz, że taka była wola Boga?

— Wiem — odparła bez wahania, po czym wyjaśniła: — Pamiętasz, że bardzo dawno temu zabrałaś mnie do Kaupangu? Wsiadaliśmy przy skałach Lade i pokazałaś mi rusztowania po „Langu Ormie”. Powiedziałam ci wtedy, że nawiedzały mnie myśli o takim życiu jak teraz. Ksiądz Anund jednak twierdził, że uciekam od życia i muszę czekać, aż będę mogła wyrzec się czegoś dla Boga. Potem zaczęłam rzeczywiście pokutować za grzechy, usiłowałam wyrzekać się

tego, co miało dla mnie jakoweś znaczenie. W końcu zrozumiałam i pojęłam, że wszystko to jest bezwartościowe, jeśli nie oddam Bogu tego, co mi najdroższe; musiałam odejść od dzieci.

Sygyda nie miała na to nic do powiedzenia. Wkrótce odjechała do domu. Miała jednak wrażenie, że znowu widzi smutne oczy Grjotgarda syna Haralda.

Po powrocie do Egge jeszcze czuła ciężar na sercu. Poszukała księdza Anunda i opowiedziała mu o odwiedzinach u Heleny. Zaznaczyła jednak, co było prawdą, że Helena wydaje się szczęśliwsza niż kiedykolwiek od zgonu Grjotgarda.

Anund nie patrząc na nią i jakby do siebie, powiedział:
— Ja chrzciliłem Helenę. Nadałem jej imię po świętej, która odnalazła prawdziwy Chrystusowy krzyż. Nasza Helena także znalazła krzyż. Pragnąłbym jedynie wiedzieć, czy znalazła ten prawdziwy, sobie przeznaczony.

3

Tej jesieni Sygyda towarzyszyła Kalfowi do Maerinu na ting zimowy i cieszyła się z tego. Bo dawniej jeżdżąc z małżonkiem na wiece uważała za rzecz oczywistą, że występował jako naczelnik całego trondheimskiego okręgu. Teraz było inaczej.

Ze zdumieniem patrzyła, że zajmuje swoje miejsce, jakby go nigdy nie opuszczał; że nawet nowo przybyli mieszkańcy tych okolic bez zastrzeżeń uznają jego władzę, przyjmują jego orzeczenia bez szemrania. A Kalf również przyjmował ich postawę za naturalną.

Dopiero teraz Sygyda w pełni zrozumiała, co Kalf przeżywał na wygnaniu, w oderwaniu od miejsc i ludzi, których uznawał za swoich, z dala od wszystkiego, co nadawało treść jego życiu. On był silnie związany z Trond-

heimem, z jego ustawami, prawami, niż ona kiedykolwiek przypuszczała.

Ale odgadywała również, na czym polegał jego największy błąd: chciał wznieść się ponad to wszystko. „Nie można wlewać do kadzi więcej, niż zdoła pomieścić” — powiedział ksiądz Anund. Kalf chyba również to pojął i spokojnie osiadł jako namiestnik w Egge.

Sygyrda jednak czuła się obco w Inntrondheimie. Nawet w Maerinie, z którym szczególne więzy łączyły ją niczym kajdany, nie zatracala wrażenia, że jest gościem w miejscu znanym tylko z sag.

Kiedy po skończonym tingu jechali z Maerinu w stronę Kroksvaagenu, powiedziała o tym Kalfowi.

Dzień był szary, mglisty, widoczność słaba. Z góry jechali powoli, gwarzyli o tingu i wydanych orzeczeniach, toteż nim znaleźli się na dole, stracili z oczu towarzyszy. Tylko nawoływania i śmiechy przed nimi we mgle przypominały, że nie są samotni w poszarzałym świecie.

Sygyrdzie wyraźniej niż kiedykolwiek przypomniły się zamglone Orkady i szum morza.

— Powoli znowu się zadomowisz — zapewniał Kalf. — Byle Trond wrócił, nie będzie ci się tak okrutnie cknęło do dwojga dzieci.

— Ty już czujesz się tutaj znakomicie — rzekła Sygyrda i opowiedziała mu, jak cieszyła się widząc, że przewodniczy tingowi.

Kalf nie odpowiedział, długo jechali w milczeniu.

— Podczas tingu nie mogłem nie wspomnieć owego dnia, kiedy byłem w Maerinie z królem Olafem — wyrwało mu się nagle. — Wtedy po raz ostatni miałem do niego pełne zaufanie.

— Jeszcze o tym myślisz? Przecież chyba przestałeś wątpić, że ci wybaczył?

Sygyrda miała wrażenie, że na przestrzeni ostatnich lat szczerze ze sobą rozmawiali, a jednak Kalf od powrotu do Trondheimu nie wspominał nigdy Olafa.

— Nie wiem — odpowiedział, głębokie zmarszczki zarysowały mu się na czole. — Król wtedy źle postąpił, a mnie

później oszukał. Ale zarówno w jego śmierci, jak i w późniejszych wydarzeniach było coś, co sprawia, że czuję się jak zdrajca. Powtarzam sobie, że nic złego nie uczyniłem. Zrobiłem jedynie to, co przystoi możnemu naczelnikowi: dochowałem wiary ufającym mi, odpłaciłem wrogością za zdradę.

— A teraz zostałeś należycie uczczony, Kalfie. Szanuje cię każdy mieszkaniec Trondheimu; słyszałam, jak ludzie twierdzili, że to hańba, aby Einar Tambarskjelve się nie zgodę między tobą a Magnusem.

— Tak mówią teraz — odparł Kalf oschle. — Zapomnieli, co w nich siedziało, kiedy musiałem opuścić kraj.

— Ale zobaczyli skutki tego, kiedy Magnus zaczął się mścić. Na ringach także na pewno brakowało im ciebie od tyłu lat; chyba są kiepsko obznajmieni z prawem i ustawami.

— Tak — Kalf zamilkł, po czym ciągnął dalej: — Ani według prawa, ani według rozsądku nie mam czego żałować. A jednak mam paskudne uczucie przენiewierstwa, z którego nie mogę się otrząsnąć. Uczucie winowajcy, chociaż nie wiem, za co pokutować.

Tej jesieni i zimy wesoło bywało w biesiadnej.

Kalf użyczył gościny kilku Islandczykom; przyplłynęli jesienią do Trondheimu z towarami. Między nimi byli dwaj bracia: Bjarne i Tord synowie Hallbjórna; Bjarne był skal-dem, nosił przydomek oznaczający, że jest chytry na złoto. Często z niego żartowano, a już szczególnie w okresie świąt Bożego Narodzenia wiele było przekomarzań i śmiechów.

Ale Bjarne miał ostry język, nieraz też robił sobie wrogów. Najwięcej złośliwości wymieniali z Torgrimem synem Halla, także Islandczykiem. Torgrim walczył po stronie króla pod Stiklestadem; był ze świętym Olafem na wygnaniu, czym pysznił się niemało. Nie skrywał też, że jego zdaniem Kalf zawiódł króla.

Kalf nic nie mówił, ale Sygryda wiedziała, że to mu było niemiłe. Natomiast Bjarne wyraźnie dawał do zrozumienia, że Torgrim zachowuje się nieprzystojnie. Albo powinien

przemilczeć swoje zdanie, albo też nie korzystać z gościnności Kalfa.

Około Wielkiejnocy Bjarne spytał Kalfa, czy zezwoli mu wygłosić pieśń o sobie. Kalf chętnie przystał, wszyscy obecni we dworze zgromadzili się w nowej sali biesiadnej, by wysłuchać sagi ułożonej przez Bjarnego. Mówiła ona o życiu Kalfa, o wszystkich bitwach i walkach, w których brał udział, o sławie i czci, jakie sobie pozyskał.

Pieśń była dobra; po wysłuchaniu jej Sygryda pomyślała, że długo pozostanie w pamięci ludzkiej nawet po zgonie Kalfa. Mniej jednak podobało się jej znaczenie, jakie skald przywiązywał do czynów Kalfa pod Stiklestadem; obawiała się, by król Harald, który sam walczył po stronie Olafa, nie czuł się urażony. Ale Bjarne wyraźnie zamierzał zamknąć usta Torgrimowi.

Kalf pozornie nie miał pieśni nic do zarzucenia; nagroził skalda niezwykle hojnie, ofiarował mu złoty naramiennik zdobyty podczas wyprawy do Irlandii.

Torgrim jednak nie należał do ludzi, którzy nie odpowiadają na wyzwanie. Ledwo Bjarne usiadł, on zerwał się z miejsca.

— Nie okazujesz czci królowi Norwegii i świętemu, skoro wychwalasz człowieka, który zawinił śmierci bohater-skiego Olafa! — krzyknął. — A nie mniej dziwne jest, że ty, Kalfie synu Arnego, z przyjemnością słuchasz pieśni o twoim niecnym czynie pod Stiklestadem!

— Milcz, Torgrimie! — odparł z powagą Bjarne. — Jesteś ośmieszonym człowiekiem. Udawałeś chorobę, aż Islandczycy musieli wlewać w ciebie gorące mleko w kwartalne dni. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby kmiecie pod Stiklestadem oglądali twój tyłek.

Torgrim bez słowa wyszedł. Wkrótce jednak wrócił i skierował się prosto do miejsca, gdzie obok Kalfa siedział Bjarne. Zanim ktokolwiek się opatrzył, zadał skaldowi śmiertelny cios.

Tord brat Bjarnego zerwał się i chwycił za broń, ale na słowo Kalfa otoczyli go pachołkowie. Torgrima ujęto, a zwłoki wyniesiono.

Po tym zapadła w biesiadnej wyjątkowa cisza. Nikt nie wspominał pieśni Bjarnego, ludzie wcześniej poszli spać.

Następnego dnia Kalf zwołał wiec domowy; za zabójstwo Bjarnego orzekł Torgrima wyjętym spod prawa.

Natychmiast po zapadnięciu wyroku Tord syn Hallbjórna rzucił się na Torgrima i przeszył go mieczem. Zanim zdążył wyciągnąć miecz, Kolgrim, przyjaciel Torgrima, ciął w plecy Torda, który padł na zwłoki nieprzytomny.

Kolgrim chciał umknąć w las, ale natychmiast go pojmano, Kalf kazał go zakuć w żelaza.

Na tym ting zakończono.

Sygrydę zaniepokoiły te wydarzenia; zastanawiała się, jak król Harald to przyjmie. Kalf też był niezadowolony; nawet kiedy Tord zmarł na skutek odniesionej rany, ociagał się ze zwołaniem domowego wiecu dla osądzenia Kolgrima. A zresztą było już tak blisko wiosennego tingu, że uważał za najśluszniesze wnieść sprawę na tamten.

Tymczasem wieść o śmierci Islandczyka rozchodziła się po całym Trondheimie niczym kręgi na wodzie. Wkrótce po zgonie Torgrima król Harald zjawił się niespodziewanie w Egge z dosyć liczną drużyną.

Sygryda już słyszała, że król lubił wpadać do dworów bez zapowiedzi, aby się przekonać, jak go przyjmą. Niemniej jednak bała się, bo może pod tym krył się określony cel; może ostatnie wydarzenia sprowadziły go do Egge?

Dołożyła wszelkich starań, aby godnie przyjąć króla, lecz cały czas dręczył ją niepokój. Nawet wśród największej krzątaniny znalazła wolną chwilę i poszła do kościoła prosić Boga o pomoc.

Sygryda pierwszy raz widziała króla Haralda. Była niezwykle wysokiego wzrostu, szeroki w ramionach, męski, uśmiechał się z odrobiną wyższości i pogardy. A śmiał się często i także drwiąco.

Nie podobał się jej ani on, ani jego przywitanie.

— Słyszałem o tobie — zmierzył ją wzrokiem, a brzmienie głosu wyraźnie świadczyło, że to co słyszał, niezupełnie przemawiało na jej korzyść.

Król dotychczas nie był w Egge, toteż po południu prosił Kalfa, aby go oprowadził. Nie pominął żadnego kąta, wszędzie zaglądał.

W końcu doszli do starej izby gościnnej, gdy przechodzili przez sień, królowi wpadł w oko Kolgrim w więzach.

— Co to za jeniec? — zapytał.

— Islandczyk winien zabójstwa — odparł niezadowolony Kalf.

— A zatem jesteś Islandczykiem. Może również skaldem?

— Tak, panie — odparł pospiesznie Islandczyk, po czym dodał: — Ułożyłem kiedyś pieśń o waszym bracie, królu Olafie. Teraz czekam na śmierć, ale spojrzełbym jej w oczy beztrosko, gdybyście panie, uczynili mi ten zaszczyt, abym mógł wygłosić ową pieśń przed wami.

— Tego ci nie odmówię.

Po wieczerzy sprowadzono Kolgrima do biesiadnej.

Kalf milczał, bębnił palcami po oparciu poczesnego siedziska, kiedy król Harald prosił skalda o wygłoszenie pieśni.

Była ona kiepska; Sygryda dobrze wiedziała, że król, który sam był skaldem i znał się doskonale na składaniu strof, zaczynał się niecierpliwić.

— Ładnie, że dobrze wyrażasz się o moim bracie — zauważył — ale czy potrzebujesz aż tylu słów, żeby tak mało powiedzieć?

Niemniej ocknął się i nie tylko on jeden, kiedy pod koniec pieśni Kolgrim tak wykręcił, że przedłożył swoją sprawę królowi, a zakończył słowami:

Królu, pomocy twej proszę,
bo Kalf dzierży władzy połowę.

Król zmarszczył brwi.

— Na szczęście nie więcej, skaldzie — zauważył. Po czym zlecił Kolgrimowi swobodnie opowiedzieć, co się stało.

Kolgrim nie kazał sobie dwa razy tego powtarzać, szczególnie nacisk w opowiadaniu położył na pochwały, jakimi skald Bjarne obsypywał Kalfa za jego czyny pod Stiklestadem.

Król nie był łaskawie usposobiony, gdy pytał Kalfa, czemu orzekł Torgrima za wyjętego spod prawa.

— To było zwykłe zabójstwo — odparł Kalf.

— Takie zwykłe nie było. Ale widzę, że podobało ci się wychwalanie twego niecnego postępku pod Stiklestadem. A może szczycisz się tym, że mnie przepędziłeś z kraju?

— Wydarzenia pod Stiklestadem należą do przeszłości, panie. Teraz złożyłem wam przysięgę na wierność i tej dochowam żywy czy umarły.

Król uśmiechnął się oziębło.

— To jeszcze zobaczymy.

Po czym zwracając się do Kolgrima darował mu wolność jako wynagrodzenie za pieśń. Skasował orzeczenie Kalfa, według którego Torgrim uznany był za wyjętego spod prawa za zabójstwo skalda Bjarnego; wydał też wyrok, że synowie Torgrima mają dziedziczyć po skaldzie i jego bracie.

Kalf milczał, podczas ogłaszania wyroku królewskiego patrząc w ziemię, Sygryda jednak dostrzegła, że zaciskał szczękę.

Po wyjeździe króla Haralda Kalf upił się na umór, tak pijanego Sygryda go nie widziała od powrotu z Orkad. I nie skończyło się na tym jednym wieczorze; przeszło tydzień upłynął, nim wytrzeźwiał i można z nim było pogadać.

Pewnego ranka Sygryda usiłowała go pocieszyć, że król już się zemścił i na pewno uważa sprawę za skończoną, lecz Kalf roześmiał się drwiąco.

— Powinienem być wiedzieć: Pan Bóg mi nie przebaczył, tylko bawi się ze mną jak kot z myszą.

— Nie wolno ci mówić o Bogu jak o potężnym Odynie — napomniała Sygryda.

— Skoro wspomniałaś Odyna: mógłbym równie dobrze wrócić do wiary w dawnych bogów i cieszyć się tym szczęściem, jakiego oni mi użyczali. Od chrześcijańskiego Boga mogę się spodziewać najwyżej piekła.

Sygrydę przejął zimny dreszcz.

— Chyba postradałeś rozum, Kalf! Jakże to może być, nie pojmujesz, że Bóg chce zbawienia dla wszystkich? Nikogo nie skazuje na wieczne potępienie; nasze własne grzechy nas skazują — powiedział kiedyś ksiądz Jon. A grzechy On nam chętnie wybacza, byleśmy o to prosili.

Kalf patrzył wprost na Sygrydę, przez mgnienie oka miała wrażenie, że dostrzegła w jego spojrzeniu coś zgoła sobie nieznanego. Przeraziła się. Kalf odwrócił oczy, chwilę milczał, po czym zapytał:

— Czy wybaczył Judaszowi?

— Kalf! — Sygryda nie mogła złapać tchu. On sam też się nie odzywał, siedział rażony własnymi słowami. Przyciągnęła go ku sobie. — Kalf, musisz mnie wysłuchać. To nieprawda, nie jesteś w mocy szatana dlatego, że walczyłeś przeciwko świętemu Oławowi. Niewielu zostaje świętymi bez napotkania przeszkód; kto sprzeciwia się świętemu, nie jest sługą diabła, lecz narzędziem Boga.

— Kto ci to powiedział?

— Sigtryg Silkesjegg powiedział mi to na wyspie Jona. Powiedział także, że Bóg specjalnie czuwa nad swoim narzędziem.

— Ładnie mnie strzeże — odparł rozgoryczony Kalf. Po tych słowach wstał i wyszedł z komory.

Wieczorem znowu był pijany jak bela i złościł się, kiedy Sygryda usiłowała do niego przemówić.

Ostatnio król Harald więcej nie dawał o sobie znać, toteż z początkiem lata Kalf zaczął przygotowywać się do drogi. Miał jechać z królem do Danii. Sygryda obawiała się o niego, bo od czasu odwiedzin króla prawie nigdy nie bywał trzeźwy.

Wiosna była ciężka dla obojga. Troska Sygrydy o Kalfa wzmagała się z każdym dniem na widok pijanego do nieprzytomności, który błaźnił się przed domownikami; słyszała też, jak bełkotał o zdradzie i mękach piekielnych po wieczne czasy.

Próbowała z nim pogadać; ksiądz Anund również usiłował do niego przemówić, wszystko na darmo.

Trochę lepiej było od wyznaczenia dnia wyjazdu, jakby nadzieja na podróż, przygody i walkę odwróciły jego myśli od przedmiotu nieustannej udręki. Kilka dni przed wyprawą był całkiem trzeźwy.

— Nie mogę stawać do walki po pijanemu — wyjaśnił Sygrydzie. Sama nie wiedziała, czy świadomość, że Kalf potrafi być trzeźwy, jeśli chce, bardziej ją cieszy czy gniewa.

W ciągu tych dni rozmawiali o wielu sprawach; wspominali czasy w Egge przed wygnaniem na wyspę Hros, Sunnivę, Tronda, który jeszcze nie wrócił do Trondheimu. Natomiast o udręce Kalfa Sygryda nie śmiała wspominać, bała się, żeby znowu nie zaczął pić.

Jednakże ostatniego wieczora przed wyruszeniem w drogę sam zaczął:

— Ksiądz Anund mnie napastował.

— Rzeczywiście?

— Ostatni raz z nim gadałem — oświadczył ponuro.

— Powiedział coś złego?

— Niechby się jeszcze raz odważył porównać mnie do tego tchórza, księdza Jona!

— Na pewno nie miał nic złego na myśli. Ogromnie cenił księdza Jona.

— Porównanie nie dotyczyło tego, co w nim najbardziej cenił. Powiedział, że boję się spojrzeć prawdzie w oczy tak samo jak ksiądz Jon cierpieniu. Uważa, że nie spowiadałem się z tego, co mnie nęka, bo bałem się, że ksiądz może potwierdzić najgorsze, co mniemam o sobie. A póki się nie wypowiadam, mogę się jeszcze pocieszać, że pewno jestem niewiniątkiem!

Sygryda zamyśliła się.

— Chyba Anund ma słuszość — rzekła w końcu. — Jedno jest niewątpliwe — zawsze unikałeś spowiadania się z tego, co się wiązało z królem Olafem. A kiedy miałeś sposobność pokutowania, także się wykręciłeś.

Kalf jęknął.

— Czy ty nie pojmujesz, że jeśli odbędę pokutę, tedy wyznam wobec innych i siebie, że zwykłym zdrajcą?

— Nieraz tak siebie nazywałeś.

— Inna sprawa, czego się obawiam, choć nie całkiem w to wierzę, co mówię tobie czekając, aż zaprzeczysz, albo co sam sobie w duchu wyrzucam. A co innego żyć dzień po dniu w całkowitym przekonaniu, że popełniłem zdradę; takiego upokorzenia nie zniósłbym. — Wobec milczenia Sygrydy dodał jakby ze dziwieniem: — W ogóle nie pojmuję, jak mogło do tego dojść, wszak usiłowałem żyć, jak przystoi godnemu mężowi.

— Może wcale nie chodzi o to, abyś rozumiał. Jeżeli mamy się prześliznąć przez ogień czyścowy, wszyscy musimy się upokorzyć, może twoje ukorzenie zależy od tego, czy się pogodzisz z tym, czego nie pojmujesz.

Oboje umilkli.

— Anund jeszcze coś utrzymywał — dorzucił pospiesznie Kalf. — Mówił, że może Bóg w swojej dobroci nałoży na mnie pewnego dnia pokutę, od której próbuję uciec, tak jak na końcu zesłał cierpienie księdzu Jonowi. Odpowiedziałem, że Bóg dosyć pokut mi już wyznaczył. A on na to, że nawet jeśli tak było, nie poddałem się im w chrześcijańskim duchu.

— Nic dziwnego, że on ma wątpliwości...

— Nie mogę się w tym wszystkim rozeznąć — stwierdził Kalf patrząc na nią prawie błagalnie. — Nie dlatego, żebym nie chciał. Jeśli chodzi o przebaczenie, wydaje mi się, że Bóg musi ogromnie cenić tego, którego uczynił świętym, bo jest do Niego podobny. A przecież nawet podczas ostatniej podróży z Rusi do Norwegii król Olaf był spragniony odwetu; wyraźnie tego dowiódł, kiedy dostał w swoje ręce Jokula syna Baarda... Ja teraz nie ufam już ani sobie, ani Bogu, ani księżom.

Sygryda słyszała o Jokulu. Dowodził królewskim statkiem „Visund” zagarniętym przez jarla Haakona po ucieczce Olafa. A kiedy na Gottlandzie wpadł w ręce króla, Olaf zadał mu okrutne męki przed śmiercią. Przez chwilę myślała o wyjaśnieniu Kalfowi, co ona sądzi o królu Olafie. Ale wiedziała, że nie osiągnie skutku.

— Czy mówiłeś o tym z księdzem Anundem?

Kalf potwierdził.

— Rzadko widywałem go w większym podnieceniu. Powiedział, że jeśli chcę uzyskać odpuszczenie grzechów, muszę wierzyć, że Bóg chce je wybaczyć. Mówił o Chrystusowej ofierze, a także coś o nowym i starym przymierzu — czego nie rozumiałem. Wyraźnie natomiast stwierdził, że wedle jego mniemania Bóg wybacza grzesznikom nawet w chwili śmierci, jeśli ktoś prawdziwie żałuje, pragnie spowiedzi i pokuty. Bóg wybaczyłby samemu Judaszowi, gdyby Go o to prosił! — tak mówił Anund. — Po chwili milczenia Kalf wrzasnął: — Przeklęty Finn! On miał sposobność naprawienia wszystkiego, kiedy chciał mnie zabić pod Stiklestadem; dlaczego to on właśnie mnie ułaskawił? Tylko ja muszę wlec za sobą grzech, którego nie rozumiem i nie wiem, jak się go pozbyć.

Sygyda patrzyła na niego ze zdumieniem, bo zupełnie nie rozumiała, co Finn ma z tym wspólnego. Ale na pytanie nie otrzymała odpowiedzi. Zamyśliła się wobec tego nad rozmową z Anundem.

— Nie możesz się porównywać z Judaszem — oświadczyła w końcu. — Jestem także pewna, że mylisz się, bo Pan Bóg cię nie prześladowa. Może na odwrót, Bóg i król Olaf są ci przychylni, skoro ciągle dają ci nową sposobność pokutowania. Olve też kiedyś mówił, że pokuta wynika z Bożej miłości, jest darem. Ale dopiero znacznie później, kiedy sama byłam obarczona winą, zaczęłam pojmować, co on miał na myśli. Nie obawiaj się pokuty, Kalf, nie uciekaj od niej jak od kary. Bo ona jest błogosławiona. — A potem, tuląc policzek do jego twarzy, dodała: — Nietrudno chyba uwierzyć, że Bóg może wybaczać, jeśli my potrafiliśmy sobie wybaczyć.

Kalf nie odpowiedział na to, tylko ciężko westchnął.

A mimo to w chybotliwym świetle kaganka zauważyła, że w miejsce rozgoryczenia malującego się na jego twarzy pojawił się smutek.

Następnego dnia Kalf odpłynął w dwa statki; drugim dowodził Finn Haraldsson z Gjevranu.

Lato było piękne. W lasach i na zboczach pełno kwiatów, trawy, len, konopie i zboże wyrastały bujnie. Ale Sygrydy nic z tego nie cieszyło.

Trond wrócił do Egge. Przybył z końcem miesiąca odstawiania jagniąt, ze statku zszedł na ląd wysoki, poważny, w białej szacie irlandzkiego kapłana.

— Czy nie dzielasz mojej radości, że zostałem wyświęcony na kapłana? — spytał matki, kiedy skończył witać dawnych znajomych.

— To zależy, czy zamýślasz się żenić — odparła niepewnie.

Trond błysnął oczami i roześmiał się.

— Nie bardzo zmieniałś się, matko. Zawsze bezwstydnie kusisz i namawiasz do tego, co sobie ułożysz.

— Kto chce wiedzieć, ten pyta — odparła Sygryda urażona.

— Skoro pytasz — Trond nie przestawał się śmiać — nie zamierzam się żenić.

Sygryda nie odezwała się więcej; rozglądała się po nowej izbie biesiadnej zbudowanej przez Olwego niegdyś... tak, już nie jest nowa, ma chyba blisko pół wieku...

Nagle poczuła znużenie. Nie miała chęci rozmawiać teraz z synem, tym bardziej że izba wypełniała się ludźmi.

Zaczęła wypytywać o wyspę Jona, o Hros i Thurso, dowiedziała się, że ostatniej jesieni Sunniva powiła córkę i wszystko u nich dobrze, przesyłają przez Tronda pozdrowienia oraz zaproszenie na gościnę.

Widział się także z jarlem Torfinnem po jego powrocie z Rzymu. Torfinn otrzymał rozgrzeszenie za wszystkie przewinienia, a było ich niemało — dodał Trond na własny rachunek. Teraz ma wybudować Chrystusowi kościół w Birgso. Był ogromnie przejęty tym przedsięwzięciem — twierdził Trond.

Następnego dnia po południu Sygryda oprowadzała syna po gospodarstwie i całej majątności.

Pokazywała mu kurhany praocjów, opowiadała, kto gdzie spoczywa i jakie było jego życie. Pokazywała mu każdy budynek, mówiła, na czyj rozkaz i czyimi rękami był wzniesiony. Wspomniała Tronda Haka oraz jego ród, a także krewniaków Olwego z rodu jarłów Lade. A opowiadając sama dziwowała się, jak żywo wszystko pamiętała.

W pewien sposób odnajdywała siebie poprzez więź łączącą ją z dworem, z jego przeszłością i teraźniejszością. Trond z rzadka się odzywał; już dawniej niejedno z tego słyszał.

W końcu weszli do starej izby gościnnej; Sygryda umyślnie tak pokierowała. Jednakże kiedy stanęli pod szernią od dymu powała i wzrok jej prześliznął się po siedzisku gospodarza, na którym Olve tak często siadywał, a przed nim jego dziadowie, dłuższą chwilę nie mogła zdobyć się na słowo.

— Trond, Bogu złożyłeś przyrzeczenie — zaczęła w końcu. — I ja na pewno nie będę cię odrywała od powołania służenia Mu. Ale przecież bywają księża żonaci. Jesteś ostatni z rodu. Nie możesz, nie masz prawa dopuścić, aby wygasł! Pomyśl, ile trudu włożyli tutaj przodkowie, z ojca na syna, poczynając od założyciela rodu, którego nawet z imienia nie znamy, aż po twego ojca. Pomyśl także o Kalfie, który cię wprowadził do swego rodu, abyś po nim dziedziczył schedę praocjów. Czy za nic masz ich pracę i nadzieje pokładane w następcach?

Spojrzała na syna, wydał się dziwnie daleki, zimny jak śnieg w białej szacie.

— Myślałem o tym — odparł Trond. — Jak sądzisz, czemu tak długo zwlekałem?

Sygryda znowu czuła się zjednoczona z Egge, z ziemią i jej życiodajnym ciepłem; wiedziała przeto, że mogłaby tutaj dożywać swoich dni w pokoju, patrzeć, jak wzrastają nowe pokolenia starego rodu. A równocześnie odczuwała rozdierający ból. Bo ten oto mężczyzna w białej szacie, jej syn, przekonany o swojej słuszności zrywał ogniwa rodowego łańcucha ze względu na powołanie.

Wszystko w niej wrzało z dawno minioną gwałtownością. Mogłaby znieawidzić tego syna, pełnego wyższości i oziębłego.

Trzeba do niego trafić! On musi zrozumieć!

Z początku mówiła spokojnie. Dopiero kiedy zauważyła, że to daremny trud, zaczęła nalegać, a potem grozić. W końcu straciła panowanie nad sobą; krzyczała coś o dziedzictwie rodu Lade, o tym, że urodził się na władcę Norwegii.

Wtedy Trond odwrócił się i wyszedł. Ona tymczasem zalana łzami osunęła się na ziemię i oparła głowę o siedzisko gospodarza.

Sygyda miała nadzieję, że znowu zdomowi się w Egge. A teraz kiedy ta chwila nadeszła, nie zapewniła jej ani radości, ani spokoju.

Po rozmowie z Trondem popadła w rozterkę: z jednej strony miłość do Egge i rodu, z drugiej obowiązki wobec Boga. Patrząc na syna odprawiającego pierwszy raz mszę w kościele w Egge była w czarnej rozpacz.

A co Kalf powie, kiedy wróci z wyprawy? To będzie ciężkie przejście dla niego, a niestety tyle przeciwności już go spotkało.

Kalf od wyjazdu nie schodził jej z myśli; zastanawiała się, co powiedzieć lub zrobić, aby go przekonać o Bożym miłosierdziu.

Teraz już prawie traciła nadzieję, by jej się to kiedykolwiek udało. Wstydziała się, że usiłowała odwieść Tronda od jego powołania, kusiła go władzą, zaszczytami; ale równocześnie była okrutnie rozżalona, że jej nie usłuchał.

Nieuczciwie postąpiła wobec Boga, wobec króla Haralda, wobec Kalfa, który zaprzysiągł wierność królowi, a przede wszystkim wobec Tronda. Zaczynała dostrzegać jakąś otchłań w swojej duszy. Ale najbardziej ją bolało, że Trond to widział.

W miesiącu słonecznym okręt Kalfa przyplłynął do Egge.

Strażnik przyszedł dziwnie nieśmiało uprzedzić, iż pokazał się na horyzoncie.

— Namiot jest rozpięty — oznajmił półgłosem.

Sygyda nie odpowiedziała. Wiedziała, co to znaczy. Posłała po Tronda, który był w kościele.

Razem poszli do przystani.

Sygyda miała wrażenie, że śni. Niezliczone razy chodziła tędy. Ale pierwszy raz na przyjęcie trumny.

Kiedy znaleźli się na pomoście, statek już dobił do brzegu, trumnę ustawiono na ziemi. Nie mogła oderwać od niej wzroku, ani myśli od tego, który w niej leżał.

Podobnie jak po zgonie Olwego pocieszała się teraz, że Kalf znalazł Boga. A równocześnie z bezdennym lękiem stwierdzała, że chyba nie znalazł ani spokoju, ani zbawienia.

Zamroczyło ją na tę myśl; musiała go zobaczyć, zobaczyć jego twarz zastygłą w śmierci, może wyraża cień nadziei. Nie zastanawiając się, co robi, padła na kolana i chciała oderwać wieko.

Ktoś mocno chwycił ją za ramiona, to Trond.

— Matko, nie rób tego!

Jednocześnie odezwał się inny głos, znany, choć nie wiedziała czyj.

— Sygydo, na miłość Boga, przeszło dwa tygodnie temu zginął!

Rozpaczliwie usiłowała się wyrwać trzymającym ją, jak przez mgłę widziała, że mężczyźni dźwignęli zwykłą drewnianą skrzynię i ponieśli ku dworowi.

Czuła, że Trond ją podnosi i prowadzi, potem otoczył ją ramieniem i na poły włókł ścieżką pod górę.

Potem ktoś wsparł ją z drugiej strony, powoli obróciła głowę: poznała Finna syna Arnego.

Nie wiedziała, jak dostała się na górę. Widziała tylko niesioną przodem trumnę; raz ludzie się potknęli, usłyszała głucho stuknięcie, kiedy zwłoki Kalfa przesunęły się na bok. Wzdrygnęła się ze zgrozy.

Na dziedzińcu otoczyli ją domownicy, poważne, smutne twarze, wszystkie oczy w nią wpatrzone.

Te oczy wpijały się w nią, żądały, aby się trzymała, aby się nie załamała.

To byli jej domownicy, jej ludzie; mieli prawo wymagać, żeby sprostała swemu stanowisku: była córką wikingów i małżonką możnego naczelnika. Czekali na jej rozkazy.

Głęboko zaczerpnęła tchu, jeszcze wsparła się na ramieniu Tronda. Ale z każdym następnym oddechem czuła się silniejsza; w końcu puściła syna, wyprostowała się i zupełnie czystym głosem rozkazała dziewczkom:

— W nowej gościnnej rozwieście makaty na ścianach! — a potem zwracając się do Haralda syna Guttorma dodała: — Wnieście tam trumnę i roześlij gońców po całej gminie. Za trzy dni będzie stypa w Egge.

Kalf został pochowany tego samego popołudnia na cmentarzu przy kościele w Egge. Złożono go od wschodniej strony kościoła, jak przystoi grzebać naczelników.

Natychmiast po ceremonii Finn syn Arnego odwołał na stronę Sygrydę i Tronda.

— Kalf zginął skutkiem zdrady — rzekł. — Król Harald okazał się równie fałszywy jak monety, które kazał bić. Wysłał Kalfa w pole z niewielką drużyną, przyrzekając, iż pospieszy z posiłkami. A tymczasem siedział za stołem, aż się upewnił, że Kalf poległ. Wtedy dopiero zszedł na ląd i skłonił Danów do ucieczki.

Sygryda oniemiała.

— Zginął przez zdradę — powtórzyła w końcu, z trudem chwytając oddech. — Czy myślisz, że on sam to zrozumiał?

— Nie wiem. Czemu pytasz?

Sygryda miast odpowiedzieć, pytała dalej:

— Jak wyglądał, kiedy go odnaleziono?

— Myślisz o śmiertelnej ranie?

— Nie. Jak wyglądała jego twarz?

— Nie pamiętam. Dziwnie pytasz. Ale skonał od pchnięcia włócznią.

— Czy od tej rany umarł niezwłocznie, czy też konał dłużej?

— To musiało trwać — odparł Finn wykrzywiając się. Po czym zwrócił się do Tronda. — Masz za co szukać pomsty. — I jakby chciał wyraźniej podkreślić swą myśl,

położył dłoń na skrwawionym kaftanie, który przywiózł, a teraz trzymał obok siebie na ławie.

Trond dotychczas milczał; teraz także nie odpowiedział, tylko ruchem wskazał białą szatę kapłańską. Finn niecierpliwie podrzucił głową.

— Zrzuć tę babską suknię, człowieku! Słyszałem, że potrafisz dobrze użyć miecza, jeśli chcesz!

— Miecza już więcej nie wezmę do ręki — odparł Trond kręcąc głową.

— Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie dzień, kiedy będę musiał namawiać cię, abyś wystąpił jako dziedzic jarłów Lade! — Finn przesywał Tronda wzrokiem. — Ale teraz, kiedy wdziałeś spódnicę i nie chcesz pomścić opiekuna, muszę ci przypomnieć, czyja krew płynie w twoich żyłach. Twój przodekowie czerwienią się ze wstydu za ciebie. Pokaż im, że się omylili, że jeszcze jesteś mężczyzną! Jedź ze mną do Danii do Svena syna Ulfa! Razem będziemy walczyli przeciwko Haraldowi synowi Sigurda i jego przewrotności, a zwyciężyć musimy. Później zaś, kiedy go pokonamy, w Norwegii znowu rządzić będzie jarl Lade!

Trond był prawie tak biały jak jego suknia.

— Za kogo mnie masz, jeśli sądzisz, że mam gotów złamać przysięgę złożoną Bogu? — krzyknął.

— Wybaczą ci w Rzymie, byleś dobrze zapłacił. Jako ksiądz wiesz o tym — odparł Finn oziębło.

— Tak. Nie mogę przeczyć. — Trond spuścił oczy. Cień pojawił się na jego twarzy, Sygryda miała wrażenie, że pogłębia się przesłaniając biel duchownej szaty.

— Może byś nawet uzyskał tytuł króla — ciągnął dalej Finn, spoglądając na Tronda spod oka. — A gdybyś służył Bogu jako król, uczyniłbyś więcej dla Niego, niż wałęsając się w białej sukni po Egge.

Sygryda dostrzegła błysk w oczach Tronda. Taki sam widywała w oczach innych mężów, kiedy mówiono o sławie i zaszczytach; znała go z czasów, gdy Kalf cieszył się znaczeniem w Norwegii i ciągle pragnął większej władzy. Kalf, który teraz leżał na cmentarzu, choć może nie za-

sługiwał na poświęcaną ziemię. Żądza władzy była przyczyną jego zguby.

— Trond! — krzyknęła nagle przerażona. — Nie wolno ci, nie możesz narażać zbawienia duszy dla władzy!

Obaj zwrócili się ku niej.

— Ty! — Finn syn Arnego wypowiedział to słowo, jakby splunął. — Ty, coś skazała na śmierć dwóch synów, żeby pomścić Olwego, coś judziła Kalfa przeciwko świętemu królowi, przyczyniłaś się do tego, że musiał uciekać z kraju, a może i zawiniłaś jego śmierci — co ty masz do gadania? Po stracie Olwego wołałaś o zemstę jak walkiria. A Kalf nie jest godzien pomsty, co?

Sygyda nagle poczuła się znużona, nieskończenie znużona, jakby żyła od tysiąca lat.

— Dość napatrzyłam się zemście — powiedziała ponuro. — A żądy władzy także aż nadto, i wszystkim nieszczęściom, jakie na domiar sprowadza. Jedź do Danii, Trond! Zemścij się, zostań jarlem albo królem, ja cię nie mogę powstrzymać. Ale wiedz, że ta droga nie prowadzi do szczęścia i spokoju. Bo cel nigdy nie kryje się za najbliższymi szczytami gór; będzie ci się zdawało, że je osiągniesz, kiedy zdobędziesz jeszcze więcej bogactwa, więcej potęgi. Jeżeli gonisz za szczęściem, stanie się ono biczem, który cię wpędzi w potępienie wieczne.

Wstała, by odejść; siedzieli w małej izdebce Anunda. Nie pobiegli za nią. Poszła do świetlicy dopatrzeć gospodarstwa.

Tego popołudnia nie widziała więcej Tronda. Ale miała tyle zajęć, że czasu na myślenie nie starczało i była temu rada. Niemniej zdziwiła się nie widząc go przy wieczerzy.

Natomiast Finn syn Arnego przyszedł, choć do Sygydy odzywał się tylko tyle, ile wymagała zwykła uprzejmość. Przy pierwszej sposobności wstał i poszedł spać.

W miarę jak domownicy się rozchodzili, Sygyda czuła, że rozpacz coraz wyraźniej osacza ją ze wszystkich stron niczym mgła. Przerazała ją myśl o samotnej nocy w komorze, nie wiedziała, co z sobą począć.

Najdłużej wytrwał książd Anund; najwidoczniej czekał, aż go poprosi o rozmowę. Nie zrobiła tego; nie wiedziała, co

mówić o Kalfie i Trondzie. Mimo to usiłowała zatrzymać go jak najdłużej, mówiła bez ładu i składu o różnych sprawach, dała za wygraną, dopiero kiedy Anund zdrzemnął się na siedząco.

Wyszła na dwór. Noc była jasna, chwilę stała na dziedzińcu, nie mogła zdobyć się na pójście do komory. W końcu wybrała drogę prowadzącą do kościoła.

Zatrzymała się przy wejściu, blade światło jedynej świecy rozjaśniało wnętrze, czekała, aż oczy przywykną do zmiany oświetlenia. Po chwili wzdrygnęła się na widok postaci klęczącej przed ołtarzem, pochylonej z twarzą przy ziemi. Od razu wiedziała, kto to. Głęboko zaczerpnęła tchu z głośnym świstem, nie zdając sobie nawet sprawy, jak jej ulżyło na duszy.

Podeszła ostrożnie do swojego zwykłego miejsca, przeżegnała się i uklękła.

Myśli i uczucia kłębiły się w niej tak gwałtownie, że nie mogła zdać sobie z niczego jasno sprawy; miała wrażenie, że w jej głowie szumi spieniony na wiosnę potok Skarn. Wzroku natomiast nie mogła oderwać od postaci przed ołtarzem. Czy klęczał tutaj cały wieczór od rozmowy z Finnem Arnessonem i czy w ogóle kiedykolwiek się podnie- sie?

W końcu ona wstała, podeszła do syna i położyła mu rękę na ramieniu.

Odwrócił się do niej, jakby chciał odtrącić jej dłoń. Puściła go, wróciła na swoje miejsce. Po chwili on się podniósł, zapalił kaganek u wejścia do prezbiterium i podszedł do Sygrydy. Usiadł na miejscu Kalfa.

Sygryda, która dotychczas klęczała, też usiadła, Trond położył rękę na jej dłoni.

— Po raz drugi wysłałaś mnie na wyspę Jona, matko!

— Czy tam pojedziesz? — spytała nie rozumiejąc.

— Nie, nie. Miałem na myśli, że w niebezpieczeństwie skierowałam mnie na właściwą drogę. Niech cię Bóg za to błogosławi!

Nie odpowiedziała. Spojrzała w tym kierunku, w którym on patrzył i natrafiła wzrokiem na dawny obraz Olwego, na

świętego Jana, który nadal wisił na tym samym miejscu nad ołtarzem. Trond zauważył to i odezwał się:

— Mam wrażenie, że widzę ojca w tym obrazie. Wspominam także, co on mówił o Bożej miłości — wedle tego, co mi opowiadałaś.

Sygyryda przełknęła ślinę, przyszło jej na myśl, że sama kiedyś widziała Olwego zamiast świętego Jana. Ale to było zupełnie co innego!

— Ojciec byłby dumny z ciebie dzisiaj, matko, poświęciłaś swoje nadzieje na przyszłość rodu dla ratowania mnie od grzechu.

— Nie wiem, czy chętnie to uczyniłam — odpowiedziała pochylając głowę.

Trond milczał, palcami prawej ręki wodził po poręczy karła rzeźbionej w kształt smoka, lecz wzroku nie spuszczał z ołtarza.

— Dziś wieczorem powtórzyłem śluby kapłańskie tu w kościele. I dopiero teraz jestem pewien, że taka jest moja wola.

— Jakże mogłeś przyjąć święcenia kapłańskie nie będąc pewnym siebie? — spytała ze zdumieniem. — A wydawałeś się przekonany.

— Może chciałem ukryć niepewność — odparł nie przestając gładzić drewnianej poręczy. Po chwili zaś dodał: — Wybacz mi, matko, byłem bezwzględny, kiedy mówiłaś mi o obowiązkach rodowych, i nie powinienem być tak odejść. Ale nie ufam sobie na tyle, aby z tobą rozmawiać.

— Wszak wspominałaś, żeś tę sprawę przemyślał.

— Dostyc, by stwierdzić, co jest słuszne, lecz za mało, by rzeczywiście chcieć.

Nadal patrzyła na niego ze zdziwieniem, Trond poruszył się niecierpliwie.

— Chyba pojmowałaś, że jeśli przebywałem na wyspie Jona, to nie tylko w zamiarze służenia Bogu.

— Nie. Tego nie rozumiałam.

— Po odbyciu nałożonej mi pokuty zostałem, bo powodowała mną chęć zdobycia wiedzy. Opowiadałem ci kiedyś,

matko, że odkryłem nową krainę, chciałem ją dokładnie zbadać.

Wkrótce spostrzegłem, że uczyć się łatwiej niż inni; niewiele też czasu potrzebowałem na wybicie się w rozprawach. Potem przysłała chęć współzawodnictwa, walczyłem na słowa jak przedtem na miecze, i uważałem to za równie przyjemne.

Z początku, kiedy opat powiedział, że powiniennem zostać księdzem, nie brałem tego poważnie. Miałem całe życie przed sobą; nie chciałem go marnować na odprawianie mszy. Pierwszego lata po powrocie do domu z wyspy Jona towarzyszyłem Kalfowi na wikingowską wyprawę, choć od dzieciństwa wiedziałem, że to nie jest dobre. Wyprawa ta nie sprawiła mi radości: jednego dnia upajałem się okrucieństwem i pragnąłem krwi, drugiego dnia gryzło mnie sumienie. W końcu bałem się samego siebie; żądza krwi narastała, skłaniała do najpotworniejszych okrucieństw, takich jakie odwiody mojego ojca od wikingowskiego życia jeszcze jako poganina. Tak przecież mówiłaś. Skończyło się na tym, że uciekłem do mnichów. Byłem na Jonie już z górą dwa lata, zanim wiara mnichów prawdziwie mnie zniewoliła. To bardzo dziwne, żyć w takiej społeczności; po jakimś czasie wszystko, co ich zajmuje, zaczęło i dla mnie nabierać znaczenia. Może to jest oddziaływanie Boga w człowieku...

Z czasem wydało mi się, że prawdziwie jest wolą Boga, abym został kapłanem. Mnisi mieli słuszność: ojcu mojemu winien byłem to, aby spełnić jego życzenie służenia Bogu; a Bogu winien byłem: używać Jego darów ku Jego chwale. Po cóż inaczej kierowałyby moje kroki na wyspę Jona?

Jednakże bezpośrednio po opuszczeniu klasztoru traciłem pewność, a najczęściej stwierdzałem, że w ogóle nie miałem ochoty odpowiedzieć na powołanie. — Po chwili wahania Trond dodał: — Bóg wie, jak się zmagalem w ciągu ostatnich lat. A kiedy dałem się wyświęcić na kapłana, to przede wszystkim dlatego, że gdybym opuścił mnichów bez święceń, już bym nigdy nie został księdzem. Jednakże w moim mniemaniu była to większa strata dla Kościoła niż dla mnie...

— A teraz? — spytała po chwili Sygryda.

— Teraz wiem, że igrałem z ogniem.

— Nie pierwszy raz — zauważyła mimo woli Sygryda.

Gwałtownie obrócił się ku matce, lecz skończyło się na uśmiechu.

— Błogosławiona twoja szczerość! Anund właśnie mówił, że księdzu najtrudniej dostrzegać własne grzechy, a mało kto ma odwagę mu przyganić. Ale ja nie potrzebuję obawiać się niczego, dopóki mam ciebie!

— Czy zamierzasz zostać w Egge?

— To zależy od biskupa — odparł. — Nie jestem związany z klasztorem na wyspie Jona. Anund potrzebuje pomocy, nic zatem nie stoi na przeszkodzie, bym służył tutejszym wiernym. Poza tym mogę potrzebować rady bardziej doświadczonego księdza niż Anund, zrozumiałem to. Zaczynam pojmować nareszcie, jak wielka jest różnica między wiedzą a mądrością, między pouczeniem a wiarą, między pojmowaniem czegoś a rzeczywistym usiłowaniem życia tą prawdą. — Zamilkł na chwilę i mówił dalej: — Klęcząc tu przed ołtarzem uprzytomniłem sobie, że należą do tych, o których święty Grzegorz pisał, iż z wielkim zapałem chłoną nauki o sprawach duchowych, natomiast w życiu depczą to, co sobie przyswoili.

— Nie zawsze łatwo człowiekowi — zauważyła Sygryda.

— Nawet kiedy usiłujemy żyć według zrozumiałej nauki, najczęściej od niej odchodzimy.

Trond bacznie spojrzał na matkę.

— Wydało mi się, że widzę otwarte niebiosa — wyjaśniła. — Miałam wrażenie, że jedynym moim pragnieniem jest nagać się do Bożej woli. A sam widziałeś, jak się buntowałam, gdy przyszło co do czego. Czułam, że dany mi jest największy ze wszystkich darów: zdolność miłowania z pominięciem własnych korzyści; a mimo to zawsze dla mnie liczyła się najbardziej moja własna osoba i duma.

Trond ponownie skierował wzrok na ołtarz.

— Człowiek stworzony do władania, dzięki zdolności pojmowania. Człowiek kuszony jak Lucyfer własną błyskotliwością i bogactwem...

Sygryda patrzyła na Tronda nic nie rozumiejąc.

— O czym ty mówisz?

— Powtarzam pieśń o chwale Bożej. Ułożył ją święty Kolumban, założyciel klasztoru na wyspie Jona. Chęć rozumienia jest wielką pokusą. Przypomina wino, człowiek upaja się własną uczonością i wkrótce zyskuje przekonanie, że wie wszystko. A zapomina, że poszukując prawdy Bożej trzeba się ćwiczyć w pokorze, chętnie uczyć od innych, skwapliwie przyznawać do swojej omyłności. — Przerwał, lecz wobec milczenia Sygrydy zaczął znów mówić: — Bóg wie, że nie jestem zdolny wziąć na siebie brzemia, jakie dźwigają mnisi świętego Kolumbana, którzy wyrzekają się raz na zawsze możliwości mówienia, czynienia a nawet myślenia tego, co chcą. Ale dopiero dzisiaj stwierdziłem, jak zapóźniony jestem na drodze posłuszeństwa i pokory, które usiłowano mi wpoić.

Sygrydzie nagle przyszło coś na myśl:

— Skoro nie jesteś związany z klasztorem świętego Kolumbana i może tu zostaniesz, tym bardziej nie pojmuję, dlaczego nie miałyby się ożenić.

— Droga, kochana matko! — Trond nie mógł ukryć przelotnego uśmiechu. Po czym z powagą wyjaśnił: — Nie sądzę, że nie mam ochoty. Ale nie uważam tego za słuszne. To znowu jest pokusa i ufam Bogu, że pomoże mi się jej oprzeć.

Sygryda ciężko wzdychała.

Po chwili Trond zaczął ją wypytywać o Kalfa, o szczegóły jego życia w Egge i przyczyny wyjazdu. Usiłowała opowiadać spokojnie, wkrótce jednak załamała się, wybuchnęła łkaniem. I nim się opatrzyła, wyjawiała synowi, a zarazem kapłanowi wszystkie swoje smutki, winy i żale. Kiedy umilkła, Trond ociągał się z odpowiedzią, ukląkł do modlitwy. Zauważyła, że zwracając się do mej, jakby lżej odetchnął.

— Bóg jest miłością. Zawsze pozostaje nam ufność w Jego łaskę. — Na chwilę przysłonił oczy dłonią, po czym zakończył: — Nigdy nie odpłaciłem Kalfowi za wszystko, co dla mnie zrobił, nawet mu nie podziękowałem...

*

Finn syn Arnego opuścił Egge już następnego dnia. Spieszył wyjechać z kraju, a nadto nie chciał patrzeć, jak baba zajmie poczesne miejsce po jego bracie. Twierdził, że teraz żałuje zgody udzielonej na wprowadzenie Tronda do rodu. Zresztą nie zamienił z nim słowa od rozmowy w izbie Anunda. Dopiero kiedy Sygryda odprowadzała go na statek, nawiązał z nią rozmowę.

— Rozumiem, żeś teraz wytrącona z równowagi. I trudno coś temu zarzucić. Mniemam jednak, że przyjdiesz kiedyś do rozumu. Wtedy pogadaj z Trondem, powiedz, że czekam na niego w Danii.

— Musisz tam popłynąć? — spytała Sygryda, ale odpowiedzi jego słuchała, jak gdyby mówiła zjawa.

— Król mnie zawiódł. Nie może liczyć, że będę mu służył jak niewolny. **Źle** uczyniłem ratując władzę królewską Haralda po zgonie Einara Tambarskjelve; lepiej by było dla nas wszystkich, gdyby go przepędzono z kraju. A zresztą ja nie chcę, aby na mnie ciążyła hańba za poniechany obowiązek pomszczenia Kalfa. Ludzie gotowi pomyśleć, że go kiedyś zwiódł z rozmysłem; wiadomo przecież, że raz nastawałem na jego życie. — Finn na chwilę umilkł, po czym natarczywie wpatrując się w Sygrydę powiedział: — Jeśli Kalf kiedykolwiek zarzucił mi zdradę, to kłamstwo! Nigdy nie byłem mu przeciwny bez słusznego powodu. A teraz pokażę, że cenię jego dobre imię wyżej niż inni... których mógłbym od razu wymienić.

Sygryda odwróciła się od niego bez słowa. Po chwili on także odwrócił głowę, mówiąc z rozżaleniem:

— Pod koniec Einar był najprzebieglejszym z możnowładców; pojmował, że równie niebezpieczne jest być wrogiem jak przyjacielem króla Haralda. Grał wysoko, pozyskał życzliwość kmieci i wykorzystał ich przeciwko królowi, usiłował zdobyć siłą to, czego nie mógł dobrocią. Przegrał, ale z honorem, a ja, który uważałem siebie za przyjaciela króla Haralda, stoję tu teraz jak baran...

Sygryda na to nie odpowiedziała; byłoby równie niedobrze przyznać mu słusność, jak mu zaprzeczyć. Postanowiła jednak załatwić inną sprawę.

— Czy ktoś z naszych okolic zginął razem z Kalfem?
— spytała.

— Nie wiem. Ruszyłem w drogę natychmiast po uzyskaniu od króla zezwolenia na odwiezienie Kalfa do domu. Ale czekaj... tak, wiem o jednym... Finn syn Haralda, przyjaciel Kalfa!

Sygyda westchnęła. Zgon Finna nie był w stanie pogłębić jej własnego cierpienia, ale pomyślała o Ingeridzie.

Finn, wsiadając na statek, podał jej rękę:

— Żegnaj, Sygydo. A może cię jeszcze zobaczę, jeśli twój syn przybędzie do mnie do Danii.

Trzeciego dnia od pogrzebu Kalfa Trond syn Olwego zasiadł na poczesnym miejscu pradziadów w starej izbie biesiadnej.

Nie składał ani wielu, ani ważkich przysiąg.

Mówił o przodkach, ofiarnikach w Maerinie; według niego pragnienie Olwego, aby zostać księdzem, narodziło się właśnie z ciemnego pogaństwa. Powiedział również, że jeśli jako ksiądz zajmuje siedzisko gospodarza w Egge, w swoim przekonaniu postępuje zgodnie z tajemnym życzeniem ojca i z wolą nieba.

Przyrzec może tylko jedno: w miarę swoich możliwości będzie się troszczył o schedę po ojcu.

A kiedy podniósł róg do ust, Sygydę ogarnęło uczucie dumy, niestety zaprawionej goryczą, że na pewno on będzie ostatnim z rodu.

5

Pewnego dnia pod koniec jesiennego miesiąca Sygyda szła ścieżką wiodącą przez wzgórze Egge, szukała samotności, jak nieraz, odkąd zwłoki Kalfa przywieziono do domu.

Cierpienie jest jako strzała — powiedział Sigtryg — kto usiłuje ją zatrzymać, musi się zranić. Jeśli natomiast poleci własnym torem, w końcu upadnie na ziemię nie wyrządzając krzywdy.

W ciągu ostatnich miesięcy często o tym myślała.

Po skończonej stypie, kiedy miała już czas dla siebie, nie usiłowała uciekać od smutku. Przeżywała swoją żałobę, aż dotychczas.

„Powinnam być jak alki” — to porównanie przyszło jej niegdyś do głowy, a teraz przypomniła sobie tyle dawnych myśli. Nie powinna walczyć z prądem, lecz zdać się na nurt życia, powierzyć wszystkim Bogu. „Musisz nauczyć się cierpliwości” — to znów były słowa Hildy córki Ingi z Bjarkóy.

Postacie z lat dziecinnych i młodzieńczych ostatnio rysowały się jej wyraźniej; nawet później poznawane osoby cofały się jakby w czasie. Jeżeli myślała o bracie, Tore nie był siwowłosym mężczyzną, który wyruszał na pielgrzymkę do Jeruzalem; był młodym silnym Torem z Bjarkóy. Nawet swoje dzieci, żywe i zmarłe, widziała znowu jako maleństwa.

Ale równocześnie budził się żal; żal z powodu wszystkiego, czego dla nich nie uczyniła.

A potem wszystko przysłaniała myśl o Kalfie.

Ciągle od nowa rozmyślała, w jaki sposób mogła go uratować, aż w końcu myśli jej się kłębiły. Rozważała, w jakim stopniu zawiniła jego losowi, a ile on sam, aż ostatecznie wszystko się pogmatwało.

Rozmawiała o tym z Anundem i Trondem, obaj zapewniali, że powinna ufać miłosierdziu i łasce Boga. Trond odprawił za duszę Kalfa szereg mszy, nawet by nie zliczył ile. Ale żaden z nich nie mógł jej zapewnić, że Kalf znalazł spokój wiekuisty, a ona tego potrzebowała.

Ale pozostała nadzieja, nadzieja, iż pojął zdradę króla, a co za tym idzie zrozumiał, iż on, który miał się za zdrajcę, zginął przez zdradę i w śmierci tej dopatrywał się łaski Bożej oraz odpuszczenia winy, której nie pojmował.

W tym szukała pociechy, czepiała się słów Finna, że Kalf śmiertelnie ranny miał jeszcze dużo czasu...

Wspominała skierowane niegdyś do Olwego słowa Anunda dotyczące miłosierdzia Bożego; powiedział, że Bóg nigdy nie zawodzi tych, którzy Go naprawdę szukają. Bardzo chciała wierzyć, że Kalf na swój sposób także szukał Boga. Pocięszała się też słowami Sigtryga, że Bóg opiekuje się tymi, których użył jako narzędzia. Usiłowała patrzeć na zdradę króla Haralda jako na znak od Boga; wmawiała sobie, że święty Olaf, który cudem uzdrowił Torego, na pewno chciał także zbawienia Kalfa. Jednakże w tym życiu nigdy nie uzyska pewności!

Poza tym tęskniła do Kalfa, z początku zdawało jej się, że nie zdoła żyć z przeświadczeniem, iż nigdy u jej boku nie stanie mężczyzna, u którego mogłaby szukać oparcia i ciepła. Sięgając myślą wstecz musiała przyznać, że choć niepokoiła ją skłonność Kalfa do upijania się, ostatnimi laty było im razem dobrze; tęskniła teraz nawet do tego niepokoju.

Idąc ścieżką przez wzgórze uświadamiała sobie, że najgorsze cierpienie minęło. Pozostała nadzieja, błyskała niczym ogień, musiała istnieć. Nigdy w życiu nie mogłaby ugiąć kolan w kościele, gdyby miała trwać w przekonaniu, że Kalf jest potępiony. A tymczasem płomyk błyskał coraz wyraźniej, pewniej, aż przyjdzie dzień, kiedy w tej nadziei znajdzie całkowity spokój.

Usiadła zapatrzona w głąb fiordu i nareszcie zaczęła myśleć o przyszłości.

Trond dotychczas pozostawał w Egge i na pewno zostanie na zawsze. Z każdym dniem jednak bardziej go pochłaniała praca duszpasterska. Nawet skarżyła się Anundowi, że niezadługo syn będzie miał czas tylko dla innych, nigdy dla niej. Wtedy Anund przypomniał jej, że Trond starał się iść za Mistrzem, który kazał czekać nawet swojej Matce i powiedział, że każdy, kto potrzebuje Jego pomocy, jest dla Niego matką lub bratem. Sygryda dochodziła do przekonania, że straciła syna, choć mieszkał we dworze.

Nie miała wokół siebie wnuków i prawnuków jak Ingerida z Gjevranu; nie będzie widziała rozmnażania się rodu i nie znajdzie w tym ukojenia. Była zdumiona siłą i spokojem Ingeridy po śmierci Finna. Raz napomknęła

o tym będąc w Gjevranie. Ingerida chwilę się zastanowiła, po czym odparła:

— Tak być musi. Jedni umierają, inni się rodzą, zmieniają się pokolenia rodu. Myśmy przeżyli nasze życie, spełnili swoje prace. Jeśli Bóg zechce, wkrótce znajdziemy spoczynek. Zbyt dużo rozmyślasz, Sygrydo.

I Sygryda w dużej mierze musiała jej przyznać słuszość. Co zyskała łamiąc sobie głowę? Raz lub dwa razy niebo jakby się przed nią otworzyło. Ale gdy spojrzymy w światłość, ciemności są potem głębsze. Troszcząc się i rozmyślając kręciła się w kółko, aż w końcu wróciła do najprostszych zasad, jakich uczył ksiądz Jon, a od początku doskonale znanych Ingeridzie. Sygryda odczuwała to wszystko jako zawód. Przypomniała sobie, że kiedyś w Anglii weszła na wieżę. Wspinała się z trudem po stromych, wąskich kręconych schodkach, w oczekiwaniu niezwykłego cudownego widoku po osiągnięciu szczytu. A kiedy weszła na górę, zobaczyła te same miejsca, tylko widnokrąg był szerszy.

Niemniej jednak z wrażeniem zawodu łączyło się uczucie bezpieczeństwa, pewności, jak w czterech ścianach domu. Czy w tym życiu nie znajdzie już niczego więcej poza zwykłym powszednim uczuciem bezpieczeństwa; a może wizja owego spokoju i szczęścia mglisto przeczuwanego była zesłana nie w celu uszczęśliwienia jej na tym świecie, a tylko po to, by wzmóc tęsknotę do nieba i do Boga?

Nie mogła się powstrzymać od myśli, że przeciętna Ingerida z Gjevranu była niewątpliwie bliższa Bogu niż ona; może nawet bliższa niż Helena w swojej pustelni.

Sygryda bowiem po długich rozmyślaniach o Helenie doszła do przekonania, że matka źle czyni porzucając swoje dzieci. Odkąd wróciła do Egge, próbowała sama zająć się nimi. Z radością stwierdziła, że smutek znika z ich oczu pod wpływem jej troskliwości. Natomiast po śmierci Kalfa przywiązanie, jakie dzieci Heleny jej okazywały, radowało serce, wlewało w nie nowe życie. Równocześnie jednak rodził się lęk przed wzięciem udziału w tym nowym życiu, przed dzieleniem ich radości i cierpień.

Niebo chmurzyło się nad fiordem; poprzez ławice obłoków słońce rzucało snopy promieni na powierzchnię wody, zapalało w niej ogniki. W dali nad przesmykiem Skarn, nisko nad wodną taflą, snuły się błękitne mgły.

Myśli Sygrydy biegły znanym szlakiem: przesmykiem Skarn, przez fiord trondheimski ku morzu i krajowi elfów wyłaniającemu się na nieboskłonie, to znów znikającemu, by zamajaczyć raz jeszcze jak niebiańskie zjawisko. I wokół tego zjawiska skupiała się cała tęsknota; tęsknota za promienną wiecznością.

Potem myśli jej biegły przez morze do Thurso, do Sunnivy. Tam było jej potomstwo, czy kiedykolwiek jeszcze się zobaczą?

A może stanie się to prędzej, niż przypuszczała, może król odbierze Trondowi Egge? Odpędziła tę myśl. Król aż tak jawnie nie potwierdzi zdrady.

A zatem nigdy już nie zobaczy Sunnivy i jej dzieci. Ani wyspy Hros, ani morza...

Nagle wyobraziła sobie, że zrośnie się z Egge jak owo drzewo na dziedzińcu; jak ono zmieniała się od wiosny do lata i od jesieni do zimy; będzie tęskniła, wąpiła, wierzyła, ufała i modliła się, stale zapuszczając głębiej korzenie i wyciągając ku niebu konary, aż liście zwiędną i po raz ostatni opadną. A w gałęziach będzie szumiał wiatr niosący wieści od morza.

Ale ważniejsza niż ziemia, tęsknota i nadzieja — pomyślała Sygryda — jest wiara w miłosierdzie Boga.

SPIS TREŚCI

Święty Olaf	5
Kalf	66
Einar Tambarskjelve	136
Na wygnaniu	177
Egge	227